

Carr Philippa
Czas na milczenie

Z angielskiego przełożyła Joanna Puchalska
Tytuł oryginału A TIME FOR SILENCE

Preludium

Po raz pierwszy spotkałam Carla Zimmermana w naszym domu w Westminsterze, kiedy miałam jedenaście lat. Pamiętam doskonale ten moment. Właśnie świętowaliśmy z całym Londynem — a właściwie z całą Anglią — koronację króla i królowej.

Zmarły król był niezwykle barwną postacią. Zasłynął już jako książę Walii licznymi skandalami, które bulwersowały opinię publiczną — wiadomo, że ludzie uwielbiają się gorszyć. Kiedy wstąpił na tron, ustatkował się, ale wtedy oczywiście był już dużo starszy.

Urodziłam się w ostatnim roku tamtego wieku. Matka moja mówiła, że byłam za mała, by pamiętać koniec oblężenia Mafekingu. Stała wtedy w oknie trzymając mnie w ramionach i patrzyła na ludzi świętujących na ulicach, a ja podobno śmiałam się i byłam zachwycona.

Książę Walii wstąpił na tron jako Edward VII po śmierci swej matki, wielkiej królowej Wiktorii. Ludzie często powtarzali, że minęła wówczas bezpowrotnie pewna epoka. Teraz z kolei Edward opuścił ten świat, a my witaliśmy nowych suwerenów — jego syna Jerzego i jego żonę, królową Marię.

Mój ojciec, Joel Greenham, był posłem do parlamentu z okręgu Marchlands - reprezentowanego przez Greenhamów od czasów Jerzego II — najpierw z ramienia partii wigów, a następnie liberałów, gdy partia zmieniła nazwę.

Byłam przyzwyczajona do spotkań towarzyskich, gdyż rodzice często przyjmowali gości zarówno w Westminsterze jak i w Marchlands, w cudownym, najukochańszym domu rodzinnym. Przyjęcia londyńskie

miały charakter oficjalny; bywali na nich ważni ludzie ze świata polityki, których spotkanie przyprawiało mnie o dreszcz emocji. Na wsi było inaczej. Przyjeżdżali do nas właściciele sąsiednich majątków, krewni i przyjaciele. Ich wizyty upływały w znacznie swobodniejszej atmosferze.

Moja obecność na przyjęciach urządzanych w naszym domu w Londynie utrzymywana była w tajemnicy. Cichutko jak myszka siedziałam przytulona do balustrady na drugim piętrze, skąd miałam doskonały widok na schody i skąd mogłam błyskawicznie czmychnąć, gdyby któryś z gości przypadkiem spojrział w górę. Rodzice doskonale wiedzieli, że tam jestem. Czasami ktoś z nich patrzyło w moją stronę i dyskretnie machało ręką, dając znak, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Robert Denver też wiedział o stanowisku obserwacyjnym przy poręczy, ale on właściwie był członkiem rodziny.

Z Denverami łączyła nas wielka zażyłość. Moja matka i lady Denver wychowywały się razem jako młode panny. Potem lady Denver - którą nazywałam ciocią Belindą - wyjechała na kilka lat do Australii, a kiedy wróciła i wyszła za mąż za sir Roberta Denvera, dawna przyjaźń odżyła. Ciocia Belinda miała dwoje dzieci, Roberta i Annabelindę. Oboje stanowili bardzo ważne osoby w moim życiu.

Robert, starszy ode mnie o pięć lat, był jednym z najmiłszych ludzi, jakich znałam. Był wysoki i szczupły, a przy tym trochę sztywny i niezręczny. Jego siostra Annabelinda twierdziła, że Robert wygląda, jakby ktoś w pośpiechu poskładał poszczególne części ciała i nie wszystkie dobrze dopasował. Uspokojenie miał łagodne i delikatne. Od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam, stał mi się bardzo bliski.

Między starszą ode mnie o dwa lata Annabelindą a jej bratem trudno było doszukać się podobieństwa. Ona wzbudzała niepokój, fascynowała otoczenie i była zadziwiająca pod każdym względem.

- Annabelinda podobna jest do swojej matki. -Niejeden raz słyszałam te słowa z ust mojej matki.

Denverowie mieszkali stale na wsi. Kiedy przyjeżdżali do Londynu, zatrzymywali się u nas. Robert miał w przyszłości przejąć rodzinny majątek, więc obaj z ojcem z racji licznych zajęć nie byli tak częstymi gośćmi jak Annabelinda i jej matka. One z kolei dużo bardziej wołały Londyn niż wieś.

Tego dnia gościła u nas cała rodzina Denverów. Sir Robert, ciocia Belinda i Robert uczestniczyli w przyjęciu, a Annabelinda siedziała z nami na górze. Już wtedy była piękna. Miała duże niebieskie oczy, gęste czarne włosy i gładką, jasną cerę. Była odważna i pełna życia. Wyobrażałam sobie, że ciocia Belinda musiała być dokładnie taka sama w jej wieku i że pewnie dokuczała mojej matce tak samo, jak Annabelinda dawała się we znaki mnie.

- Nie pozwól Annabelindzie rządzić - powtarzała mi matka. - Miej swoje własne zdanie. Nie dopuść, żeby ci mówiła, co masz robić. Ona potrafi być bardzo apodyktyczna... tak jak jej matka - dodawała w zamysleniu.

Wiedziałam doskonale, co ma na myśli, i gotowa byłam za wszelką cenę słuchać tej rady.

W dniu owego pamiętnego przyjęcia, kiedy zasiedliśmy pod opieką mojej guwernantki, panny Grant, by jak co wieczór wypić kubek mleka, Annabelinda dała upust swemu rozdrażnieniu.

- Może to dobre dla ciebie, Lucindo - rzuciła gniewnie. - W końcu masz dopiero jedenaście lat. Ja mam już trzynaście, a ciągle traktuje się mnie jak dziecko.

- Będziemy podglądać wchodzących gości. To przecież doskonała zabawa, prawda Charles? - zwróciłam się do młodszego brata.

- O, tak - poparł mnie. - A jak wszyscy pójdą do jadalni, to zakradniemy się na dół i zaczekamy w schowanku. Robert na pewno przyniesie coś fantastycznego do jedzenia.

- Annabelinda wie o tym doskonale - zauważyłam. - Przecież była już tam z nami parę razy.

- To świetna zabawa - powtórzył Charles.

- Zabawa! — wykrzyknęła oburzona Annabelinda. — Żeby kogoś... w moim wieku traktować jak dziecko!

Przyjrzałam się jej uważnie. Rzeczywiście, trudno było o niej powiedzieć, że wygląda dziecinnie.

- Annabelinda szybko się rozwinie - przepowiadała zawsze moja matka.

Słowa te sprawdziły się. Annabelinda już nabrała kształtów. „Ona urodziła się dojrzała, tak jak jej matka”. Była to kolejna opinia powtarzana przez moją matkę, ujawniająca jej wiedzę na temat cioci Belindy. Brzmiała jak ostrzeżenie.

-Ja na pewno nie będę patrzeć zza poręczy -oświadczyła z wyraźnym niesmakiem Annabelinda. — To dziecinada.

Wzruszyłam ramionami. Prawdę mówiąc, nie mogłam się doczekać tej dziecinady. Goście wstępujący po szerokich schodach i moi rodzice czekający na ich powitanie pod wielkim żyrandolem stanowili widok niezapomniany, który urzekał mnie za każdym razem. Salon i jadalnia znajdowały się na pierwszym piętrze. Na rozległym podeście u szczytu schodów goście wymieniali z rodzicami kilka zdawkowych uprzejmości, a potem dostojnym krokiem przechodzili do salonu. Właśnie ten moment uwielbialiśmy obserwować zza poręczy.

Potem, kiedy już wszyscy zasiedli w jadalni, cichutko zakradaliśmy się tylnymi schodami na dół do małego pokoiku, czyli naszego schowanka. W pomieszczeniu tym stało kilka szaf i kredensów, w których przechowywano najróżniejsze rzeczy, oraz stół i kilka krzeseł. Zasiadaliśmy tam i pałaszowaliśmy przysmaki, które znosił Robert. Czekaliśmy cierpliwie, aż zjawi się z tacą, na której znajdowała się galaretka z bitą śmietaną, lody lub inny smakołyk. Robert siadał z nami i czekał, aż zjemy. Była to najmiłsza część wieczoru. Jestem pewna, że on też lubił spędzane z nami chwile.

Wreszcie panna Grant poszła sobie, a my zajęliśmy posterunek przy poręczy. Przyszła także Annabelinda. Nie wyjaśniła powodów zmiany swojej decyzji. Wciśnięta obok nas wygłaszała krytyczne komentarze na temat wyglądu pań, nie szczędząc też uwag pod adresem panów.

Kiedy goście udali się na kolację, nadeszła najbardziej emocjonująca chwila. Cichutko zeszliliśmy na dół, przyśpieszając kroku pod wielkim, jasnym żyrandolem. Potem wystarczyło przemierzyć cztery stopnie w górę, żeby znaleźć się w schowanku.

Charles nie mógł powstrzymać chichotu. Zgodnie z jego przewidywaniami niemal natychmiast pojawił się Robert z tacą, na której stały cztery szklane miseczki z leguminą. Widocznie domyślił się, że Annabelinda jednak zdecyduje się przyjść i dla niej też przyniósł porcję deseru.

Odniosłam wrażenie, że ona wstydzi się tego, iż przyłapano ją na zadawaniu się z młodszymi dziećmi. Ponieważ jednak jej brat Robert zstępował do nas z wyżyn świata dorosłych - i w dodatku się tego nie wstydził - czuła się do pewnego stopnia wytłumaczona.

Usiedliśmy przy stole i bez reszty oddaliśmy się łakomstwu.

- Wiedziałem, że będzie leguminą - westchnął Charles. - Kucharka mówiła. Wcale nie była tym zachwycona. Uważa, że to strasznie staroświecki deser.

Pozostali pominęli tę uwagę milczeniem. Biedny Charles! Jako najmłodszy przyzwyczał się do tego, że starsi często ignorowali jego słowa. Na szczęście miał bardzo pogodne usposobienie. Z zapałem rzucił się na leguminę.

- Przyniosłem ci podwójną porcję - powiedział Robert. - Pomyślałem, że się ucieszysz.

- Wielkie dzięki - Charles okazał wdzięczność uśmiechając się promiennie.

- O czym oni tam rozmawiają? - spytała Annabelinda.

- Głównie o polityce - odparł Robert.

- Czy wciąż o wyborach? - zainteresowałam się.

- Tym razem o Izbie Lordów jako podstawowej przyczynie obecnych problemów.

- Izba blokuje wszystko, co chce przeprowadzić rząd - stwierdziłam mądrze. - Zawsze tak było.

- Może nowy król zaprowadzi porządek? - zasugerowała Annabelinda.

- Monarchia jest konstytucyjna - przypomniałam jej. - Izba Lordów, choć mniej ważna niż Izba Gmin, też zatwierdza uchwały. Ojciec mówi, że premier Asquith powinien mianować więcej parów, wtedy miałby ich więcej po swojej stronie.

Annabelinda ziewnęła.

- Miło z twojej strony, Robercie, że przyniosłeś nam te pyszności - zwróciłam się do jej brata.

- Zawsze do usług, Lucindo.

- Wiesz... lubię cię za to. Posłał mi ciepły uśmiech.

- Widzisz - wyznał - ja naprawdę lubię być z wami... Tu jest przyjemniej niż na przyjęciu.

- Zjadłbym jeszcze trochę - rozmarzył się Charles.

- Co takiego? Zobacz, ile zjadłeś, łakomczuchu! - wykrzyknęłam z oburzeniem.

- Weź moją - zaproponował Robert, co Charles skwitował radosnym okrzykiem:

- Na pewno nie chcesz?... Szkoda, żeby się zmarnowała...

W tym momencie wydało mi się, że posłyszałam kroki na schodach. Zastygłam bez ruchu, nasłuchując.

- Co się stało? — Robert spojrzął na mnie.

- Ktoś jest na schodach. Słyszałam, jak podłoga zatrzeszczała. Zawsze skrzypi w tym miejscu...

Podeszłam do drzwi i otworzyłam je.

Na progu stał młody człowiek, wyraźnie zaskoczony moim widokiem. Zauważyłam bardzo jasne włosy i niebieskie oczy... Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie bez słowa. Był w wieczorowym stroju, więc domyśliłam się, że musi być jednym z gości.

- Czy pan się zgubił? - spytałam.

- Tak... tak... zgubiłem się - mówił z ledwo wyczuwalnym obcym akcentem.

Do drzwi podeszli pozostali. Młody człowiek spojrzął na naszą gromadkę.

- Och - zaczął - naprawdę, bardzo przepraszam. Sam nie wiem, jak się tu znalazłem. Jestem taki niezręczny. Wylałem sos na marynarkę. Chciałem ją oczyścić, zanim ktoś zauważy. Znalazłem... ustronne miejsce... wytarłem plamę. Wyszedłem... i nie wiem, gdzie jestem. Zgubiłem się.

- Aha, rozumiem, nie trafił pan z powrotem do jadalni. Ten dom pełen jest zakamarków, ale za to jest położony blisko parlamentu. Jest pan prawie na dobrym piętrze. Pokażę panu drogę.

- To bardzo uprzejmie ze strony panienki. Annabelinda przyglądała mu się z uwagą.

- Niech pan z nami usiądzie na chwilę - zaproponowała. - Nie był pan jeszcze w tym domu, prawda?

- Nie. To moja pierwsza wizyta. Przyjechałem do Anglii dopiero dwa tygodnie temu.

- Skąd pan pochodzi? - spytała Annabelinda.

- Ze Szwajcarii.

- Och, wyobrażam sobie, jak tam jest pięknie... góry i jeziora...

Uśmiechnął się do niej. Wyraźnie uspokoił się i odprężył.

- Jak się pan nazywa? — spytałam.

- Carl Zimmerman.

- Ja jestem Annabelinda Denver - przedstawiła się Annabelinda. - To mój brat Robert. Pozostała dwójka mieszka w tym domu. Lucinda i Charles Greenhamowie.

- Wielkie dzięki - Charles okazał wdzięczność uśmiechając się promiennie.

- O czym oni tam rozmawiają? - spytała Annabelinda.

- Głównie o polityce - odparł Robert.

- Czy wciąż o wyborach? - zainteresowałam się.

- Tym razem o Izbie Lordów jako podstawowej przyczynie obecnych problemów.

- Izba blokuje wszystko, co chce przeprowadzić rząd - stwierdziłam mądrze. - Zawsze tak było.

- Może nowy król zaprowadzi porządek? - zasugerowała Annabelinda.

- Monarchia jest konstytucyjna - przypomniałam jej. - Izba Lordów, choć mniej ważna niż Izba Gmin, też zatwierdza uchwały. Ojciec mówi, że premier Asquith powinien mianować więcej parów, wtedy miałyby ich więcej po swojej stronie.

Annabelinda ziewnęła.

- Miło z twojej strony, Robercie, że przyniosłeś nam te pyszności — zwróciłam się do jej brata.

- Zawsze do usług, Lucindo.

- Wiesz... lubię cię za to. Posłał mi ciepły uśmiech.

- Widzisz - wyznał - ja naprawdę lubię być z wami... Tu jest przyjemniej niż na przyjęciu.

- Zjadłbym jeszcze trochę - rozmarzył się Charles.

- Co takiego? Zobacz, ile zjadłeś, łakomczuchu! - wykrzyknęłam z oburzeniem.

- Weź moją - zaproponował Robert, co Charles skwitował radosnym okrzykiem:

- Na pewno nie chcesz?... Szkoda, żeby się zmarnowała...

W tym momencie wydało mi się, że posłyszałam kroki na schodach. Zastygłam bez ruchu, nasłuchując.

- Co się stało? - Robert spojrzał na mnie.

- Ktoś jest na schodach. Słyszałam, jak podłoga zatrzeszczała. Zawsze skrzypi w tym miejscu...

- No to już wszyscy się znamy - powiedział Carl z uśmiechem.

- Nie zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie. Oni uważają, że jesteśmy za mali... z wyjątkiem Roberta oczywiście. Przyniósł nam leguminę.

Młody człowiek uśmiechnął się jeszcze promienniej.

- Rozumiem. Bardzo się cieszę, że was spotkałem.

- Czy jesteś ważnym dyplomata?

- Niezbyt ważnym... To moja pierwsza posada.

- I zgubiłeś się na schodach! - wykrzyknęła Anna-belinda.

- Każdemu może się to zdarzyć - pocieszyłam go.

- Mnie się to ciągle zdarza - dodał Robert.

- Czy długo zostaniesz w Londynie? - spytała Anna-belinda.

Lekko wzruszył ramionami.

- Trudno przewidzieć.

- Musisz być kimś ważnym, skoro zaproszono cię tutaj - indagowała Annabelinda.

Znów wzruszył ramionami.

- Przeszedłem ze znajomym. To ze względu na niego dostałem zaproszenie.

- Czy nie zauważą, że cię nie ma? — spytałam.

- Zaraz wszyscy wyjdą z jadalni - powiedział Robert. - Lepiej wracajmy. Wskażę ci drogę.

- Dziękuję. To miło z twojej strony. Annabelinda nie była zadowolona z takiego obrotu

sprawy. Obrzuciła brata pełnym wyrzutem spojrzeniem, ale gość już podniósł się i ruszył za Robertem w stronę drzwi.

- Dzięki za leguminę! - zawołałam za nimi. Robert uśmiechnął się do mnie w odpowiedzi.

- Dziękuję wam wszystkim — skłonił się grzecznie młodzieniec i obaj z Robertem wrócili do gości.

- Zaczynało robić się ciekawie - prychnęła Annabelinda. - A Robby musiał wszystko zepsuć!

- Miał rację - wystąpiłam w obronie Roberta. - Ich nieobecność mogła zostać zauważona. To by postawiło tego Carla w niezręcznej sytuacji... Jest tu przecież po raz pierwszy.

- Żałuję, że poszedł. Było zabawnie. No dobra... dosyć tego. Idę do swego pokoju.

Wyszła, a my z Charlesem też wróciliśmy do siebie. Nie mieliśmy ochoty czekać na wyjście gości.

- Dobra legumina - podsumował na koniec Charles. -Wcale nie szkodzi, że jest strasznie staroświecka.

Ja natomiast — podobnie jak Annabelinda — czułam się lekko zadowolona.

Nowinę usłyszałam dopiero następnego ranka, kiedy jedna z pokojówek, Millie Jennings, zjawiała się w moim pokoju z gorącą wodą.

- Och, co za awantura, panienko. W nocy była policja. Dokładnie o północy. Pani zauważyła, dopiero jak goście wyszli.

- O czym ty mówisz, Millie? - spytałam.

- Włamanie, panienko, ot, co się stało. Pani poszła na górę do siebie i zobaczyła, że szuflada jest otwarta. Ktoś szperał w biżuterii. Natychmiast wezwaliśmy policję. Panienska nic nie słyszała? Pewnie spała panienska jak zabita.

- Złodzieje? W nocy? Podczas przyjęcia?

- Tak policja przypuszcza. Wygląda na to, że zabrali szmaragdy pani. Dziwne... że nikt nic nie zauważył.

Postanowiłam natychmiast wstać i dowiedzieć się dokładnie, co się stało. Szybciutko umyłam się, ubrałam i zesłam na dół. Matka siedziała w jadalni i piła poranną kawę.

- Co się właściwie stało, mamó? - spytałam. Uniosła brwi.

- Wygląda na to, że włamano się do domu zeszłej nocy.

- Słyszałam od Millie. Czy to prawda, że zabrali

- Tak, brakuje kilku sztuk biżuterii.

- Czy wtedy, kiedy byli goście?

- To był dogodny moment dla złodziei.

- Millie mówiła, że wezwaliście policję.

- Tak. I zaraz znów przyjdą.

- Jak to się mogło stać?

- Najwyraźniej ktoś dostał się od tyłu. Okno naszej sypialni było otwarte, więc mogli wejść tamtędy. Myślę, że coś ich spłoszyło, gdyż wiele nie zabrali. Byli też w gabinecie ojca.

- A czy stamtąd coś wzięli?

- Nie... Tam nie ma nic cennego... oprócz noża do papieru z rękojeścią wysadzaną szafirami. Nie zauważyli go nawet. Ktoś ich pewnie spłoszył, zanim przeszukali pokój, więc wzięli nogi za pas. Czy nic nie słyszałaś? Co robiliście po zjedzeniu leguminy, którą wam zaniósł Robert? Widziałam, jak wymykał się z jadalni z tacą.

- Zjedliśmy leguminę... Ach tak... prawda. Ktoś był na schodach przy schowanku.

- Kto taki?

- Jeden z gości. Poplamiał marynarkę i wyszedł, żeby ją oczyścić. Potem zgubił się i nie mógł trafić z powrotem do jadalni. Robert go odprowadził.

- Kto to był?

- Nazywał się Carl Zimmerman.

- Aha, pamiętam. Przyszedł z kimś z jakiejś ambasady. Dość nieśmiały młody człowiek. No, cóż. Był tu po raz pierwszy.

- Na mnie też sprawił wrażenie nieśmiałego.

- I nie słyszałaś niczego podejrzanego? Żadnego hałasu albo odgłosów dobiegających z góry?

- Nie. Poszłam spać, a potem już było rano i przyszła Millie.

- Wiesz, powinniśmy się cieszyć, że na tym się skończyło. Jak pomyślę, że ktoś obcy kręcił się po domu, i to wtedy, kiedy wyszyscy tu byliśmy... Aż ciarki mnie przechodzą!

W pełni się z nią zgadzałam.

Wkrótce przybyła policja. Annabelinda, Charles i ja przyglądaliśmy się im z okna na piętrze. Annabelinda miała cichą nadzieję, że też będzie przesłuchiwana. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie słyszała czegoś po tym, jak rozstaliśmy się poprzedniego wieczoru. Nie dlatego, że miała zamiar powiedzieć nieprawdę. Po prostu uwielbiała, kiedy się wokół niej coś działo. Czowała się wtedy jak ryba w wodzie.

Była bardzo zawiedziona, kiedy policjanci wyszli nie zadawszy jej ani jednego pytania.

Dwa dni później Denverowie zaczęli zbierać się do wyjazdu. Było mi trochę smutno, gdyż obecność Roberta zawsze sprawiała mi ogromną przyjemność. Był miły i zawsze żył w zgodzie z całym światem. Miałam mieszane uczucia co do Annabelindy, podobnie zresztą jak — o czym doskonale wiedziałam — moja matka do cioci Belindy. Fascynowały nas, lubiłyśmy je, ale jednocześnie miałyśmy się przed nimi na baczności. Zawsze kiedy miały do nas przyjechać, oczekiwałam ich wizyty niecierpliwie, a kiedy już przybyły, doznawałam lekkiej irytacji. Tę zmianę nastroju zawdzięczałam zapewne protekcjonalnemu sposobowi bycia Annabelindy, która nieustannie domagała się dla siebie

uwielbienia i dążyła do tego, by cała uwaga otoczenia skupiała się na niej. Traktowała wyniośle każdego, kto ośmielił się z nią rywalizować.

Moja matka doskonale wiedziała, co dzieje się w moim wnętrzu, ponieważ ona sama doznawała podobnych uczuć wobec cioci Belindy. A jednak kiedy wyjeżdżały, obie czułyśmy się, jakby nagle uszło z nas całe powietrze. Popadałyśmy w lekką melancholię, życie przestawało nas interesować i w końcu zaczynałyśmy tęsknić do ich powrotu.

Czasami miałam wrażenie, że Annabelinda jest częścią mnie - nie taką, jaką bym lubiła, ale taką, bez której trudno sobie poradzić.

Skończyliśmy jeść śniadanie. Sir Robert powiedział, że była to bardzo przyjemna wizyta i że koniecznie musimy przyjechać do nich do Hampshire. Mój ojciec odparł, że w związku z tym, co dzieje się w parlamencie, przez jakiś czas musi pozostać w Londynie, a potem czeka go praca w Marchlands. Nie można zaniedbywać okręgu.

- Warn jest łatwiej przyjechać do Londynu — zauważyła moja matka.

- To prawda - zgodziła się ciocia Belinda. - Nie martw się, Lucie, kochanie. Niedługo znów będziesz nas gościć. Prawda, Annabelindo?

- O tak, uwielbiam Londyn - potwierdziła Annabelinda z zapalem.

- W takim razie zobaczymy się niebawem - odparła moja matka.

W tym momencie do pokoju weszła, a właściwie wpadła - co było do niej niepodobne - nasza gospodyni pani Cherry. Była najwyraźniej podniecona. W ręku trzymała jakąś rzecz.

- Och, sir... proszę pani... Właśnie Jane... znalazła. Wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi, gdyż w dłoni

pani Cherry znajdowała się szmaragdowa bransoletka i pierścionek mojej matki. Te same, które rzekomo zostały skradzione podczas przyjęcia.

- Ależ pani Cherry! - wykrzyknęła moja matka. -Gdzież, na Boga...

Ojciec podszedł do gospodyni i wziął od niej biżuterię.

- Gdzie się znalazły? — zapytał.

- W sypialni, sir... koło łóżka.

- To niemożliwe — wykrztusiła matka. — Zawsze trzymałam je w szkatułce.

- To Jane je znalazła, tak? — upewnił się ojciec.

- Tak, proszę pana. Zaraz ją zawołam.

Byliśmy szczerze zaskoczeni. Jak to się stało, że zaginione szmaragdy znalazły się pod łóżkiem?

Matka cały czas uparcie twierdziła, że nie nosiła ich od tygodnia, i była pewna, że kiedy ostatni raz zdejmowała klejnoty, włożyła je potem do szkatułki. Jak to wytłumaczyć?

Fakt pozostawał faktem, że szmaragdy odnalazły się i że wypadało zawiadomić o tym policję.

Jako ostateczną wersję wydarzeń przyjęto, że nie było żadnego włamania, a szmaragdy po prostu nie zostały schowane do szkatułki, tylko spadły pod łóżko. Na dodatek ktoś zapomniał zamknąć okno, a rodzice stwierdziwszy to po przyjęciu, doszli do wniosku, że miało miejsce włamanie.

Przeproszono policję za niepotrzebny kłopot, na cele dobroczynne wpłacono pewną sumę i cała sprawa została zamknięta.

Właśnie dlatego tak dobrze zapamiętałam moje pierwsze spotkanie z Carlem Zimmermanem.

Piniere

Jakie to szczęście, myślałam sobie nieraz, że urodziłam się w kochającej się i zżytej rodzinie, dającej ogromne poczucie bezpieczeństwa. Oprócz rodziców miałam jeszcze ciocię Reбекę, mieszkającą wraz z rodziną w Kornwalii, dokąd od czasu do czasu jeździłam na wakacje. Byli też Cartwrightowie - krewni męża cioci Reбеки, którzy zawsze serdecznie się do mnie odnosili.

Ciocia Rebecka i moja matka bardzo się kochały, choć były tylko przyrodnimi siostrami. Wuj Gerald, brat mego ojca, służył w wojsku i miał stopień pułkownika. Ciocia Hester - jego żona, dama o niespożytej energii - z zapałem wspierała karierę wojskową męża. Ich dwaj synowie, a moi kuzyni, nazywali się George i Harold.

Oprócz rodziny do kręgu najbliższych nam osób zaliczali się Denverowie i poznany za ich pośrednictwem Jean Pascal Bourdon — fascynująca, nieco zagadkowa postać. Człowiek ten według mnie miał w sobie coś diabolicznego. Był to ojciec cioci Belindy.

Dla mnie najważniejszą na świecie osobę stanowiła moja matka, choć z ojcem też się bardzo kochaliśmy. Uwielbiałam go. Był człowie-

kiem powszechnie szanowanym i posłem do parlamentu — wiecznie zajęтым, jeżeli nie w Izbie Gmin, to na wsi w Marchlands, gdzie spotykał się z wyborcami. Gdy posiedzenia w parlamencie przeciągały się do późna, matka zawsze czekała na niego z zimną kolacją, przy której po jego powrocie omawiali wydarzenia dnia. Jako młoda panna czekała tak samo na swego ojca, który też był posłem. Greenhamów poznała i poślubiła jednego z nich dzięki temu, że obie rodziny były ze sobą zaprzyjaźnione w czasach jej dzieciństwa. Słyszałam, jak mówiono, że przejęła zwyczaj oczekiwania z kolacją od pani Disraeli, która robiła to samo dla wielkiego Benjamina.

Ojciec mój cieszył się ogromnym szacunkiem. Kiedy wygłaszał przemówienie na posiedzeniu Izby czy na jakimś spotkaniu, jego słowa często później przytaczano w gazetach. Choć jego partia była u władzy od 1905 roku, nigdy nie został członkiem gabinetu. Ale też specjalnie się o to nie ubiegał.

Mimo że był normalnym, kochającym ojcem, do którego zawsze można było się zwrócić w potrzebie, otaczała go aura tajemniczości. Zdarzało się, na przykład, że wyjeżdżał i nie było wiadomo ani dokąd jedzie, ani kiedy wróci. Nie jestem pewna, czy matka była wtajemniczona. Jeśli nawet coś wiedziała, to nigdy się z tym nie zdradziła.

— Och, wyjechał w sprawach rządu — mówiła uspokajająco, ale ja, znając dobrze moją matkę, wyczuwałam dręczący ją niepokój. Widziałam też, z jaką ulgą witała jego powrót.

Gdzieś w głębi duszy czułam, iż istnieje ojciec, jakiego nie znam, ktoś w pewnym sensie daleki. Nigdy nie doznawałam takich uczuć w stosunku do matki. Ojciec był dobry dla mnie i kochałam go gorąco, ale ta jego tajemnica, mglista i nie wyjaśniona, zawsze stała między nami jak mur.

Wyznałam kiedyś matce, że bardzo się cieszę, iż nazwała mnie Lucindą, bo skoro ona ma na imię Lucie, to dzięki podobnym imionom ja jestem trochę nią, a ona mną. Była wzruszona moimi słowami i zwierzyła mi się, że zawsze chciała mieć córkę i że nigdy nie zapomni dnia, w którym się urodziłam. Jakże inne było jej życie od mojego! Ona nie miała tego poczucia bezpieczeństwa, jakie zapewniają kochający rodzice i duża rodzina.

— Ciotka Rebeka była dla mnie jak matka — opowiadała. — Czasem zastanawiam się, co by się ze mną stało, gdyby nie ona.

Początkowo nie wiedziała, kim jest jej ojciec. Późno odkryła, że był nim znany polityk Benedict Landson i że Rebeka jest jej przyrodnią siostrą.

Od tamtej chwili matka i dziadek stali się sobie bardzo bliscy. Od czasu do czasu opowiadała mi o nim; promieniała wówczas dumą, a potem nieodmiennie ogarniał ją żal i smutek na wspomnienie dramatycznych wydarzeń, które stały się jej udziałem. Pewnego dnia, kiedy jej ojciec wsiadał do powozu, który miał go zawieźć do Izby Gmin, został zastrzelony przez irlandzkiego terrorystę. Matka była świadkiem tej tragedii.

Usiłowałam wyobrazić sobie, co czuła, kiedy umierał jej najdroższy ojciec, kiedy traciła go bezpowrotnie. Tak naprawdę chyba nigdy nie doszła do siebie po tej historii. A był to dopiero początek niezwykle komplikacji życiowych, po przejściu których wreszcie znalazła szczęście w małżeństwie z moim ojcem.

Nim go poślubiła, była już raz mężatką, ale nigdy nie opowiadała o tym, a ja wiedziałam, że nie wolno mi zadawać żadnych pytań. Bardzo rzadko zdarzało się, by wspominała tamte lata.

Pewnego razu powiedziała:

— Czasami warto jest przejść ciężką próbę, ponieważ później człowiek docenia prawdziwe szczęście i cieszy się nim bardziej niż ci, którzy nigdy nie zaznali niepowodzeń.

Byłam szczęśliwa, że wyszła za mego ojca i że te wszystkie udręki ma już za sobą. Powiedziałam jej:

— Teraz, mam, masz nas... ojca, Charlesa i mnie.

— Dziękuję Bogu za was wszystkich — odparła. — I gorąco pragnę, Lucindo, żebyś była równie szczęśliwa. Mam nadzieję, że kiedyś będziesz mieć własne dzieci i sama przekonasz się, ile potrafia dać radości.

Kto wie, może Denverowie byli nam bliżsi niż prawdziwi krewni. Ciocia Belinda i jej córka zjawiały się u nas o najrozmaitszych porach i tylko czasem ich wizyta poprzedzona była krótkim liścikiem zapowiadającym rychły przyjazd. Słyszałam, jak pani Cherry narzeka, że traktu-

ją nasz dom jak hotel, i dziwi się, że pani to toleruje. Naprawdę się dziwi.

Od czasu do czasu bywałam u nich w Hampshire. Mieli tam przepiękny dwór. Do sir Roberta należała ogromna posiadłość, a zarządzanie majątkiem w asyście młodego Roberta sprawiało mu ogromną przyjemność.

Zawsze lubiłam wizyty w Caddington. Dwór Caddington Manor fascynował mnie i urzekał. Był znacznie starszy niż Marchlands. Wybudowany został podczas Wojny Dwóch Róż. Od początku mieszkał tu jakiś Denver, który dorobił się, kiedy na tronie zasiadł Henryk VII, i któremu całkiem nieźle się wiodło pod rządami Tudorów. Przez czas trwania konfliktu rodzina stała wiernie po stronie Lancastrów i w związku z tym cały dom zdobiły wizerunki czerwonej róży. Były wszędzie: na ścianach, kominkach i na schodach. Dużo się dowiedziałam o Wojnie Dwóch Róż podczas kolejnych pobytów w Caddington Manor.

Galeria portretów stanowiła drugi przedmiot mego wielkiego zainteresowania. Annabelinda wzruszyła ramionami, kiedy spytałam ją, kogo przedstawiają obrazy.

— Oni dawno nie żyją — rzuciła lekceważąco i zmieniła temat. - Szkoda, że nie mieszkamy w Londynie. Ojciec się nie zgadza. Jest wyjątkowo stanowczy w tej sprawie.

- Ale nie ogranicza wizyt twoich i twojej matki - powiedziałam.

Ta uwaga tylko rozśmieszyła Annabelindę. Jej stosunek do własnego ojca można było określić jako tolerancyjny. Zdaje się brała przykład z cioci Belindy. Sir Robert dawał pieniądze, więc tolerowały jego obecność gdzieś z boku, gdzie nie przeszkadzał w ich przyjemnościach.

Robert trochę przypominał ojca, ale żaden z nich nie interesował się przeszłością tak jak ja. Staralam się przekonać Roberta do mojej pasji.

Jednym z bardziej fascynujących aspektów zażyłości naszych rodzin była znajomość z niezwykłym dziadkiem Annabelindy, Francuzem Jeanem Pascalem Bourdonem.

Nigdy w życiu nie spotkałam nikogo tak niezwykłego. Był to brat cioci Celeste, która miała dom niedaleko nas w Londynie, i u której często bywałam. Ciocia Celeste, skromna i bezpretensjonalna kobieta, po śmierci mojej babki poślubiła Benedicta Landsona i była jego żoną w chwili, gdy został zamordowany. Na dodatek - było to dość skompli-

kowane jak wszystkie tego typu rodzinne układy - brat Celeste, Jean Pascal, był ojcem cioci Belindy. Wszystko razem mogło wydawać się na pierwszy rzut oka dość szokujące, gdyż matka cioci Belindy była prostą szwaczką, pracującą w domu Bourdonów. Narodziny dziecka utrzymywane były w tajemnicy przez wiele lat. Musiało to być niezwykle przeżycie dla cioci Belindy, gdy poznała prawdę o swoim pochodzeniu. Znając dobrze Annabelindę i wiedząc, jak bardzo jest podobna do matki, mogłam się sporo domyślić na temat cioci Belindy. Pewna byłam, że nie posiadała się z dumy, kiedy okazało się, że jest córką tak niezwykłego człowieka.

Jean Pascal Bourdon był bogaty, elegancki i uroczy. Szczerze interesował się ciocią Belindą, kiedy już dowiedział się, że jest jego córką. Właśnie w jego zamku niedaleko Bordeaux poznała swego przyszłego męża, sir Roberta Denvera.

Zainteresowanie córką Jean Pascal przeniósł na wnuczkę i nie trzeba dodawać, że Annabelinda była również pod ogromnym urokiem dziadka. Zazwyczaj spędzała u niego miesiąc w okresie winobrania. Ostatnio nalegała, żebym tam z nią jeździła.

Moja matka nie bardzo lubiła te wizyty. Ciocia Rebeka też ich nie pochwałała. Ale Annabelinda chciała, żebym jej towarzyszyła, więc ciocia Belinda przekonała moją matkę:

- Niech jedzie! Nie możesz trzymać dziecka wiecznie uwiązane do twojej spódnicy, Lucie. Najwyższy czas, żeby zobaczyła trochę świata. Niech się usamodzielni. Nie ma werwy i niezależności Annabelindy.

Więc oczywiście pojechałam. Zachwycił mnie zamek, jego malownicze okolice, winnice i wioski, a przede wszystkim sam monsieur Jean Pascal Bourdon.

Jakieś dwa lata przed moimi dziesiątymi urodzinami ożenił się z damą w dojrzałym wieku. Pochodziła z arystokracji francuskiej - nie żeby to znaczyło wiele w dzisiejszych czasach, ale miało swój urok. Fakt, że się ożenił, usposobił nieco przychylniej matkę i ciocię Rebekę do moich wypraw do Francji. Księżniczka stanowiła gwarancję, że dom będzie prowadzony na poziomie. I oczywiście w wyniku takiego obrotu spraw bez trudu uzyskałam pozwolenie na kolejny wyjazd z Annabelindą.

Wizyty te stanowiły niezapomniane przeżycie. Uwielbiałam długie spacerować, przesiadywanie nad brzegiem jeziora i przypatrywanie się łąbędziom. Matka opowiadała mi o czarnym łąbędziu, który za czasów jej

młodości pływał po jeziorze i atakował każdego, kto zbliżył się do wody. Nazywali go Diabeł. Jego towarzyska, równie potulna, jak on był nieposkromiony, nazywała się Anioł.

Uwielbiałam tę historię, ponieważ pewnego dnia Jean Pascal uratował moją matkę, kiedy łabędź ją zaatakował.

Zawsze byłam bardzo gościnnie przyjmowana w chateau. Jean Pascal rozmawiał z nami jak z dorosłymi osobami, co Annabelinę wprawiało w szczerzy zachwyt. Dziadek i jego żona księżniczka byli jedynymi ludźmi, przed którymi czuła respekt.

Pewnego dnia, gdy siedziałyśmy nad jeziorem, Jean Pascal przyłączył się do nas. Usiadł obok mnie i zaczął z nami rozmawiać. Przyznał, że szczerze podziwia moją matkę. Przyjechała kiedyś do zamku razem z ciocią Belindą.

- To była jedyna jej wizyta - powiedział. - Zawsze traktowała mnie nieco podejrzliwie. Niesłusznie zresztą.

Byłam jej naprawdę oddany. Bardzo się ucieszyłem, kiedy wyszła za twego ojca. To odpowiedni mąż dla niej. Jej pierwsze małżeństwo... - potrząsnął głową.

— Mama nigdy o tym nie mówi - powiedziałam cicho.

— Bardzo słusznie. Najlepiej zapomnieć. To najrozsądniejsze wyjście. Rzeczy niemiłe należy puszczać w niepamięć. Wszyscy powinniśmy tak robić.

— Nie zawsze łatwo jest zapomnieć.

— Czasem to rzeczywiście wymaga starań - przyznał.

— A czy pan miał dużo okazji do takich starań?

— Tak wiele, że stałem się mistrzem owej sztuki, mała Lucindo. I dlatego zawsze kiedy mnie widzisz, jestem zadowolony z życia.

Rozbawił mnie tym stwierdzeniem. Zawsze mnie rozśmieszał.

Sprawił wrażenie złośliwego, a jednocześnie wydawało się, że właśnie dzięki cynizmowi lepiej rozumie ludzkie słabości i nie potępia ich, tak jak robiłaby to na jego miejscu większość znanych mi osób.

— Wystrzegaj się świętoszków — pouczył mnie pewnego razu. - Uważaj na ludzi, którzy wynoszą pod niebiosa własne zalety. Bardzo często ich życie nie ma nic wspólnego z tym, co głoszą, a ponadto potrafią być nieprzyjemni dla tych, których uważają za gorszych od siebie. Przeżyj swoje życie najlepiej, jak potrafisz, to znaczy ciesz się nim i pozwól innym robić to samo.

Potem opowiedział mi, jak przyszedł pewnego ranka nad jezioro i zobaczył, że biedny Diabeł ma głowę zanurzoną pod wodą. W pierwszej chwili nie rozumiał, co się stało. Głośno krzyczał, potem znalazł kij i zaczął nim poruszać w wodzie. Łabędź nie drgnął. Biedny Diabeł. Był martwy. I tak dobiegło kresu jego panowanie.

— To było smutne — dodał.

— A Anioł?

— Tęskniła za starym tyranem. Przemierzała samotnie jezioro i nie upłynął rok, jak i ją dosięgła śmierć. Teraz widzisz, mamy białe łabędzie. Są piękne i spokojne. Już nie musisz brać kija, kiedy zbliżasz się do brzegu. Nie grozi ci żaden niespodziewany atak. Ale coś bezpowrotnie minęło. Dziwne, prawda? Jakże czasem kochamy łajdaków! Nie-sprawiedliwie, to prawda. Ale występki bywa bardziej pociągający niż cnota.

- Czy naprawdę złe rzeczy mogą być bardziej atrakcyjne niż dobre?
- spytałam.

- Niestety, na tym polega przewrotność tego świata! - westchnął.

Zawsze z zainteresowaniem go słuchałam i wyobrażałam sobie, że on też lubi rozmawiać ze mną. Nabrałam co do tego pewności, kiedy Annabelinda zaczęła jawnie okazywać zazdrość z powodu naszych pogawędek.

Brakowałoby mi czegoś, gdyby skończyły się moje coroczne wizyty w chateau.

Czasami przyjeżdżała tu ciocia Belinda. Widziałam wyraźnie, że bawi swego ojca. Księżniczka też lubiła jej towarzystwo. Od ślubu Jana Pascala odbywało się tu wiele przyjęć, na których bywali utytułowani ludzie.

Kiedyś Annabelinda wygłosiła o nich następującą uwagę:

- Nie mogą doczekać się następnej rewolucji. Tym razem na swoją korzyść, by mogli wrócić do dawnej świetności.

Zgadzałam się z nią, że nasze wizyty we Francji są jednym z najmiłszych i najbardziej wyczekiwanych wydarzeń w roku. W chateau wymagano od nas, abyśmy rozmawiały po francusku. Miało to nam wyjść na dobre. Jean Pascal śmiał się z naszego akcentu.

- Powinniście mówić tak biegle po francusku jak ja po angielsku - mawiał. - Francuski znają wszyscy z wyjątkiem chłopów i Anglików.

Nadszedł rok 1912. Miałam już trzynaście lat i pojawił się problem dalszej edukacji.

Ciocia Belinda wymogła na sir Robercie zgodę na wyjazd Annabelindy do szkoły w Belgii. Wybrana przez nią pensja dla panien prowadzona była przez Francuzkę, przyjaciółkę Jeana Pascala, pochodzącą - jak się należało tego spodziewać - z arystokratycznej rodziny. Dziewczęta, które ukończyły tę szkołę, mówiły biegle po francusku, posiadały sztukę konwersacji w salonach tego świata - choć może brakło im akademickiej wiedzy — i miały nienaganne maniery.

Annabelinda podchodziła wprawdzie z entuzjazmem do wyjazdu, ale jedna rzecz nie pozwalała jej zaakceptować całego przedsięwzięcia bez zastrzeżeń. Zdziwiłam się, kiedy się okazało, że zażądała, bym uczyła się razem z nią. A może nie powinnam była się dziwić. Annabelinda zawsze potrzebowała audytorium, a od wielu lat ja byłam wprost idealna w tej roli. Oświadczyła, że nie pojedzie do Belgii, jeżeli nie zgodzę się jej towarzyszyć.

W pierwszej chwili moja matka sprzeciwiła się temu pomysłowi.

- Tak daleko! - wykrzyknęła. - I na tak długo!
- Nie dalej niż do Szkocji — zaprotestowała ciocia Belinda.
- Nie mówimy o wyjeździe do Szkocji, tylko na kontynent.
- Myśl o swoim dziecku, nie o sobie. Dzieci zawsze powinny być na pierwszym miejscu — dodała obłudnie ciocia Belinda, co zirytoowało matkę, ponieważ nikt nigdy nie był na pierwszym miejscu przed ciocią Belinda. Sama zawsze je okupowała.

Ciocia Celeste też zabrała głos w tej sprawie:

- Pewna jestem, że Lucinda zdobędzie pierwszorzędną wykształcenie. Mój brat uważa podobnie. Szkoła cieszy się doskonałą opinią.

Uczą się tam dziewczęta z najlepszych rodzin całej Europy.

- W Anglii też są dobre szkoły - upierała się moja matka.

Ojciec przyznał, że jego zdaniem to niezły pomysł, aby młoda panna wyjechała na rok do zagranicznej szkoły. Nie ma nic lepszego jeżeli chodzi o naukę języka.

- Uczą tam niemieckiego. Będzie miała dobry akcent, a to jest naprawdę ważne.

Mnie też ten pomysł wydał się intrygujący, a poza tym obawiałam się wyższości, jaką Annabelinda z pewnością okazywałaby mi przy okazji każdego powrotu do domu. Naprawdę chciałam jechać. I tak

wcześniej czy później musiałabym pójść do szkoły. Guwernantki już mi nie wystarczały. Dorównywałam im poziomem wiedzy i sama właściwie mogłabym już zostać guwernantką. Z każdym dniem nabierałam coraz większej ochoty na wyjazd z Annabelinda. Matka zdawała sobie z tego sprawę, ale nadal nie podejmowała ostatecznej decyzji.

Ciocia Celeste mówiła niewiele, za to rozumiała bardzo dużo. W pełni świadoma była tego, że w głębi duszy matka obawia się, bym za nadto nie zbliżyła się do Jeana Pascala, któremu nie ufała.

— Księżniczka również wyrażała się pochlebnie na temat szkoły - przekonywała matkę. - Będzie miała nasze panny na oku. Wprawdzie pensja jest daleko od chateau, ale księżniczka ma dom położony blisko granicy belgijskiej w Valenciennes. jeżdżą tam czasem z Jeanem Pascalem. Madame Rochere to odpowiedzialna osoba... może nieco surowa, ale trochę dyscypliny nikomu nie zaszkodzi. Jestem pewna, że Annabelinda skorzysta na tym... Lucinda także. Powinny jechać razem, Lucie. Będzie im raźniej, jeśli będą we dwie.

W końcu matka uległa i to w dużej mierze pod wpływem moich błagań.

Bardzo chciałam jechać. Podróż i nauka w obcym kraju jawiły się niezwykle kusząco. Było to coś zupełnie innego niż wszystko, co robiłam do tej pory. Poza tym miała być ze mną Annabelinda.

Tak widocznie było nam pisane. Spędziłyśmy z Annabelinda pracowity miesiąc przygotowując się do drogi i 3 września 1912 roku opuściłyśmy Anglię. W podróży towarzyszyła nam ciocia Celeste.

Pożegnałam się czule z rodzicami, którzy wraz z ciocią Belindą odprowadzili nas aż do Dover, i ruszyłyśmy z ciocią Celeste w drogę. Noc miałyśmy spędzić u księżniczki w Valenciennes, a dopiero następnego dnia pojechać do szkoły. Dom księżniczki znajdował się zaledwie kilka mil na zachód od Mons, więc stamtąd było już niedaleko.

Moja matka uspokoiła się nieco, ponieważ ciocia Celeste opiekowała się nami i ponieważ Jean Pascal przebywał w Medoc, gdzie jego obecność okazała się konieczna ze względu na zbliżające się winobranie.

Ciocia Celeste zapewniła matkę i ciocię Belinę, że księżniczka na pewno zajmie się nami troskliwie. Uczennicom pozwalano na wyjazdy w weekendy, jeżeli w pobliżu mieszkał ktoś z rodziny lub przyjaciół. Księżniczka na pewno się zjawi, jeśli będziemy jej potrzebować. Ponadto ciocia Celeste też będzie często przyjeżdżać. Usłyszałam wtedy,

jak moja matka powiedziała, że rzadko widywała Celeste tak rozpromienioną jak teraz, kiedy zajmuje się Annabelindą i mną.

- Jaka to szkoda, że nie ma własnych dzieci - dodała. - Jej życie wyglądałoby całkiem inaczej.

No cóż, dostarczyłyśmy jej nieco zajęcia i muszę szczerze wyznać, że mimo iż smuciło mnie rozstanie z rodzicami, nie mogłam nie cieszyć się z nowych perspektyw, jakie się przed nami otwierały. Lęk przed nieznanym nie psuł naszej radości. Widziałam, że Annabelindą czuje podobnie jak ja.

Po nocy spędzonej w Valenciennes pojechaliśmy pociągiem do Belgii. Towarzyszyła nam księżniczka. Nie była to długa podróż i wkrótce znalazłyśmy się w Mons, w powozie wiozącym nas ze stacji do szkoły.

Zatrzymaliśmy się przed dużą bramą z szarego kamienia. Za nią widać było jedynie sosny. Szary kamienny mur zdawał się ciągnąć na miłą. Na dużej białej tablicy widniały czarne litery.

LA PINIERE PENSJA DLA PANIEN

- „Sosnowy las” - przetłumaczyła Annabelinda. - Brzmi niezłe.

Z bramy wyszedł jakiś człowiek i spojrzał na nas badawczo.

- Nowe uczennice: mademoiselle Denver i mademoiselle Greenham — oznajmiła ciocia Celeste.

Człowiek zacisnął usta i machnął ręką, żeby jechać dalej.

- Nie wyglądał na zachwyconego naszym widokiem - zauważyłam.

- To pewnie jakiś mruk - stwierdziła ciocia Celeste. Jechaliśmy szeroką ścieżką, po której obu stronach

gęsto rosły sosny. W powietrzu unosił się ich intensywny zapach. Przejechaliśmy pół mili i dopiero wtedy naszym oczom ukazała się szkoła.

Z podziwu aż wstrzymałam oddech. Widok przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Budynek był wielki i imponujący. Przed frontem ciągnęły się starannie utrzymane trawniki. Na jednym z nich szumiała fontanna. Odgadłam, że dom musi mieć co najmniej pięćset lat. Usłyszałam później, że został wzniesiony w połowie XIV wieku i że przez ostatnie trzysta lat stanowił własność rodziny Rochere. Jakieś trzydzieści lat temu madame Rochere, mająca podówczas około dwudziestu lat, uświadomiła sobie, że chcąc utrzymać rodzinną posiadłość, musi zna-

leżć nowe źródło dochodów. Dobrym pomysłem wydała się jej szkoła. Przyszłość pokazała, że madame nie myliła się.

Wiedziałam coś niecoś na temat architektury. Nasz dom w Marchlands był dość stary, a ponieważ zabytkowa rezydencja Denverów również mnie interesowała, Robert — wiedząc o tej mojej pasji — znalazł dla mnie kilka książek w bibliotece. Ich lektura przydała się teraz. Od razu rozpoznałam styl gotycki, zachwyciły mnie zwieńczenia i wyrzeźbione w granicie detale.

— Cóż za piękny, stary dom! — wykrzyknęłam.

Moje towarzyszki podróży były jednak zbyt zaabsorbowane, by dotarła do nich ta uwaga. Wysiadłyśmy z powozu i kamiennymi schodami doszłyśmy do drzwi wejściowych nabijanych żelaznymi ćwiekami. Wisiała na nich potężna kołatka przytrzymywana przez głowę dziko wyglądającego wojownika.

Ciocia Celeste zastukała do drzwi i po chwili odsunęła się okiennica małego okienka.

— Madame Landson z panienkami - zapowiedziała nas ciocia Celeste.

Drzwi wolno otworzyły się. Mężczyzna stojący w progu zmierzył nas wzrokiem, skinął głową i wymówił niewyraźnie kilka słów, których nie zrozumiałam. Następnie odsunął się na bok, wpuszczając nas do środka. Kiedy weszłyśmy, ciocia Celeste powiedziała coś do niego. Znowu skinął głową i oddalił się.

Wtedy po raz pierwszy ujrzałam madame Rochere. Osobiście wysłała nas powitać i dopiero później przyszło mi do głowy, że zawdzięczałyśmy ten zaszczyt obecności księżniczki, do której madame zwracała się z pełnym powściągliwości szacunkiem. Po uprzejmym powitaniu cioci Celeste, która jako siostra Jeana Pascala także zasługiwała na względy, madame zwróciła się do nas:

— A więc to są moje przyszłe uczennice.

— Tak, oto one - odparła Celeste.

Madame Rochere milczała przez chwilę kiwając głową, jakby nas oceniała. Zauważyłam, że Annabelinda próbuje przyjąć swą zwykłą, nonszalancką pozę, ale nawet jej nie udało się tego dokonać w obecności przełożonej.

Madame zwróciła się do Celeste i do księżniczki:

— Madame la princesse, madame Landson, może zechcą panie napić się wina i odpocząć chwilę po podróży, a przez ten czas panienki udadzą się do swoich pokoi i rozpakują rzeczy.

Księżniczka skinęła uprzejmie głową, a ciocia Celeste potwierdziła, że uczynią to z prawdziwą przyjemnością i że bardzo dziękują.

Madame Rochere uniosła rękę i wtedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przy schodach pojawiła się kobieta.

— To mademoiselle Artois - madame Rochere znów zwróciła się do księżniczki i do Celeste. — Przełożona internatu. Zaprowadzi dziewczęta na górę. Niech rozpakują rzeczy, a potem mogą zejść na dół pożegnać się z paniami przed odjazdem. Jeśli, oczywiście, nie mają panie nic przeciwko temu...

— Ależ będzie nam bardzo miło — powiedziała uprzejmie ciocia Celeste.

Mademoiselle Artois wyglądała na jakieś czterdzieści pięć lat. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie osoby surowej, ale potem okazało się, że jest — zwłaszcza gdy madame Rochere nie ma w pobliżu - dość łagodnego usposobienia.

Przemówiła do nas po angielsku, co przyjęliśmy ze szczerą wdzięcznością, choć jej akcent i intonacja zdań były nieco dziwaczne i nie zawsze wszystko rozumialiśmy.

Poprowadziła nas korytarzem wzdłuż szarych kamiennych ścian, na których wisiały topory i inne narzędzia walki. Doszliśmy do szerokich schodów, którymi następnie ruszyliśmy na piętro. Tam znalazłyśmy się w długiej galerii. Koniecznie chciałam zatrzymać się na moment i przyrzeć tkaninom, które wyglądały na bardzo stare, oraz wiszącym na ścianach portretem.

Ale czekały nas kolejne schody i kolejne pokoje. Wreszcie dotarłyśmy na samą górę.

Mademoiselle Artois zwróciła się do Annabelindy:

— Powinnaś mieć własny pokój, bo masz piętnaście lat. Większość dziewcząt w twoim wieku ma osobne sypialnie. - Odwróciła się do mnie. - Ty masz dopiero trzynaście, więc będziesz dzielić pokój z trzema innymi panienkami... w twoim wieku.

Jak najbardziej mi to odpowiadało. Było coś niesamowitego w tym domu i z ulgą powitałam wiadomość, że będę mieć towarzyszkę.

Znalazłyśmy się w korytarzu z rzędem drzwi. Jedne z nich były uchylone. Wyobraziłam sobie, że ktoś spoza nich usiłuje nas zobaczyć... „Pewnie któraś z uczennic — pomyślałam - ciekawa, jak też wyglądają te nowe...”

Mademoiselle Artois znów spojrzała na Annabelindę.

— Wprawdzie masz piętnaście lat, ale wszystkie pokoje są zajęte aż do końca semestru. To pokój dwuosobowy. Twoja współlokatorka już czeka na ciebie.

Minęłyśmy kolejne pokoje, aż wreszcie zatrzymałyśmy się. Mademoiselle otworzyła drzwi. Na łóżku siedziała dziewczynka, która na nasz widok wstała. Była pulchna, miała długie ciemne włosy przewiązane z tyłu czerwoną wstążką. Zauważyłam lśniące ciemne oczy.

— Lucio - zwróciła się do niej mademoiselle Artois. - To jest Annabelinda Denver, która będzie dzielić z tobą pokój do końca semestru, chyba że coś się wcześniej zwolni. - Odwróciła się do Annabelindy. - To jest Lucia Durotti. Lucia jest Włoszką. Będziecie sobie wzajemnie pomagały w nauce języków.

Lucia i Annabelinda patrzyły na siebie z zaciekawieniem.

— Pokaż Annabelindzie, która szafa przeznaczona jest dla niej... Wyjaśnij jej wszystko - poleciła mademoiselle Artois. — Pewnie zechce się odświeżyć i rozpakować. Pomóż jej, Lucio.

— Dobrze, mademoiselle - dygnęła Lucia i uśmiechnęła się do Annabelindy.

— A teraz twoja kolej — zwróciła się mademoiselle Artois do mnie i wyszłyśmy na korytarz.

Zatrzymała się przed innymi drzwiami i otworzyła je. W tym pokoju też czekała dziewczynka.

— A, jesteś Caroline — powiedziała mademoiselle. — To dobrze. To Lucinda Greenham, która będzie tu mieszkała. Pokaż jej wszystko i pomóż się rozgościć. - Odwróciła się w moją stronę. - Będziecie mieszkać we cztery: Caroline Egerton, ty, Yvonne Castelle, która jest Francuzką, i Helga Spiegel z Austrii. Widzisz, staramy się łączyć różne narodowości. To pomaga w nauce języków. Nie zawsze się nam jednak to udaje, bo najwięcej jest dziewcząt z Anglii i Francji. Ale madame Rochere życzy sobie, żeby uczennice z różnych krajów były ze sobą przemieszane.

- Rozumiem, mademoiselle Artois - odparłam.

- Caroline wszystko ci objaśni. Jest Angielką, więc będzie ci łatwiej na początek. Zostawię was teraz. Caroline pokaże ci swoją szafę. Potem możesz zejść na dół pożegnać się z rodziną. Przyślę kogoś po ciebie za... - spojrzała na zegarek przypięty do bluzki - powiedzmy za piętnaście minut. To powinno wystarczyć.

Wyszła zostawiając nas same. Przyglądałyśmy się sobie z Caroline Egerton przez dłuższą chwilę. Miała brązowe oczy, brązowe włosy i miły uśmiech. Odniosłam wrażenie, że bez trudu się z nią zaprzyjaźnię. Pokazała mi, gdzie mogę ułożyć swoje rzeczy, i pomogła mi rozpakować się. Ciekawa była, skąd pochodzę, co robi mój ojciec i dlaczego przyjechałam z inną dziewczynką. Odpowiedziałam na wszystkie jej pytania i sama zadałam kilka. Stwierdziła, że szkoła jest „w porządku”. Ona jest tu od dwóch lat. Starsze dziewczynki mają sporo swobody. Dodała też, że dość dużą wagę przywiązuje się tu do towarzyskiej strony życia.

- Bardzo to francuskie - powiedziała. - I szalenie ceremonialne. Madame Rochere to istny tyran. Arty jest w porządku. Trochę miękka, ale w sumie niezła, można sobie z nią poradzić.

Spytałam o Yvonne Castelle i Helgę Spiegel.

- Och, one są też w porządku. Jest wesoło... gadamy po zgaszeniu światła i tak dalej. Czasami przychodzą dziewczęta z innych pokoi. To jest oczywiście zabronione. Trzeba uważać, żeby nas nie przyłapali.

- Czy ciebie złapali kiedyś?

- Raz. Wielkie rzeczy! Nie miałyśmy rekreacji przez tydzień... i musiałam napisać mnóstwo ćwiczeń. Ale warto było.

- Co robicie, kiedy przychodzą dziewczęta?

- Rozmawiamy.

- O czym?

- O szkole - odparła Caroline tajemniczo. Zaczynało mi się tu podobać. Zanim wezwano mnie

na dół, bym pożegnała się z ciocią Celeste i księżniczką, czułam się tak, jakbym znała Caroline od lat.

Wkrótce zawarłam znajomość z Yvonne Castelle i Helgą Spiegel. Dowiedziałam się, że Yvonne była w szkole od roku, a Helga nieco dłużej. Moje współtowarzyszki chętnie wprowadzały mnie w tajniki szkolnego życia. Caroline, w której naturze leżało „matkowanie” i która

ponadto została pouczona przez mademoiselle Artois, że ma „zająć się nową uczennicą”, zaopiekowała się mną z niezwykłą troskliwością, co w tych pierwszych dniach stanowiło prawdziwą pociechę. Po tygodniu czułam się, jakbym tu była od dawna, a trzy koleżanki, z którymi dzieliłam pokój, stały się mymi najbliższymi przyjaciółkami.

Caroline była naszym przywódcą. Uwielbiała rządzić i zauważyłam, że „matkowanie” rozciąga się też na dziewczęta spoza naszego pokoju. Helga ze wszystkich sił starała się być wzorową uczennicą, ponieważ jej rodzicom niełatwo przyszło wysłanie jej tu. Była od nas wszystkich dużo poważniejsza. Yvonne natomiast była najbardziej niezależna. Znała życie, jak sama mówiła.

Zupełnie nieźle radziłam sobie na lekcjach. Zostałam przydzielona do mojej grupy wiekowej, do której przystosowałam się bez problemu.

Nie widywałam zbyt często Annabelindy. W szkole zaczęto na nią mówić Anna B. Jedną ze starszych dziewcząt, Grace Hebburn, córka księcia i w związku z tym uznana przez madame Rochere za „dumę szkoły”, osiągnęła już, przygotowując o zawrót głowy, poważny wiek siedemnastu lat. Grace zdecydowała — choć może wyraziła to w sposób niezbyt elegancki — że „Annabelinda to stanowczo za długie słowo do wymówienia” i że w przyszłości powinno się na nią mówić Anna B.

Rywalką Grace o względy madame Rochere była Marie de Langeais, która — jak głosiła fama — pochodziła z rodziny królów francuskich. Marie była dość apatyczną osobką, choć z pewnością ładną. Tak mało wysiłku wkładała w rywalizację, że madame Rochere uznała w końcu, iż tytuł książęcy więcej znaczy dla szkoły niż korona królewska, zwłaszcza pozbawiona tronu od wielu lat. Grace zdobyła więc palmę pierwszeństwa i jej decyzja o zmianie imienia Annabelindy na Annę B. była w pełni respektowana.

W La Piniere wielki nacisk kładziono na towarzyskie zalety wychowanek. Starano się wyedukować nas na młode damy, które będą przyjmowane w najlepszym towarzystwie. W związku z tym wiele czasu zajmowały lekcje tańca, fortepianu oraz zajęcia, które nazywały się „conversazione”.

Odbywały się one w wielkim hallu, w którym na ścianach wisiały wyblakłe gobeliny i portrety. Tutaj siadywałyśmy pod badawczym spojrzeniem samej madame Rochere. Przełożona często niespodziewanie zwracała się do którejś z nas, oczekując natychmiast podjęcia lek-

kiej, salonowej konwersacji, przeważnie na temat tak zwanych aktualnych wydarzeń.

Każdego dnia rozmawialiśmy o tym, co dzieje się na świecie. Wiadomości przynosił monsieur Bourreau, udzielający także lekcji fortepianu. Madame Rochere mawiała, że naszym podstawowym zadaniem jest przedzierzgnięcie się w młode damy, które będą umiały prowadzić rozmowę na każdy temat, w tym także na tematy polityczne.

Anna B., jak mówiono na nią z rozkazu Grace Hebburn, uwielbiała szkołę. Jej najserdeczniejszą przyjaciółką została współlokatorka z pokoju, Lucia Durotti. Nieustannie między sobą szeptały. Anna B. przepadała za lekcjami tańca i była do nich zachęcana przez nauczycieli. Czasami nasze drogi krzyżowały się, ale dwa lata różnicy to w szkole bariera nie do przebycia.

Któregoś dnia Caroline zawiadomiła mnie, że w naszym pokoju odbędzie się nocne przyjęcie.

- Jest trochę biskwitów i duża puszka mleka skondensowanego... Mam też otwieracz do konserw i łyżkę. Przywiozłam je z domu. Czekałam z wyprawieniem uczty, aż wszystko się uspokoi i zacznie iść normalnym trybem. Ponieważ jest to moje przyjęcie, więc ja decyduję, kto przyjdzie. Każda z was może przyprowadzić jednego gościa, wtedy będzie nas osiem.

Byłam tym bardzo podniecona i natychmiast zaprosiłam Annę B. Przyjęła zaproszenie dość wyniosłe i nie od razu mogła się zdecydować, czy wizyta w pokoju młodszych dziewcząt jest, czy też nie, poniżej jej godności. Kiedy zwierzyłam się Heldze, że Anna B. uważa się za zbyt dorosłą, by przyjść na nasze przyjęcie, Helga, nie bardzo wiedząc, kogo ma zaprosić, zaproponowała Lucie Durotti. Wtedy będzie jeszcze jedna osoba „dorosła” i Anna B. poczuje się raźniej.

Kiedy otrzymały takie dwa zaproszenia, „dorosłe” panny przyjęły je skwapliwie.

Yvonne zaprosiła Therese de la Montaine, której dom rodzinny znajdował się w sąsiedztwie szkoły i która znała najdawniejsze dzieje rodziny Rochere.

- Może być niezła zabawa, jeśli opowie coś ciekawego -powiedziała Yvonne.

Gościem Caroline była Marie Christine du Bray, smutna panna, która zaledwie pół roku wcześniej straciła rodziców w katastrofie kolej-

wej. Marie Christine jechała z nimi i cudem ocalała. Długo potem chorowała i jeszcze nie doszła w pełni do siebie. Rodzina uznała, że będzie dla niej najlepiej, jeśli pójdzie do szkoły i znajdzie się wśród dziewcząt w swoim wieku. Caroline wzięła na siebie obowiązek opieki nad sierotą.

Wszystkie byłyśmy niesłuchanie podniecone ucztą. Przez cały dzień obowiązywała najściślejsza tajemnica.

- Nie chcemy nieproszonych gości - zapowiedziała Caroline. - Zaraz zrobiłby się hałas i wszystko mogłoby się wydać. A same wiecie, co to znaczy. Koza! Przepisywanie linijek! Płacz i zgrzytanie zębów. „Czasami doprowadzacie mnie do rozpacz, panienki!” — Caroline miała talent imitatorski i świetnie naśladowała mademoiselle Artois.

Oczywiście najbardziej podniecający był fakt, że robimy coś zakazanego. W końcu nie ma nic takiego nadzwyczajnego w biskwitach i mdłym skondensowanym mleku, do tego jedzonym wspólną łyżką prosto z puszki. Najważniejszym elementem całego przedsięwzięcia była atmosfera nielegalnej uczyty odbywającej się o północy...

Wreszcie chwila ta nadeszła. Osiem dziewcząt zebrało się w naszym pokoju. Siedziałyśmy naprzeciwko siebie na dwóch łózkach, po cztery na każdym. Puskę z mlekiem otworzyłyśmy z pewnym trudem. Po chwili rozległy się piski podniecenia, kiedy trochę mleka rozlało się na pościel, a my energicznie przystąpiłyśmy do czyszczenia jej. Tymczasem biskwity zostały rozdane i skonsumowane.

- Uważajcie na okruszki — ostrzegła Caroline. — Arty ma sokoli wzrok.

Rozmowa toczyła się po francusku i po angielsku. Oba języki przeplatały się często, co znacznie ułatwiało komunikację. Padaly zdania w rodzaju: „Parkz doucement, Est-ce que vous chcecie, żeby Arty usłyszała?”. Towarzyszyły temu wybuchy śmiechu, tym weselszego, że musiał być tłumiony. Naprawdę bawiłyśmy się świetnie.

Potem Yvonne przypomniała sobie, dlaczego została zaproszona Therese de la Montaine, i postarała się o to, by jej gość zabłysnął w towarzystwie. W pewnej chwili rozmowa urwała się, chichoty ucichły i wtedy Yvonne wkroczyła do akcji:

- Therese, powiedz nam o madame Rochere i o tym domu.

- To bardzo stary dom - wtrąciła Caroline. - Muszą być z nim związane jakieś historie. Takie domy zawsze mają swoje legendy. Czy tu straszysz?

- Słyszałam tylko o jednym duchu - odparła zapytana. - Podobno nocą spaceruje po korytarzach pewna dama.

Rozejrzałyśmy się po pokoju wyczekująco.

- Nie w pokojach - skrzywiła się Therese. - Choć zdaje mi się, że niejeden przodek madame Rochere musi przewracać się w grobie z powodu zmian, jakie tu zaszły. Duchy nie lubią, kiedy przemeblowuje się pokoje, bo to im przeszkadza.

- To musi być mało zabawne, kiedy zmienia ci nie do poznania miejsce, w którym straszysz! - zachichotała Helga.

- I ściągną tłumy dziewcząt! - dodała Yvonne.

- Które urządzają uczyty o północy - dorzuciła Anna B.

- Ciekawe, dlaczego duchy nie straszą nas- zastanowiła się Lucia.

- Bo jesteśmy Bogu ducha winne — stwierdziła żartobliwie Caroline. — To nie my wprowadziłyśmy zmiany. My tylko, jeśli można tak powiedzieć, padłyśmy ofiarą splotu okoliczności. To raczej madame Rochere powinna uważać na duchy.

- Już ona wystraszyłaby niejednego ducha - zaręczyła Lucia.

- Kiedy madame Rochere wprowadziła te wszystkie zmiany? - Yvonne usiłowała zachęcić swego gościa do dalszych opowieści.

- Myślę, że jakieś trzydzieści lat temu. Utrzymanie starych domów wymaga ogromnych nakładów. Rodzina pani Rochere utraciła majątki podczas rewolucji... Przyjechali tutaj... osiedli tuż przy granicy. Mieszkali tu jak przedtem w swoim francuskim chateau... Nadszedł czas, kiedy madame Rochere nie była w stanie utrzymać tak dużego domu. Monsieur Rochere umarł dość młodo, a ona sama nie mogła sobie poradzić, więc założyła szkołę.

- Tyle to my wiemy - skwitowała Anna B. - A co z duchem?

- Och... to było dużo wcześniej... jakieś dwieście lat temu.

- Czas nie ma znaczenia, jeśli chodzi o duchy -stwierdziła Anna B. - Potrafią nawiedzać to samo miejsce przez setki lat.

- To była dama...

- Przeważnie są to damy - przerwała Anna B. -Znacznie skuteczniej straszą niż panowie.

- Ponieważ przytrafiają się im znacznie gorsze rzeczy — zawyro-
kowała Caroline. - Mają powód, żeby wrócić i odpłacić...

- No dobrze, a co z tym duchem? - dopytywała się Yvonne.

- A więc - podjęła Therese - jak powiedziałam, jest to dama. Była
młoda i piękna.

- Jak one wszystkie - mruknęła Anna B.

- Chcesz posłuchać o duchu czy nie? — spytała Lucia.

- Mów dalej - pozwoliła łaskawie Anna B.

- A więc była młoda i piękna. Poślubiła dziedzica La Piniere. Po ja-
kimś czasie jej mąż zaraził się ospą i jego życie znalazło się w niebez-
pieczeństwie.

- Zostają potem wszędzie ślady - wtrąciła Lucia. -I to do końca ży-
cia.

- No właśnie - ciągnęła Therese. - Powinna była zostawić go
samego. To bardzo zaraźliwa choroba. Wszyscy ostrzegali ją, ale
ona nie słuchała nikogo i sama go pielęgnowała. Nikomu inne-
mu nie pozwalała się wyręczać. Siedziała przy nim dzień i noc.
Wszystko robiła sama. Mówiono jej, że ryzykuje życie. Wiecie, że na
ospę się umiera...

- Wiemy - rzuciła kwaśno Anna B. - Co się z nią stało? Umarła?

- Nie. Natomiast mąż wyzdrowiał, głównie dzięki jej troskliwej
opiece. Czuł się coraz lepiej, a w dodatku choroba nie zostawi-
ła na jego ciele żadnych śladów. Był jeszcze bardziej przystojny niż
przedtem. Ale jak tylko zaczął wracać do zdrowia, ona zachorowała.

- Zaraziła się od niego! - wykrzyknęła Lucia.

- Pewnie, że od niego - powiedziała Anna B. - A od kogóż by inne-
go?

- Mów dalej - zawołała Yvonne.

- No więc jej wielka uroda zniknęła bezpowrotnie. Twarz młodej
kobiety zeszcpeciły brzydkie blizny.

- Czy on pielęgnował ją, dopóki nie wróciła do zdrowia? —
wtrąciła Lucia.

- Oczywiście, że nie. W końcu wydobrzała, ale twarz miała zmie-
nioną nie do poznania. Zaczęła nosić welon, a on... no cóż... nie
kochał jej, ponieważ nie była już piękna... A przecież straciła urodę
pielęgnując go.

- Cóż za smutna historia - szepnęła Helga.

- To jeszcze nie koniec. Zaniedbywał ją. Miał... kochankę. Z piersi wszystkich panien dobyło się przeciągłe westchnienie. Dziewczęta wyprostowały się. Historia zyskała całkiem nowy wymiar wraz z pojawieniem się kochanki.

- Widzicie, ona straciła urodę pielęgnując go, a on tak się jej odplacił. I wiecie, co zrobiła?

- Zabiła kochankę? A może jego? - podsunęła Anna B.

- Nie, nie. Weszła na szczyt wieży i skoczyła w dół... Odebrała sobie życie!

Zapadła dramatyczna cisza.

- A teraz - podjęła Therese - chodzi po zamku. To ona jest tym duchem. Nie może spocząć. Od czasu do czasu przemierza hali i wchodzi na górę po schodach... wiecie, po tych, które prowadzą na wieżę. Mówi się, że czasem słychać jej kroki na kamieniach...

- Nigdy nic nie słyszałam - stwierdziła Helga.

- Trzeba dużej wrażliwości, żeby je usłyszeć - wyjaśniła Therese.

- Ja jestem wrażliwa - powiedziała Caroline.

- Ja też! - zawołałyśmy chórem.

- No to może usłyszycie kiedyś kroki.

- Czy ktoś ją widział?

- Jedna z dziewcząt twierdzi, że widziała. Zjawa miała długie, falujące włosy i welon na twarzy.

- Chciałabym ją spotkać — powiedziała Anna B.

- Może spotkasz... - odparła Yvonne.

- Co się mówi do ducha? - spytała Lucia.

- Nic się nie mówi - odparła ze zniecierpliwieniem Therese. — Jest się zbyt przestraszonym.

- Ciekawe, czy któreś z nas uda się ją zobaczyć? — zamyśliłam się.

- Kto wie? — szepnęła Therese.

Dalej rozmawiałyśmy o duchach. Żadna z nas oczywiście żadnego nie widziała, ale słyszałyśmy o nich bardzo dużo.

Dziewczęta rozeszły się, kiedy zegar na wieży wybił drugą. Upewniwszy się, czy nie pozostały żadne zdradliwe okruszki, które mogłyby przyciągnąć sokoli wzrok made-moiselle Artois, wszystkie poszłyśmy spać.

Po tamtym wieczorze dużo mówiło się o duchach oraz o owej damie, która została oszpecona przez ospę i rzuciła się z zamkowej wieży. Re-

lacje z nocnej uczty i rewelacje Therese były przekazywane na ucho od pokoju do pokoju.

My cztery rozmawiałyśmy o tym ciągle po zgaszeniu świateł. Anna B. też była pod wrażeniem tej historii. Jej zdaniem była ona dowodem na to, jak trzeba się mieć na baczności mając do czynienia z mężczyznami, i że to dobra nauczka. Jeżeli zarażą się ospą, nie należy ich pielęgnować.

Niektóre dziewczęta twierdziły, że słyszały w nocy kroki... dobiegające z hallu i zmierzające w stronę wieży.

Od tamtej pory nieco częściej widywałam Annę B. Uczta nas zbliżyła. Osoby, które potrafią dostarczyć takich wrażeń, nie zasługują na wzgardę, nawet jeśli mają zaledwie trzynaście lat.

Czasem spotykałam ją w korytarzu. Przystawała na chwilę, by ze mną porozmawiać. Pytałam ją, jak sobie radzi, a ona odpowiadała, że jej się tu podoba. Uwielbiała taniec i bardzo się zaprzyjaźniła z Lucią. Nigdy nie interesowała się, jak ja sobie daję radę. Ale to było dla niej typowe.

Pewnego dnia spotkała mnie niespodzianka.

Dochodziło wpół do piątej. Skończyłyśmy lekcje i był to czas rekreacji, kiedy mogłyśmy wrócić do naszych pokoi i czytać albo rozmawiać.

Postanowiłam przejść się po pięknym, starannie utrzymanym ogrodzie. Wolno nam było to robić pod warunkiem, że nie będziemy oddalać się poza teren posiadłości.

Kiedy wyszłam na dwór, zauważyłam Annę B. Szybkim krokiem zmierzała w stronę zarośli. Ruszyłam jej śladem.

Dzieliła nas spora odległość. Bałam się, że kiedy dojdzie do krzaków, stracę ją z oczu, więc zawołałam ją.

Odwróciła się.

- Ach, to ty - burknęła i ruszyła dalej. Dogoniłam ją.
- Dokąd idziesz? - spytałam.
- Och... tak sobie.
- Anno B.! Nie chodzi się tak sobie!
- Po prostu na spacer.

Wtedy go zobaczyłam. W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć własnym oczom, takie to było niespodziewane. Otóż w zaroślach stał Carl Zimmerman. Myślami wróciłam do tamtego dnia, kiedy ujrzałam

go po raz pierwszy przed naszym schowankiem i kiedy potem rozmawiał z nami, dopóki Robert nie odprowadził go z powrotem do jadalni.

Teraz Carl Zimmerman spoglądał to na mnie, to na Annę B.

- Dlaczego... — zaczął.

- Przecież ty byłeś u nas w domu... pamiętasz?! -wykrzyknęłam.

Skinął głową.

- Skąd się tu wzięłeś... w naszej szkole?

Anna B. sprawiała wrażenie rozczłuszczonej nie na żarty.

- Wiedziałam, że Carl jest tutaj - syknęła. - Już go raz spotkałam i wyjaśnił mi to.

- Wyjaśnił...?

Nie mogłam się powstrzymać i dłuższą chwilę gapiłam się na niego zdumiona zmianą, jaka zaszła w jego wyglądzie. Ostatnio widziałam go w nienagannym wieczorowym stroju. Teraz miał na sobie luźną kurtkę z wyraźnie widocznymi śladami ziemi. Również jego spodnie były pobrudzone ziemią. W ręku trzymał grabie.

- Carl pracuje... w ogrodzie - wyjaśniła Anna B. Uśmiechnął się do mnie.

- Właśnie - potwierdził

- On nie chce, żeby to się wydało — ciągnęła Anna B.

- Co to znaczy?

- To... taki żart - wyjaśnił Carl. - Chodzi o zakład. Przyjaciel stwierdził, że nie dam rady pracować fizycznie przez trzy miesiące. Miał na myśli stałą pracę.

- A co z ambasadą? Czy nie pracujesz w ambasadzie?

- Tak... oczywiście. Ale teraz muszę być tu, bo założyłam się, że sobie poradzę. Mam przepracować dwa miesiące. Mój przyjaciel nie wierzy, że wytrzymam tak długo. Postanowiłam pokazać mu, że jednak wytrzymam.

- Zakład — zamyśliłam się. — Słyszałam, że ludzie robią takie rzeczy.

- Tak... Wygram... Muszę wygrać.

- Czy madame Rochere wie, że jesteś tu... z powodu zakładu?

- Och nie! Skądże! Wyrzuciłaby mnie. Myśli, że jestem zwykłym pomocnikiem ogrodnika.

Świetny kawał - powiedziała Anna B. - Jesteś bardzo odważny, Carl.

- Och, to wcale nie wymaga jakiejś specjalnej odwagi... raczej ciężkiej pracy. — Spojrzał z wyraźnym żalem na swoje ręce. - Nie jestem, prawdę mówiąc, przyzwyczajony.

— Świetnie sobie radzisz — pochwaliła go Anna B. - Jestem pewna, że doskonały z ciebie ogrodnik. Wyobrażam sobie twój tryumf, jak wygrasz zakład! Będziesz mógł być naprawdę z siebie dumny, Carl.

O ile się założyłeś?

— O dwadzieścia tysięcy franków.

Anna B. zacisnęła usta. Wysokość sumy zrobiła na niej wrażenie.

- Tu nie chodzi o pieniądze - dodał Carl.

— Rozumiem, honor Szwajcarii — stwierdziła Anna B. żartobliwie.

— Coś w tym sensie.

— Gdzie mieszkasz? - spytała. Machnął ręką.

- W takich małych domkach... Jakoś wytrzymam... ze względu na zakład. Wszyscy ogrodnicy tam mieszkają... I służba.

— Rozumiem.

- Właściwie nie powinienem rozmawiać z panienkami z pensji.

- Nie widać nas wśród tych drzew - uspokoiła go Anna B. - To znaczy, mam taką nadzieję - dodała.

Wyszliśmy z zarośli. Carl pokazał nam widoczne w dali domki.

! Tam mieszkam — wyjaśnił. — A teraz muszę was pożegnać.

Mówiąc te słowa skłonił się i odszedł.

Anna B. sprawiała wrażenie nieco rozgniewanej i nie mogłam oprzeć się myśli, że to na mnie tak się złości. Już miałam coś na ten temat napomknąć, kiedy odezwała się pierwsza:

— Na twoim miejscu nie mówiłabym nikomu o spotkaniu z Carlem.

— Czemu?

— To sekret, rozumiesz? Nie wiem, jak zareagowałyby na to Rochere. Stara snobka. Nie chciałyby pewnie, żeby to u niej ludzie rozstrzygali swoje zakłady. Myśli, że zatrudniła wykwalifikowanego ogrodnika.

— Ale on będzie tu krótko!

— Ona nie wie o tym. Więc nie wygadaj się.

— Nic mi nie mówiłaś, że go spotkałaś.

— Tylko raz go widziałam. Teraz natknęłyśmy się na niego... przypadkiem.

— Gdyby nie przypadek, nie miałybyśmy pojęcia, że tu jest.

— Pewnie nie.

— Czy myślisz, że jest niezadowolony z tego, że odkryłyśmy jego obecność?

— Możliwe. Niewątpliwie nie chciałby, żeby cały świat dowiedział się o zakładzie.

— Tobie jednak powiedział.

- Nie mów o tym Caroline ani żadnej z dziewcząt. Rozniesie się po całej szkole.

- Nic nie powiem.

- Czy masz teraz coś do roboty?

- Chciałam się przejść i zaraz wracam. O szóstej mamy conversazione. Nawet nie wiem, o czym będziemy dziś rozmawiać.

- Zostań chwilę ze mną. Wrócimy razem. Pospacerowałyśmy trochę, a potem poszłyśmy do szkoły.

Upłynęło parę dni od spotkania z Carlem. Przywykłam do myśli o jego obecności. Przestał mnie nawet dziwić ten niezwykle zbieg okoliczności, że wybrał właśnie naszą szkołę na rozstrzygnięcie zakładu.

Raz zagadnęłam o niego Annę B.:

- Zdaje się, że Carl lubi wyrastać jak spod ziemi. Uśmiechnęła się jakby do siebie.

- Najpierw zjawił się w naszym domu - ciągnęłam. -Pod drzwiami schowanka... A teraz tu. Niesamowite.

- Jest dyplomata, to jasne, że bywa w różnych miejscach.

- Teraz oderwie się trochę od pracy w dyplomacji. Dziwne jest to życie. Z dyplomaty stać się ogrodnikiem!

- Nie ma w tym nic dziwnego. Przecież wyjaśnił to. Na pewno bawi go ta sytuacja.

Uśmiechnęła się. Bardzo się ostatnio zmieniła. Wyglądała jakoś inaczej. Myślałam, że to szkoła tak na nią wpłynęła. Wiecznie szeptały coś razem z Lucią, a do pozostałych dziewcząt odnosiły się z wyższością, jakby wiedziały o czymś, o czym reszta nie miała pojęcia.

Pewnej nocy zostałam gwałtownie obudzona. Ktoś wołał mnie po imieniu:

- Lucindo! Lucindo!

Głos był natarczywy i wyrwał mnie z przyjemnego, głębokiego snu. Otworzyłam oczy. Przy łóżku stała Caroline. Miała na sobie szlafrok.

- Obudź się. Usłyszałam coś dziwnego. Posłuchaj. Usiadłam na łóżku, usiłując otrząsnąć się ze snu.

- Co takiego...? — wymamrotałam.

- Kroki - szepnęła Caroline. - Słyszałam kroki. Z korytarza, a potem z hallu.

- Czyżby duch? - zdumiałam się.

- Wstawaj! Idziemy sprawdzić.

- Późno już...

- Ciii... Słuchaj.

Wtedy usłyszałam je. Ponad wszelką wątpliwość to b y ł odgłos kroków. Ktoś schodził do hallu. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Teraz byłam równie podekscytowana jak Caroline.

Następna obudziła się Yvonne.

- Co się dzieje? - spytała.

- Duch! Obie go słyszałyśmy.

- Gdzie?

Caroline skinęła głową w stronę drzwi.

- Najpierw w korytarzu, a teraz na schodach. Słuchaj! Zastygłyśmy w bezruchu.

Teraz obudziła się Helga. Wyjaśniłyśmy jej szybko, co się stało.

- Idziemy! — zarządziła Caroline.

Helga zerwała się z łóżka i narzuciła na siebie szlafrok. Caroline ci-chutko otworzyła drzwi i wymknęłyśmy się na korytarz.

Zeszłyśmy do hallu. Nagle zaparło nam dech w piersiach. Przed nami, przy oknie stała... zjawą.

Widziałyśmy wyraźnie szczupłą postać młodej kobiety z rozpuszczonymi włosami. Była odwrócona do nas tyłem, więc nie widziałyśmy, czy nosi welon na pokrytej bliznami twarzy, ale gotowe byłyśmy przysiąc na wszystko, że go ma.

A potem nagle przyszło mi do głowy, że owa postać nie jest ubrana w szaty z tamtego stulecia, tylko w szlafrok podobny do tych, jakie miałyśmy na sobie. Kiedy stałyśmy bez ruchu, zjawą powoli odwróciła się i wtedy zamiast oszpeconej ospą piękności naszym oczom ukazała się... Marie Christine du Bray.

- Marie Christine! — szepnęła Caroline.

Położyła rękę na moim ramieniu. Marie Christine ruszyła wolno w naszą stronę, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, jakby macała przed sobą drogę. Sprawiała wrażenie, jakby nas w ogóle nie widziała.

- Ona chodzi we śnie! — wyszeptła Caroline.
- Co robimy? - spytała nerwowo Yvonne.
- Trzeba iść po mademoiselle Artois - zdecydowała Caroline.
- Co?! - zawołała Helga.
- Ciii. Nie możemy obudzić Marie Christine. Nie wiemy, co robić.

Trzeba jakoś zaprowadzić ją z powrotem do łóżka.

Caroline dzielnie wzięła to trudne zadanie na siebie. Pobiegnęła na górę do apartamentu, w którym spała mademoiselle Artois. Znajdował się on na końcu korytarza i składał się z sypialni i gabinetu.

Tymczasem Marie Christine doszła do końca galerii i usiadła w fotelu. Caroline przed pójściem na górę poleciła nam, byśmy się cicho zachowywały i uważały na Marie Christine.

Mademoiselle zjawiała się bardzo szybko. Wyglądała zupełnie inaczej niż za dnia. Dwa cieniutkie warkoczki zwisały jej aż na plecy, a na twarzy miała wyraz lekkiej konsternacji.

Tymczasem w hallu pojawiło się jeszcze kilka dziewcząt, a wśród nich Anna B. i Lucia.

Mademoiselle Artois natychmiast przejęła dowodzenie.

- Wracajcie do sypialni, panienki. Marie Christine chodzi we śnie. Bądźcie bardzo cicho. Nie wolno jej obudzić.

Minął już pierwszy szok, jakim był widok mademoiselle w negliżu, i teraz jej autorytatywny głos odzyskał nad nami zwykłą władzę. Mademoiselle zbliżyła się do Marie Christine i delikatnie ujęła ją pod ramię.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała łagodnym głosem. - Wrócimy do pokoju. Tam ci będzie wygodnie.

Marie Christine wstała i pozwoliła się poprowadzić. Przejęte dziewczęta patrzyły w ciszy, jak Marie Christine wolno wchodzi po schodach. Mademoiselle była zbyt zajęta lunaticzką, żeby zauważyć, że wszystkie wciąż tu jesteśmy.

Zaczęłyśmy szeptać między sobą.

- Myślałam, że to duch.
- Ja też.
- Nie uważacie, że Marie Christine wyglądała dziwnie?
- A mademoiselle? Rozległy się chichoty.

- Myślisz, że Marie Christine szukała ducha?

- Te wszystkie opowieści mogły jej paść na głowę. Nagle wyrosła przed nami mademoiselle.

- Proszę natychmiast do pokoi. Wszystko jest w porządku. Marie Christine chodziła we śnie. Nie ma w tym nic niezwykłego. To się zdarza. A teraz do łóżek, panienki. Szybciutko.

Następnego ranka wszyscy mówili o wydarzeniach ubiegłej nocy. Wezwano doktora Croziera, który zbadał Marie Christine. Powiedziano nam, że tego dnia będzie odpoczywała.

Kiedy zebrałyśmy się na conversazione, madame Rochere zwróciła się do nas następującymi słowami:

- Jak wicie, panienki, ubiegłej nocy miały miejsce pewne wydarzenia. Pragnę, byście podeszły do nich z pełną powagą. Marie Christine przeżyła niedawno ogromną tragedię. Doktor Crozier zbadał ją. Z ulgą mogę wam powiedzieć, że nie stwierdził niczego groźnego, poza tym, że wasza koleżanka ma nieco rozstrojone nerwy, czemu trudno się dziwić w jej sytuacji. Stąd biorą się nocne niepokoje i spacerów we śnie. Miejmy nadzieję, że to się więcej nie powtórzy. Jeśli jednak znów coś takiego się stanie, nie reagujcie. Nie mówcie do niej, nie zakłócajcie jej spokoju. Doktor Crozier twierdzi, że najlepiej wtedy nie ingerować. Wróć do łóżka, kiedy sama zechce. Potem i tak nie będzie nic pamiętać. Proszę, żebyście właśnie tak do tego podeszły. Marie Christine odpoczywa teraz i zostanie w swoim pokoju przez cały dzień. Nie życzę sobie spotkań, rozmów i szeptów po nocy, jak to było ostatnim razem. Bądźcie miłe dla Marie Christine. Pamiętajcie, że wiele przeszła ostatnio i dopiero teraz zaczyna wracać do siebie. I powtarzam: od tej chwili żadnych nocnych spacerów. Wszystkim zajmij się mademoiselle Artois. Dziękuję.

Madame Rochere przemawiała po francusku, a potem jej słowa zostały powtórzone po angielsku, włosku i niemiecku, żeby wszystkie dziewczęta dobrze zrozumiały, czego się po nich przełożona spodziewa.

Przemowa zrobiła na nas duże wrażenie i uznałyśmy, że sprawa jest poważna, choć nie było nic takiego nadzwyczajnego w chodzeniu we śnie. Wielu ludzi tak robiło. Duch byłby o wiele bardziej intrygujący. A ponieważ zabrakło ducha, z ubiegłej nocy najbardziej utkwiły nam w pamięci warkoczyki mademoiselle Artois.

Dni stawały się coraz krótsze, noce coraz ciemniejsze. Zbliżało się Boże Narodzenie, co wywoływało zrozumiałe poruszenie wśród dziewcząt, jako że większość z nas wyjeżdżała do domu na święta. Ciocia Celeste napisała, że przyjedzie do szkoły i zabierze nas do domu księżniczki, gdzie przenocujemy przed podróżą przez kanał. Dziewczęta bez końca rozmawiały o wyjeździe.

Jak wspomniałam, był listopad, obfitujący w ciemne dni, idealne dla duchów. Unoszące się w powietrzu mgły i cienie w pokojach ciągle przywodziły na myśl nadprzyrodzone zjawy.

Marie Christine miała się już znacznie lepiej. Od czasu do czasu nawet się śmiała. Jechała na święta do swojej ciotki, gdzie miała kilkoro miłych kuzynów.

Nagle po pensji zaczęły krążyć pogłoski o duchach.

Jedna ze starszych dziewcząt twierdziła, że widziała zjawę i że nie była to Marie Christine. Dziewczyna owa usłyszała kroki na korytarzu, otworzyła drzwi swego pokoju i wyrzała. Pomyślała, że powinna zawiadomić mademoiselle Artois, że Marie Christine znów chodzi we śnie, ale ponieważ nie była to ona, nie zrobiła tego. Ujrzała kobiecą postać z rozpuszczonymi włosami i twarzą okrytą welonem. Widziała ją bardzo wyraźnie. Księżyc świecił jasno i nie mogło być mowy o pomylce.

W szkole wszyscy o tym mówili. Janet Carew, dziewczyna, która widziała ducha, miała siedemnaście lat i dlatego liczone się z jej słowami. Była w szkole od trzech lat i cieszyła się opinią trzeźwo myślącej osoby, nie dającej się ponieść fantazji. Była solidna, innymi słowy - zdaniem wielu dziewcząt - nieco nudna. Ona właśnie upierała się, że zobaczyła zjawę.

- Co robiła? - pytano ją.
- Po prostu... szła.
- Dokąd?
- Do jednej z sypialni.
- Do której?
- Nie widziałam dokładnie. Wydaje mi się, że przeniknęła przez ścianę.

Po jakimś czasie inne dziewczęta też zaczęły opowiadać, że widziały ducha. W szkole zapanował niepokój. Nagle wszystkie zrobiłyśmy się

ostrożne i starałyśmy się nie zostawać same w dużych salach po zapadnięciu ciemności.

Pewnej nocy długo nie mogłam usnąć. Aż się sama dziwiłam, gdyż dzień był bardzo wyczerpujący. Po południu odbyłyśmy długą przechadzkę. Panna Carruthers, która uczyła nas angielskiego i gimnastyki, oznajmiła, że w związku z nadchodzącą zimą musimy jak najlepiej wykorzystać ostatnie dni pogody „pory mgieł i dojrzałych owoców”, jak się wyraziła. Ćwiczenia fizyczne były dla niej równie ważne jak literatura. Powiedzenie „w zdrowym ciele zdrowy duch” stanowiło jedną z jej ulubionych maksym.

Biegłyśmy więc przez pola i dotarłyśmy niemal na skraj Mons. Było to niewątpliwie doskonałe ćwiczenie, ale potem wszystkie byłyśmy dość wyczerpane podczas conver-sazione i kiedy tylko znalazłyśmy się w łóżkach, większość z nas od razu zasnęła kamiennym snem.

Zapadałam w niespokojną drzemkę, z której co chwila się budziłam. Inne dziewczęta spały głęboko. Widziałam je wyraźnie, gdyż księżyc świecił jasno.

Leżałam przez jakiś czas z zamkniętymi oczami, ale sen nie nadchodził. Nagle wydało mi się, że słyszę jakiś dźwięk dobiegający z zewnątrz.

Wstałam z łóżka i podeszłam do okna. Nasze pokoje wychodziły na położony na tyłach domu ogród warzywny i sad. Nagle znieruchomiałam. Ktoś był w sadzie. Widziałam wyraźnie postać kobiecą zmierzającą w stronę kuchennych drzwi.

Była to Anna B. Poznałabym ją wszędzie. Czarne włosy miała rozpuszczone. Patrzyłam na nią zafascynowana tym niezwykłym widokiem. Zbliżyła się do domu, otworzyła okno i weszła przez nie do środka.

Skąd wracała? Co tam robiła? Dziwne, ale mimo że odnosiła się do mnie z wyższością, jakiś wewnętrzny głos nakazywał mi opiekować się nią. Miałam niejasne przeczucie, że ona może wpaść w tarapaty.

Spojrzałam na moje współlokatorki. Spały głęboko.

Anna B. z pewnością pójdzie prosto do swojego pokoju. Zaskoczę ją. Powiem, jak niebezpieczną rzecz robi. Może się to skończyć relegowaniem jej ze szkoły.

Wymknęłam się z pokoju, zamykając za sobą cichutko drzwi. Szybko przebiegłam korytarz i przyczałam się w cieniu.

Przyszła. Nie wyglądała na kogoś, kto przed chwilą wszedł przez okno. Na twarzy miała welon.

Oczywiście! Duch!

Cicho weszła na górę. Wyraźnie widziałam ją w świetle księżycy padającym z okna. Ja nie nabrałabym się na żadnego ducha. Poznałabym ją wszędzie.

Otworzyła drzwi swego pokoju. Szybko weszłam za nią. Lucia uniosła się na łóżku.

- Spóźniłaś się - stwierdziła.

Wtem obie z Anną B. zauważyły moją obecność.

- Co ty tu robisz? — zapytała surowo Anna B.

- A ty gdzie byłaś? - rzuciłam zuchwale. Wpatrywała się we mnie z wyraźną wściekłością.

- Powinnaś bardziej uważać — powiedziałam. — Usłyszałam szmery dobiegające z dworu. Wyjrzałam i zobaczyłam, jak wchodzisz przez okno. Zaczekałam na ciebie.

- Szpiegowałaś mnie!

- Cicho! - syknęła Lucia. — Chyba że chcecie obudzić całą szkołę.

- Będziesz mieć kłopoty, mała Lucindo - rzuciła zimno Anna B. — Nocne spacerowanie są zabronione!

Ty będziesz miała większe za wychodzenie na dwór i wchodzenie przez okno.

- Posłuchaj - wtrąciła Lucia. - Wróć na razie do pokoju. Porozmawiamy rano.

Dostrzegłam pewien sens w tej propozycji. Skinęłam głową.

- Zgoda. Spotkamy się rano.

Anna B. usiadła na swoim łóżku i spojrzała na mnie ponuro. W rękę trzymała welon. Lucia zaczęła chichotać.

Przemknęłam się z powrotem do swego pokoju. Dziewczęta leżały pogrążone w głębokim śnie, nieświadome tego, że wychodziłam.

Położyłam się do łóżka, drząc na całym ciele. Co ona tam robiła? I to w dodatku nie pierwszy raz. Domyśliłam się bowiem, że to Anna B. była „duchem”, którego widziała Janet Carew.

Dokąd chodziła? Jedno było pewne. Lucia była dopuszczona do sekretu.

Musiałam zaczekać do następnego popołudnia, nim nadarzyła się sposobność rozmowy z Anną B. Miałyśmy różny plan lekcji i nie było zbyt wielu okazji do spotkań. Kiedy wreszcie ujrzałam ją, sama zaczęła:

- Chodźmy do ogrodu. Poszłam za nią.

- Dlaczego mnie szpiegowałeś? — rzuciła oskarżycielsko. Wyraźnie czuła się zagrożona. Świadczył o tym jej zaczepny ton.

- Wcale nie szpiegowałam! — odparłam gniewnie. - Usłyszałam cię i wyrzekałam przez okno. Każdy by tak zrobił na moim miejscu. Nie tylko ja mogłam cię zobaczyć... na przykład również mademoiselle Artois.

- Ta stara wariatka!

To ty jesteś wariatka. Powiedz mi, gdzie byłeś w nocy? Dlaczego wyszłaś? To nie pierwszy raz, prawda?

- A co to? Przesłuchanie?

- Nie. Po prostu jesteś mi winna wyjaśnienie.

- Nic ci nie jestem winna.

- Mogłabym pójść i opowiedzieć mademoiselle Artois, co widziałam ostatniej nocy... jak ktoś zakradał się do domu udając ducha. To ciebie widziała Janet Carew.

Anna B. zaczęła się śmiać.

- Więc domyśliłaś się! To był doskonały pomysł. Przyszedł mi do głowy, kiedy zobaczyłam Marie Christine, jak chodzi we śnie. Dostałam do wniosku, że jeśli nawet dziewczęta coś usłyszą, pomyślą, że to znów ona, i dadzą mi spokój. Welon był na wypadek, gdyby ktoś mnie zobaczył. Nie rozpoznałby mnie wówczas.

- Ja cię rozpoznałam.

- Och, ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką, prawda Lucindo?

- Annabelindo — zwróciłam się do niej prawdziwym imieniem. - O co tu chodzi?

- O, dużo lepiej — odparła. - Nienawidzę „Anny B”. Nigdy nie nazywaj mnie tak, kiedy jesteśmy same.

- Zmieniasz temat. Co robiłaś w nocy?

- Miałam ochotę na mały spacer.

- Dokąd?

- Tak po prostu. Przed siebie. A może ja lubię udawać ducha?

- To ryzykowne. Czy chcesz, żeby cię usunięto?

- Nikt mnie nie usunie.

- A jednak...
- Oczywiście, że nie. Dziadzio Bourdon jest wielkim przyjacielem madame Rochere. Coś by wymyślili. Wstawiłby się za mną.
- Dużo ryzykujesz.
- Czyżbyś nie wiedziała, że lubię ryzyko?
- Powiedz mi, co się za tym kryje. Nie wierzę, że wyszłaś, bo zachciało ci się nocnych przechadzek.
- Robisz się stanowczo za sprytna, mała Lucindo.
- To znaczy, że nie masz zamiaru mi powiedzieć. A Lucia wie.
- Lucia może wiedzieć.
- Czy dlatego, że jest dorosła jak ty?
- No... coś w tym rodzaju.
- Dokąd poszłaś, Annabelindo?
- Powiem ci, jak skończysz osiemnaście lat.
- Nie mów głupstw!
- Wtedy zrozumiesz. I być może sama będziesz robić takie rzeczy.

Miała rozbiegane oczy. Czułam, że kryje się za tym wszystkim jakaś tajemnica, ale wiedziałam, że ona i tak mi nic nie powie.

- Muszę iść - powiedziała nagle. - Nie wypada spóźniać się na conversazione. Dziś będziemy grzeczne. Chodź.

Później, kiedy zobaczyłam ją chichoczącą z Lucią, jakby dzieliły się jakimś sekretem, do którego ja nie byłam dopuszczona, poczułam się głęboko zraniona.

Nieostrożność

Zbliżały się święta i czas wyjazdu do domu. Pensja żyła gorączkowymi przygotowaniem.

W towarzystwie panny Carruthers i nauczycielki francuskiego, mademoiselle du Pont, wybrałyśmy się do Mons po prezenty dla naszych najbliższych.

Jazda pociągiem trwała krótko. Panna Carruthers była zadowolona z tego, że zobaczymy kilka, jak to określiła, „interesujących miejsc”, zanim pochłonie nas błaha i niezbyt twórcze zajęcie, jakim jest wybieranie prezentów.

Przez całą drogę słuchałyśmy wykładu.

- Trzeba wam wiedzieć, moje panienki, że miasto Mons usytuowane jest między rzekami Trouille i Haine przy połączeniu dwóch kanałów. Jeden z nich zbudowany został przez Napoleona. Kiedyś w tym miejscu znajdował się obóz rzymski. Teraz jest to stolica prowincji Hainault.

Nie byłyśmy w stanie skupić się na jej słowach, gdyż całą naszą uwagę pochłaniały listy prezentów. Anna B. sprawiała wrażenie nieco zatroskanej. Siedziała obok Lucii i co chwila szeptała jej coś do ucha. Wydawała się wręcz znudzona objaśnieniami panny Carruthers.

Po przybyciu do miasta panna Carruthers nalegała, by najpierw trochę pozwiedzać. Bardzo jej na tym zależało, tymczasem do nas niewiele docierało z tego, co nam opowiadała, gdyż bałyśmy się, że za mało czasu zostanie na zakupy. Obejrzałyśmy kościół St. Waufru oraz dzwonnice słynącą z muzyki wygrywanej przez czterdzieści siedem dzwonów.

- Pamiętacie zapewne, panienki - dodała panna Carruthers - że bitwa pod Malplaquet została wygrana przez księcia Marlborough. To niedawno stąd.

Wreszcie zwolniła nas i tu muszę wyznać, że sklep, do którego natychmiast się udałyśmy, znacznie bardziej mnie interesował niż czynny wojenne wielkiego księcia. Kupiłam cukrzone migdały w ślicznej błękitno-srebrnej bombonierce dla matki, miniaturowy model kościoła dla ojca i szczyrek dla Charlesa.

W drodze powrotnej usiadłam obok Annabelindy. Zapytałam ją, co kupiła.

- Nic - odparła krótko.
- Czy cię to nudzi? - spytałam.
- Wszystkie jesteśmy znudzone - odparła wymijająco.
- Ja nie.
- Och, ty to co innego.

Była w złym humorze. Kiedy spytałam, czy coś ją zdenerwowało, zachnęła się.

- Ależ skąd! Wcale nie jestem zdenerwowana. Mam po prostu dosyć tej okropnej panny Carruthers, jej kościoła i dzwonów!

Wreszcie nadszedł długo wyczekiwany moment i przybyła po nas ciocia Celeste. Spędziłyśmy noc w Valenciennes. Nie było tam ani Jena Pascala, ani księżniczki. Wkrótce ruszyłyśmy w drogę do domu.

Moi rodzice wyjechali po nas do Dover. Na powitanie przytulili mnie serdecznie i od razu zasypali pytaniami

O szkołę. Annabelinda miała spędzić noc u nas. Ciocia Belinda zamierzała przyjechać po nią do Londynu następnego dnia.

Cudowny był powrót do domu. Opowiadałam bez końca o życiu w szkole, dokładnie opisałam madame Rochere

Itylko odrobinę mniej groźną od niej mademoiselle Artois, a także pannę Carruthers i całą resztę. Rodzice z zaciekawieniem słuchali opowieści o nocnych ucztach i o spacerach Marie Christine.

Miałam też zamiar wspomnieć o duchu, ale powstrzymałam się. Czulałam, że w obecnym nastroju Annabelinda nie życzyłaby sobie tego.

- Widzę, że podoba się wam szkoła - stwierdziła moja matka.

Zapewniłam ją, że bardzo polubiłam La Piniere, ale wyraziłam żal, że jest tak daleko od rodzinnego domu. Przyznałam, że księżniczka była bardzo miła i że dzięki jej tytułowi zyskałyśmy w oczach madame Rochere.

- A jak się miewa Jean Pascal? -- spytała matka. – Nic o nim nie wspominałaś.

- Nie widziałyśmy go wcale.

- Prawdopodobnie był zajęty w Chateau Bourdon przy winobranii.

- Tak, zapewne. Ciocia Celeste zawiozła nas do Valenciennes, prawda, Anno B.? Wiesz, mammo, koleżanki w szkole ją tak nazywają. Twierdzą, że Annabelinda to za długie imię.

- Nie lubię tego - odezwała się Annabelinda. - I zabroniłam ci zwracać się do mnie inaczej, jak tylko moim prawdziwym imieniem.

Kiedy zostałyśmy same, matka powiedziała:

- Co się stało Annabelindzie? Zdaje się, że nie jest tak zachwycona szkołą jak ty.

- O, raczej lubi szkołę. Nawet wydaje mi się, że wolałaby zostać tam, niż przyjeżdżać do domu na święta.

- Dołożymy zatem wszelkich starań, córeczko, żeby czuła się u nas jak najlepiej.

Tak wiele działo się podczas świąt, o tylu rzeczach rozmawialiśmy, że całkiem zapomniałam o Annabelindzie.

Denverowie spędzili z nami świąteczny tydzień, a potem pojechałam do Kornwalii do cioci Rebeki. Wizyty te zawsze były udane. Ciocia Rebeka słuchała opowieści o szkole równie chętnie jak matka.

Wróciliśmy do Londynu i zaczęły się przygotowania do naszego powrotu do szkoły. Na parę dni przed planowanym wyjazdem przyjechały do nas Annabelinda i jej matka.

Annabelinda nie wyglądała lepiej niż na początku ferii. Najwyraźniej też nie miała ochoty na żadne rozmowy ze mną, ale wieczorem w przeddzień wyjazdu byłam tak niespokojna o nią, że nie wytrzymałam i poszłam do jej pokoju.

Zapukałam i weszłam nie czekając na odpowiedź.

Leżała w łóżku, ale jeszcze nie spała.

- Ach, to ty - powiedziała trochę niegrzecznie.

- Annabelinda - zaczęłam. - Martwię się o ciebie. Czy ty się źle czujesz? Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć? Może mogłabym coś dla ciebie zrobić.

- Nic nie możesz zrobić - odparła, - Już go nigdy więcej nie zobaczę.

- Kogo?

- Carla.

- Carla... Masz na myśli tego ogrodnika?

- On wcale nie jest ogrodnikiem. To przecież był zakład. Odszedł bez słowa. Nie wiem dokąd. Nic mi nie powiedział.

- A czy miał obowiązek tłumaczyć się przed tobą?

- Oczywiście - odparła. - Jesteśmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi... - powtórzyłam w zamyśleniu. - Widziałas go tylko w ogrodzie... no i u nas, tamtego wieczoru.

- Mylisz się - rzuciła. - Byliśmy przyjaciółmi... i to bardzo bliskimi. Wiesz, co mam na myśli... My... się kochamy!

- Kochacie? - wyjąkałam.

- Nie powtarzaj za każdym razem tego, co mówię. Ty nic nie rozumiesz.

- Może zrozumiałabym, gdybyś mi powiedziała.

- Carl i ja jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. Było świetnie. Często się z nim spotykałam. Czasami w ciągu dnia, a...

Tu stanęła mi przed oczami Annabelinda zakradająca się do domu, udająca na schodach ducha...

- ...a czasem w nocy? — dokończyłam domyślnie. Uśmiechnęła się i przez chwilę wyglądała jak dawna

Annabelinda.

— To była naprawdę świetna zabawa! Lucia wiedziała o wszystkim. Ona uwielbia takie przygody. Cóż, sama miała ich kilka... Pomagała mi. Kładła zwinięty koc na moim łóżku, że to niby ja tam śpię... Na wypadek, gdyby starej Arty wpadło do głowy zajrzeć do nas.

— I dlatego jesteś smutna? Bo Carl był twoim przyjacielem i nawet nie powiedział ci, że odchodzi?

Skinęła głową. Minę miała bardzo nieszczęśliwą.

— W takim razie to nie był prawdziwy przyjaciel.

— Sądzę, że dostał nagłe wezwanie.

— Mógł ci zostawić wiadomość.

To nie takie proste. Przecież nie wolno mu było rozmawiać z uczniami.

Trochę zakręciło mi się w głowie od tych rewelacji. Sama nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Niesamowite... ty i Carl.

— To bardzo przystojny mężczyzna.

— To prawda.

- A ile ma fantazji! Nie każdy by się założył...

- Rzeczywiście, jest w nim coś niezwykłego. Może znów się znie-
nacka gdzieś pojawi.

- Wtedy będzie za późno. Och, a tak nam było dobrze razem! Interesował się szkołą, zadawał mi mnóstwo pytań. Poprosił nawet, żebym narysowała mu plan sal. A pewnego razu w nocy wpuściłam go do środka.

- Wpuściłaś go?! Skinęła głową.

- Razem weszliśmy przez okno.

- Jak wtedy, kiedy cię zobaczyłam?

- Tak. To było dziecinnie łatwe. Zostawiłam odsunięty haczyk.

Umówiłam się z Lucią, że jeśli nie wrócę do drugiej nad ranem, zejdzie i sprawdzi, czy nikt go nie zamknął. Lucia bardzo nam pomagała.

- I wprowadziłaś go do szkoły?

- Tylko raz. Chciał coś zobaczyć w środku. To było niezwykle przecięcie... skradaliśmy się w ciemnościach... z latarką oczywiście.

- Mogli was złapać!

- Wielkie rzeczy! - stwierdziła kpiąco.

- Wyrzuciliby cię.

- Na pewno nie. Dziadzio Bourdon by mnie wybronił. Madame Rochere go uwielbia. Coś mi się nawet zdaje, że był jej kochankiem dawno temu, kiedy była młoda i piękna. Jestem święcie przekonana, że musiał być kochankiem połowy kobiet we Francji. Nie, nie pozwoliłby na to, żeby mnie wyrzucono.

- Jesteś naprawdę odważna... Żal mi ciebie... Biedna... Wszystko przez tego Carla.

Annabelinda milczała.

- Cóż — westchnęłam. — Cieszę się, że wreszcie wiem, o co chodzi. Po prostu usychasz z tęsknoty za ukochanym.

- Nie mów o tym nikomu. Sama nie wiem, czemu ci to wszystko opowiedziałam.

Ponieważ mimo wszystko jesteśmy przyjaciółkami.

- Chyba tak...

- Naprawdę martwiłam się o ciebie. Zobaczysz, zapomnisz o nim. Na pewno będą inni. Uśmiechnęła się do mnie słabo.

- Dziękuję ci, że przysłaś, Lucindo.

Nagle stała się dla mnie dużo miłsza niż ostatnimi czasy.

- I ja cieszę się, że przysłałam - odparłam. - Dobranoc.

Następnego dnia wyruszyliśmy do szkoły. Moi rodzice odprowadzili nas do Dover. Towarzyszyła nam również ciocia Belinda. Potem wrócili do Londynu, a my, jak poprzednio, spędziłyśmy noc z cicią Celeste w Valenciennes. Jean Pascal Bourdon i księżniczka wciąż przebywali w Chateau Bourdon w Medoc.

Wkrótce zainstalowałyśmy się na powrót w szkole. Ucieszyłam się, gdy się okazało, że mam te same towarzyszki w pokoju. Powitałyśmy się z wielką radością. Lucia wyjechała i Annabelinda miała teraz pokój wyłącznie dla siebie.

Pomyślałam, że to jej na pewno odpowiada. Ale byłam też przekonana, że będzie tęsknić za Lucią.

W jakiś tydzień po naszym powrocie Annabelinda zemdląła na lekcji angielskiego. Nie było mnie przy tym, ale dowiedziałam się niemal natychmiast.

Zaprowadzono ją do jej pokoju i posłano po doktora.

Bardzo się o nią martwiłam. Wiedziałam, że jest w złej formie. Zaczynałam nawet podejrzewać, że to coś więcej niż tęsknota za ukochanym.

Po zbadaniu Annabelindy doktor odbył bardzo długą naradę z madame Rochere. Ja w tym czasie poszłam odwiedzić moją przyjaciółkę, ale pod drzwiami jej pokoju zatrzymała mnie mademoiselle Artois.

- Dokąd idziesz, Lucindo? — spytała.

- Do Annabelindy. Słyszałam, że był u niej lekarz.

- Annabelindzie nie wolno teraz przeszkadzać.

- Nie będę jej przeszkadzać. Ona jest dla mnie jak siostra. Zawsze byliśmy razem..

- Możliwe, ale teraz Annabelindy nie wolno niepokoić. No już, wracaj do klasy — spojrzała na zegarek. - Bo się spóźnisz na lekcję — dodała.

Nie mogłam się w ogóle skupić. Annabelinda była chora, a ja pragnęłam być przy niej. Choć często sprzeczałyśmy się w przeszłości, zawsze była częścią mnie i mego życia. Tak jak moi rodzice... ciocia Celeste... Myśl, że mnie ze wszystkiego wyłączono, że nie jestem przy niej, była wprost nie do zniesienia.

Przez dwa dni pozostawała w swoim pokoju i nie wolno mi było jej odwiedzać. Zaczęłam podejrzewać, że zapadła na jakąś zakaźną chorobę.

W tym czasie w szkole zjawił się Jean Pascal Bourdon razem z księżniczką. Od razu zaprowadzono ich do madame Rochere, u której spędzili sporo czasu.

Tego dnia madame Rochere posłała po mnie.

- Przyjechali państwo Bourdon - powiedziała do mnie, jakbym o tym nie wiedziała. — Chcą z tobą porozmawiać. Czekają w moim saloniku. Możesz iść do nich.

Zastanawiałam się gorączkowo, co to wszystko może znaczyć, i jak strzała pomknęłam do saloniku.

Księżniczka ucałowała mnie w oba policzki. Jean Pascal podszedł do mnie, ujął obie moje dłonie, pocałował mnie równie serdecznie jak księżniczka i uśmiechnął się ciepło.

- Moja kochana Lucindo — zaczął. - Wiem, że martwisz się o Annabelinę. Biedne dziecko! Jest poważnie chora. Zabieramy ją do nas, do Bourdon. Zaopiekujemy się nią i zobaczysz, że za parę miesięcy odzyska dawny wigor.

— Miesiący! — wykrzyknęłam.

— Tak, kochanie - potwierdziła księżniczka. - To potrwa kilka miesięcy.

Znów zabrał głos Jean Pascal:

— Zawiadomiłem rodziców Annabelindy, że potrzebna jej jest specjalna opieka, jakiej oczywiście nie można zapewnić w szkole. W końcu to nie szpital. Poprosiłem moją córkę i zięcia, żeby przyjechali na jakiś czas do Bourdon. Powinni wkrótce się zjawić. Wiem, że będziesz tęskniła za Annabelinda. Ale już się zadomowiłaś w szkole, prawda?

Odpowiedziałam odruchowo, że tak. Byłam oszołomiona. Nie mogłam uwierzyć w to, że Annabelinda jest poważnie chora i że musi opuścić szkołę na kilka miesięcy.

Jean Pascal przyglądał mi się ukradkiem. Nagle powiedział:

- Czy Annabelinda rozmawiała z tobą?

- Tak... troszeczkę.

- Czy mówiła ci... jak się czuje?

- T-tak. Rozmawialiśmy w Londynie przed wyjazdem. Była zmarzwiona z powodu...

- Z powodu?

- Pewnego przyjaciela.

- I powiedziała ci o tym, tak?

— Tak.

— O tym przyjacielu?

— Pracował tu jako ogrodnik.

— Rozumiem — rzucił Jean Pascal nagle. — No nic, Annabelinda jest chora, jak wiesz, i trochę potrwa, nim wyzdrowieje.

— Czy wróci do szkoły?

— Oczywiście. Jak będzie zdrowa. Lepiej nie mów nikomu o tym ogrodniku.

— Na pewno nie powiem. Myślę, że Annabelinda nie życzyłaby sobie tego.

— Jestem tego samego zdania. Rozmawiała z nim w ogrodzie, tak?

— Och... - zaczęłam i urwałam nagle. Jean Pascal obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. Po chwili uśmiechnął się.

— W każdym razie zapraszamy cię do chateau — powiedział. - Może przed wyjazdem do domu na wakacje? To dobra pora roku... winogrona są już wtedy prawie dojrzałe, wiesz?

— Dziękuję - wyszeptałam.

— Wyjeżdżamy dziś i zabieramy ze sobą Annabelindę. Mam nadzieję, że ci nie będzie bardzo smutno samej.

- Jest jeszcze Caroline, Helga, Yvonne i inne dziewczęta.

— Na pewno masz masę przyjaciółek.

— Ale Annabelinda nie... - Oboje spojrzeli na mnie z przerażeniem w oczach, które ustąpiło wyraźnej uldze, kiedy wymamrotałam: — „nie umrze?”

Jean Pascal roześmiał się.

— Mon Dieu, non, non, non — zawołał. — Wszystko będzie w porządku. Potrzebuje tylko trochę ciszy, spokoju i troskliwej opieki. A tego na pewno jej nie zabraknie w Bourdon. Jak przyjedziesz do nas w lecie, będzie to ta sama Annabelinda co zawsze.

— Martwię się o nią.

— To zrozumiałe, moja droga. Ale nie ma potrzeby. Będziesz zdumiona, jak ją zobaczysz. Tymczasem ucz się pilnie i nie spraw zawodu madame Rochere. Zdradzę ci w sekrecie, że ona ma bardzo dobre zdanie o tobie. I... nie opowiadaj za dużo o Annabelindzie. Biedne dziecko. Przejmuje się swoją chorobą. Nikt nie lubi być chory. Po powrocie byłoby jej przykro, gdyby wszyscy się nad nią litowali.

- Rozumiem.

- Wiedziałem, że zrozumiesz. Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko. Będę czuł na ciebie latem.

- Ja też, kochanie - dodała ciepło księżniczka. Jeszcze tego samego popołudnia wyjechali zabierając

ze sobą Annabelindę.

Bardzo za nią tęskniłam. Zawsze odczuwałam pustkę, kiedy usuwała się z mojego życia. Brakowało mi nawet naszych utarczek, jej wzgardy

i okazywanej mi wyższości, gdyż wiedziałam, że w gruncie rzeczy za tym wszystkim kryje się prawdziwa więź.

Zastanawiałam się, czy już ma się lepiej, i niezwykłą radość sprawił mi list od niej.

Droga Lucindo!

Jak sobie radzisz w sokole be[^]e mnie? Mama przyjechała do Bourdon. Razem zdecydowali, że mam postać u Dziadziu przez jakiś czas. Mówią, że tu klimat jest dla mnie o wiele lepszy niż w Anglii. Będzie mi dobrze, tak obiecują. Dziadzio ma ws[^]ed[^]ie ogromne wpływy i zm wszystkich, którzy coś znacKfl- Proponuje, żebyś przyjechała, zanim wrócisz na lato do Anglii. Jest przekonany, że do tego czasu całkowicie wydobrzeję. Ale może będę musiała jeszcze trochę wypocząć, więc zostanę tu, dopóki nie będę gotowa do powrotu do domu.

Żałuję, że Cię tu nie ma. Nie mogę się wprost doczekać Twego przyjazdu w końcu lipca, kiedy zacKPIsk długie, letnie wakacje. Tylko nie wykręcaj się, że powinnaś szybko wracać do domu, żeby zobaczyć się z rodzicami i tym Twoim bratem. Musisz najpierw pobyć trochę ze mną.

Annabelinda

List przypominał dawną Annabelindę. Odpisałam jej, że przyjadę do Chateau Bourdon na dwa tygodnie. Podkreśliłam, że dłużej nie mogę zostać, bo naprawdę tęsknię za rodzicami po tak długiej nieobecności w domu.

W szkole wszystko było po staremu. Odbyła się kolejna nocna uczta. Po Bożym Narodzeniu Caroline przywiozła z domu ciasto z lukrem. Było wyśmienite, ale nic mnie nie cieszyło bez Annabelindy.

- Co jej się właściwie stało? - spytała Caroline.

- Jakaś przewlekła choroba, którą leczy się miesiącami.

- Pewnie suchoty — stwierdziła autorytatywnie.

- Nie, nie sędzę.

- Ludzie często zapadają na suchoty.

- Właściwie... nie wyglądała ostatnio najlepiej. Może masz rację.

- Chorzy jeżdżą na kurację do Szwajcarii - powiedziała Helga. -

Górskie powietrze podobno dobrze robi na suchoty.

Szwajcaria? Stamtąd pochodził Carl Zimmerman.

Coraz częściej o nim myślałam. Kłopoty Annabelindy zaczęły się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy on zniknął. To tęsknota za nim wpędziła moją przyjaciółkę w chorobę.

Zacząłam głęboko zastanawiać się nad nim. Spacerując po parku, wspominałam nasze niespodziewane spotkanie. Raz nawet poszłam popatrzeć na domki, w których wtedy mieszkał.

W jednym z domków ktoś był. Okrążyłam budynek dookoła, a potem wróciłam do szkoły.

Całe następne popołudnie kręciłam się w pobliżu domków. Obe- szłam je wszystkie wokół. Przy każdym był mały ogródeczek — w jed- nym z nich młoda kobieta rozwieszała właśnie pranie. Na mój widok zawołała: „dzień dobry!” i dodała:

- Panienska jest ze szkoły. Widziałam już panienkę.
- Tak, uczę się na pensji. Czy pani pracuje dla madame Rochere?
- Ja nie. Mój mąż. Jest ogrodnikiem. Ma mnóstwo pracy.
- Aha.

Kobieta podeszła bliżej. Miała miłą, promienną twarz. Zauważyłam, że spodziewa się dziecka... i to niedługo. Oparła się o płot i obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

- Od dawna panienska jest w szkole?
- Przyjechałam we wrześniu.
- Skąd panienska jest? Pewnie z Anglii?
- Jak się pani domyśliła?
- Anglików łatwo poznać. To chyba przez ich sposób mówienia po francusku.
- Czy mam aż tak kiepski akcent?
- Och, proszę nie brać sobie tego do serca - uspokoiła moje obawy. - Akcent panienski wcale nie jest zły. Rozumiem panienkę doskonale.
- To najważniejsze. Czy znała pani Carla, który pracował tu przez jakiś czas?
- Owszem. Kiepski był z niego ogrodnik. Tak przynajmniej twierdził mój Jacques. Nie zagrzeł długo miejsca.
- Dlaczego odszedł?
- Chyba w ogóle nie miał zamiaru zostawać dłużej. To taki typ. Dziś tu, a jutro tam.
- No nic, chyba muszę wracać.
- Do widzenia! — zawołała pogodnie.

Tydzień później spotkałam ją znowu. Wydawała się jeszcze tęższa.

- Dzień dobry. To znowu panienka - zaczęła mnie. - Coś mi się widzi, że lubi panienka tu przychodzić.

- Zawsze chętnie spaceruję o tej porze. W ogrodzie jest bardzo przyjemnie.

- Mamy wreszcie prawdziwą wiosnę.

- O tak! I to piękną.

- Dla mnie to czas na odpoczynek. Muszę teraz dużo odpoczywać, rozumie panienka.

Wiedziałam, co ma na myśli.

- Cieszy się pani, prawda? To znaczy... z dziecka.

- Zauważyła panienka? - roześmiała się głośno, wyraźnie żartując, gdyż jej stan był aż nadto widoczny.

- Tak... zauważyłam.

- A taka panienka młodziutka!

- Nie jestem wcale taka młoda.

- Nie. Oczywiście, że nie. Młodzi ludzie teraz wiedzą dużo więcej o takich rzeczach niż kiedyś. Ma panienka rację. Cieszę się. "Zawsze chcieliśmy mieć dziecko, Jacques i ja. Myśleliśmy, że już nic z tego nie będzie, a tu dobry Bóg spełnił nasze prośby.

- Musi pani być bardzo szczęśliwa.

Skinęła głową. Na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech. W drodze powrotnej myślałam o niej.

Pewnego dnia panna Carruthers zabrała nas na wycieczkę do Mons. Miałyśmy okazję zajrzeć do sklepów, kupiłam więc kaftanik dziecięcy, który postanowiłam zanieść mojej nowej znajomej. Dowiedziałam się, że nazywa się Marguerite Plantain. Jacques Plantain zatrudniony był w szkole od wielu lat. Jego dziadek i ojciec pracowali dla rodziny Roche-re, zanim jeszcze powstała tu pensja.

Marguerite była zachwycona prezentem. Wyznała mi, że bardzo lubi nasze pogawędki przy płocie. Tym razem zostałam zaproszona do domku. Był bardzo mały - na górze znajdowały się dwa niewielkie pokoiki, na dole dwa większe, a umywalnia z tyłu.

Marguerite z wyraźną dumą pokazywała mi wyprawkę naszykowaną dla dziecka. Wyraziłam nadzieję, że dziecko urodzi się, zanim wyjadę na wakacje.

- Szkołę zamyka się w końcu lipca - powiedziała Marguerite. - Przynajmniej tak było do tej pory. Dziecko powinno urodzić się jakiś tydzień przedtem.

- Ciekawe, czy to będzie dziewczynka, czy chłopiec. Ja wolałabym dziewczynkę.

— Tu nie ma co woleć! - Roześmiała się. - To dobry Bóg decyduje. Jacques chce chłopca, ale wiem, że będzie bardzo szczęśliwy, bez względu na to, co Bóg nam ześle. A ja pragnę jedynie kołysać maleństwo w ramionach.

Wiosna powoli minęła. Nadeszło lato. Pozostał jeden miesiąc do końca szkoły. Coraz lepiej i swobodniej się tu czułam. Caroline stała się moją najserdeczniejszą przyjaciółką. Bardzo lubiłam też dwie pozostałe koleżanki z naszego pokoju.

Życie szkolne toczyło się utartym trybem. Według panny Carruthers nie było lepszego lekarstwa na choroby niż spacery wśród pól i świeże powietrze. Mademoiselle Artois nieustannie skarżyła się, że zostawiamy nieporządek w pokojach. Lubiałam lekcje tańca i fortepianu oraz długie i ciepłe dni lata. Ale cały czas tęskniłam za Annabelindą i niecierpliwie wyczekiwałam wieści od niej.

Pisywała do mnie od czasu do czasu. Czuła się coraz lepiej. Obiecywała, że kiedy przyjadę, będzie całkiem zdrowa. W Bourdon lato było bardzo gorące i obawiano się, że upały zaszkodzą winogronom.

„Nie mogę się ciębie doczekać, Lucindo - pisała Annabelindą. — Tak bardzo chcę usłyszeć o wszystkim, co dzieje się w szkole”.

Ja też niecierpliwie czekałam naszego spotkania.

W połowie lipca Marguerite urodziła martwego synka. Było mi niewypowiedzianie smutno z tego powodu. Jakże musiała nieszczęsna cierpieć! Tak rozpaczliwie pragnęła tego dziecka. Wszystkie plany i nadzieje biednej Marguerite legły w gruzach.

Przez dłuższy czas okiennice w domku były na głucho zamknięte. Nie mogłam zdobyć się na odwagę, żeby zapukać do drzwi. Bałam się, że na mój widok przypomni się jej nasza rozmowa o dziecku i że będzie jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Nie zbliżałam się do domku przez dwa tygodnie, ale myślałam o Marguerite nieustannie. Wreszcie pewnego dnia obeszedłam domek i zajrzałam przez płot. W ogródku stał wózek, a w nim leżało dziecko.

Zaintrygowało mnie to. Następnego dnia znów tam poszłam. Wózek z dzieckiem stał w ogrodzie jak przedtem. Okrążyłam domek raz jeszcze i zapukałam do drzwi frontowych.

Otworzyła mi Marguerite. Spojrzała na mnie, a wtedy poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. Dostrzegła to i na ułamek sekundy odwróciła głowę. Potem powiedziała:

- To miło, że panienka przyszła.
- Nie chciałam niepokoić pani wcześniej... ale wiele

0 pani myślałam.

Położyła mi rękę na ramieniu.

- Proszę wejść - zaprosiła mnie do środka. - To był straszny cios. Chciałam umrzeć. Tyle nadziei... planów...

I wszystko na nic. Proszę usiąść, panienko. Naprawdę cieszę się, że panienka przyszła. Ten kaftanik od panienki... przyda się.

- To okrutne, co się stało. Pokiwała głową.

- Błuzniłam. Przeklinałam dobrego Boga. I Jacques błuznił. Oboje oszaleliśmy z bólu. Tak gorąco pragnęliśmy tego dziecka... Tak długo czekaliśmy, a tu... wszystko na nic. Rozpacz była silniejsza od nas. Złorzeczyłam Bogu. Jak mógł nam to zrobić, krzyczałam. Co zrobiliśmy, że nas tak pokarał? Ale Bóg jest dobry. Ma swoje zamiary. Teraz dał mi w opiekę maleństwo, które ukoilo tamten ból. To jeden z Jego cudów. Już je kocham. Wprawdzie to co innego niż własne... ale mówią, że będzie jak moje. Zresztą z każdym dniem coraz bardziej je kocham.

- A więc ma pani dziecko?

- Tak. Jest moje na zawsze. Potrzebuje mnie, a ja jego. Biedna kruszynka. Nie ma matki, nie ma kto go kochać. Więc dam mu tę miłość, jaką dałabym własnemu dziecku.

- Jak to się stało?

- Wszystko dzięki madame Rochere. Dowiedziała się o tym biednym maleństwie. Spytała, czy nie zgodziłabym się, by zajęło miejsce mojego utraconego dzieciątka. Na początku nie mieściło mi się to w głowie. Wydawało mi się, że nic nie jest w stanie zastąpić mi tamtego. Wtedy madame Rochere powiedziała, że to dziecko mnie potrzebuje i że choć może sobie tego nie uświadamiam... ja potrzebuję jego. Tu nie chodzi tylko o pieniądze...

- Pieniądze?

- Tak. Ktoś daje pieniądze na jego utrzymanie. Nie ma matki, ale są jacyś krewni gotowi płacić za opiekę nad nim. Jacques i ja będziemy bogatsi, niż nam się to kiedykolwiek śniło. Ale tu naprawdę nie chodzi o pieniądze...

- Wierzę pani.

- Omówiliśmy wszystko. Powiedziałam, że dziecko musi być naprawdę moje. Nie chcę, żeby kiedyś ktoś przyszedł i mi je zabrał. Jeżeli ma być moje, to na zawsze. A oni na to, że chcą tego samego. Poza tym są dla niego odłożone pieniądze. Będą przysyłane co roku. Niczego mu nie zabraknie.

- Ależ to cudowna historia, madame Plantain. Prawdziwy cud! Straciła pani dziecko, ale gdyby tak się nie stało, to małżeństwo nie miałoby nikogo.

- Na pewno znaleźliby mu inną rodzinę. Ludzie, którzy mają pieniądze, umieją załatwiać takie sprawy. Jeśli chodzi o mnie, to nie pieniądze zdecydowały, tylko samo dziecko. On jest naprawdę słodki. Głowę dam, że już mnie rozpoznaje.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Oczywiście, panienko. Zaraz go przyniosę. To na razie jeszcze maciupęństwo. Może tydzień starsze od mojego... nie więcej.

- Kiedy tu przybył?

- Parę tygodni temu. Madame Rochere wszystko załatwiła. Pewnie ten prawnik, co to się wszystkim zajmuje, przywiózł go. Były też papiery. Musieliśmy postawić na nich znak oboje, Jacques i ja. Wszystko jest podpisane i zatwierdzone. Jak już panience mówiłam, zależało mi tylko na jednym. Żeby dziecko było moje na zawsze... tak jakbym to ja dała mu życie. Powiedzieli mi, że tak stoi na tym papierze. Ale koniecznie musi panienka sama zobaczyć. Proszę chwileczkę poczekać. Zaraz go przyniosę.

Po chwili wniosła dziecko do izby. Był to malusieńki dzidzius o delikatnych, jasnych włoskach. Spał, więc oczy miał zamknięte. Nie wiedziałam, jakiego są koloru, ale pomyślałam, że na pewno niebieskie. Wyglądał na zdrowe dziecko.

- Jak ma na imię? — spytałam.

- Edouard. Takie imię mu już dali. Ale nazwisko oczywiście będzie nosił nasze. Inaczej bym się nie zgodziła.

- W takim razie rzeczywiście już zawsze będzie należał do pani.

- Tak. I nigdy nie przestanę dziękować Bogu za to, ile radości w naszym życiu wniósł Edouard. Pierwsze, co robi Jacques po przyjeździe do domu, to rozgląda się za tym małym człowieczkiem.

Usiadła kołysząc dziecko, które cały czas spało.

- Wspaniale, że tak się wszystko skończyło.

To był prawdziwy cud - powiedziała. - Jestem o tym święcie przekonana.

Semestr skończył się pierwszego dnia sierpnia. Do szkoły przyjechała księżniczka. Miała zabrać mnie prosto do chateau.

Madame Rochere przyjęła ją z wielkim szacunkiem. Jakiś czas konferowały w gabinecie przełożonej.

Kiedy wyjeżdżałyśmy, przypomniał mi się mój przyjazd na pensję we wrześniu i pomyślałam, że bardzo wiele wydarzyło się w tym krótkim czasie.

Księżniczka była uprzejma i miła jak zwykle. Podróż do Bourdon upłynęła nam bardzo przyjemnie. Na stacji czekał powóz, którym wygodnie odbyłyśmy resztę drogi do zamku.

Nie mogłam się wprost doczekać spotkania z Annabelindą. Księżniczka powiedziała mi, że Annabelinda wyzdrowiała całkowicie i że jest taka jak dawniej.

- Codziennie musi odpoczywać, ponieważ choroba była długa i wyczerpująca. Ale udało się nam ją z niej wyciągnąć.

Annabelinda czekała na nas w towarzystwie Jeana Pascala. Wyglądała doskonale, wręcz kwitnąco.

- Jak miło cię widzieć, Lucindo! - wykrzyknęła. Przytuliła mnie mocno. Wzruszyła mnie tym gestem.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Annabelindo. Jean Pascal ujął moje dłonie i ucałował je.

- Witaj, drogie dziecko. Dobrze, że jesteś z nami. Co myślisz o Annabelindzie, hę?

- Wygląda lepiej niż przedtem. Roześmiał się.

- To samo jej powtarzam. Widzisz, moja droga, myślimy podobnie, ty i ja.

- Czy całkiem wyzdrowiała?

- Tak... tak. Bez wątplenia. Teraz zaopiekujemy się nią i dopilnujemy, żeby nie było żadnych nawrotów.

Weszliśmy do chateau. Budowla ta zawsze budziła we mnie dziwne dreszcze. Moja matka mówiła, że doznawała podobnych uczuć. W obrębie starych murów przeszłość zdawała się wdzierać w teraźniejszość, a myśli natrętnie krążyły wokół ludzi, którzy mieszkali tu w ciągu wieków i pozostawili po sobie tak wiele pamiątek.

Kolację zjedliśmy w niedużej, przytulnej jadalni. Jean Pascal i księżniczka sprawiali wrażenie szczerze zadowolonych z mego przyjazdu. A Annabelinda była wprost szczęśliwa.

- Mam nadzieję, że twoi rodzice nie mają do nas pretensji o to, że cię zatrzymaliśmy - odezwał się Jean Pascal.

- Jestem pewna, że nam darują tę odrobinę czasu - uśmiechnęła się księżniczka.

- Na pewno byliby bardzo zadowoleni, gdyby Annabelinda mogła wrócić ze mną - powiedziałam.

- Jeżeli tylko będzie czuła się na siłach, to czemu nie - odparł Jean Pascal.

Rozmowa toczyła się na pozór swobodnie, ale wyczuwałam pewne napięcie i byłam przekonana, że Jean Pascal doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy po kolacji znalazłam się w swoim pokoju. Nie mogłam oprzeć się pokusie, żeby nie zajrzeć do Annabelindy.

Leżała, w łóżku, ale jeszcze nie spała. Uśmiechnęła się do mnie.

- Pomyślałam sobie, że pewnie przyjdiesz - powiedziała.

- Dawno nie rozmawialiśmy.

- Opowiedz mi o szkole. Jak dziewczęta zareagowały na mój nagły wyjazd? Czy dużo o mnie mówiono?

- Prawie wyłącznie o tobie. Dziewczęta przypisywały ci wszystkie możliwe choroby... od szkarlatyny po beri-beri.

Uśmiechnęła się.

- Dość ponure, prawda?

- Już po wszystkim. Jesteś przecież zdrowa. Co ci naprawdę było?

— Dziadzio zabronił mi mówić. Twierdzi, że to dla mojego dobra.

Im szybciej to będzie poza mną, tym lepiej. Inaczej mogłoby to zniweczyć moje szansę.

- Zniweczyć szansę? Na co?

- Na dobre zamążpójście. Myślą o wydaniu mnie za męża. W końcu przecież starzeję się.

- Co ty pleciesz! Przecież masz dopiero szesnaście lat!
- Został mi rok.
- Co masz na myśli, mówiąc, że przekreśliłoby to twoje szansę?
- Och, nic takiego. Nieważne. Nie dałam się zbyć tak łatwo.
- To znaczy? - dopytywałam się z uporem.
- Widzisz, w takiej rodzinie, jakiej dziadzio życzy sobie dla mnie, liczą się dzieci, przekazanie rodowego nazwiska, i tak dalej. Następcy mają być silni i zdrowi. Baliby się żony, która miała... to, co ja miałam.
- A co miałaś? Jesteś taka tajemnicza. Czy chorowałaś na suchoty? Jeżeli tak, to możesz mi powiedzieć.
- Dziadzio mówi, że mam o tym zapomnieć i nigdy nie wspominać.
- Rozumiem. Chodzi o to, że jak ludzie dowiedzą się, że miałaś tę chorobę, pomyślą, że mogłabyś ją przekazać swoim dzieciom.
- Tak. Właśnie. I nie mówmy już o tym więcej.
- Czy leczyli cię tutaj?
- Niezupełnie... Musiałam wyjechać. Nie byłam w cha-teau cały czas.
- Domyśliłam się,
- Pamiętaj, że te sprawy trzymane są w sekrecie. To był pomysł dziadzia. On wszystko załatwił.
- Dostałam od ciebie list ze stemplem z Bergerac.
- Bergerac! Nigdy więcej nie chcę widzieć tego miejsca!
- Czy to daleko stąd?
- Dość daleko. Wysłałam list, kiedy przejeżdżaliśmy tamtędy.
- Przejeżdżaliście? Dokąd jechaliście?
- Och, nie pamiętam. Byłam wtedy bardzo chora.
- Dlaczego nie chcesz nigdy więcej widzieć Bergerac?
- Chcę zapomnieć... a ty mi ciągle przypominasz. Wszystkie te miejsca mi przypominają. Przeżyłam straszne chwile, czy nie rozumiesz?
- Ale to były suchoty, prawda?
- Przytaknęła... a potem potrząsnęła głową przecząco.
- Nie chcę mówić więcej na ten temat... Obiecuj, że nie piesz niktowi ani słowa o tym, co ci tu powiedziałam.
- Obiecuję. Czy byłaś w Szwajcarii? Tam właśnie jeżdżą chorzy na suchoty. W góry.

Skinęła głową ponownie.

- I wyleczyli cię? - spytałam.

- Całkowicie. Wszystko, co mam robić w przyszłości, to... uważać.

Dziedzio mówi, że dostałam ostrzeżenie. Jeśli już raz przytrafi ci się coś takiego, ludzie robią się podejrzliwi.

- Pewnie boją się, że może to być zaraźliwe.

- Dziedzio uważa, że zmniejszyłoby to moje szansę na małżeństwo, jakiego dla mnie pragnie.

- Jak to jest w sanatorium?

- Byli dla mnie bardzo surowi. Trzeba robić wszystko, co ci każą.

- To prawie jak w La Piniere. Roześmiała się.

- Było, minęło. Mam zamiar zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. Czuję się dobrze. Reszta też będzie w porządku. Nie mogę się doczekać wyjazdu do Londynu.

- Pewnie rodzice zechcą zabrać cię na wieś.

- Mama na pewno będzie wolała zostać jakiś czas w Londynie. A jeśli chodzi o ojca i mego drogiego braciszka, to zajmuje ich głównie ukochana posiadłość. Nie będą sobie zawracać mną głowy.

- Tęskniłam za tobą, Annabelindo.

- Myślisz, że ja nie tęskniłam za tobą?

- To musiało być dla ciebie okropne, być z dala od bliskich. Czy dziadek i księżniczka odwiedzali cię w sanatorium?

- Oczywiście. Byli bardzo dobrzy dla mnie. Ale dosyć, zostawmy już ten temat. Proszę, Lucindo!

- Dobrze. Ani słowa więcej.

- I pamiętaj. Nie mów nikomu o Szwajcarii. Nie powinnam była wspominać ci o tym, ale to ty wypytywałaś.

- Będę milczeć jak grób.

- Kochana, wierna Lucinda!

Minął tydzień. W tym czasie dużo jeździliśmy konno, zazwyczaj w towarzystwie Jeana Pascala. Chateau odwiedzali goście, odbyło się kilka przyjęć.

Tęskniłam do domu, ale też wielką przyjemność znajdowałam w spacerach wokół zamku. Lubiłam być wtedy sama. Siadałam nad jeziorem przyglądając się łabędziom i małemu, brązowemu kaczorowi, który podchodził blisko, śmiesznie kołysząc się na boki. Przynosiłam

mu zawsze trochę chleba i bawiło mnie, kiedy zbliżał się do brzegu w oczekiwaniu na poczęstunek.

Czasami, kiedy tam siedziałam, dumałam sobie, jakie dziwne jest życie, i wyobrażałam sobie moją matkę jako młodą dziewczynę, niewiele starszą ode mnie, siedzącą w tym samym miejscu. Po jeziorze pływał wtedy czarny łabędź. Często opowiadała mi o nim i o tym, jak zażarcie bronił swego terytorium.

Jakże tu było teraz spokojnie, kiedy po jeziorze pływały potulne białe łabędzie, zamiast czarnego awanturnika. A jednak był to spokój pozorny. Pod gładką powierzchnią czyhały zdradliwe, podwodne prądy.

Pewnego popołudnia wyjątkowo długo zasiedziałam się nad jeziorem. Kiedy wreszcie ruszyłam w stronę zamku, po drodze spotkałam listonosza.

Zawołał mnie. Wiedział, kim jestem, ponieważ już wcześniej odbierałam od niego pocztę.

- Ach, jak to dobrze! - wykrzyknął. - Oszczędzę trochę moje biedne nogi dzięki panience. Już i tak jestem spóźniony. Czy może panienka zabrać ten list dla monsieur Bourdona?

Powiedziałam, że chętnie wezmę. Listonosz wręczył mi sporą kopertę, podziękował i ruszył w swoją stronę. Nazwisko Jeana Pascala wypisane było dużymi literami.

Pomyślałam, że Jean Pascal jest pewnie w swoim gabinecie, dlatego od razu tam poszłam. Zapukałam do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc weszłam do środka. Ponieważ okno w gabinecie było otwarte, powstał przeciąg i powiew wiatru zdmuchnął papiery leżące na biurku, rozrzucając je po podłodze.

Zamknęłam drzwi, położyłam przyniesiony list na biurku i pochyliłam się, żeby pozbierać papiery.

Wtedy mój wzrok padł na następujące zdanie: „Jacques i Marguerite Plantain - 10 00 franków”.

Przez chwilę wpatrywałam się w te słowa. Poniżej było napisane po francusku coś, co nie do końca rozumiałam. List zaadresowany był do jakichś prawników w Bordeaux.

Nagle straszliwa myśl zaświtała mi w głowie. Zupełnie jakby rozrzucone do tej pory kawałki układanki jakimś cudem zaczęły nagle pasować do siebie i tworzyć sensowny obrazek.

- Ciekawe? - zabrzmiał głos za moimi plecami. W pokoju stał Jean Pascal.

Poczułam, że płoną mi policzki. Podeszedł do mnie i spokojnie wyjął mi z ręki kartkę papieru. Potem odezwał się zinnym głosem, który wzbudził we mnie dreszcz strachu:

- Co robisz z moimi papierami, Lucindo? Posłyszałam swój własny, drżący głos:

- Ja... tylko przyniosłam list. Listonosz mi go dał. Spotkałam go po drodze... Pukałam, ale nie było odpowiedzi, więc weszłam... zrobił się przeciąg... wszystko spadło na podłogę. Zbierałam właśnie...

- Oczywiście.

Podniósł resztę papierów i położył je na biurku. Uśmiechnął się do mnie.

- To ładnie z twojej strony, Lucindo. I dziękuję, że przyniosłaś list.

Uciekłam z pokoju, wybiegłam na dwór. Chłodne powietrze koło rozpaloną twarz.

Dziesięć tysięcy franków dla Jacquesa i Marguerite Plantain! Za opiekę nad dzieckiem! Dlaczego Jean Pascal chciał, żeby wzięli do siebie dziecko?

Dawno powinnam była się domyślić. Carl i Annabelinda spotykali się w tajemnicy. Kochali się. Kiedy ludzie się kochają, rodzą się dzieci. A Carl zostawił ją samą z konsekwencjami ich spotkań. Nic dziwnego, że się zmieniła. Jak ja mogłam wcześniej na to nie wpaść? Zemdląła na lekcji. Madame Rochere posłała po doktora, a potem natychmiast zjawił się Jean Pascal. We właściwy sobie, ugrzecznony sposób zręcznie zaradził trudnej sytuacji.

Annabelinda nie była wcale w Szwajcarii, tylko w Bergerac, które - jak sprawdziłam na mapie - znajdowało się dość blisko zamku, a jednocześnie na tyle daleko, by zachować anonimowość. Zgodziła się na wszystko, co dziadek zaproponował. Doskonale wiedziała, jak mądre były jego poczynania, i że całą sprawę należy utrzymać w najgłębszej tajemnicy.

Urodziła dziecko i to było właśnie to, które teraz znajdowało się w domku Plantainów. Ponieważ Marguerite utraciła swego synka, chętnie je przyjęła. Ponadto zapłacono jej sowicie za opiekę nad dzieckiem. Będzie otrzymywać regularnie pieniądze. To dziecko ukoi jej ból po

stracie własnego i zapewni Plantainom byt na resztę życia. Nieszczęście Annabelindy stało się błogosławieństwem dla Marguerite i Jacquesa.

Myślałam o dziecku, które otrzyma od Marguerite całą miłość i czułość, których jego własna matka nie mogła mu dać.

Ponura prawda przytłoczyła mnie. Niemal żałowałam, że odkryłam tajemnicę. Teraz sama miałam sekret. Nigdy nie mogę zdradzić się przed nikim, że cokolwiek wiem.

Siedziałam patrząc w otępieniu na łabędzie i nagle usłyszałam dobiegający z tyłu odgłos kroków. Moje serce poczęło bić w największym przerażeniu, gdyż to Jean Pascal zbliżał się do mnie.

Usiadł obok.

- Cieszę się, że cię znalazłem - powiedział. - Myślę, że mamy sobie coś do wyjaśnienia.

- Przysięgam, że weszłam do gabinetu tylko po to, żeby zanieść list. Papiery spadły na podłogę i w pierwszym odruchu chciałam je pozbiierać.

- Oczywiście. A wtedy znalazłaś jeden, który cię szczególnie zainteresował.

- Ale ja...

- Daj spokój, Lucindo. Nie chcę, aby między nami były jakiegokolwiek niedomówienia. Otóż zapewniam cię, że wierzę w to, co mówisz. Coś jednak przykuło twoją uwagę... zaskoczyło cię. To było coś, co przeczytałaś. Milczałam.

- Lucindo, moja droga, bądź ze mną szczerą, tak jak ja jestem szczerą z tobą. Co tam było napisane?

Zaczerpnęłam powietrza w płuca. Nie wiedziałam, jak zacząć.

- Nazwisko ludzi, którzy mieszkają na terenie szkoły, czy tak? - spytał spokojnie.

- Tak - odparłam słabym głosem.

- Czy znasz ich?

- Właściwie znam tylko panią Plantain. Rozmawiałyśmy kilkakrotnie, kiedy spacerowałam w pobliżu domków. Wiedziałam, że będzie miała dziecko.

- Tak?

- Wiem, że dziecko umarło i że zaadoptowała inne.

- Jesteś bardzo mądra, Lucindo. Zadałaś sobie zapewne pytanie, za co Jean Bourdon jej płaci. Bo to właśnie przeczytałaś.

- Ja...

- Och, dajmy spokój temu udawaniu. Jeżeli mamy dojść do porozumienia, musimy być ze sobą szczerzy. Pomyślałaś, że to dziwne, iż dziadek Annabelindy wysyła pieniądze obcym ludziom. Annabelinda wyjechała na kilka miesięcy. Cierpiała na dziwną chorobę, a teraz jej dziadek płaci na dziecko. Cóż, pewien jestem, że w okamgnieniu sytuacja stała się jasna dla małej, mądrej Lucindy, która -przyznajmy to szczerze - była nieco zdezorientowana tajemniczymi wydarzeniami niedawnej przeszłości. A kiedy zobaczyła list z dobrze sobie znanym nazwiskiem, zaczęła pomału rozumieć. Czy tak?

- To znaczy... Tak.

- Oczywiście - wsunął mi rękę pod ramię i przycisnął je do siebie.

- Lucindo - mówił dalej - ty i ja rozumiemy się doskonale, prawda? Zawsze miałem dla ciebie ciepły kącik w swoim sercu. Jesteś córką mojej drogiej Lucie, którą nieodmiennie podziwiam. Od lat jesteś przyjaciółką mojej wnuczki. Uważam cię za członka mojej rodziny.

- Naprawdę jestem wzruszona pańskimi słowami i przepraszam, że zaniósłam list do gabinetu. Powinna była zostawić go w halu.

- Kto wie? Może to i lepiej, że tak się stało. Przynajmniej wyjaśniliśmy sobie niektóre sprawy. Zostałaś dopuszczona do naszego sekretu. Wiem, że mogę ci zaufać, iż go nie zdradzisz. Annabelinda jest dla ciebie kimś ważnym. Zachowała się nierozsądnie. Nie pierwszy raz taka rzecz przydarzyła się w mojej rodzinie... twojej rodzinie... w ogóle w rodzinie. Taka już jest natura ludzka. Słaba, godna pożałowania. Ale można wszystko naprawić... i zapomnieć. W życiu warto zapominać o tym, co niemiłe. Wyrzuty sumienia są niewątpliwie rzeczą ważną, ale należy dozować je z rozwagą, a już na pewno nie powinny odbierać radości życia. Czy zgadzasz się ze mną?

- Zapewne ma pan rację.

- Wierz mi, że mam rację, mała Lucindo. Podejrzenia się różne rzeczy, a tymczasem podejrzenia często zniekształcają prawdę i czynią ją brzydszą, niż jest w istocie. Domyśliłaś się, na czym polegała choroba Annabelindy. Wezwany przez madame Rochere doktor od razu zorientował się, co się stało. Możesz sobie wyobrazić konsternację tej zacnej damy, gdy dowiedziała się, co się przytrafiło jednej z jej uczennic. Na szczęście to mądra kobieta. Annabelinda jest moją wnuczką,

więc madame Rochere zawiadomiła mnie nie zwlekając ani chwili. Wiedziała, że może na mnie polegać w tej trudnej sytuacji.

Skinęłam głową bez słowa. Zrozumiałam to już w chwili, kiedy przeczytałam ten nieszczęsny list.

- Annabelinda zadała się z jednym z ogrodników — ciągnął Jean Pascal. - Madame Rochere była zdruzgotana tym, że to był ogrodnik, ale wytłumaczyłem jej, że rezultat bywa taki sam niezależnie od pozycji społecznej mężczyzny.

Gniew trzeba pokonywać zdrowym rozsądkiem. Przede wszystkim należało zabrać Annabelindę ze szkoły. Nie można było dopuścić do tego, żeby rozniosło się po całej okolicy, że moja wnuczka popełniła taką nieostrożność. Wywieźliśmy ją do szpitala, w którym zajęto się wszystkim.

— W Bergerac... — wtrąciłam odruchowo. Zaskoczyłam go. Po chwili odezwał się:

— Widzę, że jesteś doskonale zorientowana. Skąd o tym wiesz?

— Podczas rozmowy wymknęło się Annabelindzie, że tam była.

— Powinna bardziej uważać na to, co mówi. Ale wracając do sprawy, Bergerac to miejsce godne zaufania. Znam osobiście przełożoną szpitala i mogę w pełni polegać na jej dyskrekcji. Tam właśnie pojechała Annabelinda, a potem oczywiście wyniknął problem znalezienia domu dla dziecka.

— Wszystko ułożyło się pomyślnie - pokiwałam głową. - Trudno o lepszą matkę niż pani Plantain.

- Tego samego zdania była madame Rochere. Nie myślisz chyba, że powierzyłbym mego wnuka byle komu?

- Ale łatwo zgodził się pan na oddanie go.

- Słyszę nutę krytyki w twoim głosie. Droga Lucindo, naprawdę nie mogłem go zatrzymać. Adoptować dziecko w moim wieku? Muszę przecież myśleć o Annabelindzie. Jak wyglądałaby jej przyszłość, gdyby coś się wydało? Zostałaby uznana za kobietę upadłą, zanim by jeszcze zdążyła zaprezentować się światu. Nigdy nie wyszłaby odpowiednio za mąż.

- A może znalazłaby kogoś, kto by ją pokochał? Wtedy mogłaby zatrzymać dziecko przy sobie.

Pochylił się i pocałował mnie lekko w głowę.

- Kochana, mała Lucindo, widzisz świat oczyma niewinności. To urocze. Ale życie jest inne. Chcę jak najlepiej dla Annabelindy. Jest to piękna i pełna wdzięku dziewczyna. Żle by się stało, gdyby jej szansę zostały przekreślone już na starcie.

- A co z dzieckiem?

- Będzie miało najlepszy dom. Sama tak powiedziałaś. Choć muszę wyznać, iż niepokoi mnie nieco fakt, że znajduje się tak blisko szkoły.

- Czy boi się pan, że Annabelinda rozpozna swego syna?

- Wszystkie małe dzieci wyglądają podobnie. W miarę upływu czasu zmieniają się. Już w pierwszych tygodniach stają się inne. Przycho-
dząc na świat wyglądają jak zasuszeni staruszkowie, ale w ciągu kilku tygodni robią się pulchne i śliczne. Rozumiesz chyba, że musimy być bardzo ostrożni. Przekonałaś się na własnej skórze, jak niespodziewany zbieg okoliczności może postawić człowieka w niezręcznej sytuacji. Przypadkiem poznałaś tę kobietę, potem niechcący zobaczyłaś list. Kto mógł przewidzieć, że tak się stanie? I to w zwyczajny, naturalny sposób. Możesz być pewna, że długo się zastanawiałem, czy rozsądnie będzie umieszczać dziecko w pobliżu szkoły. Ale madame Rochere w niezwykle korzystnym świetle przedstawiła mi tę kobietę... Poza tym przybrana matka oczywiście nie wie, czyje jest dziecko.

— Zadał pan sobie bardzo wiele trudu, by zrobić to wszystko dla Annabelindy.

- Dla niej i dla honoru rodziny - odparł. - Honor znaczy bardzo wiele dla ludzi takich jak ja. Zresztą, może jesteśmy zbyt dumni i nieco zarozumiali... Mon Dieu, powinniśmy byli nauczyć się czegoś wtedy... wiele lat temu. Ale ludzie nie uczą się łatwo. Trochę tak, ale nie tyle, ile powinni. Teraz już wiesz, co się stało, i pokładam w tobie moje zaufanie. Trzeba zapomnieć o tym wydarzeniu. Jestem pewien, że dziecko znalazło się pod dobrą opieką... zdobędzie solidne wykształcenie, kiedy przyjdzie na to czas. Nie ma potrzeby martwić się o jego przyszłość. A ciebie proszę, kochana Lucindo, żebyś nigdy nie zdradziła nikomu tego, o czym się tu dowiedziałaś. Mam wielki szacunek dla twojej prawości. Wiem, że mogę polegać na tobie. Annabelinda jest kapryśna... trochę nieodpowiedzialna. Taki już ma charakter i nie zmienimy go. Nie pozwól, by się domyśliła, że znasz prawdę. Pomóż jej utrzymać mit. I proszę cię, błagam, nie mów jej, że dziecko wycho-

wywane przez Plantainów to jej synek. Chyba mogę ci zawierzyć honor mojej wnuczki, prawda Lucindo?

- Nikomu nie powiem - obiecałam. Położył swoją dłoń na mojej.
- Ufam ci — rzekł poważnie.

Siedzieliśmy w ciszy patrząc na białe łabędzie sunące z wdziękiem po jeziorze.

We wrześniu, po wakacjach, wróciłyśmy do La Piniere. Minął rok, odkąd po raz pierwszy ujrzałam szkołę. W głębi duszy dawno przestałam być naiwną dziewczynką, jaką byłam wtedy. Wiele nauczyłam się od tamtej pory. Choć dramatyczne wydarzenia ostatniego roku nie dotyczyły mnie bezpośrednio, tak blisko się o nie otarłam, że musiały wyrzeć na mnie wpływ.

Jean Pascal Bourdon kojarzył mi się z wszechmocnym bóstwem, decydującym o ludzkim życiu w sposób cyniczny, a jednocześnie wielkoduszny i przy tym wszystkim amoralny. Ale z drugiej strony, co zrobiłaby Annabelinda, gdyby nie on?

Często zastanawiałam się nad losem dziecka oddanego pod opiekę Marguerite Plantain. Chłopczyk nigdy nie pozna swojej prawdziwej matki i nie dowie się, ile kłopotu sprawił swoim przyjściem na świat. Miał zapewnioną dobrą opiekę, a potem — gdy nadejdzie odpowiedni czas - otrzyma staranne wykształcenie. Plantainowie będą regularnie otrzymywać czeki, nie mając pojęcia, skąd pochodzą pieniądze. Jednym pociągnięciem pióra Jean Pascal odmienił ich życie jeszcze bardziej niż życie Annabelindy. Za jakiś czas — byłam o tym święcie przekonana - Annabelinda wmówi sobie, że ów epizod w ogóle w jej życiu nie miał miejsca. Tymczasem obecność Edouarda będzie zawsze przypominać Plantainom o zmianie, jaką mu zawdzięczali.

Caroline orzekła, że zmieniłam się podczas wakacji.

— Bardzo spoważniałaś. Czy wiesz, że czasem mówię do ciebie, a ty nie odpowiadasz? Czy to wakacje miały taki wpływ na ciebie?

— Pewnie tak - odparłam krótko.

Annabelindę przyjęto w szkole z prawdziwym nabożeństwem, niemal z czcią. Wszystkie koleżanki były przekonane, że - jak ujęła to jedna z nich - Annabelinda została „wyrwana z paszczy śmierci”. A wiadomo, że każdy, komu się coś takiego przytrafiło, zasługuje na szczególny szacunek otoczenia.

Jak należało się spodziewać, Annabelinda wykorzystywała tę sytuację. Teraz była ważną osobą. Miała własny pokój. Choć madame Rochere zachowywała się dość powściągliwie w stosunku do niej — miałam wrażenie, że obserwuje ją bacznie - Annabelinda nic sobie z tego nie robiła. Znowu świetnie się bawiła. „To tak wygląda kara za grzech?” — myślałam, przypominając sobie jednocześnie poglądy głoszone przez Jeana Pascala.

To dziwne, ale wyglądało na to, że Annabelinda zupełnie zapomniała o ważnym w końcu wydarzeniu. Zapewne chciała wymazać tę historię z pamięci, a Annabelinda zawsze robiła to, co chciała. Ja nie mogłam zapomnieć. Poza tym było dziecko, które mi o wszystkim przypominało. Chłopcem byłam zachwycona. Nie mogłam oprzeć się pokusie i często odwiedzałam Plantainów. Przedtem przepadałam za towarzystwem mych szkolnych koleżanek, a teraz najczęściej pragnęłam uciec od nich i odwiedzić domki... sama. W ciepłe dni wózek niemal zawsze stał w ogródku. Marguerite dochodziła do siebie po przeżytej tragedii. Byłam pewna, że w znacznym stopniu zawdzięczała to małemu Edouardowi. Miała bzika na punkcie dziecka. Powiedziała mi kiedyś:

— Jacques zaczyna go kochać. Na początku przychodziło mu to z trudem. Chciał swego własnego dziecka. Ale Edouard podbija wszystkie serca, mały anioleczek.

85

Zdarzało się, że brałam Edouarda na kolana i szukałam podobieństwa do jego rodziców, ale nadaremnie. Był taki jak wszystkie dzieci.

Czasami szłam do ogrodu Plantainów i siadałam przy wózku. Patrząc na Edouarda myślałam o Annabelindzie i Carlu... o potajemnych schadzках w domku, takim samym jak ten należący do Plantainów... o wymykaniu się ze szkoły w nocy. Ależ ona była odważna! Wyobrażałam sobie, że to pierwsza z wielu przygód w jej życiu. To dopiero początek. I to jaki początek... danie nowego życia. Pewnie ani przez chwilę nie pomyślała w ten sposób, kiedy była z Carlem. A Carl? Tajemnicza postać. Nawet nie wie, że ma syna. Czyby się tym przejął? Jakiego pokroju był to człowiek? Widziałam go zaledwie dwa razy. Był ojcem dziecka i przyczyną wszystkiego, co się stało. To przez niego wezwany został do szkoły Jean Pascal. Zjawił się tu ze swoją cyniczną wiedzą o

życiu i dzięki umiejętności manipulowania ludźmi zapobiegł temu, by dziecko przekreśliło szansę Annabelindy na dobre małżeństwo.

Nic dziwnego, że czułam się starsza, powiedziałabym nawet trochę znużona życiem. W całkiem nowym świetle pokazano mi sprawy tego świata. Niby upłynął jeden rok, ale przybyło mi tyle doświadczenia, ile normalnie zdobywa się w ciągu kilku lat.

Życie szkolne toczyło się jak zawsze. Byłam teraz w wyższej klasie, w której jeszcze więcej czasu poświęcano sprawom towarzyskiej ogłady. Przybyło nam lekcji tańca, fortepianu, śpiewu i dobrych manier.

Uświadomiłam sobie, że czternaście lat to poważny wiek - czas, kiedy powinnam zacząć myśleć o przyszłości.

Szesnastoletnia Annabelinda, którą otaczała aura tajemniczości, stała dużo wyżej ode mnie w szkolnej hierarchii. Nie widywałyśmy się zbyt często podczas zajęć, a kiedy miałam trochę czasu dla siebie, wolałam samotnie wędrować do domku Plantainów.

Annabelinda nie miała pojęcia o celu moich wypraw. Z pewnością nic nie wiedziała o dziecku leżącym w wózek w ogrodzie w ciepłe dni. Pomyślałam sobie, że to wszystko jest dziwne i niepojęte, ale zarazem dodaje życiu pewnej pikanterii.

Nadeszło Boże Narodzenie. Jak zawsze ciocia Celeste odebrała nas ze szkoły. Noc spędziłyśmy w Valenciennes, a potem pojechałyśmy do domu. Wszystko odbyło się zgodnie z planem i tuż przed rozpoczęciem zimowego semestru znalazłyśmy się z powrotem w szkole. Do domu miałyśmy pojechać dopiero latem, gdyż podróż była za długa, by wyjeżdżać w przerwie międzysemestralnej. Na ferie otrzymałyśmy zaproszenie do Chateau Bourdon.

„Już niedługo - pisała moja matka - przyjedziesz do domu. Jak ten czas szybko leci!”

Wiedziałam, że nie jest zadowolona z mego pobytu w Belgii, choć ciocia Celeste zapewniała ją, że edukacja, jaką odbieram na pensji, jest na najwyższym poziomie, i sam fakt, iż będę władać kilkoma językami, stanowi naprawdę wielki atut dla młodej panny.

Moja matka zasadniczo zgadzała się z tym, ale jednocześnie podkreślała ciągle, że wolałaby, bym była bliżej domu.

W przerwie międzysemestralnej pojechałyśmy więc do chateau. Annabelinda była teraz dużo weselsza. Bardzo mnie to dziwiło. Czy nigdy

nie zastanawiała się, co się stało z jej dzieckiem? Przyszło mi do głowy, że może Jean Pascal powiedział jej, iż umarło po urodzeniu. W każdym razie nie pytałam jej o nic.

W chateau dużo jeździłyśmy konno. Objeżdżałyśmy winnice, jadłyśmy kolacje z gośćmi, których Jean Pascal i księżniczka nieustannie zapraszali. Często siadałam nad jeziorem i myślałam o tym, co wydarzyło się w ciągu tego roku.

Jean Pascal nigdy nie wspominał zeszłego lata. Nie dziwiło mnie to. Wyznawał przecież zasadę głoszącą, że jeżeli zapomina się o nieprzyjemnych rzeczach, to po pewnym czasie wydaje się, jakby w ogóle się nie wydarzyły.

Byłam zadowolona z powrotu do szkoły.

Częstym tematem conversazione była teraz wojna bałkańska.

Większość z nas uważała kwestię Bałkanów za szczególnie nudną, toteż zapanowała ogólna radość, kiedy ta okropna wojna wreszcie się skończyła. Sprawy polityczne były tematem nie kończących się dyskusji. Dowiedziałam się, że trwająca od roku wojna toczyła się między państwami bałkańskimi, do których należały Serbia, Bułgaria, Grecja i Czarnogóra z jednej strony, a Imperium Osmańskim z drugiej.

W maju 1913 roku państwa bałkańskie odniosły zwycięstwo. W Londynie podpisano traktat, w wyniku którego Imperium Osmańskie utraciło znaczną część swego terytorium w Europie.

- Dzięki Bogu, że już po wszystkim - odetchnęła z ulgą Caroline. — Nareszcie możemy zapomnieć o tych okropnościach.

- Moja droga Caroline - zwróciła jej uwagę panna Carruthers. - Opowiadasz głupstwa. Sprawy te nadal mają dla nas pierwszorzędne znaczenie. Rozumiem, że Bałkany wydają ci się bardzo odległe, ale należymy do Europy i cokolwiek dzieje się tam, może mieć wpływ również na nas. Wojna nikomu nie przynosi pożytku i kiedy sąsiednie państwo jest w nią zamieszane, trzeba bacznie śledzić rozwój wydarzeń. Nigdy nie wiadomo, kiedy nasz kraj może zostać wciągnięty do wojny.

Przyjemnie było jednak zapomnieć o wojnie i przystąpić do omawiania poszczególnych stolic Europy, między innymi Paryża, Brukseli i Rzymu. Bardzo lubiłyśmy czytać na ten temat. Z ożywieniem rozprawałyśmy o Lasku Bulońskim, kościele Inwalidów, Koloseum, galeriach sztuki we Florencji - zupełnie jakbyśmy bardzo dobrze znały te

miejsca. Czuliśmy się wówczas światowe, wykształcone i pewne siebie — przynajmniej tak nam się zdawało.

88

Kiedy wojna znowu wybuchła, rozległ się jęk rozczarowania. Serbia, Grecja i Rumunia weszły w konflikt z Bułgarią. Kwestię sporną stanowiły zdobycze terytorialne ostatniej wojny. Byliśmy wniebowzięte, kiedy Bułgaria szybko ustąpiła i znowu zapanował pokój.

Madame Rochere nadal jednak była zatroskana, podobnie jak i inne osoby z grona profesorskiego. Wyczuwało się napiętą atmosferę. A tymczasem lato zrobiło się wyjątkowo piękne, pogoda była wręcz wymarzona. Dni szybko mijały, zbliżał się koniec semestru i znów czekał nas powrót do domu. Ciocia Celeste zamierzała przyjechać po nas pierwszego sierpnia. Szkoła kończyła się ostatniego dnia lipca.

Na razie był koniec czerwca i do wyjazdu pozostał nam miesiąc. Razem z Annabelindą snułyśmy już różne plany. - W przyszłym roku o tej porze skończę wreszcie szkołę - powiedziała. - I zostanę wprowadzona w świat. Ciekawe, czy jest coś takiego we Francji? Muszę spytać dziadzia. Oczywiście, nie ma tu króla i królowej, więc to i tak nie byłoby to samo. Mój sezon na pewno odbędzie się w Londynie. Zobaczę króla i królową. Czy nie uważasz, że królowa Maria sprawia wrażenie trochę surowej?

Pomyślałam sobie wtedy: „Jak ona może w ogóle przejmować się takimi rzeczami? Czy nigdy, nawet przez chwilę, nie pomyślała o swoim dziecku?”.

Mały Edouard miał już prawie rok i nawiązywał z otoczeniem coraz lepszy kontakt. Raczkował i zaczynał stawać na nóżki. Udawało mu się także przejść bez pomocy kilka kroczków. Często siadałam naprzeciwko Marguerite i patrzyłam, jak stoi przy niej z twarzą rozjaśnioną zadowoleniem. Cieszyło go bardzo bieganie z jej ramion w moje, zwłaszcza kiedy odbywało się to bez upadku. Czujna Marguerite czekała, gotowa chwycić go w każdej chwili, gdyby zaszła taka potrzeba. Drobił niepewnie nóżkami i wpadał w moje objęcia. Klaskaliśmy wtedy w ręce, nagradzając jego sukces, a on składał maleńkie rączki i naśladował nasze gesty, promieniając dumą ze swoich wyczynów.

jeżeli zapomina się o nieprzyjemnych rzeczach, to po pewnym czasie wydaje się, jakby w ogóle się nie wydarzyły.

Byłam zadowolona z powrotu do szkoły.

Częstym tematem conversazione była teraz wojna bałkańska.

Większość z nas uważała kwestię Bałkanów za szczególnie nudną, toteż zapanowała ogólna radość, kiedy ta okropna wojna wreszcie się skończyła. Sprawy polityczne były tematem nie kończących się dyskusji. Dowiedziałam się, że trwająca od roku wojna toczyła się między państwami bałkańskimi, do których należały Serbia, Bułgaria, Grecja i Czarnogóra z jednej strony, a Imperium Osmańskim z drugiej.

W maju 1913 roku państwa bałkańskie odniosły zwycięstwo. W Londynie podpisano traktat, w wyniku którego Imperium Osmańskie utraciło znaczną część swego terytorium w Europie.

- Dzięki Bogu, że już po wszystkim - odetchnęła z ulgą Caroline.
- Nareszcie możemy zapomnieć o tych okropnościach.

- Moja droga Caroline - zwróciła jej uwagę panna Carruthers. - Opowiadasz głupstwa. Sprawy te nadal mają dla nas pierwszorzędne znaczenie. Rozumiem, że Bałkany wydają ci się bardzo odległe, ale należymy do Europy i cokolwiek dzieje się tam, może mieć wpływ również na nas. Wojna nikomu nie przynosi pożytku i kiedy sąsiednie państwo jest w nią zamieszane, trzeba bacznie śledzić rozwój wydarzeń. Nigdy nie wiadomo, kiedy nasz kraj może zostać wciągnięty do wojny.

Przyjemnie było jednak zapomnieć o wojnie i przystąpić do omawiania poszczególnych stolic Europy, między innymi Paryża, Brukseli i Rzymu. Bardzo lubiliśmy czytać na ten temat. Z ożywieniem rozprawialiśmy o Lasku Bulońskim, kościele Inwalidów, Koloseum, galeriach sztuki we Florencji - zupełnie jakbyśmy bardzo dobrze znały te miejsca. Czuliśmy się wówczas światowe, wykształcone i pewne siebie - przynajmniej tak nam się zdawało.

Kiedy wojna znowu wybuchła, rozległ się jęk rozczarowania. Serbia, Grecja i Rumunia weszły w konflikt z Bułgarią. Kwestię sporną stanowiły zdobycze terytorialne ostatniej wojny. Byłyśmy wniebowzięte, kiedy Bułgaria szybko ustąpiła i znowu zapanował pokój.

Madame Rochere nadal jednak była zatroskana, podobnie jak i inne osoby z grona profesorskiego. Wyczuwało się napiętą atmosferę. A tymczasem lato zrobiło się wyjątkowo piękne, pogoda była wręcz wymarzona. Dni szybko mijały, zbliżał się koniec semestru i znów czekał nas powrót do domu. Ciocia Celeste zamierzała przyjechać po nas pierwszego sierpnia. Szkoła kończyła się ostatniego dnia lipca.

Na razie był koniec czerwca i do wyjazdu pozostał nam miesiąc. Razem z Annabelindą snułyśmy już różne plany.

- W przyszłym roku o tej porze skończę wreszcie szkołę - powiedziała. - I zostanę wprowadzona w świat. Ciekawe, czy jest coś takiego we Francji? Muszę spytać dziadzia. Oczywiście, nie ma tu króla i królowej, więc to i tak nie byłoby to samo. Mój sezon na pewno odbędzie się w Londynie. Zobaczę króla i królową. Czy nie uważasz, że królowa Maria sprawia wrażenie trochę surowej?

Pomyślałam sobie wtedy: „Jak ona może w ogóle przejmować się takimi rzeczami? Czy nigdy, nawet przez chwilę, nie pomyślała o swoim dziecku?”.

Mały Edouard miał już prawie rok i nawiązywał z otoczeniem coraz lepszy kontakt. Raczkował i zaczynał stawać na nóżki. Udawało mu się także przejść bez pomocy kilka kroczków. Często siadałam naprzeciwko Marguerite i patrzyłam, jak stoi przy niej z twarzą rozjaśnioną zadowoleniem. Cieszyło go bardzo bieżenie z jej ramion w moje, zwłaszcza kiedy odbywało się to bez upadku. Czujna Marguerite czekała, gotowa chwycić go w każdej chwili, gdyby zaszła taka potrzeba. Drobił niepewnie nóżkami i wpadał w moje objęcia. Klaskałyśmy wtedy w ręce, nagradzając jego sukces, a on składał maleńkie rączki i naśladował nasze gesty, promieniając dumą ze swoich wyczynów.

To było wprost zadziwiające, ile radości dawało mi obcowanie z tym dzieckiem. Może działo się tak dlatego, iż wiedziałam, że to synek Annabelindy. Może dlatego był dla mnie taki ważny. Czułam, że należy do naszej rodziny. Bałam się dnia, kiedy będę musiała wyjechać na zawsze. Przecież mój pobyt w La Pinierze skończy się i nadejdzie chwila rozstania. Nie. Wrócę tu. Będę go odwiedzać od czasu do czasu... patrzeć, jak rośnie... Marguerite na pewno się ucieszy. Rozumie mnie doskonale. Czuje przecież to samo.

Edouard dał jej bardzo wiele. To on ukoił jej ból. Czasami myślałam nawet, że własnego dziecka nie mogłaby chyba kochać bardziej. Pewnego razu wróciłam od niej i kiedy weszłam do naszego pokoju, zastałam tam Caroline i Helgę.

- Późno wracasz — zauważyła Caroline. - Dlaczego zawsze wychodzisz sama?

- Lubię spacerować sama.

- Uciekasz od nas. To nieładnie.
- Uciekam od szkoły. Lubię... spacerować.
- A może masz ukochanego?

Zaczerwieniłam się myśląc o Annabelindzie wymykającej się na spotkanie z Carlem.

- Oj, chyba masz! — zapiszczała Caroline.
- Nie bądź głupia! Jakim cudem?
- Są sposoby. Niektórym się udaje.

Znów poczułam się niezręcznie. Czyżby domyślały się czegoś? Dlaczego zawsze musiałam czuć się winna z powodu Annabelindy?

- Chodźmy już - zmieniłam temat. - Spóźnimy się na conversazione.

Kiedy dotarliśmy do hallu, madame Rochere już czekała. Spojrzała na nas, jakby miała coś bardzo ważnego do zakomunikowania. Rzeczywiście tak było. Kiedy wszystkie usiadłyśmy, wstała i zaczęła mówić:

- Panienki, stała się rzecz poważna. Wczoraj w Sarajewie, które, jak wiecie, jest stolicą Bośni, następcą tronu Austro-Węgier arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego żona zostali zamordowani przez Serba nazwiskiem Gawriło Princip.

Najwyraźniej wiadomość ta nie zrobiła na uczennicach specjalnego wrażenia. Większość z nas myślała sobie: „Ojej, a już wydawało się, że skończyliśmy z tym nudziarstwem. Teraz wszystko zacznie się od nowa. Nie będzie rozmów o nowych tańcach i modzie, o wielkich miastach i rozrywkach. Czy nie dosyć tych dwóch wojen?”.

- To bardzo poważna sprawa - oświadczyła madame Rochere. - Wprawdzie wydarzenie to miało miejsce daleko stąd, ale może ono w zasadniczy sposób wpłynąć na nasze życie. Pozostaje czekać. Kto wie, co jeszcze się wydarzy.

Nadszedł lipiec. Wszystkie byłyśmy pochłonięte przygotowaniem do wyjazdu.

Odwiedziłam Marguerite i powiedziałam jej:

- Niedługo wyjadę na dwa miesiące.
- Po powrocie przekona się panienka, jak bardzo Edouard się zmieni — odparła.

Ciocia Celeste napisała, że przyjedzie do Valenciennes i w szkole zjawi się pierwszego sierpnia. Ciekawa byłam, czy Jean Pascal i księż-

niczka też będą w Valenciennes. Zawsze zatrzymywałyśmy się u nich na noc w drodze do domu.

Nie miałyśmy pojęcia, że tym razem powrót do Anglii będzie wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle.

Stosunki między Austro-Węgrami i Serbią znacznie się pogorszyły od zamordowania arcyksięcia Ferdynanda. W rezultacie dwudziestego ósmego lipca Austro-Węgry wypowiedziały Serbii wojnę.

Madame Rochere cały czas zachowywała niezwykłą powagę. Martwiła się, że wydarzenia owe nastąpiły w tak niesprzyjającym dla niej czasie. Jeszcze miesiąc i dziewczęta byłyby w swoich domach, a nie na pensji, powierzone jej opiece. My nie uświadamiałyśmy sobie wówczas grozy całej sytuacji. Dopiero po kilku dniach pojęłyśmy, co naprawdę się stało.

Obudziłam się rankiem pierwszego sierpnia z mieszanymi uczuciami. Tęskniłam do rodziców i do Charlesa, ale wiedziałam również, że będzie mi brakować Edouarda. To zadziwiające, jak bardzo przywiązałam się do dziecka, z którym właściwie nie było jeszcze normalnego kontaktu, które najwyżej uśmiechało się, kiedy brałam je na ręce, i gaworzyło niezrozumiale, co obydwie z Marguerite próbowałyśmy przełożyć na słowa. Smuciłam się nieuniknionym rozstaniem, a jednocześnie ciągnęło mnie do domu.

Podobnie jak większość dziewcząt obie z Annabelindą byłyśmy gotowe do wyjazdu. Niektóre koleżanki opuściły pensję już poprzedniego dnia.

Ranek ciągnął się w nieskończoność. Ciocia Celeste na ogół przyjeżdżała wcześniej i od razu ruszałyśmy do Valenciennes. Dziwiło nas, że teraz tak długo się nie zjawia.

Niepokojące było również to, że wszystkie dziewczęta z Anglii, które miały wyjechać tego dnia, znalazły się w identycznej sytuacji. Helga opuściła pensję parę dni wcześniej. Większość Francuzek też wyjechała bez przeszkód. Zaczęło do nas pomału docierać, że dzieje się coś niedobrego.

W szkole wyczuwało się coraz większe napięcie. Dziewczęta szeptały po kątach, snując najrozmaitsze przypuszczenia. Potem dowiedziałyśmy się, że Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji.

Również następny dzień upłynął bez żadnych wieści od cioci Celeste. Nie miałyśmy pojęcia, co się dzieje i dlaczego ciocia nie przyjeż-

dża. Pocięszalo nas jedynie to, że nie tylko nasze plany zostały pokrzyżowane przez jakieś tajemnicze siły.

Znów kilka dziewcząt wyjechało, ale nadal nie wiadomo było, co dzieje się z Celeste.

Trzeciego sierpnia Niemcy wypowiedziały wojnę Francji i wtedy dopiero zrozumiailyśmy, że sytuacja jest naprawdę poważna.

To był koszmarny dzień. W ogrodzie panował spokój, niezwykła wręcz cisza, a jednak w powietrzu unosiło się coś niedobrego. Kwiaty, owady, ptaki zdawały się czekać, podobnie jak my. Podświadomie czułyśmy, że ten spokój nie potrwa długo.

Po południu do szkoły przyjechał mężczyzna na motocyklu.

Do naszego pokoju wpadła Caroline. Właśnie wróciłam od Edouarda. Marguerite wyznała mi, że oboje z Jacquesem są bardzo niespokojni. Ona bała się Niemców.

- Jesteśmy tak blisko nich - powtarzała ciągle. - Zbyt blisko... Stano-
nowczo zbyt blisko.

Nawet Edouard zdawał się wyczuwać napięcie i był trochę rozdrażniony.

Dręczyły mnie różne wątpliwości. Już dawno powinnam być w domu. Odczuwałam coraz większy lęk i niepo-
kój.

Zdyszana Caroline wykrztusiła:

- Do madame Rochere przyszedł jakiś człowiek. Pytał o ciebie i Annę B. Przywiózł list czy coś takiego. Wyraźnie słyszałam, jak wymieniał twoje nazwisko.

- Gdzie on jest?

- U madame Rochere.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się mademoiselle Artois.

- Lucindo, proszona jesteś do gabinetu madame Rochere.

Wybiegłam w pośpiechu.

Przełożona siedziała jak zwykle za swoim biurkiem, naprzeciwko niej zaś żołnierz w brytyjskim mundurze. Wstał, kiedy weszłam, i przywitał się.

- Dzień dobry, panienko.

To jest sierżant Clark - przedstawiła gościa madame Rochere. - Przywiózł list od twoich rodziców. Ja też dostałam od nich wiadomość. Sierżant Clark podał mi list.

- Przeczytaj go od razu, proszę - powiedziała madame Rochere. Posłuchałam i skwapliwie przystąpiłam do czytania.

Najukochańsza Lucindo,

Wiesz już zapewne o niepokojach w Europie. Ciocia Celeste nie mogła tym razem po Was przyjechać, gdyż porty są zablokowane. Wszyscy bardzo martwimy się o Was i gorąco pragniemy, byście jak najszybciej znalazły się w domu.

Stryj Gerald zalał mi przekazanie tego listu. Wyśle kogoś Zaufanego, kto przywiezie Ciebie i Annabelinę do Anglii, gdyż mogłybyście mieć problemy z przejechaniem przez Francję. Człowiek ten nazywa się major Merrwale. Jak tylko będzie to możliwe, przyjedzie po Was do szkoły. Czekajcie na niego. Wuj Gerald uważa, że tak będzie najlepiej. W Europie jest naprawdę niebezpiecznie-

Oboje z ojcem bardzo niepokoimy się o Was, ale pociesza nas myśl, że dzięki staraniom stryja Geralda na pewno cało i zdrowo wrócicie do domu.

*Całuję Cię serdecznie, kochanie
Mama*

Było też kilka słów od ojca. Pisał, żebyśmy uważały na siebie i słuchały poleceń majora Merrivale'a, a wtedy szybko będziemy razem.

Charles również się dopisał: „Szczęściara. Jesteś tam, gdzie najlepsza zabawa. Charles”.

Podniosłam wzrok na madame Rochere. Przyglądała mi się uważnie.

- Twoi rodzice podjęli słuszną decyzję - powiedziała. - Wiem, że pułkownik Greenham jest twoim stryjem. Na pewno dołoży wszelkich starań, żeby zapewnić bezpieczną podróż tobie i Annabelindzie. Pozostaje czekać na przyjazd majora Merrivale'a. Bądźcie gotowe do wyjazdu, jak tylko się zjawi.

- Dobrze, madame Rochere.

Pożegnałam się z żołnierzem i podziękowałam mu. Potem popędziłam co tchu do Annabelindy i opowiedziałam jej o liście.

Tego wieczoru nadeszły kolejne zatrważające wieści. Niemcy napały na Belgię, a następnego dnia, czwartego sierpnia, Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom.

Minęły dwa dni. Większość dziewcząt już wyjechała. Na pensji pozostała panna Carruthers, która oświadczyła, że nie wyjedzie, dopóki wszystkie dziewczęta z Anglii nie opuszczą szkoły. Pociągi jednak kursowały bardzo nieregularnie.

Gdyby nie wiadomość o spodziewanym przyjeździe majora Merrivale'a, zapewne pojechałybyśmy do Valenciennes, co mogłoby zakończyć się tragicznie, gdyż Francja znajdowała się teraz w stanie wojny.

Największe niebezpieczeństwo groziło nam w związku z inwazją Niemiec na Belgię. Z drżeniem serca czekałyśmy, co się z nami stanie. Wiedziałyśmy, że Belgia jest bezbronna wobec potężnej armii niemieckiej. Nie trzeba nam było wcale mówić, że każdego dnia Niemcy coraz bliżej podchodzą pod Mons.

Nie oddalałyśmy się od szkoły, oczekując w każdej chwili przybycia majora Merrivale'a. Myślałam o tym, jak bardzo musieli się niepokoić nasi rodzice. Na pewno denerwowali się jeszcze bardziej niż my, gdyż nie mieli od nas żadnej wiadomości i nie wiedzieli, co się z nami dzieje.

Potem nadszedł ten straszny dzień. Już wcześniej docierały do nas pogłoski, że Niemcy zbliżają się w szybkim tempie. Nie byłyśmy pewne, czy wierzyć plotkom czy nie. Jednocześnie nie mogłyśmy opanować lęku, że obce wojska dojdą tu, nim przybędzie major Merrivale.

Byłyśmy z Annabelindą w ogrodzie, kiedy z nieba uderzył grom. Nigdy przedtem nie widziałam zeppelinów i w pierwszej chwili nie zdawałam sobie sprawy, co to takiego unosi się wśród chmur. Szybko miałam się naocznie przekonać.

Wielka, przypominająca ogórek latająca maszyna lśniła w blasku słonecznym tak, jakby zrobiono ją ze szczerzego srebra.

Unosiła się niemal idealnie nad naszymi głowami. Stałam nieruchomo przyglądając się jej i wtedy zobaczyłam, że coś spada. Nastąpił głośny wybuch i wstrząs, który powalił mnie na ziemię. Gdy podniosłam głowę, ujrzałam dym i płomień.

Po chwili do mojej świadomości dotarła przerażająca prawda. Bomba upadła w bezpośrednim sąsiedztwie domków.

Gardło miałam całkiem wyschnięte. Zaczęłam rozpaczliwie krzyczeć:

- Trafili w domki. Tam są ludzie. Plantainowie... dziecko!

Rzuciłam się biegiem w stronę ognia. Annabelinda usiłowała mnie powstrzymać.

- Nie podchodź tam! - krzyczała. - Mogą cię zranić. Odepchnęłam jej rękę. Usłyszałam swój krzyk:

- Tam jest dziecko!

Biegłam, ile sił w nogach. Zapomniałam o Annabelindzie. Myślałam jedynie o Plantainach i Edouardzie. Przed sobą widziałam płomienie. Dym gryzł w oczy, duszący zapach wypełniał nozdrza. Na niebie dojrzałam oddalający się sterowiec. Odlatywał, zostawiwszy swój śmiercionośny ładunek.

Tam, gdzie przedtem stał domek, leżał teraz stos gruzów i płonął ogień. Przez rozwalony mur wpadłam do ogródka. Wózek stał nietknięty, a w środku leżał Edouard.

Podbiegłam i zajrzałam do wózka. Malec uśmiechnął się na mój widok i zaczął gaworzyć radośnie.

Wyjęłam go z wózka i przytuliłam mocno.

- Bogu niech będą dzięki! — zawołałam na głos.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że płaczę. Stałam trzymając dziecko w ramionach. Edouard zaczął się kręcić. Było mu niewygodnie, bo za mocno go ściszałam, tak bardzo chciałam go pocieszyć.

Ze spokojem, który mnie samą zadziwił - w głowie miałam straszliwy zamęt - włożyłam go do wózka i zapięłam szelki. Potem, pchając wózek przed sobą, podeszłam do miejsca, w którym jeszcze niedawno stał domek. Szukałam Marguerite. Musiała tu gdzieś być. Nie mogła daleko odejść, przecież nie zostawiłaby dziecka.

- Marguerite — zawołałam — gdzie pani jest?! Odpowiedziała mi cisza.

Zbliżyłam się do stosu gruzów, jedynej pozostałości po domku. Widziałam płomienie pełgające gdzieniegdzie i nagle ogarnął mnie paniczny strach. Okropnie bałam się tego, co mogłam znaleźć.

Powinnam była wezwać pomoc. Chodzenie po gruzach mogło być niebezpieczne, należało kogoś sprowadzić. Najpierw jednak musiałam się upewnić, czy Marguerite tam jest.

Znalazłam ją. Jacques leżał obok i od razu zobaczyłam, że nie żyje. Wokół ust miał krew i pianę. Jego ubranie przesiąknięte było krwią, a

ciało wykręcone w nienaturalnej pozycji. Marguerite leżała przygnieciona ciężką belką.

- Marguerite! - zawołałam. Otworzyła oczy.

- Och, chwała Bogu! Zaraz sprowadzę pomoc. Wydostaniemy panią stąd.

- Edouard... — wyszeptała.

- Zdrow i cały. Nic mu się nie stało. Leży w wózku. Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

- Proszę mnie posłuchać, Marguerite - powiedziałam. - Pobiegnę do szkoły... zabiorę Edouarda. Sprowadzę pomoc. Zaraz ktoś panią wyciągnie.

- Jacques - wyszeptała. Odwróciła głowę w jego stronę. Domyśliłam się, że wie, iż on nie żyje. Dojrzałam wyraz jej oczu.

- Jacques - jęknęła. - Och, Jacques...

Nie wiedziałam, jak ją pocieszyć. Należało natychmiast sprowadzić pomoc. Niech ktoś przyjdzie i zdejmie belkę z jej ciała. Muszą ją zabrać do szpitala czy w inne bezpieczne miejsce. Jeśli w ogóle jest takie miejsce... To, co się tu stało, mogło znowu zdarzyć się w każdej chwili... każdemu z nas. Była wojna.

Podniosłam się, a ona otworzyła oczy.

— Niech panienka zostanie — poprosiła.

— Idę po pomoc, Marguerite. Potrząsnęła głową.

— Proszę zostać... Edouard...

— Jest bezpieczny — powiedziałam.

— Kto... się nim zajmie?

— Sprowadzę pomoc.

— Nie... nie... i tak już koniec. Wiem to. Czuję. Edouard...

— Jest bezpieczny - powtórzyłam.

— Kto się nim zajmie? - pytała uparcie.

— Pani, Marguerite. Wszystko będzie dobrze. Zobaczyłam zniecierpliwienie malujące się na jej twarzy.

— Panienko... — szepnęła. - Niech się panienka nim zajmie. Panienka też go kocha.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, o co jej chodzi, a ona po prostu myślała wyłącznie o Edouardzie. Wiedziałam, jakie plany snuła co do jego przyszłości, bo często o tym rozmawialiśmy. Dzięki przychodzącym regularnie czekom mogła kupować mu wszystko, czego potrzebo-

wał, rzeczy, o których do tej pory ani ona, ani Jacques nie mogli nawet marzyć. Tyle nadziei wiązała z Edouardem. Wybawił ją, kiedy była tak straszliwie nieszczęśliwa, zastąpił jej utracone dziecko, dzięki niemu miała dla kogo żyć. Poświęciła mu swoje życie, a teraz musi od niego odejść.

Cała uwaga Marguerite skupiła się na dziecku. Powiedziała, że dla niej nie ma ratunku. Jacques nie żył. Przed chwilą jeszcze mówił coś do niej, a sekundę później był już martwy. Wszystko przez tę przeklętą wojnę. Jak ci ludzie w sterowcu mogli zrobić coś takiego? Czy nie myśleli w ogóle o tym, jakie nieszczęście sprowadzają na Boga ducha winnych ludzi, których w ogóle nie znają?

Zaczęłam się podnosić.

- Muszę wezwać pomoc - przekonywałam ją łagodnie. - Nie ma chwili do stracenia. Przyjadą i wydostaną panią stąd. Zajmą się wszystkim.

- Nie, nie. Już po mnie. Niech panienka nie odchodzi... jeszcze nie. Edouard... co się z nim stanie? Oddali go. Płacili, ale pieniądze to nie miłość. Biedne dziecko. Biedne maleństwo. Kto je pokocha? Kto się nim zaopiekuje? Na pewno nie ci, co oddali... pozbyli się go.

- Dał pani wiele szczęścia, Marguerite...

- O, tak... i to ogromnego szczęścia. Moje dzieciątko najmilsze.... I co się z nim teraz stanie? Jest tylko jedna osoba na świecie... chciałybym, żeby był...

Znów starałam się ją uspokoić:

- Wszystko będzie dobrze. Zaraz ktoś przyjdzie. Sprowadzę pomoc.

Potrząsnęła głową.

- Panienka go kocha, a on kocha panienkę. Tak niewiele wie o tym świecie. Dla niego panienka oznacza bezpieczeństwo... panienka, ja i Jacques. Tylko jedno z nas. Przestraszyłyby się, gdyby nas wszystkich zabrakło. Jest taki malutki. Niech panienka go weźmie.

Pomyślałam, że zaczyna majaczyć. Potem uświadomiłam sobie, z jaką powagą wypowiada te słowa. Ścisnęła moją rękę. Spojrzałam jej w oczy. Wpatrywały się we mnie błagalnie.

- Panienko Lucindo, musi panienka to zrobić. To życzenie umiarkujące. Proszę mi to obiecać, a umrę szczęśliwa.

- Marguerite...
- Proszę go zabrać ze sobą. Koniecznie. Do Anglii. Tam jest bezpiecznie. Proszę wziąć moje dziecko. Musi panienka... Co się z nim stanie inaczej?
- Odnajdziemy ludzi, którzy go pani dali.
- Nie znam ich.
- Jest jakiś prawnik... sama pani mówiła.

Nigdy go nie widziałam. Pieniądze przychodziły regularnie, ale nie wiem skąd. Nie mam adresu. Oni go nie chcą. Nie kochają. Przecież oddali go. Gotowi są płacić, byle im nie przeszkadzał. Dla nich on nic nie znaczy... chcą o nim zapomnieć. To prośba konającej. Proszę mi obiecać. Ufam panience. Ma panienka dobrą matkę i dobrego ojca. Mówiła mi panienka o nich i słyszałam miłość w głosie panienki. Niech im panienka powie, że błagała umierająca kobieta. Matka panienki zrozumie. Niech panienka weźmie moje dziecko. Proszę zabrać małego Edouarda... proszę. Chcę umrzeć szczęśliwa.

Oddychanie przychodziło jej z coraz większym trudem. Co ja tu robiłam? Dlaczego nie biegłam po pomoc? Chyba dlatego, że w głębi duszy czułam, iż dla niej i tak nie ma ratunku. Umierała. Zdawała sobie z tego sprawę i ja wiedziałam o tym. Jej najgorętszym pragnieniem było uzyskanie ode mnie obietnicy, zanim będzie za późno.

- Lucindo... panienko Lucindo... — jej głos przeszedł w szept.

Pochyliłam się nad nią.

Proszę się nie martwić, Marguerite - powiedziałam cicho. - Wezmę Edouarda do Anglii. Wiem, że kiedy moja matka usłyszy, co się stało, na pewno się nim zajmie.

Ujrzałam na jej twarzy promienny uśmiech. Była teraz całkiem spokojna.

- Ale, Marguerite - dodałam - pani wyzdrowieje. Zaraz ktoś przyjdzie. Wezmą panią do szpitala.

Uśmiechała się. Cały czas trzymała w rękach moją dłoń.

Teraz pójde - powiedziałam. - Zabiorę Edouarda. Ma po nas przyjechać ktoś, kto zawiezie nas przez Francję do Anglii. Obiecuję, że Edouard pojedzie z nami. Proszę mi zaufać, Marguerite.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie całkiem przytomnie.

- Ufam panience. Wiem, że panienka dotrzyma słowa. Teraz umrę spokojnie.

Jej uścisk na mojej dłoni zelżał, oddech był coraz słabszy. Nagle... zrozumiałam, że właśnie umarła.

Wstałam. Wzięłam wózek i ruszyłam przez ogród w stronę szkoły.

W hallu zastałam madame Rochere z mademoiselle Artois, panną Carruthers i kilkoma służącymi. Zapadła nagle cisza, kiedy wprowadziłam wózek do środka.

Spojrzałam przełożonej prosto w oczy i powiedziałam spokojnie:

- Domek Plantainów został zburzony. Państwo Plantain nie żyją. Dziecko było w wózku w ogródku, nic mu się nie stało. Przywiozłam je tutaj. Zaopiekuję się nim.

Po raz pierwszy przemówiłam do madame Rochere takim tonem. Byłam zdecydowana na wszystko. Złożyłam umierającej kobiecie uroczystą obietnicę i miałam zamiar jej dotrzymać.

Madame Rochere była wyraźnie zaszokowana — podobnie jak wszyscy pozostali. Ku mojemu zdumieniu nie protestowała. Westchnęła tylko:

- Wkrótce nadejdzie pomoc. Biedni ludzie. Tak szybko... Zrobimy dla tego dziecka, co w naszej mocy.

- Ja się nim zaopiekuję - powtórzyłam. - On mnie zna. Z pewnością będzie tęsknił za panią Plantain. Musi zostać ze mną.

Nie zareagowała i bez słowa wyszła z hallu, mijając mnie. Wzięłam Edouarda na ręce i zaniósłam go do pokoju.

Ku mojemu zadowoleniu miałam go tylko dla siebie. Dziewcząt już nie było. Caroline też. Wyjechała pociągiem jadącym w stronę granicy francuskiej razem z kilkoma uczennicami z Anglii.

Do pokoju weszła panna Carruthers.

— Czy potrafisz zajmować się dziećmi? - spytała. - Może oddamy go pod opiekę pani Printemps. Ona będzie wiedziała, co robić.

Pani Printemps pracowała w kuchni. Była to pulchna kobieta w średnim wieku. Miała ośmioro dzieci. Pokręciłam przecząco głową.

- On mnie zna. Wystraszy się, gdy zobaczy obcą twarz. Obiecałam, że się nim zaopiekuję.

Uświadomiłam sobie wówczas, że złożenie uroczystej obietnicy wywarło na mnie niezwykły wpływ. Na temat dziecka wypowiadałam

się ze stanowczością, która robiła na wszystkich wrażenie i zmuszała do szacunku. Gdyby nie to, zapewne usłyszałabym uwagę, że mam przestać zachowywać się niemądrze i oddać dziecko pani Printemps.

A może to inni doznali szoku wskutek zetknięcia się z realnym zagrożeniem i stąd ta uległość? Naturalne w takiej sytuacji było pytanie: Dziś Plantainowie, a kto jutro?

Nikt nie próbował odebrać mi Edouarda na siłę. Położyłam go na łóżku i ułożyłam się obok niego.

— Edouardzie — powiedziałam — od tej chwili będziesz moim dzieckiem. Nie bój się. Mama pomoże mi zaopiekować się tobą. Ona dużo wie na temat dzieci. Zrozumie, kiedy powiem jej, że złożyłam uroczystą obietnicę pani Plantain, by mogła umrzeć spokojnie.

Potem leżałam nieruchomo, oplakując Marguerite Plantain, która kochała to dziecko. Edouard przyglądał mi się z powagą i wyciągnął paluszek chcąc dotknąć mojej łyzy. Wzięłam maleńką rączkę, ucałowałam ją i powiedziałam:

- Edouardzie, zawsze będziemy razem. Przy mnie będziesz bezpieczny.

Do pokoju weszła Annabelinda. Popatrzyła na nas.

- A to dopiero - stwierdziła kwaśno. - Czyś ty zwariowała?

— Co masz na myśli?

— Dziecko.

- Ono nie ma nikogo, kto mógłby się nim zająć. Plantainowie nie żyją... zabiła ich bomba. Obiecałam pani Plantain, że zabiorę go do Anglii.

— Co? Do Anglii? Nie pozwolą ci!

- Pozwolą.

- A madame Rochere? Na pewno się nie zgodzi.

- Będzie musiała, ponieważ tak postanowiłam. Ona nie ma tu nic do powiedzenia.

- A co z majorem Merrivale'em?

- Jeżeli zabierze mnie, to tylko razem z dzieckiem.

- Nie rozumiem cię, Lucindo. Ty chyba postradałaś rozum. Czy zdajesz sobie sprawę, w jak niezręcznej sytuacji jesteśmy?

- Owszem — usłyszałam swój własny głos. - I to bardziej zdaję sobie z tego sprawę niż ty.

- Co masz na myśli?

- Zabieram dziecko. Mam zamiar zaopiekować się nim. Ktoś musi. Jego prawdziwi rodzice porzucili go.

- Wiem. To oczywiście bardzo smutne. Ale on jest Belgiem. Ktoś stąd powinien się nim zająć. Tu jest jego miejsce. My mamy własne sprawy. Musimy dotrzeć do domu, nim będzie jeszcze gorzej.

- Nie tu jest jego miejsce — oznajmiłam wolno i dobitnie. Sama zdumiałam się ogromem złości, jaką czułam w tej chwili do wymuskanej, spokojnej, dbającej tylko o siebie Annabelindy. Nie panowałam dłużej nad sobą. Zapomniałam o obietnicy danej Jeanowi Pascalowi. Nic nie było ważne, oprócz troski o dziecko i gniewu na Annabelinę.

— Jego miejsce jest wśród nas — ciągnęłam wolno. — Z nami, z tobą... Chcesz go zostawić, bo dla ciebie jest ciężarem... tak samo, jak wtedy, gdy się urodził. Edouard jest twoim synem, Annabelindo. Odda-no go Plantainom, żeby ci nie marnować życia.

Zbladła gwałtownie, a potem do jej policzków napłynęła krew.

- Co... ty mówisz? - wyszeptwała.

W głowie miałam jeden wielki zamęt. Byłam potwornie zdenerwowana. Przeżycia tego dnia dotknęły mnie głębiej, niż się spodziewałam. Już nie kontrolowałam się dłużej.

Sprawy zaszły za daleko. Zresztą wcale nie byłam pewna, czy chcę nad sobą panować. Mówiłam dalej:

- Pokochałam Edouarda. Odwiedzałam go, zna mnie. Dowiedziałam się o wszystkim przypadkiem. Wiem, że nie byłaś chora i że musiałaś wyjechać, ponieważ spodziewałaś się... dziecka Carla. Twój dziadek i księżniczka załatwili wszystko. Zapłacili Plantainom za opiekę nad Edouardem po to, by nikt nie dowiedział się o twojej... nieostrożności. Żebyś mogła dobrze wyjść za mąż, a potem żyć długo i szczęśliwie, jakby Edouard w ogóle nie istniał. Ale on istnieje. Nie możesz przestawiać ludzi z kąta w kąt tylko z tego powodu, że ci utrudniają życie. Edouard jest twoim synem. Został sam na świecie. Jestem pewna, że twój dziadek znalazłby kogoś innego, kto by się nim zaopiekował, i sownie by mu za to zapłacił. O, tak, na pewno by tak zrobił. Ale Edouard jest żywą, ludzką istotą. Utracił tę, którą kochał... która była dla niego matką. Ma teraz tylko mnie i zamierzam się nim zająć.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Nie możesz się wtrącać... - wyjąkała. - Nie bierze się dzieci tak po prostu.

- Mogę. Edouard pojedzie ze mną do Anglii.

- A co będzie... jak tam wrócimy?

Poczułam litość. Była przerażona, a rzadko zdarzało mi się widzieć Annabelinę w takim stanie. Złagodniałam nieco. Złamałam daną obietnicę i czułam wstyd z tego powodu, a z drugiej strony pytałam zuchwale samą siebie, z jakiej racji mam być cicho? Dlaczego Annabelinda ma nie wiedzieć, kim jest Edouard? Bezbronne dziecko leżące na łóżku, patrzące to na mnie, to na nią, było przecież jej rodzonym synem!

A ja czułam się tak, jakby było moim. Annabelinda nigdy nie da mu miłości i czułości, jakiej on potrzebuje.

Mój gniew z wolna opadał. Zawsze tak na mnie oddziaływała. Taka już była ta kapryśna Annabelinda i cokolwiek zrobiła, nie zmieniało to moich uczuć w stosunku do niej.

Byłam dużo spokojniejsza. Burza powoli mijała. Teraz należało naprawić wszystkie szkody, jakie wyrządziłam łamiąc dane słowo.

- Posłuchaj, Annabelindo. Przypadkiem dowiedziałam się prawdy. Wiem, że dziadek i księżniczka wysłali cię do szpitala w Bergerac. Tam urodziło się dziecko. Madame Rochere była wtajemniczona we wszystko, zresztą wiedziała od początku. Nie chciała żadnego skandalu w szkole, więc twój dziadek znalazł w niej sprzymierzeńca. Pani Plantain właśnie straciła dziecko i madame Rochere pomyślała, że nadarza się świetna okazja. Na pewno jakieś wątpliwości budziło umieszczenie Edouarda tak blisko ciebie. Jednak domki położone są w pewnej odległości od szkoły, a ty miałaś tu zostać jeszcze tylko przez rok. Wydawało się więc, że jest to idealne rozwiązanie. I tak by się stało. Odkryłam twój sekret, ponieważ znałam Plantainów. Zostałam dopuszczona do tajemnicy. Nie przejmuj się, nigdy w życiu nikomu bym jej nie zdradziła. Ale przyszła wojna i wszystko się zmieniło. Postanowiłam, że zabiorę Edouarda do domu. Moja matka mi pomoże.

- Powiesz jej...

- Że jego przybrani rodzice zginęli. Że znałam ich, przywiązałam się do dziecka i nie mogłam go tak zostawić. Wszystko będzie w po-

rządku. Zostanie moim bratem. Moim i Charlesa. Wiem, że mogę liczyć na rodziców.

- Nie mów im prawdy, Lucindo. Obiecuj, że nie powiesz.

- Nic nie obiecuję. Ale powiem im tylko wtedy, kiedy będzie to absolutnie konieczne.

- Nikt... nie może się dowiedzieć. To byłoby straszne!

- Nikomu nie powiem. Teraz wyrwało mi się... ale to tylko przy tobie.

- Nie wiedziałam, że to moje dziecko.

- Ja tak. Umowę z Plantainami załatwili w imieniu twego dziadka prawnicy.

- Och, Lucindo! Co za potworność! A myślałam, że to już zamknięta sprawa! Cóż za straszliwy pech!

Patrząc na nią nie mogłam powstrzymać gorzkiego uśmiechu. Jej sekret nie wydałby się, gdyby nie wojna. Przyszedł mi na myśl Jacques Plantain leżący wśród gruzów własnego domu. Pomyślałam o ostatnich chwilach życia Marguerite, dla której w takim momencie liczyło się jedynie dobro ukochanego dziecka. To wszystko Annabelinda określiła jako „straszliwy pech”.

Cóż, taka właśnie była Annabelinda. Widziała tylko to, co dotyczyło ją bezpośrednio. Może wszyscy tak robili? Może nie powinnam była myśleć źle o Annabelindzie?

Głośno powiedziałam:

- Co się stało, to się nie odstanie. Czeka nas daleka droga. Edouard znajdzie dom u moich rodziców. Znam moją matkę. Przyjmie go z otwartymi ramionami. Przekonam ją, że nie miałam wyjścia i nie mogłam zostawić go na pastwę losu.

- Więc nikt nie musi nic wiedzieć - powiedziała z ulgą Annabelinda.

— Przywieziesz dziecko, które straciło rodziców podczas nalotu w Belgii. Nie chciałaś go zostawić...

- Tak wygląda prawda, czyż nie? Pokiwała głową.

- Lucindo, jeżeli kiedykolwiek wyda się...

- Nie — zapewniłam ją.

- Zawsze byłaś moją najlepszą przyjaciółką. Jesteśmy sobie bliskie pomimo...

- Tak, Annabelindo, to prawda. Chcę ci pomóc. Zachowałam się bardzo lekkomyślnie wobec tego młodego człowieka.

- Wiem.

- Ale to już minęło. Musimy zapomnieć. Zabierzemy dziecko do domu. Jestem pewna, że wszystko pójdzie gładko. Moi rodzice nie będą mieli obiekcji. Przekonam ich, jak ważny jest dla mnie Edouard. W tych okolicznościach nie nabiorą podejrzeń. Jest przecież wojna. Na pewno będzie dobrze, Annabelindo.

Padła mi w ramiona i przytuliła mnie mocno. Dziecko zapiszczało radośnie, jakby uznało tę scenę za bardzo zabawną.

Podeszłam do łóżka i wzięłam Edouarda na ręce.

- Popatrz, Annabelindo. Czyż nie jest rozkoszny? Spoglądali na siebie dość niepewnie.

- Siadaj - zakomenderowałam. Zrobiła to, a wtedy położyłam go na jej kolanach. Przyglądał się jej z ciekawością. Potem nagle zaczął popłakiwać. Odwrócił się od niej i wyciągnął rączki w moją stronę.

Exodus

Późnym rankiem następnego dnia do La Piniere przybył major Merivale.

Od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałam, nabrałam otuchy. Na wszystkich wywierał podobny wpływ. Miał w sobie coś, co się rzadko spotyka. Wzbudzał wyjątkowe zaufanie i już samym swoim przybyciem zmienił całkowicie atmosferę. Sposób bycia majora zdawał się świadczyć o tym, że jego sprawy są w należyтым porządku i że zaraz doprowadzi do porządku sprawy innych. Najpierw rzucał się w oczy jego wysoki wzrost - major liczył ponad sześć stóp. Rysy miał może niezbyt regularne, ale miłe dla oka, jego twarzy nie opuszczał ani na chwilę wyraz uprzejmości, a w brązowych oczach pojawiały się co jakiś czas wesołe błyski. Kojący wpływ, jaki miał na otoczenie, to było dołądnie to, czego potrzebowałyśmy w tych trudnych dla nas chwilach.

Madame Rochere odetchnęła z ulgą. Niepokoiła się, że nasz pobyt w La Piniere przedłuża się, a w dodatku nie wiadomo było dokładnie, jak blisko podeszli już Niemcy. Tymczasem wybawca, który po nas przybył, wzbudzał zaufanie. W tych niepewnych czasach było to prawdziwym błogosławieństwem.

Major przyjechał wojskowym samochodem.

- Nazywam się Merrivale - zaanonsował od progu. - Chyba uprzedzono panie o moim przyjeździe?

Usłyszawszy donośny głos, wszystkie natychmiast zbiegłyśmy do hallu. Naprawdę niecierpliwie wyczekiwałyśmy jego przybycia.

Madame Rochere powiedziała:

- Ależ oczywiście, czekamy na pana. Wszystko jest już gotowe do drogi. Panienki mogą wyruszyć, kiedy tylko pan sobie zażyczy. Mam nadzieję, że zechce się pan nieco posilić przed podróżą. Zaraz zostanie podany lunch. Każę zawołać dziewczęta.

Nie było potrzeby, gdyż byliśmy już na dole. Podeszłam do majora.

- Jestem Lucinda Greenham. A to Annabelinda Denver. Ujął moją rękę i uśmiechnął się życzliwie. Sprawił mi tym ogromną przyjemność. Od razu wzbudził moje zaufanie. W ogóle przestałam się bać. Wiedziałam, że wkrótce powinniśmy być w domu.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział. — Drogi są nieprawdopodobnie zatłoczone. Ludzie wiedzą, że nieprzyjaciel się zbliża.

Annabelinda uśmiechnęła się do niego, a on ujął z kolei jej rękę, podobnie jak przedtem moją.

- Cieszę się, że wreszcie do pań dotarłem. Kiedy możemy ruszać?

- Pani Printemps poda zaraz lekki lunch — odparła madame Rochere. - Potem może pan od razu jechać, majorze. Większość służących już nas opuściła. Bali się nadejścia Niemców. Będą się starali przekroczyć granicę.

Pokiwał głową.

- Tak jak wszyscy.

Do hallu weszła panna Carruthers.

- Panno Carruthers, to jest major Merrivale - przedstawiłam gościa nauczycielce.

- Miło mi - odparła. - Witam pana. To pan ma zabrać dziewczęta do domu. Zastanawiam się, czy... — zaczęła i zawałała się. - Widzi pan, ja też muszę jakoś dostać się do Anglii. Nie chciałam wyjeżdżać, dopóki obie panny tu były... i oczywiście nie bardzo wiedziałam, jak dotrzeć na wybrzeże.

- Chciałaby pani pojechać z nami? - spytał major z uśmiechem. - Ależ oczywiście. Jest mnóstwo miejsca.

Na twarzy panny Carruthers pojawił się wyraz radości i ulgi. Zauważyłam, że obecność majora podziałała na nią tak samo jak na nas.

- Doskonale - zabrała znów głos madame Rochere. - Panienki są gotowe. Zaraz zostanie podany dejeuner... A potem w drogę. Na razie proszę do jadalni.

Wszyscy ruszyliśmy za nią. Szłam obok majora. Po drodze wyznałam mu:

- Muszę pana uprzedzić, że będziemy wieźć dziecko. Odwrócił się i spojrzał na mnie. Miał charakterystyczny

sposób unoszenia brwi. Wyglądał jeszcze przystojniej i utwierdził mnie w przekonaniu, że potrafi wiele zrozumieć.

- Jakie dziecko? — spytał.

- Domki w pobliżu szkoły zostały zbombardowane. Mieszkające tam małżeństwo zginęło. Ocalało jedynie dziecko. Znałam ich, bywałam u nich. Przyniosłam je tutaj.

- I chce pani zabrać dziecko ze sobą?

- Muszę. Dałam słowo umierającej matce...

- Rozumiem. Obiecała pani, że zajmie się pani jej dzieckiem. Czy umie pani się nim opiekować?

- Och, tak. Nie ma pan nic przeciwko temu? Roześmiał się.

- Osobiście raczej nie nadaję się na niańkę. Ale jestem pewien, że będą panie wiedziały, co się robi z małym dzieckiem.

Ja również się roześmiałam. Pomyślałam, że jest cudowny. Odwróciłam głowę, chcąc ukryć moje uczucia, a on spokojnie wziął mnie pod ramię.

Był nie tylko mądry i miły, lecz także sporo rozumiał.

Po posiłku nasze bagaże zostały załadowane do wojskowego samochodu i wkrótce jechaliśmy już w stronę granicy.

Bardzo szybko znaleźliśmy się w niesamowitym tłoku. Zdawać się mogło, że cała ludność Belgii zapragnęła nagle wydostać się z kraju. Był to żalony widok — najbardziej wryły mi się w pamięć przerażone, zdezorientowane twarze i najróżniejsze środki lokomocji. Ludzie jechali na rowerach bądź szli na piechotę wioząc swój dobytek na taczkach, i przyświecało im jedno: uciec, zanim dogoni ich wroga armia.

Major Merrivale znakomicie panował nad sytuacją. Siedział za kierownicą, a Annabelinda postarała się o to, by zająć miejsce koło niego. Panna Carruthers i ja z Edouardem siedzieliśmy z tyłu.

Major prawie cały czas podtrzymywał rozmowę. Powiedział, że armia brytyjska już wyruszyła do Francji.

— Niedługo przepędzimy stąd Niemców — pocieszał nas. - Najpierw jednak musimy się trochę przygotować. Działamy w pośpiechu, podczas gdy Niemcy szykowali się do wojny od lat. Kajzer dążył do niej za wszelką cenę. Od dawna szukał z nami zwady... właściwie odkąd wysłał telegram gratulacyjny do Krugera w związku z wojną burską^{*}. ¹Najwyższy czas dać mu nauczkę. Czy paniom wygodnie jest z tyłu?

— O tak, dziękujemy — odparłyśmy obie.

— A monsieur Edouard?

— W pełni usatysfakcjonowany. Uważa to wszystko za bardzo zabawne.

— Mądre dziecko. Ma właściwe podejście.

— To na pewno nie jest zabawne dla ludzi opuszczających domy - zauważyłam.

— Nie na długo je opuszczają — odparł pocieszająco major. - Niedługo będą wracać.

— Jak pan myśli, majorze, kiedy Niemcy dotrą do Mons? — spytała panna Carruthers.

- Trudno przewidzieć, ale jeżeli będą posuwać się w dotychczasowym tempie, to sądzę, że w ciągu tygodnia.

- Czy jest aż tak źle?

- Och, to było podłe z ich strony... napadać na kraj, który nie ma nic wspólnego z wielką polityką, tylko po to, żeby zająć pozycję blisko rzeczywistego wroga. Biedna, mała Belgia... Kompletnie pozbawiona środków obrony. Trudno. Niedługo Niemcy pożałują, że w ogóle zaczęli tę wojnę.

¹ * 4 stycznia 1896 roku cesarz Wilhelm wysłał depeszę gratulacyjną do Paula Krugera, prezydenta Transwalu, gratulując mu zwycięstwa nad Anglikami (przyp. tłum.).

- Jest pan bardzo pewny siebie - powiedziałam.

- Zawsze, taki byłem. Czasem myślę się, ale zawsze przyjemniej jest wierzyć, że wszystko dobrze się zakończy... nawet jeżeli tak w końcu nie jest. Więc widzi pani, nie jest to takie najgłupsze podejście.

- Myślę, że to właściwe podejście - uśmiechnęła się wdzięcznie Anabelinda.

Odpowiedział jej uśmiechem. W duchu pomyślałam: „Uważa ją za atrakcyjną. I ma rację. Ona właśnie taka jest”.

- To kwestia zapatrywań - zabrała głos panna Carruthers. - Wszystko w życiu ma złe i dobre strony. Ale ma pan sporo racji, że warto być optymistą. Oczywiście pod warunkiem, że jest się przygotowanym na konfrontację z prawdą, gdy przypuszczenia okażą się błędne.

- Aha! - wykrzyknął major żartobliwie. - Mamy wśród nas filozofa, a może Sybillę.

- Zgadza się - roześmiała się panna Carruthers. - Na imię mam Sybil.

Major wybuchnął swoim zaraźliwym śmiechem. Wszystkie zawtórowaliśmy mu, a najgłośniej śmiała się panna Carruthers.

Pomyślałam wtedy: „Oto jesteśmy w niepewnej sytuacji, w okolicznościach tragicznych dla wielu ludzi, a jednak są chwile, kiedy potrafimy się śmiać i czujemy się naprawdę szczęśliwi”.

I tak podążaliśmy ku granicy. Nie rozstałam się z Edouardem. Nikt nie sprzeciwił się zabraniu go. Panna Carruthers zachowywała się zupełnie inaczej niż w szkole. Annabelinda puściła w niepamięć przykrą scenę, jaka się między nami rozegrała.

Wszystko dzięki majorowi.

Zanim przekroczyliśmy granicę, zapadł wieczór.

Major Merrivale powiedział nam, że ma na imię Marcus i że nie widzi powodu, dla którego miałybyśmy się dalej bawić w konwenanse. Zaproponował, żeby od tej chwili opuszczać słowo „major” i zwracać się do niego po imieniu.

- To szczególna chwila, czyż nie? Długo będziemy pamiętać tę podróż. Czy zgadzacie się panie ze mną?

Zgodziłyśmy się całym sercem.

- Myślę, że młody człowiek na tylnym siedzeniu niebawem zacznie się zastanawiać, dlaczego nie dajemy mu pospać.

- Prawdę mówiąc - odparłam - wspomniany młody człowiek pogrążony jest w głębokim śnie, więc jestem pewna, że nad niczym takim się nie zastanawia.

- Jednakże noc powinien spędzić w bardziej godziwych warunkach. Myślę, że wszyscy zasłużyliśmy na to, tym bardziej, że nie ma już potrzeby tak się śpieszyć. Poszukam gospody, w której moglibyśmy zatrzymać się na noc.

- Świetny pomysł - powiedziała Annabelinda. Wszyscy zgodziliśmy się z nią.

- Jest takie miejsce niedaleko St. Armand. Może tam spróbujemy - zaproponował major.

- Widzę, że doskonale znasz te okolice - zauważyła Annabelinda.

- Przestudiowałem wcześniej mapę i naradziłem się z kolegą, który zna je naprawdę dobrze. Polecił mi gospodę o nazwie „Le Cerf”, czyli „Jelonek”. Brzmi sympatycznie, prawda? Jest to typowa wiejska oboźna. Może spróbujemy tam? Na zewnątrz prawdopodobnie będzie wisiał szyld wyobrażający to miłe stworzenie. A jeśli nie będzie miejsc, to na pewno znajdziemy coś innego.

Ruch na drogach był mniejszy niż w Belgii, co mnie bardzo ucieszyło. Widok tych biednych ludzi opuszczających swoje domy był naprawdę przygnębiający. Liczyłam w duchu na to, że są już bezpieczni za granicą... i że wkrótce będą wracać do siebie.

Odnaleźliśmy gospodę „Le Cerf”. Mieściła się w sporym budynku, a w otaczającym go ogrodzie stały stoły i ławy. Właściciel okazał się człowiekiem nad wyraz rozmownym. Przywitał nas wylewnie, zapewne głównie ze względu na obecność Marcusa, żołnierza armii brytyjskiej, a więc sojusznika.

Dostaliśmy trzy pokoje - w jednym ulokował się major, w drugim panna Carruthers, a Annabelinda i ja z Edouardem w trzecim. Zaraz po przybyciu poszliśmy do naszych pokoi umyć się i odświeżyć, po czym mieliśmy się spotkać się na dole.

W naszym pokoju stały dwa łóżka. Od razu zajęłam się Edouardem. Na górę przyniesiono dla niego trochę zupy i mlecznego puddingu. Nakarmiłam go, przygotowałam mu posłanie i wkrótce smacznie zasnął.

Annabelinda tymczasem zajęła się swoją toaletą. Kiedy ja usypiałam Edouarda, ona siedziała przed lustrem i przyglądając się swojej twarzy, powiedziała z zadowoleniem:

— To dopiero przygoda.

— Rzeczywiście. Wiele się dzieje.

— Niebawem wrócimy do domu. Zastanawiam się, czy będziemy widywać majora Merrivale'a.

— Może nas odwiedzi. Na pewno dobrze zna stryja Geralda.

— Oczywiście. To przecież twój stryj powierzył mu zadanie przywiezienia nas. Romantyczne, prawda? — zaśmiała się.

— Mów ciszej, Annabelindo. Edouard właśnie zasypia.

— W takim razie zejść na dół. Przyjść, jak będziesz gotowa.

- Dobrze. To może chwilę potrwać. Muszę poczekać, aż na dobre zaśnie. Nie chciałabym, żeby obudził się w obcym miejscu i przestraszył się, że jest sam.

Wyszła bardzo skwapliwie.

Nasze przygody zachwyciły ją głównie z powodu obecności majora Merrivale'a. A ja właściwie podzielałam jej euforię. Wkrótce miałyśmy dotrzeć do Anglii. Bardzo tęskniłam do rodziców. Matka będzie wiedziała najlepiej, jak zajmować się Edouardem i na pewno zrozumie, jak bardzo jest dla mnie ważny. Jakie to szczęście mieć takich rodziców!

Potem zaczęłam się zastanawiać, czy major Merrivale złoży nam wizytę. Doszłam do wniosku, że na pewno tak!

Tego wieczoru byłam niezwykle optymistycznie nastawiona do życia. Powtarzałam sobie w duchu, że to dlatego, iż dzięki opiece majora Merrivale'a niedługo będziemy w domu.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Do pokoju weszła panna Carruthers. Śmiesznie było myśleć o niej „Sybil”.

- Pomyślałam, że zajrzę i zobaczę, jak radzisz sobie z dzieckiem.

Ruchem głowy wskazałam Edouarda.

- Właśnie zjadł trochę zupy i puddingu. Już śpi. Wygląda na całkiem zadowolonego z życia.

Panna Carruthers podeszła bliżej i przyjrzała mu się.

- Biedne maleństwo.

- Dołożę wszelkich starań, żeby był szczęśliwy.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Lucindo.

Byłam zdumiona. Nie spodziewałam się takiego komplementu ze strony surowej panny Carruthers. Ale tego dnia wszystko wyglądało inaczej. I miało to związek z majorem Merrivale'em. To on wywierał na wszystkich taki wpływ.

- Jakież to uroczy człowiek, ten major - stwierdziła panna Carruthers. — Z niczego nie robi problemu. A jednocześnie tak bardzo potrafi dać otuchy.

W pełni się z nią zgadzałam. Kiedy schodziłyśmy do bawialni, powiedziałam:

— Niedługo wrócę na górę sprawdzić, co z Edouardem. Nie wiadomo, jak to wszystko się na nim odbije. Lepiej, że jest taki malutki. Starszemu dziecku trudniej byłoby znieść podobną tragedię.

- Racja, na szczęście jest za mały, żeby rozumieć, co się dzieje. Wiadac jednak, że jest bardzo przywiązany do ciebie i że przy tobie czuje się bezpiecznie.

- Będzie mu brakować pani Plantain.

- Na pewno odczuje brak matki. Moja kochana Lucindo, wzięłaś na siebie niełatwe zadanie.

— Moja mama mi pomoże. Jest cudowna i z pewnością będzie wiedziała, co robić.

- Bardzo chciałabym ją poznać.

- Ależ oczywiście, koniecznie. Gdzie pani mieszka w Anglii?

Przez chwilę milczała.

— Widzisz — powiedziała wreszcie — podczas wakacji zatrzymuję się u kuzynki. Jak zwykle miałam zamiar spędzić tam dwa miesiące po zakończeniu roku szkolnego. Ale teraz nie wiadomo, jak przyszłość się ułoży.

- Czy myśli pani, że wrócimy do szkoły w następnym semestrze?

Popatrzyła ponuro przed siebie i potrząsnęła głową.

— Mam przecucie, że wojna nie skończy się tak prędko. A ile strat i nieszczęścia przyniosą Niemcy temu biednemu krajowi! Zabili Plantainów i zniszczyli ich dom. Takie rzeczy dzieją się teraz w całej Belgii. Boję się, Lucindo, że sytuacja staje się coraz bardziej niepewna. No, chodź... czekają na nas.

W bawialni Annabelinda z ożywieniem opowiadała coś majorowi Merrivale'owi, a potem oboje roześmieli się.

— Strasznie długo cię nie było — zwróciła się do mnie z wyrzutem Annabelinda. - Umieram z głodu.

— Lucinda musi zajmować się dzieckiem — powiedziała panna Carruthers strofującym tonem.

- Ach, ta nasza Lucinda! Jest niezastąpiona, prawda, Marcusie?

- O tak, to widać.

Tymczasem oberżysta powiadomił nas, że kolacja zaraz zostanie podana. Przeszliśmy więc do jadalni. Siedziało tam dwoje ludzi. Byli młodzi, nie wyglądali na więcej niż dwadzieścia lat.

Mężczyzna spojrzał na nas i powiedział grzecznie:

- Dobry wieczór.

Dziewczyna nie odezwała się.

Po chwili żona oberżysty wniosła gorącą zupę, a następnie zimną wołowinę i pieczone ziemniaki w mundurkach.

Marcus Merrivale cały czas zabawiał nas rozmową. W chwili kiedy kończyliśmy wołowinę, dziewczyna wstała i wybiegła z jadalni. Młody człowiek wyszedł za nią.

— Ciekawe, o co poszło — zainteresowała się Annabelinda. - Dziewczyna była wyraźnie wzburzona.

— W tych czasach nie brakuje powodów do zmartwień — zauważyłam.

Po paru minutach młody człowiek wrócił do jadalni. Sprawiał wrażenie zażenowanego. Spojrzał na nas przepaszająco.

— Czy możemy panu w czymś pomóc? — spytał uprzejmie major.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, gdyż właśnie została wniesiona szarlotka.

— Może zechce pan się do nas przysiąść? - odezwał się znów major. — Zawsze miłsze to niż jedzenie w samotności.

— Dziękuję, chętnie — odparł młodzieniec. Był wyraźnie wdzięczny za zaproszenie. Zrobiliśmy mu miejsce przy stole, a on przyniósł swój talerz i usiadł z nami.

Miał w sobie coś rozbijającego. Wyglądał bardzo młodo i najwyraźniej był czymś przygnębiony. Kiedy usiadł, zauważyłam, że nie ma połowy małego palca.

Zawstydziłam się, gdyż spostrzegł, że patrzę na jego dłoń. Powiedział:

- To moja własna wina. Bawiłem się fajerkami.
- To straszne!
- Jeden moment nieuwagi i zostaje pamiątka na całe życie.
- Na szczęście prawie nie widać. Uśmiechnął się do mnie żałośnie.
- Ale pamięta się o tym.
- Niepotrzebnie.
- Zawsze jest się bardziej świadomym własnej ułomności, niż postrzega to otoczenie. - Uśmiechnął się smutno i mówił dalej: — Spotkało nas wielkie nieszczęście, moją siostrę i mnie. Straciliśmy dom i rodzinę. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Byliśmy wszyscy razem, jak zawsze, i nagle... domu nie ma, rodzice nie żyją...

- Takie nieszczęścia zdarzają się teraz w całej Belgii — powiedział współczująco major.

- Wiem. Ale to, że inni cierpią, nie łagodzi naszego bólu.
- Dokąd państwo jedziecie? — spytał Marcus.
- Chcę wstąpić do armii francuskiej, ale boję się o Andree.

Widzi pan, ona nie ma nikogo...

- Skąd państwo jesteście? - spytał Marcus.
- Mieszkamy pod Charleroi. Całe życie tam mieszkaliśmy, a teraz... Już od jakiegoś czasu nosiłem się z zamiarem zaciągnięcia do wojska. Teraz tylko to mi pozostało. Ale jest jeszcze Andree.

- Co wobec tego pan zamierza?
- Chciałem, żeby siostra pojechała do Anglii. Mamy tam w hrabstwie Sommerset ciotkę, która wyszła za mąż za Anglika. Andree była u niej w zeszłym roku, ale... teraz nie chce jechać. Woli zostać ze mną. Tymczasem jeśli mam wstąpić do wojska... Biedna Andree, nie doszła jeszcze do siebie. Zaczęło się od strzelaniny. Walki toczyły się zaledwie kilka mil od nas. Ludzie z wioski uciekli. Rodzice nie chcieli opuścić gospodarstwa. Spędzili na nim całe swoje życie i nie mogli zdobyć się na to, żeby tak po prostu wstać, zostawić wszystko i odejść. A potem było już za późno. Pamiętam, że dom i pole spowiła jedna wielka chmura dymu... Rodzice byli wewnątrz... Ja i Andree pracowaliśmy w tym czasie w polu. Tylko dlatego ocaleliśmy.

- Wprost trudno mi wyrazić, jak bardzo państwu współczuję - powiedziała panna Carruthers. - Jeszcze parę tygodni temu takie rzeczy wydawały się całkiem niemożliwe, a teraz... tyle nieszczęścia, tyle tragedii dookoła.

- Sam nie wiem, co robić - ciągnął młody człowiek. - Nie chcę zostawić Andree samej. Byłbym dużo spokojniejszy, gdyby pojechała do Anglii. Uważam, że moim obowiązkiem jest zaciągnąć się do wojska. Zawsze tego chciałem, a teraz tym bardziej...

- Martwi się pan o siostrę - pokiwał głową Marcus. Młody mężczyzna skinął potakująco. Nawet nie tknął swojej szarlotki.

- Radziłbym jednak coś przelknąć — powiedział Marcus łagodnie. Młody człowiek potrząsnął głową i odsunął talerz.

Po skończonym posiłku poszłam na górę, żeby sprawdzić, jak się miewa Edouard. Spał spokojnie. Byłam przygnębiona po rozmowie z młodym człowiekiem. Oto kolejna ofiara straszliwej tragedii.

Kiedy wróciłam do towarzystwa, był tam jeszcze. Najwyraźniej czerpał pociechę ze współczucia słuchaczy.

Mówił o swojej siostrze, podkreślając cały czas, jaką ulgą byłoby dla niego odesłanie jej do Anglii.

Wreszcie Marcus przypomniał nam, że musimy wczesnie rano wstać i że sen dobrze nam zrobi. Pożegnaliśmy się więc z młodym człowiekiem — który, jak się dowiedzieliśmy, nazywał się Georges Latour — życząc mu pomyślnego rozwiązania kłopotów, i udaliśmy się do naszych pokoi.

Ku swemu zadowoleniu zastałam Edouarda pogrążonego w głębokim śnie. Spałam z nim w jednym łóżku, a Annabelinda w drugim. Mimo podniecenia wywołanego burzliwymi przeżyciami, zasnęłam bardzo szybko.

Rano obudziłam się i rozejrzałam po pokoju. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Dopiero gdy zobaczyłam obok siebie Edouarda, a na sąsiednim łóżku Annabelindę, przypomniały mi się ostatnie wydarzenia.

Ziewnęłam, wstałam z łóżka i zaczęłam zastanawiać się, co też nam przyniesie kolejny dzień.

W jadalni czekała kawa i chrupiące, świeże pieczywo. Georges Latour siedział już przy stole.

Przywitał się i powiedział:

- Andree jeszcze nie wstała.

- Czy czuje się już lepiej? - spytałam.

- Chyba tak. Zawsze rankiem świat ma jaśniejsze barwy.
- Ma pan rację.

Nakarmiłam Edouarda, który uważnie przyglądał się Georgesowi Latourowi.

- Czyje to dziecko? - spytał Georges. Opowiedziałam mu o nacie, o śmierci Jacquesa

i Marguerite Plantainów i o tym, jak znalazłam Edouarda w wózku w ogrodzie.

- Widzi pan, znałam go przedtem bardzo dobrze. Często przychodziłam tam z wizytą. Nie mogłam go tak zostawić.

- Jaką straszną tragedią jest wojna! - pokiwał smutno głową Georges.

Przykro mi się zrobiło, że niechcący przypomniałam mu o jego własnym nieszczęściu. Siedzieliśmy w ponurych nastrojach przez kilka minut, dopóki nie wszedł Marcus. Atmosfera od razu się poprawiła. Nawet Georges Latour wydawał się odrobinę pogodniejszy.

- Widzę, że zjawiłem się w samą porę - zażartował Marcus. - A mały Edouard? Jakie mamy samopoczucie dziś rano?

- Jak zwykle. Dość obojętnie traktuje to, co się wokół niego dzieje.

- Dopóki jest pod ręką ktoś, kto dba o jego wygody, młodzian nie ma się czym przejmować - powiedział Marcus. - Naprawdę świetnie się nim opiekujesz.

- To nie takie trudne. Zwłaszcza że on jest dobrym dzieckiem.

Marcus zwrócił się do Georgesas:

- A co z panem? Pewnie niedługo pan wyjeżdża?

- Jak tylko siostra będzie gotowa.

- Jakże się dziś miewa pańska siostra?

- Niewiele lepiej niż wczoraj.

- Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Marcus wypił kawę i zjadł kawałek chleba. Dołączyła

do nas panna Carruthers. Przywitała się i westchnęła:

- Ach, gdyby tak udało się nam przeprawić dziś przez kanał!

- Spróbujemy - rzekł Marcus. - Transporty wojskowe mogą spowodować opóźnienie. Ale w końcu musi się udać. Jak nie dziś, to jutro.

- Nie mogę się już doczekać powrotu do domu - powiedziałam.

Wtedy weszła Annabelinda.

- Czyżbym się spóźniła? - zapytała.
- Ależ skąd - zapewnił ją kurtuazyjnie Marcus. - To raczej my przyszedliśmy za wcześnie.
- Jakiś ty uprzejmy! Uwielbiam ludzi, którzy wymyślają dla mnie usprawiedliwienia! Ależ pysznie wygląda ten chleb. O, jest i kawa!

Rozmawialiśmy przez chwilę. Potem Marcus spytał, czy możemy być gotowe za piętnaście minut. Jeśli tak, to będziemy powoli ruszać. Zadeklarowałyśmy naszą pełną gotowość do drogi i Marcus wyszedł po samochód.

Ale nie wyjechaliśmy za piętnaście minut.

Czekałyśmy na Marcusa w bawialni. Tymczasem przyszła Andree, gotowa do wyjazdu. Uśmiechała się blado. Nie chciałyśmy pytać, jak się czuje, żeby nie myślała, że wypominamy jej gwałtowne wyjście poprzedniego wieczoru.

Czułyśmy się dość niezręcznie. W pewnym momencie wszedł Marcus.

- Przykro mi - powiedział. - Coś jest nie tak z samochodem.

Na twarzach wszystkich obecnych pojawił się wyraz zaskoczenia, a nawet lęku, ale major uśmiechnął się promiennie.

- To na pewno nic poważnego. Raz-dwa uda się naprawić.

Georges Latour, który również szykował się do wyjścia, obiecał, że wstąpi do miejscowego warsztatu i poprosi, by ktoś do nas zajrzał.

- To opóźni pana wyjazd — zauważył Marcus.

- Nie szkodzi. Szybko załatwię tę sprawę. Przywiozę kogoś. Proszę się przez ten czas zaopiekować Andree.

- To tylko drobne opóźnienie - pocieszał nas Marcus. - Mamy jeszcze szansę zdążyć na prom. Jeżeli nie, odpłyniemy jutro.

Nie pozostało nam nic innego, jak usiąść i czekać. Panna Carruthers zwróciła się do Andree:

- Obawiam się, że to opóźni również pani wyjazd.

- To bez znaczenia - wzruszyła ramionami Andree.

- Zastanawiam się, co się dzieje w La Piniere - powiedziałam. - Biedna madame Rochere. Ciekawe, jak ona sobie radzi.

- Powinna bśa wyjechać - stwierdziła obojętnie Annabelinda.

- Nie mogła pogodzić się z myślą o opuszczeniu domu. Spędziła w nim wszystkie lata swojego małżeństwa, a potem prowadziła tam szkołę. Ale jeśli nadejdą Niemcy...

- Poradzi sobie - przerwała mi Annabelinda. - To oni będą się jej bać... tak jak my wszystkie się jej bałyśmy.

- Nonsens! My byłyśmy uczennicami. Będzie musiała stawić czoło nieprzyjacielskiej armii.

- Och, na pewno da sobie radę.

Czekaliśmy ponad godzinę. Wreszcie Georges wrócił. Wyglądał na zmęczonego.

— Przykro mi - rozłożył bezradnie ręce. - Nie mogłem znaleźć nikogo. To przechodzi wszelkie wyobrazenie, co się dookoła dzieje. Mechanicy pracują jak szaleni, reperują samochody, które mogą być w każdej chwili potrzebne. Nie mieli kogo przysłać.

— W takim razie sam spróbuję zreperować — Marcus podniósł się z miejsca.

— A zna się pan na silnikach? — spytał Georges.

— Raczej rzadko się tym zajmuję. W wojsku zawsze jest w pobliżu jakiś mechanik.

— Coś niecoś znam się na mechanice — powiedział Georges. - Chętnie zajrzę do pańskiego samochodu. A nuż uda mi się pomóc?

Po tych słowach obaj mężczyźni wyszli.

Edouard zbudził się i badawczo się wszystkim przyglądał. Wzięłam go na kolana, a on uchwycił się kurczowo mojego płaszcza, jakby bojąc się, że go zostawię. Poza tym nie widać było, żeby specjalnie przejmował się całą sytuacją.

Tymczasem Andree zaczęła opowiadać o sobie. Wyznała, że nie chce być ciężarem dla Georgesa. Zawsze marzył o wstąpieniu do wojska. Teraz chętnie go przyjmą, potrzebują jak najwięcej ludzi.

— Będę musiała pojechać do mojej ciotki do Anglii - powiedziała smutno. - Właściwie powinnam być wdzięczna losowi, że mam dokąd jechać. Nie chcę, żeby Georges martwił się o mnie, ale z drugiej strony przeraża mnie myśl o zamieszkaniu z ciotką. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Wojna może ciągnąć się w nieskończoność. Nie powinnam absorbować Georgesa swoją osobą. Młodzi mężczyźni w takich chwilach mają poważniejsze zadania niż opieka nad siostrami. Chciałabym pracować w Anglii. Czy byłoby

to możliwe? Jechałabym z większą chęcią, gdybym wiedziała, że znajdzie się dla mnie jakieś zajęcie. Georges w wojsku będzie miał co robić, a ja...

— Na pewno jest dużo możliwości pracy — powiedziała panna Carruthers. - Wojna stwarza różne okazje.

- Jak dobrze, że mogę z kimś porozmawiać — westchnęła Andree. - Odnoszę wrażenie, że mnie rozumiecie.

- Jaki rodzaj pracy by panią interesował? - spytałam.

- Cokolwiek. Mogłabym pomagać w domu.

- Czy to znaczy, że zgodziłaby się pani pracować jako służąca?

- Wszystko jedno. Wolę być służącą, niż jechać do cioci Berty. I tak musiałabym u niej sprzątać i gotować. Dlaczego więc nie miałabym tego robić gdzie indziej.

- Taką pracę łatwo się znajdzie - powiedziała Anna-belinda.

Twarz Andree rozjaśniła się.

- Czy może... znacie panie kogoś? — spytała.

- Znamy mnóstwo ludzi, prawda, Annabelindo?

- Oczywiście, na pewno coś się trafi.

- Najbardziej odpowiadałoby mi zajmowanie się dziećmi - wyznała Andree. — Zawsze lubiłam dzieci.

- Z tym też nie będzie problemu... W Londynie czy poza nim.

- Więc mogę liczyć na pomoc?...

- Na pewno, jeśli tylko będzie to w naszej mocy - odparła Annabelinda.

- Och, jak to dobrze. Właśnie pomyślałam... Czekaliśmy, aż dokończy, ale ona wyraźnie się wycofała:

- Nie... nie... to byłoby za wiele.

- Co takiego? — spytała panna Carruthers.

- Ja... Nie, nie mogę. Pomyślcie, że...

- Proszę nam powiedzieć - zachęciłam ją łagodnie.

- Więc... jeśli państwo zabralibyście mnie ze sobą... Georges odprowadziłby mnie na wybrzeże... a potem ruszyłby prosto do Paryża i tam zaciągnął się do armii. Nie musiałabym jechać do cioci Berty. Gdybym mogła pojechać z wami... Czybyście mi panie pomogły?

Wymieniłyśmy z Annabelinda spojrzenia. Przyjazd do domu z dzieckiem, nauczycielką i dziewczyną, której jeszcze dwa dni temu nie znałyśmy, będzie dla moich rodziców

spora niespodzianką - by nie powiedzieć szokiem. Ale też czasy były niewyuczajne. Ludzie przeżywali tragedie, trzeba było sobie wzajemnie pomagać. Byłam pewna, że moi rodzice to zrozumieją.

- Chyba możemy pomóc, prawda, Lucindo? - odezwała się Annabelinda.

- Oczywiście - odparłam. - Proszę jechać z nami, Andree. Nie wiemy wprawdzie, co się teraz dzieje w domu, ale mama na pewno znajdzie kogoś, kto będzie potrzebować pokojówki... jeśli naprawdę nie ma pani nic przeciwko takiej pracy.

- Czy mówi pani serio?

- Oczywiście.

Do rozmowy włączyła się panna Carruthers:

- Mam nadzieję, że nie będzie żadnych trudności z zabranieniem pani do Anglii. Nie wiemy, jakie są teraz przepisy. Wojna, wszystko się zmienia...

Andree wyraźnie się speszyła. Po chwili wyjaśniła:

- Mam odpowiednie papiery. Byłam w Anglii rok temu z wizytą u ciotki. Wtedy wystarczyły.

- Jestem pewna, że major wszystko załatwi - stwierdziła Annabelinda.

Słyszając to Andree ożywiła się.

- Sama nie wiem, jak mam dziękować! Czuję się teraz dużo spokojniejsza. Nie zniosłabym obecności cioci Berty. Muszę myśleć o moim biednym bracie! Jeżeli pojedzie z wami, Georges będzie mógł udać się stąd prosto do Paryża. To bardzo uprości wszystko. Obojgu nam potrzebna jest całkowita odmiana. Musimy uciec od wspomnień...

Głos się jej załamał, a my niewyraźnie wymruczałyśmy słowa zrozumienia i współczucia.

W trakcie tej rozmowy wrócili Marcus i Georges. Promienieli zadowolaniem.

- Zrobione - wykrzyknął Marcus. - Możemy jechać dzięki panu Latour.

- Przypadkiem mi się udało - wyjaśnił Georges skromnie. - Na szczęście zawsze lubiłem dłużyć w samochodach.

- A więc jedziemy? - upewniła się panna Carruthers.

- Na to wygląda — odparł Marcus. — Ale zaraz, która to godzina? Dochodzi dwunasta. Może najpierw zjemy obiad w gospodzie? Inaczej i tak po drodze musielibyśmy się zatrzymać, żeby kupić coś do jedzenia. Zawiadomię oberżystę.

Andree Latour zwróciła się do brata:

- Georges, mam dla ciebie nowinę.

- Czy coś się stało?

- Ci mili państwo pozwalają mi jechać z sobą. Georges... ja nie pojadę do cioci Berty. Proszę cię, nie staraj się mnie przekonywać. Już podjęłam decyzję. Te panie pomogą mi znaleźć pracę...

- Andree, ależ ty musisz jechać do cioci Berty. Nie poradzisz sobie...

- Nie, nie! Posłuchaj. Mademoiselle Greenham i ma-demoiselle Denver zabiorą mnie do siebie. Znajdą mi jakieś zajęcie. Jestem gotowa naprawdę ciężko pracować... byleby tylko nie jechać do cioci Berty. Widzisz więc, że w tej sytuacji nie musisz odwozić mnie do Anglii. Jedź od razu do Paryża. Wierz mi, nie wytrzymałabym w Sommerset. Georges, proszę... zgódź się.

Georges był wyraźnie zaskoczony. Doskonale rozumiałam jego wahania. Miał zostawić siostrę wśród obcych. W normalnych okolicznościach nie wchodziłoby to w grę, ale czasy nie były normalne.

- Ale... Jestem pewien, że... - zaczął niepewnie.

- To proste - przerwałam mu. - Zabiorę Andree do nas. Moja matka chętnie pomoże. Zawsze wszystkim pomaga. Ojciec jest posłem do parlamentu, więc w naszym domu bywa sporo gości. Na pewno trafi się ktoś, kto będzie potrzebował dziewczyny do pomocy w domu.

Ale Georges nadal nie był przekonany i sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Wszyscy zjedliśmy smaczny obiad. Przy stole cały czas toczyła się ożywiona rozmowa. Kiedy skończyłam karmić Edouarda, Andree wzięła go na kolana. Ku memu zdumieniu wcale nie protestował.

— Jaki to grzeczny chłopczyk — stwierdziła Andree i pocałowała go w główkę. Edouard zamruczał cicho, wyrażając w ten sposób swoje zadowolenie.

Wtedy przyszło mi na myśl, że Andree mogłaby pomóc zajmować się Edouardem. I tak musielibyśmy zatrudnić kogoś do opieki nad nim.

Przez chwilę miałam wrażenie, że śnię. Wszystko, co się zdarzyło, każdy najdrobniejszy nawet szczegół zdawał się mieć tu znaczenie. Gdyby samochód się nie zepsuł, wyruszylibyśmy wcześniej rano, tak jak to zaplanowaliśmy. Pożegnaliśmy się na zawsze z Georgesem i Andree. Było mało prawdopodobne, byśmy kiedykolwiek ponownie ich spotkali.

Jak dziwnie toczy się życie! Nigdy nie wiadomo, co się przydarzy - zwłaszcza w sytuacjach tego rodzaju.

Z trudem zmieściliśmy się wszyscy w samochodzie. Georges jechał jakiś czas za nami, a potem skręcił w kierunku Paryża. Andree wzięła ode mnie Edouarda i zaczęła śpiewać mu piosenkę:

U pleut, ii pleut, bergere,
Presse tes blancs moutons.
Allons a la chaumiere,
Bergere, pite, allons...

Edouard, który zaczynał już niespokojnie się kręcić, przycichł i z uwagą obserwował jej usta, gdy śpiewała. Po chwili na jego twarzyczce zagościł promienny uśmiech.

Nie ulegało wątpliwości, że polubił Andree.

Przypomniałam sobie wzruszającą scenę, kiedy rozstawaliśmy się z Georgesem. Znowu doznałam uczucia, że to musi być sen. Wszystko, co się działo, było niezwykle.

Andree, jeszcze wczoraj zupełnie obca osoba, teraz stała się jedną z nas.

Kiedy podążaliśmy w stronę wybrzeża, zastanawiałam się, co jeszcze czeka nas w tej podróży.

Późnym popołudniem dotarliśmy do Calais. Niebawem okazało się, że nie ma nawet cienia szansy na wypłynięcie tej nocy. Zatrzymaliśmy się więc na nocleg w gospodzie położonej w pobliżu portu. W mieście panowała przygnębiająca atmosfera. Ludzie byli wystraszeni i zdezorientowani. Znajdowaliśmy się w kraju, który dopiero co przystąpił do wojny. Wróg posuwał się szybko przez Belgię i dotarł już niemal do

samej granicy — armia niemiecka dokonała tego w ciągu zaledwie kilku dni.

Co dalej? To pytanie było na ustach wszystkich.

Całą noc słuchałam szumu fal uderzających o nabrzeże. Jutro, potarzałam sobie, będę już w domu.

Marcus - jak zwykle - był dobrej myśli. Z samego rana wyruszył do miasta, by dokonać oceny sytuacji i załatwić jak najszybszy transport do Anglii.

Nie było go przez jakiś czas. Kiedy wrócił, siedzieliśmy w bawialni czekając z niecierpliwością na nowiny. Powiedział nam, że są trudności, ale ma nadzieję szybko się z nimi uporać. Fakt pozostawał jednak faktem, że nie mogliśmy wypłynąć od razu.

Czekaliśmy przez cały dzień, a kiedy zapadła noc, wciąż byliśmy w gospodzie.

Następnego dnia Marcus znów wyszedł wczesnym rankiem. Uprzedził nas, że może mu to zająć sporo czasu, ale był przekonany, że na pewno odpłyniemy następnego dnia.

Właśnie wtedy dokonałam odkrycia, że ludzie lepiej poznają się w ciągu kilku godzin spędzonych wspólnie w trudnych warunkach niż przez całe miesiące zwyczajnego życia.

Szczególnie zbliżyłam się z Andree, głównie zresztą dlatego, że polubiła Edouarda, a on ją. Widać było od razu, że ma spore doświadczenie w postępowaniu z małymi dziećmi. Wiedziała, jak zaradzić, kiedy płakał lub kiedy bolał go brzusek. Masowała go wtedy delikatnie, czule do niego przemawiając. Jemu najwyraźniej też podobały się francuskie piosenki, które mu śpiewała.

Nadszedł wieczór. Marcus wciąż jeszcze był na mieście, starając się załatwić dla nas miejsce na promie. Zjadliśmy kolację i poszliśmy do pokoju, który dzieliłam z Annabelindą i Edouardem. Malec cały czas spokojnie sobie spał. Przyszła też Andree i panna Carruthers.

Pokój znajdował się na poddaszu, miał spadzisty sufit i jedno małe okienko wychodzące na port.

Z początku rozmowa zupełnie nam się nie kleiła, ale potem atmosfera odmieniła się, jakbyśmy nagle doznały jakiegoś olśnienia. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Może czułyśmy się niepewne jutro? Szare morze za oknami, dzielące nas od domu, wydawało się barierą nie do przebycia - kpiło z nas, uderzając jednostajnie o nabrzeże, jakby przypomina-

ło, że jesteśmy daleko od swoich, że możemy zostać uwięzione przez wojnę i nigdy nie dotrzeć na drugi brzeg.

Najwyraźniej ponosiła mnie wyobraźnia. Moje towarzyszki wcale nie musiały myśleć tak samo, ale opanowało nas przemożne pragnienie, by zbliżyć się do siebie, zrzucić maski, które na co dzień pokazuje się światu, i odsłonić swoje prawdziwe oblicza.

Pierwsza odezwała się Andree:

- Czuję się trochę jak oszustka. Zapewne myślicie, że jestem z wami, ponieważ spotkało mnie nieszczęście. Otóż nie do końca tak jest. Od dawna marzyłam o tym, by zacząć nowe życie. Miałam nadzieję i modliłam się o to. Może nawet zbyt gorąco. Jeżeli naprawdę wierzy się, że coś się stanie, i modli się o to w dzień i w nocy, to spełnia się to, ale nie tak, jak człowiek sobie to wyobraża, tylko tak, jak chce tego Bóg... i człowiek musi za to zapłacić.

To niespodziewane wyznanie poruszyło nas do głębi. Nawet Annabelinda, która na ogół nie potrafiła skoncentrować się na niczym, co nie dotyczyło jej osoby, słuchała dziewczyny z uwagą.

Andree popatrzyła kolejno na każdą z nas. Po chwili mówiła dalej:

- Czy przyszło wam kiedyś na myśl, że ludzie wcale nie są tacy, na jakich wyglądają? Wszyscy mamy swoje wielkie sekrety ukryte gdzieś głęboko. Gdybyśmy je odkryli... ukazali je światu... przestalibyśmy uchodzić za takich, za jakich nas inni uważają.

Teraz zabrała głos panna Carruthers:

- Na pewno jest w tym sporo racji. Wygodniej jest zostawić sprawy ich własnemu biegowi, zwłaszcza kiedy wszystko układa się zgodnie z naszymi wyobrażeniami i oczekiwaniami.

- Zdarzają się jednak chwile, kiedy człowiek pragnie się wypowiedzieć — ciągnęła Andree. — Dzięki temu może się sobie lepiej przyjrzeć. Dowiedzieć się rzeczy, z których do tej pory nie zdawał sobie sprawy.

- Spowiedź to dobra rzecz dla duszy - odparła panna Carruthers. - Ale chyba nie robiłabym z tego stałego zwyczaju.

- Myślałam o sobie - kontynuowała Andree. - Bardzo mi współczujecie. Straciłam dom... rodziców. „Jakie to straszne”, powtarzacie sobie w duchu. „Biedna dziewczyna! Jaką okropną tragedię przeżyła”. A ja tymczasem wcale nie kochałam swojego domu. Od dłuższego czasu chciałam z niego uciec... od rodziców również. Wiedziałam, że

nie będę szczęśliwa, dopóki tego nie zrobię. Mój ojciec był rolnikiem, a przy tym człowiekiem przesadnie religijnym. W naszym domu niewiele było radości. Śmiech był grzechem. Gorąco pragnęłam uciec w świat. Pojechałam do ciotki, która parę lat wcześniej poślubiła Anglika. Chciałam pomóc jej, kiedy została sama po śmierci męża. Tymczasem u niej było mi jeszcze gorzej niż w domu. Przysięgłam sobie wówczas, że więcej moja noga tam nie postanie. No i spotkałyście mnie w „Le Cerf”. Byłam wtedy zrozpaczona. Z powodu wyjazdu do ciotki, nie z powodu straty rodziców i domu, który i tak chciałam opuścić. Nie kochałam rodziców. Nie zazналиśmy od nich czułości. Chwilami bałam się, że nigdy się stamtąd nie wyrwę. Często rozważałam myśl o ucieczce. I wtedy nagle... huk... domu nie ma... rodzice nie żyją. A ja jestem wolna.

- Z tego widzę - stwierdziła rzeczowo Annabelinda - że możemy przestać ci współczuć.

- Tak będzie uczciwiej. Czuję się wolna. Otwiera się przede mną nowe życie. - Odwróciła się do mnie. - Muszę pani specjalnie podziękować. Nawet nie umiem wyrazić, ile dla mnie znaczy ta obietnica pomocy.

- To tak niewiele - bąknęłam zakłopotana.

- Ale znaczy bardzo wiele dla Andree - wtrąciła panna Carruthers. Zwróciła się teraz do niej: - Cóż, moja droga, była pani szczerą wobec nas. Podziwiam to. Słuchając pani, zaczęłam się zastanawiać nad swoim własnym losem.

Wtedy nagle po raz pierwszy dostrzegłam, jak bardzo się zmieniła. Nadal oczywiście była dawną, groźną panną Carruthers, ale jednocześnie naszym oczom ukazywała się całkiem nowa kobieta, równie wrażliwa i słaba jak my wszystkie. Cichym głosem panna Carruthers zaczęła snuć swoje zwierzenia:

- Nie można uczyć przez cały rok. Przychodzą wakacje

I wtedy... co dalej? Mnie pozostaje moja kuzynka Mary. Otóż, droga Andree, to odpowiednik ciotki Berty. Jestem jedynaczką. Mój ojciec umarł, kiedy miałam osiem lat, a matka zmarła jeszcze wcześniej, wkrótce po moim urodzeniu. Wuj Bertram, brat mojej matki, ojciec Mary, był człowiekiem dość zamożnym. Zajął się moim wychowaniem, ale zawsze dawał mi to odczuć. Wuj nie żyje, lecz kuzynka Mary nieustannie przypomina o moim długu. I widzicie, moje panny,

oprócz kuzynki Mary nie mam nikogo. Jej dom to jedyny dom, jaki mam. Wakacje, kiedy muszę opuścić szkołę, są dla mnie czymś strasznym...

Nie mogłam wprost uwierzyć, że słucham groźnej panny Carruthers, która zawsze wydawała się taka nieprzystępna.

— I teraz — wtrąciła Annabelinda — jedzie pani do niej... a we wrześnie nie będzie szkoły, do której mogłaby pani wrócić.

— Takie jest życie - westchnęła panna Carruthers. — Musimy przyjąć z pokorą wszystko, co nam niesie.

Odniosłam wrażenie, że zaczyna żałować swojej szczerości. Jednocześnie wrzuciło mnie to nowe oblicze naszej surowej nauczycielki, którego istnienia nigdy nie podejrzewałam.

Z kolei ja zaczęłam opowiadać o sobie.

— Miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Mój ojciec jest członkiem parlamentu. Często przebywa poza domem. Kiedy jesteśmy w Londynie, wciąż zajęty jest w Izbie Gmin, a kiedy jedziemy na wieś, zajmuje się sprawami okręgu. Moja matka i ja jesteśmy sobie bardzo bliskie. To najbardziej wyrozumiała osoba na świecie.

— Jaka pani jest szczęśliwa! - wykrzyknęła Andree.

— Wiem o tym. Moja matka to niezwykła, cudowna istota. Przeżyła w młodości straszną tragedię. Najukochańszy ojciec zginął tragicznie na jej oczach. Jechał do parlamentu, pożegnał się z nią i wsiadł właśnie do powozu, kiedy nagle ktoś strzelił do niego. Matka widziała człowieka, który to zrobił. Skazano go na podstawie jej zeznań. Był to irlandzki terrorysta, i jego zamach miał związek z ustawą o samorządzie Irlandii Gladstone'a przeciwko której występował mój dziadek. Upłynęło dużo czasu, zanim matka doszła do siebie po tym strasznym wydarzeniu. Potem wyszła za mąż, ale małżeństwo okazało się nieudane. Po latach poślubiła mego ojca.

— I żyją długo i szczęśliwie - dodała Annabelinda.

— Właśnie tak — potwierdziłam. - Od dawna się kochali, ale w wyniku różnych komplikacji życiowych nie mogli od razu się pobrać. Mój ojciec zaginął i wszyscy myśleli, że nie żyje. To naprawdę niezwykła historia.

- Proszę nam ją opowiedzieć - poprosiła Andree.

- Nie znam jej dokładnie. Rodzice nie bardzo chcą

O tym mówić. W każdym razie, kiedy uznano, że mój ojciec nie żyje, matka wyszła za innego. Może kiedyś mama opowie mi coś więcej.

- Musiała mieć niezwykle przeżycia - westchnęła Annabelinda.

- Niezwykle przeżycia nie zawsze są przyjemne, Annabelindo - zauważyła panna Carruthers. - Nauczysz się z biegiem lat, że pewne wydarzenia wydają się zabawne lub niezwykle, kiedy się je później wspomina, ale gdy się właśnie rozgrywają, bywają bardzo niemiłe, a nawet bolesne.

- Teraz pani kolej - zwróciła się Andree do Anna-belindy.

- Moja matka jest bardzo piękna. Miała ciekawe życie. Jakiś czas mieszkała w Australii. Potem wróciła do Anglii

I poślubiła sir Roberta Denvera. Mam brata, nazywa się Robert, tak jak ojciec. Jest miły, ale dość nudny.

- Wcale nie jest nudny - zaprotestowałam. - On jest... bardzo dobry.

- No cóż...

- Dlaczego dobrzy ludzie mają być uważani za nudnych? — broniłam Roberta rozżalona. — Moim zdaniem są dużo miłsi niż egoiści. I ciekawszy. Robert jest jednym z najmiłszych ludzi, jakich znam.

- Znasz ich całe mnóstwo — zakpiła Annabelinda.

- Powinnaś być z niego dumna. Annabelinda uśmiechnęła się drwiąco.

- Robert przepada za Lucindą. To dlatego ona tak go lubi.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, odezwała się Andree:

- Nasze spotkanie zaczyna przypominać spowiedź powszechną. Dlaczego właśnie w tym momencie wszystkie odczułyśmy potrzebę obnażenia swojej duszy?

— Czas szybciej płynie - stwierdziła Annabelinda. Spojrzała na mnie porozumiewawczo. Ona nic nam o sobie nie opowiedziała. Jej sekrety były zbyt niebezpieczne.

— Chyba wiem, dlaczego — powiedziała panna Carruthers. - To z niepewności. Czekamy, słuchamy szumu fal i wiatru. Dręczy nas lęk, czy uda się nam stąd wydostać. W takich sytuacjach ludzie odczuwają potrzebę odkrycia siebie, pokazania światu, jacy są naprawdę.

Słowa te zabrzmiały przekonująco, ale Annabelinda i tak nigdy nie odkryłaby przed nami swoich słabości.

W tym momencie Edouard obudził się i zaczął płakać. Andree natychmiast się nim zajęła, a Annabelinda powiedziała:

— Marcus na pewno coś załatwi. Niedługo będziemy w domu.

Spędziłyśmy w gospodzie jeszcze jedną noc. Wczesnym rankiem następnego dnia wsiedliśmy na prom. Nareszcie wracaliśmy do domu. Dzięki Marcusowi.

Siedziałam na pokładzie w półmroku, trzymając Edouarda na kolanach. Obok stała Andree.

— Nie wiem, co zrobiłybyśmy bez pani - wyznałam szczerze. — Tak niewiele wiem o dzieciach.

— Szybko się pani nauczy — odparła. — Niektórym kobietom przychodzi to w naturalny sposób. Nie wiem natomiast, co ja bym zrobiła bez was. Kiedy myślę, jak bardzo mi panie pomogły...

— W takich chwilach wszyscy musimy sobie pomagać. Annabelinda stała nieopodal z Marcusem Merrivale'em

i panną Carruthers. Czułam się dużo spokojniejsza, widząc ich wszystkich koło siebie.

Dookoła panowała niezwykła cisza. Byliśmy bardzo zmęczeni, a jednocześnie tak wyczerpani psychicznie, że nie było mowy o spaniu.

Kiedy przymykałam powieki, widziałam ruiny domku i wpatrzone we mnie błagalnie oczy Marguerite. Zrozumiałam, że nigdy ich nie zapomnę.

Spojrzałam na Marcusa Merrivale'a. Jego misja dobiegała końca. Niebawem dostarczy nas do domu rodzicielskiego i zamelduje stryjowi Geraldowi o wykonaniu zadania.

Uśmiechnęłam się. Jaki to wspaniały człowiek! Prawdziwy bohater! Ani razu nie zauważyłam, żeby czymkolwiek się trapił. Wszystko przyjmował ze spokojem i wiarą, że pokona wszelkie trudności. I udało mu się.

Spotkamy się jeszcze, powtarzałam sobie. Moi rodzice na pewno będą chcieli mu podziękować, a poza tym to przecież przyjaciel stryja Geralda.

Myśli te napełniały mnie otuchą.

I wtedy w słabym świetle poranka zobaczyłam zarys białych skal.

Wróciliśmy szczęśliwie do domu.

Milton Priory

W domu czekali na nas stęsknieni rodzice, Charles, ciocia Belinda i wuj Robert — wszyscy z wyjątkiem młodego Roberta. Matka porwała mnie w ramiona i długo tuliła, jakby chciała się upewnić, że naprawdę z nią jestem.

Panna Carruthers stała nieco z boku razem z Andree, trzymającą na ręku dziecko. Matka obrzuciła je szybkim spojrzeniem, ale była zbyt zajęta mną, by od razu zainteresować się faktem, że przywiozłyśmy ze sobą nieznaną osobę.

Obok stał ojciec i czekał na swoją kolej, by mnie uściskać. Był równie wzruszony jak matka. Charles radośnie tańczył dookoła.

— Czy widziałas żołnierzy? — dopytywał się niecierpliwie. Był to cudowny powrót do domu.

Marcus patrzył i uśmiechał się.

— Bardzo serdecznie dziękujemy panu — zwrócił się do niego ojciec. - Jesteśmy naprawdę wdzięczni memu bratu, że załatwił przywieszenie naszych dziewcząt... ale przede wszystkim mamy dług wobec pana.

Ciocia Belinda mówiła coś w wielkim podnieceniu, całowała Annabelinę, a potem mnie. Wuj Robert stał przy niej uśmiechając się miło do nas wszystkich. W tym momencie bardzo przypominał swego syna, mego drogiego Roberta.

— A gdzie Robert? - spytałam.

— Robert zaciągnął się do wojska, kiedy tylko ogłoszono wojnę - wyjaśniła moja matka.

— Jest teraz na ćwiczeniach — dodała ciocia Belinda. — Gdzieś na Równinie Salisbury.

— Ja też się zaciągnę, jak tylko będę mógł - stwierdził ochotczo Charles, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Moja matka nagle uświadomiła sobie, że są wśród nas jeszcze dwie osoby. Jej oczy spoczęły na Andree i na dziecku.

— Wszystko wyjaśnię, mamo — powiedziałam. — To panna Carruthers, która podróżowała z nami. Nie bardzo ma ochotę od razu wracać na wieś, więc jeśli mogłaby trochę zostać u nas...

— Ależ oczywiście, niechże pani zostanie, panno Carruthers — zaprosiła ją uprzejmie matka. — Lucinda wspominała o pani

w listach. Na pewno jest pani bardzo zmęczona po tych wszystkich przejściach. Zaraz każę przygotować pokój dla pani.

— A to jest mademoiselle Andree Latour. Spotkałyśmy się podczas podróży przez Francję.

— Witamy w Anglii — powiedziała ciepło matka.

— Ona też zostanie, dobrze, mamó?

— Oczywiście, kochanie. O, przyszła służba. Wszyscy bardzo niepokoiłi się o ciebie. Pani Cherry... czyż to nie cudowna chwila?

— O tak, proszę pani — odparła pani Cherry. — Bardzo się cieszymy, że wróciła nam panienka zdrowa i cała, panno Lucindo.

— Poprosimy zatem o przygotowanie jeszcze dwóch pokoi. A może trzech... majorze?

— Dziękuję pani bardzo — odparł major. — Ale muszę zameldować się u pułkownika Greenhama i zawiadomić go, że wszystko odbyło się zgodnie z planem.

— W takim razie proszę chociaż zostać na obiedzie.

— Z największą przyjemnością.

Matka jak zwykle doskonale poradziła sobie z praktyczną stroną życia. Nie mogłam doczekać się chwili, kiedy znajdę się z nią sama. Wiedziałam, że ona pragnie tego samego.

Ciocia Belinda i wuj Robert wyszli z Annabelindą, a ja udałam się do mego pokoju. Wkrótce zjawiła się tam matka.

Podeszła do mnie i mocno mnie objęła.

- Tak bardzo się niepokoiłiśmy - powiedziała. — Prawie nie spałam, odkąd ogłoszono wojnę. Cały czas myślałam, że jesteś daleko od domu, w Belgii, gdzie są Niemcy! Oboje z ojcem odchodziliśmy od zmysłów ze zmartwienia... choć on nie okazywał tego tak jak ja. Nie wiem, jak odwdzięczymy się stryjowi Geraldowi. Chciałam sama po was pojechać, ale przekonał mnie, że to nie ma sensu. Obiecał, że wydostanie was stamtąd bez szwanku. Wysłał majora. Cóż to za uroczy człowiek!

- Tak — zgodziłam się z nią. - Wszyscy go lubią. Był bardzo dzielny.

- Niech Bóg da mu wszystko, co najlepsze.

- Muszę ci wyjaśnić, mamó, kim są te panie, które przyjechały z nami. Czy bardzo gniewasz się o to, że je przywiozłam?

Spojrzała na mnie zdumiona.

- Moje kochanie, z największą radością powitam każdego, kogo zaprosisz. Dla mnie najważniejsze jest to, że znów cię mam w domu. Ale opowiedz mi o nich. Wiem oczywiście, kim jest panna Caruthers. Więc może zacznij od tej dziewczyny z dzieckiem.

- Najpierw ci wytłumaczę, skąd się wzięło dziecko. Widzisz, mamu, muszę je zatrzymać. Obiecałam jego matce...

Opowiedziałam o wizytach u Plantainów, o tym, jak Marguerite straciła swoje własne dziecko i została przybraną matką Edouarda. Mama słuchała w ogromnym skupieniu i bardzo spoważniała, kiedy doszłam do momentu śmierci Marguerite.

— Muszę się nim zaopiekować, mamu. Nigdy nie zaznałam bym spokoju, gdybym go komuś oddała - dokończyłam.

Doskonale mnie rozumiała. Powiedziała tylko:

— Bierzesz na siebie ogromną odpowiedzialność. Biedne maleństwo... bez matki.

— Marguerite bardzo go kochała. Zajął miejsce jej zmarłego synka.

— Rozumiem.

— Może zostać, prawda? Chcę oszczędzić mu losu tych nieszczęśliwych dzieci, dla których szuka się domu.

— Już raz go to spotkało... biedne jagniątko.

— Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

— Nie martw się, kochanie. Ty nie możesz go zaadoptować, bo jesteś za młoda. Ale zajmijmy się nim. Ach, żeby ci, co wywołują wojny, opamiętali się na chwilę i zastanowili, ile nieszczęść sprowadzają.

— Myślą jedynie o własnej potędze i nie zważają na cudze cierpienia. Edouardowi będzie u nas dobrze, prawda?

— Edouard? Tak ma na imię? A może zmienimy je na Edward? Niech ma angielską formę imienia, skoro zamieszka w Anglii.

Przytuliłam się do niej mocno. Zareagowała na obecność dziecka tak, jak się tego spodziewałam.

— Myślałam — przyznała — że jego matką jest Andree.

— Ależ skąd. Andree spotkaliśmy w gospodzie przy granicy belgijsko-francuskiej. Jej dom został zburzony, rodzice zginęli, a ona jechała do ciotki, której nie cierpi. Chciała znaleźć pracę w Anglii. Myślałam, że moglibyśmy jej pomóc. Andree doskonale daje sobie radę z dziećmi.

— Przywiozłaś ze sobą kilka problemów, kochanie. Powinnaś jeszcze być w szkole, a nie zajmować się takimi sprawami! Troszkę nam wprowadziłaś zamęt w życie... ale kocham cię za to i jestem nieprzytomna ze szczęścia, że mam cię znowu w domu.

- To nie koniec, mamo. Jest jeszcze panna Carruthers. Okazała się zupełnie inna, niż przypuszczałam. W szkole była bardzo surowa... budziła wręcz postrach. A teraz widzę, że jest załęknioma i niepewna przyszłości.

- Znam doskonale takie guwernantki. Zastanawiają się, co się z nimi stanie, kiedy już nie będą mogły uczyć.

- Ona ma kuzynkę, która daje jej odczuć, że jest na jej łasce. To musi być strasznie upokarzające. Czy panna Carruthers mogłaby zostać z nami przez kilka dni?

- Nie widzę przeszkód. Przejechała z tobą taki szmat drogi i w związku z tym jest dla mnie kimś ważnym.

- Mamo, jak to dobrze, że mam ciebie i ojca zamiast takiej okropnej kuzynki czy ciotki. A teraz opowiedz mi o Robercie.

- Bardzo niepokoił się o ciebie. Zaraz wysłemy mu wiadomość, że dotarłaś bezpiecznie do domu. Wstąpił do wojska na początku wojny i oczywiście nie mógł teraz przyjechać. Zjawi się na pewno przy pierwszej sposobności, przekonasz się.

- Robert w wojsku... jakie to dziwne!

- Obawiam się, że niejedna dziwna rzecz wydarzy się w najbliższym czasie. Ale najważniejsze jest to, że mamy cię w domu.

W tym momencie drzwi otworzyły się i wszedł ojciec. Bez słowa otoczył mnie ramionami, mocno przytulił

Ipogłaskał po głowie.

- Dobrze, że znów jesteś z nami. - To wszystko, co powiedział.

Był to cudowny powrót do domu.

Następny dzień upłynął na układaniu planów. Matka rzuciła się w wir zajęć z szaleńczą wprost energią. Ciągłe powtarzała, jak bardzo wdzięczna jest losowi za mój powrót do domu, opowiadała o potwornym strachu, jakiego z ojcem doświadczyli, o nekających ich ponurych wizjach.

- Nigdy więcej nie chcę przez to przechodzić - oświadczyła stanowczo. — A teraz przede wszystkim — ciągnęła dalej - musimy zająć się dzieckiem.

Przygotowano już dla niego pokój dziecinny. Malec podbił serca całej służby. Wszyscy nieustannie zagadywali do Edouarda — Edwarda od tej chwili — a on był wniebowzięty z powodu zainteresowania, jakie mu okazywano.

- Biedne maleństwo - mówiła pani Cherry. - Jego dom zburzyli Niemcy. Sama bym ich wszystkich chętnie wysadziła w powietrze, gdybym miała coś do powiedzenia. Pomyśleć, że nie mieli litości dla takiej kruszynki. My im jeszcze pokażemy, gdzie raki zimują!

— Musimy znaleźć bonę — powiedziała matka. - Tymczasem niech Andree zostanie i pomoże nam. Muszę przyznać, że Edward bardzo ją polubił... prawie tak samo jak ciebie.

- To będzie dla niej idealne wyjście. Trzeba jej pomóc, mamó. Spójrz, jaka jest szczęśliwa, że może zostać. Była zrozpaczona, że musi jechać do tej okropnej ciotki.

— Biedna dziewczyna! Ileż musiała przejść! Dzięki Bogu, że Edward jest maleńki i nie zdaje sobie sprawy, co się stało z jego domem i rodziną.

Tak więc problem Edwarda i Andree został rozwiązany. Pozostawała jeszcze panna Carruthers. Mojemu ojcu bardzo przypadła do gustu. Lubił z nią rozmawiać i dyskutować. Zaraz pierwszego wieczoru zrobiła na nim wrażenie swoją znajomością zagadnień politycznych.

Podczas pierwszego posiłku dyskutowali o zaletach i wadach rządu koalicyjnego. Panna Carruthers wyraziła opinię, że w czasach pokoju utworzenie takiego rządu byłoby posunięciem dość ryzykownym, ale podczas wojny może się okazać akurat odwrotnie.

— Działanie wszystkich partii politycznych na rzecz jednego celu, czyli pomyślnego zakończenia wojny, jest znacznie lepsze niż ciągła rywalizacja dla samej tylko rywalizacji. Teraz politycy muszą myśleć o przyszłości kraju, a nie o zdobywaniu przewagi w parlamencie, co jest ich zwykłą praktyką. Przyniesie to więcej pożytku nam wszystkim.

Ojciec zgadzał się z nią i gawędzili dalej z wyraźną przyjemnością.

Minęło kilka dni. Matka zaproponowała pannie Carruthers, by została dłużej, jeżeli nie śpieszy się zbyt do kuzynki. Nauczycielka przyjęła zaproszenie z niekłamana radością.

Annabelinda wyjechała do Hampshire, zapowiadając, że wkrótce wróci do Londynu.

Kiedy wszyscy udawali się na spoczynek, matka zachodziła do mego pokoju na krótką pogawędkę przed snem, jak zwykła mawiać.

Pewnego razu powiedziała:

— Wątpię, abyś wróciła do La Piniere. Nie ma sensu łudzić się, że wojna skończy się za tydzień lub dwa. Niemcy wciąż zalewają Belgię. Niedługo dotrą do Francji. Rozmawiałam o tym z ojcem. Masz dopiero piętnaście lat i twoja edukacja nie jest jeszcze zakończona.

— I tak są wakacje.

— Wiem, lecz niedługo się skończą. Musimy pomyśleć o twojej przyszłości. Oboje z ojcem nie chcemy oddawać cię znów do szkoły, nawet w Anglii. Tyle przeszłaś...

— Ach, nie było tak źle. Udało się nam uciec w porę dzięki majorowi Merrivale'owi. Bez niego byłoby naprawdę trudno.

— Tak, oczywiście. Wypada zaprosić go na kolację... może dwudziestego trzeciego, jeżeli termin będzie mu odpowiadał... razem ze stryjem Geraldem. Chyba że nie będzie miał dla nas czasu. Ale nie o tym miałam mówić. Chodzi o twoją naukę. Musisz ją kontynuować, wojna nie wojna. Ojciec wpadł na pewien pomysł. Chce zaproponować pannie Carruthers, żeby została twoją guwernantką.

Spojrzałam na matkę i roześmiałam się.

- Co się stało? — spytała poważnie. — Czy powiedziałam coś zabawnego?

- Nie... skąd! Mamo, po prostu jesteś jak dobra wróżka. Wszystkiemu zaradzisz. Andree, Edward... a teraz panna Carruthers.

- Chyba ją lubisz, prawda? Ojciec uważa, że to bardzo inteligentna kobieta.

- Owszem. Teraz, kiedy ją bliżej poznałam, lubię ją jeszcze bardziej. Jest całkiem inna niż w szkole. Tam była bardzo surowa. Podczas podróży przez Francję okazała się wrażliwa i pełna ciepła.

- Odnoszę wrażenie, że to miła osoba i że będzie dobrą guwernantką.

- Czy już rozmawiałaś z nią o tym, mamo?

- Jeszcze nie. Oboje z ojcem postanowiliśmy, że najpierw dowiemy się, jak ty się na to zapatrujesz.

- Myślę, że to wspaniały pomysł. Panna Carruthers była nieszczęśliwa na samą myśl o powrocie do kuzynki. Naprawdę, aż chce mi się śmiać z radości. Cudownie jest znów być w domu... Wiesz, rozmawialiśmy raz w gospodzie w Calais... kiedy fale waliły wściekle o nabrzeże... rozmawialiśmy o nas, o obawach co do naszych dalszych losów. Widać było, że panna Carruthers boi się przyszłości. Tak samo Andree. A teraz wszystko rozwiązało się w cudowny sposób. Zupełnie jak w bajce.

Matka siedziała przez chwilę w milczeniu, a potem powiedziała:

- I niech tak zostanie, Lucindo. Czy sama porozmawiasz z panną Carruthers? Czy też może to ja powinnam z nią pomówić?

- Ty, mamó, jej to zaproponuj. Powiedz, że będziemy bardzo wdzięczni, jeżeli zgodzi się zostać.

- Zrobię to jak najszybciej.

Rozejrzałam się po moim pokoju i powtórzyłam:

- Cudownie jest być w domu.

Dni mijały szybko. Panna Carruthers była zachwycona perspektywą nowej posady. Omówiła ze mną to, co nazywała naszym curriculum. Zamierzała skupić się głównie na literaturze, dzięki czemu miałam otrzymać solidne podstawy ogólnej wiedzy, pozwalającej wykazać się erudycją podczas konwersacji z gośćmi ojca. Nie miałam nic przeciwko temu. Zgodziłabym się na wszystko, tak bardzo cieszyła mnie radość, jaką sprawiało jej snucie planów na przyszłość. Podobnie było z Andree. W naszym domu zamieszkały dwie zadowolone z życia istoty.

Napisałam do Annabelindy, dzieląc się z nią wiadomością, że panna Carruthers zostanie moją guwernantką. Byłam pewna, że ją to rozbawi. Annabelinda osiągnęła poważny wiek siedemnastu lat i bez trudu przekonała matkę, że dalsza edukacja jest zbędna.

Niewiele się u nas zmieniło. Oczywiście wszyscy mówią wyłącznie o wojnie. Ludnie uwalają, że skończy się przed Bożym Narodzeniem. Może tak się stanie, jeśli nasze wojska dotrą tam w odpowiednim czasie.

Nie widnieliśmy się jeszcze ze stryjem Geraldem. Ciocia Hester mówi, że jest bardzo zajęty. Pewnie niedługo wyjedzie z Anglii. Pracu-

je teraz w Ministerstwie Wojny. Będzie u nas na kolacji dwudziestego trzeciego. Zgadnij, kto jeszcze Przyjdzie? Otóż major Merripale! Mama uznała, że wypada go zaprosić' razem ze stryjem. Cieszę się, że go zobaczę-

Andree jest bardzo szczęśliwa. Ciągle myślę o tym dziwnym Zrządzeniu losu, jakim było nasze spotkanie w „Le Cerf. Nie sądzisz, że przypadek może odmienić całe życie?

Edward ma się dobrze. Nie nazywa się już Edouard. Mama uznała, że lepiej zmienić brzmienie jego imienia na angielskie, skoro ma się tu wychowywać. Naprawdę cudownie postąpiła w tej sprawie. Zawsze w nią wierzyłam.

Czy miałaś wieści od Roberta?

Przekaż ukłony Twoim rodzicom. Ciebie serdecznie pozdrawiam

Lucinda

Nie dostałam odpowiedzi od Annabelindy. Rzadko odpisywała na listy, chyba że miała w tym jakiś cel.

Ciocia Hester przyjechała z Camberley, gdzie mieszkali razem ze stryjem Geraldem. Do Londynu wybrała się po zakupy, jak powiedziała, i przy okazji złożyła nam wizytę.

- Oszczędzę sobie pisania w sprawie kolacji. Gerald nie będzie mógł przyjść dwudziestego trzeciego. Sprawy potoczyły się szybciej, niż przypuszczano. Niemcy zbliżają się do Mons i sytuacja staje się coraz bardziej alarmująca.

v Mons! Pomyślałam o madame Rochere i o tym, co teraz biedna robi. Nie mogłam sobie wyobrazić naszej przełożonej opuszczającej La Piniere.

- Oczywiście, rozumiem - odparła moja matka. -Bardzo żałuję. Chciałam okazać majorowi Merrivale'owi naszą wdzięczność. Pewnie też będzie zajęty.

- Tak. Myślę, że obaj wyjadą mniej więcej w tym samym czasie. Pracują razem.

- Nigdy nie zapomnę Geraldowi tego, że dzięki niemu dziewczęta bezpiecznie wróciły do domu.

- O, Gerald zrobi wszystko dla rodziny. Ale co to ja miałam wam powiedzieć? Aha, już wiem. Czy ta kolacja nie mogłaby się odbyć wcześniej? Wydaje mi się... choć nie jestem tego całkiem pewna, że

Gerald wyjedzie dopiero dwudziestego pierwszego. Zatem można ją urządzić najpóźniej dziewiętnastego.

- Doskonale, niech będzie dziewiętnastego. Czemu nie. Nam to również odpowiada.

- Na razie ten termin jest pewny - powiedziała ciocia Hester. - Ale mam nadzieję, że zrozumiecie nas, jeżeli będziemy musieli odwołać wizytę, prawda? Czasy są takie niepewne.

- Ależ oczywiście — odparła moja matka.

Matka postanowiła, że przyjęcie będzie skromne.

- Takie rodzinne spotkanie. Na pewno stryj Gerald i major Merrivale przy swoich stanowiskach mają dosyć oficjalnych bankietów. Poproszę pannę Carruthers i Andree, by zeszły do nas. W końcu one też należały do waszej grupki i pewna jestem, że major Merrivale chętnie przekona się na własne oczy, iż dobrze im się wiedzie.

Z przyjemnością myślałam o zbliżającym się wieczorze. Muszę przyznać, że nie mogłam się go wręcz doczekać. Często wracałam myślami do Marcusa Merrivale'a. Był typem człowieka, który pozostawia niezatarte wspomnienie.

Bałam się, że przyjęcie zostanie w ostatniej chwili odwołane. Matka powiedziała, że musimy się z tym liczyć. W czasie wojny nic nie jest pewne.

W końcu nadszedł dziewiętnasty. Marcus Merrivale przyszedł ze stryjem Geraldem i ciocią Hester. Wyglądał dokładnie tak samo, jak podczas naszej podróży przez Francję.

Podszedł do mnie i ujął moje ręce.

- Panna Lucinda! Cóż za uroczne spotkanie! I panna Carruthers, i mademoiselle Latour! Jesteśmy niemal w komplecie, czyż nie?

Ojciec zwrócił się do niego ze słowami:

- Nie wiem, jak mamy panu dziękować, majorze. Gdyby nie pan...

— Ależ to naprawdę nic takiego... cała przyjemność po mojej stronie. Zapewniam pana.

- Wiedziałem, że Marcus da sobie radę — stwierdził stryj Gerald. — To idealny człowiek do takich zadań.

- Proszę bardzo - zapraszała do stołu matka. - Mam nadzieję, że nie będziecie panowie dziś nigdzie wzywani. W tych czasach nigdy nic nie wiadomo. Wszystko może się zdarzyć w każdej chwili.

Matka rozsadziła gości tak, że major usiadł po jej prawej ręce, a ja obok niego. Stryj Gerald siedział między panną Carruthers i Andree.

Rodzice zadawali majorowi mnóstwo pytań na temat naszej podróży, choć na większość z nich znali odpowiedź ode mnie. Matka jeszcze raz podziękowała mu za to, co dla nas zrobił. I tym razem odrzekł, że to nic takiego, że dla niego była to przyjemność.

- Zupełnie coś innego niż moje normalne obowiązki, proszę pani. Wszyscy lubimy odmianę. A przy okazji -dodał - jak tam miewa się panicz Edouard? Czy był łaskaw przywyknąć do nowego domu?

- Z godną podziwu obojętnością - odparła równie żartobliwie moja matka. - Lucinda chętnie opowie panu

o nim. To jej ulubiony temat. A tak a propos, nazywamy go teraz Edward. Pomyśleliśmy, że będzie mu lepiej z imieniem o angielskim brzmieniu.

- Doskonały pomysł! - Zwrócił się teraz do mnie. -Dobrze się stało, że mademoiselle Andree została u państwa. Wygląda na zadowoloną. - Uśmiechnął się do niej.

- Jestem bardzo szczęśliwa - zapewniła go gorąco Andree.

Ojciec rozmawiał z ciotką Hester o jej synach, Haroldzie

i George'u. George już wcześniej zdecydował się na karierę wojskową, a Harold zaciągnął się natychmiast po ogłoszeniu wojny.

- Jest jeszcze młody - zaznaczyła ciotka Hester.

- Potrzebujemy wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni - wtrącił Marcus i odtąd rozmowa potoczyła się na temat wojny.

Po kolacji, kiedy przeszliśmy do salonu, Marcus znów znalazł się przy mnie.

Spytał o Annabelinę. Powiedziałam mu, że jest w Hampshire z rodziną. A jej brata - ponieważ wstąpił do wojska - nie widziałam ani razu po powrocie do Anglii.

- Jest na ćwiczeniach na Równinie Salisbury - dodałam.

- W takim razie służy w Królewskiej Artylerii Polowej.

- Tak, zgadza się. Liczę na to, że przy pierwszej nadarzącej się okazji przyjedzie do nas.

- Lubisz go, prawda?

- Bardzo. To jeden z najmiłszych ludzi, jakich znam. Pokiwał głową.

- Nie spodziewałem się ujrzeć tu dziś panny Carruthers.

- Będzie mnie uczyć. Rodzice uważają, że potrzebna mi jest guwernantka.

- Tak, oczywiście. Jesteś jeszcze taka młodziutka. - Uśmiechnął się do mnie. - Ale nie ma się co martwić z tego powodu. To szybko da się naprawić.

- Pewnie niedługo wyjedziesz?

- W każdej chwili jest to możliwe... biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia.

- Słyszałam, że Niemcy są pod Mons. Czy wiesz, jak blisko?

- Wiem tylko, że zbyt blisko.

- To okropne. Nie mogę przestać myśleć o madame Rochere. Co ona zrobi? Jest taka dumna i bezkompromisowa.

- Ośmielę się zauważyć, że będzie musiała poddać się najeźdźcom. Mądrzej zrobiłaby wyjeżdżając.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić, że opuszcza La Piniere z własnej woli. Czy wiesz, co dla niej musi znaczyć strata domu?

- Lepsze to niż stracić życie.

Zrobiło mi się smutno. Zauważył to i położył rękę na mojej dłoni.

- Proszę, nie smuć się, Lucindo. Nie mogę patrzeć na twój smutek.

- Dla wielu ludzi nastaly niewesołe czasy.

- Nic nie jest do końca złe. Zawsze jakiś promyczek błyska wśród chmur. Pomyśl tylko! Gdyby nie to wszystko, nigdy byśmy się nie spotkali!

Uśmiechnęłam się do niego, a on mówił dalej:

- Mam nadzieję, że uważasz nasze spotkanie za jedną z dobrych stron tej ponurej sytuacji.

- Matka wiele razy powtarzała, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni, więc nie będę już tego mówić. Ale naprawdę tak czuję.

- Przeceniasz mnie. Nie szkodzi. Podoba mi się to. Skorzystam z pierwszej okazji, żeby przyjechać i zobaczyć cię znowu.

- Och... naprawdę?

- Mało tego. Nie będę wprost mógł się doczekać następnego spotkania.

- Opowiedz mi coś o swojej rodzinie.

- Co konkretnie chciałabyś wiedzieć?

- Gdzie mieszka? Czy jest liczna? Czy masz żonę?

- W Sussex. Rodzice, brat i siostra. Jeszcze nie. Roześmiałam się.

- Jesteś wyjątkowo lakoniczny.
 - Chciałaś odpowiedzi, więc je masz.
 - Dlaczego odpowiedziałeś: „Jeszcze nie” na pytanie o to, czy jesteś żonaty? Zabrzmiało to tak, jakbyś wkrótce miał się ożenić.
 - Zaczekam, dopóki nie znajdę idealnej kobiety... Tylko czy ona mnie zechce?
 - Na pewno tak.
 - Na tym świecie nie ma nic pewnego, ale miło z twojej strony, że tak mówisz. Obawiam się, że idealna kobieta szuka idealnego mężczyzny.
 - Kiedy ludzie są zakochani, wydają się sobie idealni.
 - Pocieszasz mnie. Niestety, później zawsze wychodzą na jaw różne niedoskonałości. Może doskonałość to tylko kwestia kompromisu?
 - Czy nie jesteś odrobinę cyniczny?
 - Ja? Nigdy w życiu. Jestem romantykiem. Optymistą. Prawdopodobnie bardzo niemądrym człowiekiem.
 - Mam nadzieję, że znajdziesz swoją idealną kobietę.
 - Znajdę. Nawet jeśli będę musiał poczekać, aż trochę podrośnie.
- Mówiąc te słowa uśmiechnął się do mnie i szelmowsko uniósł brew. Speszył mnie trochę, ale czułam się szczęśliwa. Podeszła do nas Andree.
- Słyszałam, że Niemcy posuwają się coraz bardziej w głąb terytorium Belgii i że zbliżają się do granicy francuskiej. Czy to prawda, majorze?
 - Nierozsądną rzeczą jest słuchanie plotek, mademoiselle Latour. Ale rzeczywiście, obawiam się, że posuwają się dość szybko.
 - Zatem wyjedzie pan niedługo?
 - Najprawdopodobniej za kilka dni.
 - Chciałabym, aby ta okropna wojna skończyła się jak najszybciej!
 - Może pani być pewna, że wszyscy życzymy sobie tego samego.
- Podeszła do nas panna Carruthers.
- To prawdziwa przyjemność widzieć pana, majorze — zwróciła się do Marcusa. - Nigdy nie zapomnę tego, jak się pan nami wspaniale opiekował.
 - Jak troskliwy pasterz - dodała Andree.
 - Nie mów tak — zaprotestowałam ze śmiechem. - Brzmi to tak, jakbyśmy były owcami. Myślę, że w tym wypadku słowo „pasterz” nie

brzmi najlepiej. Pasterz zajmuje się owcami, to prawda, ale na końcu trafiają biedactwa do rzeźni.

- Niektóre giną ze starości - zauważyła panna Carruthers.

- Ale nawet wtedy trzymane są ze względu na wełnę.

- A Srokaty Kobziarz? - spytała panna Carruthers z rzadkim u niej przekornym uśmiechem.

- Muzyką zwabił dzieci w góry - dorzuciłam.

- Drogie panie - powiedział Marcus. - Ani pasterz, ani Kobziarz... jestem sobie zwykłym człowiekiem, który z przyjemnością oddał bliźnim drobną przysługę. Każdy by to zrobił na moim miejscu.

- Sądzę, że wyjątkowo dobrze radzi pan sobie w trudnych sytuacjach - stwierdziła poważnie panna Carruthers. - Było to niezapomniane przeżycie. Do końca życia będę panu wdzięczna.

Podeszła do nas matka z ciotką Hester i rozmowa zeszła na tematy ogólne.

Chyba wszyscy uznali wieczór za udany. Kiedy się skończył, okazało się, że Marcus Merrivale na dobre

zadomowił się w moich myślach. Przekonałam się, iż naprawdę go lubię. Nawet służba najwyraźniej była pod jego urokiem. Wkroczył w nasze życie jak bohater na białym koniu. Był człowiekiem, który szanował uczucia innych i miał ciepły uśmiech dla każdego. Nasunęło mi się też niejasne przypuszczenie, że być może jest coś wyjątkowego w jego stosunku do mnie.

Następnego dnia stryj Gerald przyszedł się pożegnać.

Wiadomości były złe. Niemcy znajdowali się na ' przedmieściach Mons. Toczyły się tam zaciekle walki.

- Musimy ich zatrzymać - powiedział stryj Gerald. - Wysyłamy tam coraz więcej żołnierzy i broni. Pułk wyrusza jutro o świcie.

- Czy major Merrivale jedzie z tobą? - spytała moja matka.

- Tak. Sympatyczny z niego człowiek, prawda?

- Bardzo miły. Jesteśmy mu niezwykle wdzięczni. Tobie również, naturalnie.

- Już tyle razy dziękowałaś. Po prostu wiem, komu można powierzać takie zadania. Czy nie sądzisz, że on jest czarujący? Bardzo podobają się paniom.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparła matka.

- Pochodzi z bardzo dobrej rodziny spokrewnionej z Luckleyami. Księżę jest jego kuzynem, zdaje się. Rodzina o wojskowych tradycjach. Marcus daleko zajdzie. Jest zdolny i ma odpowiednie pochodzenie.

- Zdaje się, że bardzo przypadli sobie do gustu z Lucindą - zauważyła matka. - Takie przeżycia zbliżają ludzi. Mam nadzieję, że będziemy go częściej widywać.

- Teraz będzie miał pełne ręce roboty. Tak jak my wszyscy.

- To się przecież musi kiedyś skończyć.

- Im prędzej, tym lepiej. Ale obawiam się, że nastąpi to raczej później niż wcześniej. Po obu stronach panuje ogromna determinacja. Mam przeczucie, że walka będzie długa i ciężka.

- Ludzie uważają, że na Boże Narodzenie powinno być po wszystkim.

- To prasa tak twierdzi, a ludzie powtarzają jak papugi. No nic, trzeba też widzieć dobre strony życia..

- Przyrowadź do nas tego miłego majora przy pierwszej nadarzającej się okazji - powiedziała matka.

- Chętnie - obiecał stryj Gerald.

Do Londynu przyjechały Annabelinda i jej matka.

- Mamy w planie drobne zakupy - oznajmiła od progu ciocia Belinda. - Przekonałam Roberta, że nie możemy pozwolić, by wojna zrujnowała nam życie. Trzeba przecież jakoś żyć.

- Zostawiłyście Roberta samego?

- Ma bardzo dużo pracy. Robert junior jest w wojsku, wielu ludzi z majątku zaciąga się do armii...

- Rzeczywiście, na wsi teraz musi być ciężko. Ale wam jakoś udało się przyjechać...

- Jak się miewa ten miły major? Robert zna jego rodzinę.

- Gerald mówił, że jest spokrewniony z Luckleyami.

- No, no, to już coś — powiedziała ciocia Belinda. — Annabelinda opowiadała mi, że jest czarujący. Słyszałam, że przychodzi do was na kolację. Bardzo chętnie poznam go bliżej.

- Obawiam się, że jest niestety za późno. Kolacja już się odbyła. Zmieniliśmy termin, ponieważ obaj z Geraldem musieli wyjechać z Anglii wcześniej, niż początkowo zamierzali.

Twarz Annabelindy pociemniała.

- Aha - mruknęła. - Ale przecież Lucinda napisała mi, że będzie proszona kolacja. Specjalnie przywiozłam odpowiednią sukienkę.

- Przykro mi - powiedziała moja matka. - Ale nie martw się. To nie była niczyja wina. Naprawdę musieli wcześniej wyjechać. Sytuacja na kontynencie znacznie się pogorszyła.

Wyraźnie widziałam rozczarowanie Annabelindy. Przyszło mi do głowy, że namówiła matkę na wyjazd właśnie z powodu tej kolacji. Jeszcze tego samego wieczoru moje przypuszczenia potwierdziły się.

Wpadła do mojego pokoju. Twarz miała wykrzywioną gniewem.

- Ty źmijo! - wybuchnęła. - Specjalnie to zrobiłaś. Doskonale wiem, dlaczego.

- O czym ty mówisz? - spytałam.

- Ty... i Marcus. Wiedziałaś, że nie przyjdzie dwudziestego trzeciego tylko wcześniej, i nie zawiadomiłaś mnie.

- Dlaczego miałam cię zawiadamiać?

- Bo chciałam tu być!

- Przecież i tak nie byłaś zaproszona.

- Oczywiście, że nie byłam. Już ty tego dopilnowałaś.

- Chyba przesadziłaś. Gdybyś tu była, to co innego. Ale cię nie było.

Nie zapraszamy cię za każdym razem, kiedy urządzamy kolację. Za daleko mieszkasz.

- Dlaczego nie dałaś mi znać o zmianie terminu?

- Nie przyszło mi nawet do głowy, że mam to zrobić.

- Nie chciałaś, żebym się zjawiała, co?

- Byłabyś na kolacji, gdybyś była w Londynie.

- Napisałaś mi, że przyjęcie jest dwudziestego trzeciego, a wiedziałaś, że będzie dziewiętnastego.

- Kiedy pisałam do ciebie, naprawdę myślałam, że przyjęcie będzie dwudziestego trzeciego.

- Specjalnie zataiłaś przede mną zmianę daty.

- Wcale nie zataiłam. Data została zmieniona już po moim liście do ciebie. Nie widziałam powodu, żeby zawiadamiać cię o tym.

- Bałaś się, że przyjadę. Nie chciałaś tego. Wiedziałaś, że jeśli ja tu będę, on w ogóle nie zwróci na ciebie uwagi.

- Wcale tak nie myślałam.

- Akurat, na pewno tak myślałaś. Byłaś zazdrosna. Zawsze jest to samo. Staralaś się, żeby cię zauważył, i byłaś zła, bo on wyraźnie oka-

zywał, że woli mnie. Lubisz go, prawda? Chcesz mu się podobać? No dobrze, powiem ci... on interesuje się mną, a nie tobą... i dlatego nie życzysz sobie mojej obecności!

- Głupstwa pleciesz. Nic takiego nie myślałam. Wydaje ci się, że wszyscy się w tobie kochają. Tak jak...

- Jak...?

- Jak Carl Zimmerman.

Twarz Annabelindy stężała. Przez chwilę myślałam, że ma zamiar mnie uderzyć.

- Nigdy nie mów o nim przy mnie!

- Więc przestań opowiadać głupstwa.

Nagle zmieniła się. Wyglądała na przegraną. Jeszcze parę minut wcześniej nienawidziłam jej. Teraz znów zaczął odzywać się dawny sentyment.

Powiedziała cicho:

- To było nikczemne z twojej strony, Lucindo.

- Po prostu nie pomyślałam o tym, żeby napisać ci o zmianie terminu - wyjaśniłam. - I nigdy nie przyszło mi do głowy, by starać się zwrócić na siebie uwagę Marcusa. Gdybyś tu była, przysłabyś na tę kolację.

- Jesteś młoda i naiwna - powiedziała. - To naprawdę wyglądało tak, jakbyś starała się trzymać mnie z dala. On jest doświadczonym mężczyzną. Nie interesowałby się pensjonarką. Nie mogę znieść myśli, że mogłaś się ośmieszyć, Lucindo.

- Wcale się nie ośmieszyłam.

- Pewnie mu się narzucałaś. Należy pozwolić mężczyźnie, by zabiegał o twoje względy. A prawda jest taka, że on interesuje się mną. Wiem o tym. Takie rzeczy po prostu się wie. Rozumiem, co czujesz do niego. Jest atrakcyjny, ale co ty wiesz o życiu? Uważa cię za dziecko. Sam mi to powiedział. Nie wolno ci myśleć...

- O czym?

- Że on cię jakoś szczególnie lubi. Będziesz potem cierpieła.

- Tak jak ty? - Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie odparować.

— Czy ty zawsze musisz dawać dobre rady, Annabelindo?

- Jestem bardziej doświadczona.

- O, to na pewno!

- Powinnaś była dać mi znać, że on przyjeżdża. Cóż... stało się. Wyjechał na front. Na pewno był bardzo rozczarowany, że się ze mną nie zobaczył. Czy pytał o mnie?

- Wspomnieliśmy o tobie.

- Co powiedział?

- Pytał się, co u ciebie słychać. Wolno pokiwała głową.

- Nie chcę, Lucindo, żebyś cierpiała.

- Doprawdy, nie musisz się o mnie tak troszczyć. Pamiętaj, że jak na razie to ty cierpiałaś.

- Jesteś jeszcze bardzo naiwna. Nie wyobrażaj sobie za wiele w związku z Marcusem Merrivale'em. Wiem, że jest uroczy, ale to człowiek światowy. Kobiciarz. Pewnie uważasz go za romantycznego kochanka. Nie wiesz nic o tych sprawach.

Wkrótce potem wyszła, a ja leżałam nie mogąc zasnąć

Imyślałam o tym, co mi powiedziała.

Dni wolno mijały. Pomału przywykliśmy do zwykłego trybu zajęć. Ojca często nie było w domu. Był zajęty, jak to określała mama, „sprawami Izby”, mając oczywiście na myśli Izbę Gmin. Nie zadawało się pytań o takie sprawy.

Panna Carruthers z właściwym sobie zaangażowaniem zaczęła pełnić nowe obowiązki. Lekcje odbywały się codziennie. Andree zajęła się Edwardem i matka orzekła, iż na razie bona nie jest potrzebna - dziewczyna radziła sobie doskonale, a zbyt częste zmiany wcale nie są korzystne dla dzieci.

Matka była zajęta różnorodną działalnością dobroczynną, wchodzącą w zakres - jak to nazywała - „wysiłku wojennego”. Szczególnie dużo uwagi poświęcała Czerwonemu Krzyżowi. Od czasu do czasu pozostali domownicy też byli angażowani do pomocy.

Pewnego ciemnego listopadowego dnia weszła do mego pokoju pani Cherry. Zapowiedziała, że przyszedł z wizytą pewien dżentelmen i czeka w salonie. Natychmiast pomyślałam o Marcusie Merrivale'u. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Policzki miałam zaróżowione, oczy błyszczące.

Zbiegłam do salonu w niezwykle radosnym nastroju. Otworzyłam drzwi i ujrzałam... Roberta.

Zalała mnie fala radości. W jednej chwili zapomniałam o tym, że spodziewałam się Marcusa.

- Robert!

Uśmiechnął się nieśmiało na mój widok. Wyglądał jakoś inaczej w kolorze khaki. Właściwie nie było mu do twarzy w tym kolorze. W prawdziwym mundurze na pewno prezentowałby się lepiej. Mimo to widać było, że jest zdrowy i w dobrej formie. Był lekko opalony i nie tak chudy jak dawniej.

Podbiegłam do niego i padliśmy sobie w objęcia.

- Cudownie, że jesteś! - wykrzyknęłam. - Ciągle zastanawiałam się, kiedy cię zobaczę.

- Ja też nie mogłem się doczekać naszego spotkania — wyznał. - Całe wieki minęły. Słyszałem o waszej podróży do domu. Wiele przeszłyście.

- Och, tak!

- Jakie to szczęście, że twemu stryjowi udało się załatwić przywiezienie was tutaj.

- Inaczej musiałybyśmy uciekać z uchodźcami.

- Podobno major Merrivale was eskortował.

- Tak. Doskonale się spisał.

- Zawsze staję na wysokości zadania. Jego stopień też się liczy, oczywiście. Bardzo się o was bałem, kiedy byliście w szkole. Akurat w Belgii!

- Często martwię się, co się teraz tam dzieje. Nasza przełożona, madame Rochere, to bardzo dumna osoba o arystokratycznych koneksjach. Ciekawe, jak się potoczyły jej losy.

- Obawiam się, że to nic miłego być w okupowanym kraju. Mam nadzieję, że nas to nigdy nie spotka.

- Na pewno nie! To niemożliwe! Na szczęście oddziela nas kanał. Francuzi są w gorszej sytuacji.

- No właśnie. Niepokoję się o dziadka. Mama też. Nie mamy pojęcia, co dzieje się w Bordeaux.

- Kto jak kto, ale monsieur Bourdon na pewno potrafi zadbać o siebie.

- Zgadzam się, ale jednak wolelibyśmy wiedzieć coś konkretnego.

- Opowiedz mi teraz o sobie, Robercie.

- No cóż, było ciężko. Dopiero teraz pomału zaczynam się oswajać. Dużo jeździmy konno, co sprawia mi ogromną przyjemność, jak możesz się domyślić. Coraz bardziej przyzwyczajam się do długiego

dnia, krzyków i rozkazów, które trzeba wykonywać natychmiast. Już nie budzą takiego sprzeciwu jak na początku. Zawiera się też wspaniałe przyjaźnie, a uczucie, jakiego się doznaje, kiedy człowiek wali się do łóżka kompletnie wyczerpany i śpi aż do pobudki, jest naprawdę boskie.

- Czy tęsknisz do domu?

- Oczywiście, i to z wielu powodów. Ale gdyby wszyscy zostali w domu, to kto wygrałby tę wojnę?

- Na jak długo masz przepustkę?

- Jeszcze trzy dni. Dwa spędziłem w domu, przez resztę czasu zostanę w Londynie.

- Ach, jak dobrze!

- Mama i Annabelinda przyjechały ze mną. Ojciec musiał zostać. Ma bardzo dużo pracy.

- Czy nie żałował, że jedziesz do Londynu?

- Znasz go. Zawsze wszystko rozumie i chce tego, czego pragnie rodzina. Oczywiście mama i Annabelinda stwierdziły, że powinniśmy pojechać do Londynu zobaczyć

się z wami.

- Ogromnie się cieszę, że jesteś.

- Dawno cię nie widziałem. Od Bożego Narodzenia. Pomyśl tylko, jeszcze nigdy nie rozstawaliśmy się na tak długo.

- To prawda. Jak chcesz spędzić te kilka dni w Londynie?

- Z tobą... i...

- Z Annabelinda, z matką i z całą resztą?

- A może one będą wolały zakupy...?

- Miejmy nadzieję!

Chwycił mnie za rękę i spojrzał mi prosto w oczy.

- Czy mówisz szczerze, Lucindo?

- Oczywiście.

- Zmieniłaś się troszeczkę.

- To znaczy?

- Wydoroślałaś.

- Całe życie to robimy.

- Ale ty wydoroślałaś bardziej niż o rok. To pewnie przez tę wojnę i okropności, na które musiałaś się napatrzeć w podróży. Słyszałem też o dziecku.

- Prawda! Przecież nie widziałeś jeszcze Edwarda.
 - To musiało być ciężkie przeżycie dla ciebie... śmierć tej nieszczęsnej kobiety... Cudowna jesteś, że zaopiekowałaś się dzieckiem.
 - Wiedziałam, że to zrozumiesz.
 - Postąpiłaś słusznie. Podobno to miły dzieciaczek.
 - A wiesz o Andree Latour?
 - Tak. Annabelinda mi powiedziała. Ona też jest zdania, że major Merrivale spisał się na medal.
 - O, na pewno...
 - Żałuję, że nie byłem na jego miejscu...
 - Miałaś wtedy ćwiczenia. Stryj Gerald uznał, że major świetnie nadaje się do tej misji. I rzeczywiście tak było.
 - Nadzwyczajne... I ty, młoda dziewczyna, prosto ze szkoły...
 - Na szczęście już jestem w domu. Życie wróciło mniej więcej do normy. Przyjechała też z nami panna Carruthers, jedna z nauczycielek. Została moją guwernantką.
 - Prawda, masz dopiero piętnaście lat - westchnął.
 - Czyżby cię to martwiło?
 - Szkoda, że nie jesteś trochę starsza. Że nie masz, powiedzmy, siedemnastu lat.
 - Siedemnastu? Czy to taki dojrzały wiek?
 - To wiek, w którym zaczyna się myśleć o przyszłości.
 - Sądziłam, że zawsze należy myśleć o przyszłości.
 - Mam na myśli planowanie... konkretne planowanie... Spojrzałam zaskoczona, a on jakby zreflektował się nieco.
 - Nieważne. Porozmawiamy później. Co chciałabyś robić? Może pójdziemy do teatru? Szkoda, że nie możemy pogalopować wśród pól. Jakoś nie mam ochoty na przejażdżki po Hyde Parku.
 - Chodźmy na spacer. Tak jak kiedyś.
 - Świetnie. A więc uciekamy od reszty towarzystwa?
 - Czy chcesz tego?
 - Tak — odparł szczerze.
 - To twoja przepustka i ty decydujesz.
- Do pokoju weszła Annabelinda. Ucałowała mnie czule.
- Postanowiłam pozwolić bratu, aby zrobił ci niespodziankę, zanim się dowiesz, że przyjechaliliśmy wszyscy. Jak go znajdujesz?

- Wygląda doskonale. Bardzo się cieszę, że znowu go widzę.
- Byłam pewna, że tak powiesz. Lucinda jest twoją gorącą wielbi-
cielką, Robercie.

- Z wzajemnością.

Annabelinda roześmiała się. Była w doskonałym humorze.

Do pokoju weszła jej matka. Wyglądała bardzo elegancko i przypo-
minała własną córkę. Po chwili znalazłam się w jej objęciach.

- Droga Lucindo! Jak miło cię widzieć!

- Czyż nie cudowną niespodziankę sprawił nam Robert swo-
im przyjazdem? — powiedziała moja matka, która zjawiała się w
ślad za gośćmi. Całkowicie podzielałam jej zdanie.

- Naprawdę cieszę się, że jesteś z nami - dodała matka patrząc
na Roberta.

- Ja też tęskniłem za wami wszystkimi.

- A szczególnie za drogą Lucindą - dorzuciła Anna-belinda.

- Rozmawialiśmy właśnie o przepustce Roberta — powiedzia-
łam. - Jestem zdania, że skoro to jego urlop, on powinien decydować,
jak chce go spędzić.

- Szkoda, że masz tylko trzy dni, Robercie - powiedziała moja mat-
ka.

- Dobrze i to - odparł pogodnie Robert. - Postaram się jak najlepiej je
wykorzystać.

Podano lunch. Przy stole Annabelinda spytała o pannę Carruthers i
Andree Latour.

- Panna Carruthers przywiązuje wielką wagę do konwenan-
sów — wyjaśniła moja matka. — Jada z nami czasem, ale odnoszę
wrażenie, że robi to z pewną niechęcią. Jest przesadnie skromna, więc
uważa, że to nie wypada. Chyba woli jadać sama. Natomiast Andree w
ciągu dnia zajmuje się Edwardem, ale często je z nami kolację.

- A jak dziecko? - spytała ciocia Belinda.

- Cudownie. Już nie wyobrażamy sobie życia bez niego.

- To taki ciepły dom - powiedziała ciocia Belinda. - Ty zawsze mia-
łaś w sobie dużo ciepła, Lucie.

- Nie jestem pewna, czy to ma być komplement -roześmiała się mo-
ja matka.

- Oczywiście, że komplement, Lucie, kochanie. A propos, czy wi-
dzieliście ostatnio tego miłego majora?

Annabelinda stała się nagle czujna i spojrzała na mnie.

- Nie - odparła matka. - Żołnierze są bardzo zajęci w czasach takich jak te.

- Szkoda. Straciliśmy wtedy okazję spotkania go na kolacji. A wydał mi się taki czarujący.

- Naprawdę jest czarujący - powiedziała moja matka.

- I w dodatku pochodzi z bardzo dobrej rodziny. Okropna wojna... strasznie komplikuje życie.

- I tak się przeciąga - stwierdziła ze smutkiem matka. - A teraz jeszcze wypowiedzieliśmy wojnę Turcji. Coraz gąrczej robi się w tej części świata. A czy zatonięcie „Good Hope” i „Monmouth” to nie straszne nieszczęście?

- Odmawiam kategorię rozmowy na smutne tematy - zaprotestowała ciocia Belinda. - Mam już dosyć, ty pewnie też, Lucie. Załóż się, że Joel przynosi do domu mnóstwo ponurych wiadomości.

- Nie trzeba wcale czekać na jego powrót — odparła moja matka. - Wszystko jest w gazetach.

- Mój Robert przejmuję się przede wszystkim ziemią. Powinniśmy produkować jak najwięcej zboża. Ale, jak powiedziałam, dosyć! Co tam nowego w sklepach? Nie wolno się zaniedbywać tylko dlatego, że jest wojna.

Matka roześmiała się, jak to zapewne robiła często przez te wszystkie lata - podobnie jak ja śmiałam się z Annabelindy.

Potem Robert opowiedział nam kilka zabawnych historyjek z życia na Równinie Salisbury.

- Człowiek hartuje się i uczy stoicyzmu — mówił. Naśladując sierżanta kompanii wygłosił kilka sarkastycznych uwag na temat ciepłarnianych warunków, w jakich żyli rekruci, zanim trafili do wojska i w jego, sierżanta, ręce. „Jesteście teraz w wojsku. Nie ma mamusi, która by wycierała syneczkowi noski i opowiadała bajki na dobranoc”. Najwyraźniej sierżant znajdował przyjemność w nękanii każdego, kto wykazywał choćby najmniejsze oznaki słabości.

Robert opowiedział nam także, jak to pewnej nocy, podczas pobytu w miejscowej gospodzie, sadystyczny instruktor konnej jazdy tak się spił, że nie wiedział, co się z nim dzieje. Kilku rekrutów wyniosło pijanego na dwór.

Rozebrali go do naga, złożyli ubranie w kostkę, położyli obok i uciekli.

- Trzeba mu oddać sprawiedliwość - opowiadał Robert - że następnego ranka zjawił się w stajni wcale nie zdenerwowany z powodu swojej przygody i zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Słowem nie wspomniał o tym incydencie.

- Zasługiwał na to, co go spotkało — stwierdziła ciocia Belinda.

- A jednak dobrze świadczy o nim fakt, że umiał spokojnie przyjąć nauzkę, jaką dostał od tych, których upokarzał — powiedziała moja matka.

- Lucie zawsze we wszystkim dostrzeże dobro! — wtrąciła ciocia Belinda.

- W każdym tkwi dobro - zauważyłam.

- Widzę, że wychowujesz córkę na swoje podobieństwo, Lucie — stwierdziła ciocia Belinda.

- Co uważam za bardzo dobry pomysł — dodał Robert, po czym wrócił do opowieści: - Przynajmniej chłop okazał się równy. Po tej historii bardziej go szanowaliśmy. Umiał pogodzić się z losem. Pokornie przyjął nauzkę wymierzoną w imię sprawiedliwości.

- Ja i Annabelinda nie jesteśmy takie łagodne jak twoja córka, Lucie - powiedziała ciocia Belinda. »- Rozkoszowałybyśmy się zemstą, prawda, kochanie? Zabrałybyśmy ubranie ze sobą. Ciekawe, czy potem sierżant równie spokojnie wróciłby do swoich obowiązków.

- Nie nienawidziliśmy go aż tak bardzo — wyjaśnił Robert. - Nie da się ukryć, że to człowiek brutalny, ale w końcu niełatwo jest szkolić rekrutów, którzy nigdy nie mieli do czynienia z wojskiem.

- Musimy koniecznie wybrać się do teatru, skoro jesteśmy w mieście — zmieniła temat ciocia Belinda.

Sporo czasu spędziłam z Robertem podczas tych trzech dni. Z prawdziwą przyjemnością spacerowaliśmy po Londynie. Panowała między nami idealna wręcz harmonia, podobały się nam te same rzeczy, i chwilami odnosiliśmy wrażenie, że czytamy wzajemnie w swoich w myślach.

Pewnego razu przeszliśmy na drugą stronę rzeki przez Westminster Bridge. Przystanęliśmy na chwilę, rozejrzeliśmy się dookoła i obojgu nam przypomniały się dawne dobre czasy. Wróciło wspomnienie tego

dnia, kiedy zostawiłam rękawiczki na ławce w Green Parku, i jak potem ich szukaliśmy. Robert przypomniał naszą wielką radość, kiedy je znaleźliśmy na ławce, na której zostały. Myśleliśmy o tych szczęśliwych dniach, mijając stojący nad rzeką dumny gmach parlamentu z wielkimi gotyckimi wieżami, które zdawały się tu stać od wieków, choć nie miały jeszcze nawet stu lat. Symbolizowały dla nas coś niezwykle cennego: nasz dom i naszą ojczyznę. Zawsze byliśmy bardzo dumni z tego, że stanowimy jej część. Teraz te uczucia odezwały się ze zdwojoną siłą. Walczyliśmy przeciwko obcej dominacji; walczyliśmy o to, by małe kraje, takie jak Belgia, nie były napadane bez ostrzeżenia. Teraz Robert miał iść na wojnę. Bałam się o niego, a jednocześnie byłam z niego dumna.

Takich właśnie uczuć doznawaliśmy spacerując po Londynie. Chodziliśmy do Green Parku popatrzeć na kaczki, siadywaliśmy na ławce, na której kiedyś zostawiłam rękawiczki. Śmieliśmy się z tych wspomnień i przypominaliśmy sobie także inne wydarzenia z przeszłości.

- Wygląda na to - powiedział Robert - że ścieżki naszego życia splatają się ze sobą.

- To dzięki przyjaźni między naszymi matkami.

- Z Annabelinda jesteście jak siostry.

- Zawsze tak było. Dziwne, że nie widuję jej zbyt często podczas tej wizyty.

- One chyba uknuły spisek, żeby zostawić nas samych.

- Tak myślisz?

- Na pewno! Zresztą nie mam nic przeciwko temu.

- Ani ja. Ale one po prostu zajęte są zakupami. Zawsze tak jest, kiedy przyjeżdżają do Londynu.

- Chciałyby mieć dom w Londynie, ale ponieważ twoi rodzice zawsze udzielają nam gościny, nie jest to aż tak konieczne. Poza tym ojciec jest temu przeciwny.

- Pewnie w końcu się podda.

— Niewykluczone. Wiesz, będę ciepło wspominał ten krótki urlop.

— Mam nadzieję, że nie martwisz się za bardzo powrotem do tego okropnego instruktora jeździectwa?

— Martwię się rozstaniem z tobą.

— Och, Robercie! Jest mi naprawdę smutno, że wyjeżdżasz!

Mocno uścisnęłam moją rękę.

— Napisz do mnie, Lucindo.

- Oczywiście.

— Opowiesz mi o wszystkim, co się będzie działo.

- Na pewno... Ty też napisz, dobrze?

- Obawiam się, że nasze listy będą cenzurowane.

- Nie chcę wiadomości o wojnie. Chcę wiadomości o tobie.

Zaśmiał się cicho.

- Jeszcze jedna przepustka, a potem pewnie dostanę przydział do jednostki.

— A to oznacza, że wyruszysz.

— Pewnie tak.

- Może do tego czasu będzie po wszystkim?

- Kto wie? Lucindo, jak ty wydorostałaś. To znaczy jesteś bardzo poważna jak na swój wiek.

- Naprawdę? To pewnie przez ostatnie wydarzenia. Takie sprawy powodują, że szybko wyrastamy z dzieciństwa.

— Piętnaście lat. Wkrótce będziesz miała szesnaście. Będziesz całkiem dorosła.

- Kiedy tak mówisz, czuję się wręcz staro.

— Och, nie! Pragnąłbym tylko, żebyś była trochę starsza, żebyś miała tyle lat, ile ja mam teraz.

— Nie byłbyś wówczas moim starszym bratem, jakim byłeś przez całe życie.

- O to właśnie chodzi.

- To znaczy?

- Dorośnij szybko, Lucindo.

- Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy. Odwrócił się do mnie i pocałował mnie w policzek.

- Cudownie mi z tobą - powiedział. - Chyba dobrze się rozumiemy.

- Tak. Na pewno. Będzie mi bardzo smutno, kiedy wyjedziesz.

- W takim razie ustalmy teraz, dokąd pójdziemy, kiedy przyjadę następnym razem.

- Doskonały pomysł! I obiecuję, że postaram się przyspieszyć proces dorastania.

- Zrób to — poprosił.

Ruszyliśmy w stronę domu. Oboje byliśmy bardziej milczący niż zazwyczaj.

Wszyscy poszliśmy na stację odprowadzić Roberta. Ciocia Belinda i Annabelinda zostały u nas jeszcze kilka dni.

Byłam zaskoczona, a nawet z lekka zgorzozona tym, że Annabelinda w ogóle nie wykazywała zainteresowania Edwardem. Kiedy ktoś zaczynał mówić na jego temat, jej twarz natychmiast przybierała wyraz całkowitej obojętności. Przecież nie mogła nie czuć nic. Czasem sprawiała wrażenie, że jest zła na mnie za to, że przywiozłam go do Anglii. Wolałaby oczywiście, żeby pozostał w Belgii i na zawsze zniknął z jej życia.

Myślę, że jej punkt widzenia nie był pozbawiony pewnej logiki. Chciała zapomnieć o niemiłym epizodzie, a w rezultacie moich poczynań przypominała sobie o nim za każdym razem, kiedy u nas gościła.

Wydawało mi się to nieludzkie, by kobieta nie okazywała czułości czy chociażby zwykłej ciekawości w stosunku do własnego syna.

Annabelindzie tymczasem wrócił humor i najwyraźniej wybaczyła mi to, że nie zawiadomiłam jej o zmianie terminu kolacji z Marcusem Merrivale'em.

Zachodziła, czasem do mego pokoju na pogawędkę w cztery oczy. Rozmawialiśmy o szkole i o tym, co może teraz robić madame Rochere.

— Jestem pewna, że komenderuje armią okupacyjną — stwierdziła Annabelinda.

— Biedna madame Rochere! Obawiam się, że prawda wygląda całkiem inaczej.

- Czy wyobrażasz sobie naszą przełożoną kapitulującą przed kimkolwiek?

- W tych okolicznościach, tak.

- Nam na szczęście udało się uciec. Głównie dzięki dzielnemu majorowi. Nie masz o nim żadnych wieści?

- Nie.

— Na pewno?

— Przecież powiedziałam, że nie.

— Już raz miałaś przede mną tajemnicę, kiedy chodziło o majora. Wolę się upewnić, czy znów czegoś nie ukrywasz.

— Nie miałam żadnych tajemnic. Naprawdę nic nie wiem. Major jest gdzieś we Francji... lub w Belgii.

— Myślałam, że skoro służy w tym samym pułku, co twój stryj, to może jednak coś wiesz.

— Nie mam pojęcia, gdzie przebywa stryj Gerald. Trwa wojna. Wiele spraw stanowi tajemnicę wojskową.

- O tak! Major pewnie jak zwykle świetnie się bawi.

- Szczerze wątpię, żeby tam było zabawnie.

— On zawsze świetnie się bawi. Dzięki temu miło było w jego towarzystwie. Lubicie się z Robertem, prawda?

— Wiesz doskonale, że zawsze się przyjaźniliśmy.

- To dobry chłopak. Pasujecie do siebie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Zaśmiała, się z wyższością.

- Doskonale wiesz, o czym myślę. Nasze rodziny też na pewno mają to na uwadze. Mało, chcą tego.

- Czy to znaczy...

- Oczywiście, ty głuptasie. Weselne dzwony i tak dalej. Gdybyś była rok czy dwa starsza, już by ci się oświadczył. To chyba oczywiste.

- Wcale nie takie oczywiste. Zawsze lubiłam Roberta. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Mówią, że to gwarancja dobrego małżeństwa. Lubisz go przecież. Zabawnie będzie, gdy zostaniemy szwagierkami. Wiesz, wszyscy tego oczekują...

- Nie wierzę, żeby moi rodzice myśleli teraz o tym. A co do ciebie, Annabelindo, to sądzę, że powinnaś zająć się swoimi sprawami, a moje zostawić mnie.

- Och! - wykrzyknęła kpiąco. - Droga Lucindo, Robert uwielbia cię, ty uwielbiasz jego. Jesteście stworzeni dla siebie. I tacy podobni. Kiedy wyjdiesz za niego, zamieszkas na wsi, urodzisz dziesięcioro dzieci i będziecie żyć długo i szczęśliwie.

- Annabelindo, czy możesz przestać układać mi życie?

- Wcale nie układałam. Po prostu mówię, co będzie. To najlepsze wyjście dla ciebie.

- Czy do swoich rozlicznych talentów zaliczasz też jasnowidz two?

- Po prostu myślę logicznie i pauzę uważnie na to, co się dzieje. Oj, chyba jesteś na mnie zła. Czy mam sobie pójść?

- Tak... jeżeli masz zamiar dalej bawić się w przepowiadanie przyszłości. Dlaczego nie zajmiesz się własną?

- Cały czas to robię, Lucindo.

Spojrzałam na nią uważnie. Doskonale wiedziałam, co ma na myśli. Marcus Merrivale naprawdę wpadł jej w oko. Jego rodzina była bogata i miała odpowiednią pozycję, a on sam był bardzo przystojny - idealne połączenie cech, które Annabelinda ceniła najbardziej. Liczyła na to, że go wkrótce zobaczy i oczaruje - była pewna swoich umiejętności w tym względzie. I troszeczkę obawiała się, że ja - oczywiście tylko dlatego, iż jestem bratanicą jego przełożonego — będę mieć okazję, jaka jej może się nie trafić.

Śmiałam się z niej, ale kiedy wyszła, zaczęłam poważnie zastanawiać się nad tym, co powiedziała.

Czy naprawdę moja rodzina pragnie, bym wyszła za mąż za Roberta? Wiedziałam, że rodzice zgodziliby się na to chętnie, ponieważ bardzo go lubili. A Robert? Jak zawsze był bardzo serdeczny wobec mnie i trochę tajemniczy... jeżeli można w ogóle użyć tego słowa w odniesieniu do jego prostolinijnej natury. Dał mi do zrozumienia, że gdybym była starsza, to może by mi się oświadczył...

Myśl ta sprawiła mi niekłamana przyjemność.

A może za bardzo sobie pochlebiałam? Lubiłam Roberta. Z drugiej jednak strony wciskał się natrętnie obraz Marcusa Merrivale'a. Przypomniałam sobie drogę z Belgii przez Francję... podróż do Calais... i potem rozmowę w naszym salonie.

Schlebiała mi myśl, że Annabelinda widzi we mnie rywalkę.

Nadeszło Boże Narodzenie, znacznie skromniejsze niż zwykle. Mówiono, iż do tego czasu będzie po wszystkim, a tymczasem Boże Narodzenie minęło, a wojna toczyła się dalej.

Nie zanosilo się na łatwe zwycięstwo. Ranni nieustannie odsyłani byli przez kanał do Anglii, a wojna trwała.

Moja matka od samego początku głęboko zaangażowała się w działalność charytatywną. Teraz ujrzała nowe możliwości. W kwietniu wpadła na pomysł, żeby zorganizować w Marchlands szpital dla rannych żołnierzy.

Marchlands było doskonale położone, niezbyt daleko od Londynu i niedaleko od wybrzeża, w otoczeniu lasów. Jeżeli dodać do tego idealne wprost powietrze, trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce na rekonwalescencję. Dom był wystarczająco duży, by pomieścić chorych.

W życiu całej rodziny zaszły teraz istotne zmiany. Nowy projekt pochłonał matkę bez reszty. Ojciec w ciągu tygodnia przebywał w Londynie, ale obiecał odwiedzać nas w weekendy. Wszyscy domownicy i prawie cała służba przenieśli się na wieś. Zatrudniono dwóch lekarzy i kilka pielęgniarek. Obie z panną Carruthers również zgłosiłyśmy chęć pomocy. Brakowało nam oczywiście odpowiedniego przeszkolenia, ale w szpitalu było wiele zajęć, które nie wymagały specjalnych umiejętności. Wszyscy daliśmy się zaprząć do pracy. Co chwila trzeba było odbywać podróże do Londynu. Inne sprawy zeszły na plan dalszy - nawet wojna.

W maju znów pojawił się Marcus. Przyjechał ze stryjem Geraldem. Obaj szykowali się do wyjazdu na półwysep Gallipoli, choć zaledwie tydzień wcześniej przyjechali z Francji.

Zjedliśmy razem uroczą kolację, rozmawiając głównie o sprawach wojskowych. Był to, jak mówiła matka, ulubiony temat stryja Geralda. Uwielbiał rozgrywać na obrusie bitwy, w których pieprzniczka stanowiła fortecę, a solniczka - baterię dział. Wykorzystywał też inne naczynia stołowe, chcąc lepiej zobrazować rozkład sił.

Ojciec słuchał taktycznych wywodów w skupieniu. Był ostatnio bardzo zajęty. Na najwyższych szczeblach panowało duże napięcie. Wojna okazała się znacznie trudniejsza do wygrania, niż to sobie niektórzy zakładali.

- Cała operacja ma na celu odciążenie Rosjan - mówił stryj. - To dlatego wzięliśmy się za łby z Turkami w Dardanelach.

- Fisher nie pochwała tej akcji — zauważył ojciec. — A wiesz, że wiele od niego zależy.

- Niedobrze - skrzywił się stryj Gerald. - Brytyjski admirał zrobi złe wrażenie.

- Churchill uważa, że połączenie sił lądowych i morskich powinno pomóc w wyeliminowaniu Turków z wojny.

- I o to chodzi.

- Będzie inaczej niż we Francji - dodał Marcus. - Wojna w okopach jest męcząca.

- Tak, to nieludzki sposób prowadzenia wojny — zgodził się stryj. - Ludzie muszą jak szczury kryć się w jamach. Zwodzi się wroga, zamiast wyjść i stanąć do otwartej walki.

Po kolacji udało mi się w salonie zamienić kilka słów z Marcusem.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytałam.
 - Rozkaz może przyjść w każdej chwili. Trudno przewidzieć dokładnie, kiedy.
 - Ach, życie jest takie niepewne podczas wojny!
 - Myślę, droga Lucindo, że również i w czasach pokoju.
 - Czy twoim zdaniem wojna szybko się skończy?
 - Człowiek staje się ostrożny, jeśli chodzi o przepowiednie. Jedno nie ulega wątpliwości. Starzejemy się z każdym dniem
 - Mówisz tak, jakby należało się z tego cieszyć. Ludzie na ogół nie znoszą myśli o starzeniu się.
 - To zależy, czego oczekują od życia. Przewrotne rozumowanie, prawda? Jedni robią wszystko, żeby cofnąć czas, inni chcieliby przyspieszyć jego bieg.
 - Do której kategorii ty się zaliczasz?
 - Chciałbym, żebyś ty posunęła się o kilka lat, podczas gdy ja zachowałbym swój wiek.
- Po raz drugi wypłynęła w rozmowie kwestia mojego wieku. Najpierw z Robertem, a teraz z Marcusem. Widocznie z jakichś względów było to dla nich ważne.
- Nie mogłam powstrzymać się, żeby nie zapytać:
- Dlaczego właśnie tak?
 - Ponieważ chciałbym ci coś powiedzieć i nie mogę jeszcze tego zrobić.
 - Chętnie cię wysłucham.
 - Nie kuś mnie, droga, mała Lucindo. Najpierw dorośnij, proszę cię. Kiedy kończysz szesnaście lat?
 - We wrześniu.
 - Będę o tym pamiętać. O tej porze w przyszłym roku będziesz prawie siedemnastoletnią, mądrą, młodą damą.
 - Jestem zresztą pewien, że posiadasz mądrość siedemnastoletniej osoby, zanim osiągniesz ten wiek.
 - Czy twoim zdaniem siedemnaście lat to ważny wiek?
 - O, tak. I to bardzo. Dziewczyna staje wtedy na progu kobiecości.
 - Niezwykle poetycko to zabrzmiało.
 - Budzisz we mnie poetę. Pod twoim wpływem dochodzą we mnie do głosu dobre rzeczy. Musimy widywać się jak najczęściej, aby dobro mogło zwyciężyć.

- Przecież wyjeżdżasz...
- Będziemy myśleć o sobie codziennie. A przy pierwszej sposobności przyjadę sprawdzić, czy dotrzymujesz obietnicy i dorastasz szybko.
- Czy złożyłam taką obietnicę? Nie mogę tego zrobić, skoro upierasz się przy traktowaniu mnie jak małe dziecko.

Spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział:

- Wybacz mi. Gdybyśmy byli gdzie indziej, a nie w salonie twoich rodziców, na pewno odczuwałbym pokusę, by zapomnieć o twoim wieku.

Teraz już nie było wątpliwości, co miał na myśli. Przypomniałam sobie o Annabelindzie. Tego właśnie się obawiała. Ta myśl podnieciła mnie.

Dwa dni później Marcus wyjechał na Gallipoli.

Wiele o nim myślałam. Czy naprawdę w ten sposób dał mi do zrozumienia, że jestem dla niego kimś ważnym? A może tak traktował wszystkie przedstawicielki mojej płci? Miałam mieszane uczucia, ale muszę wyznać, że pociągał mnie. Annabelinda wykazała się dużą spstrzegawczością. Zastanawiałam się, jak by zareagowała, gdyby usłyszała naszą rozmowę.

Śledziłam uważnie kampanię na półwyspie Gallipoli. Wydawała się bardzo daleka i szczególnie niebezpieczna. Ach, gdyby tylko było już po wszystkim!

Co by się stało wtedy?

Wkrótce mieliśmy na stałe wyjechać do Marchlands. Szpital był prawie gotów. Panna Carruthers wykazywała niezwykle entuzjazm. Zarządziła, że lekcje nie zostaną skrócone, ale będziemy się uczyć również poprzez pracę w szpitalu, jednocześnie włączając się w ten sposób w wysiłek wojenny całego narodu. Usłyszawszy to, Andree wyraziła nadzieję, że ona również znajdzie wolną chwilę, by popracować w szpitalu.

Dużo myślałam o Marcusie, zastanawiając się, czy znowu go zobaczę i czy wtedy nadal będzie robił aluzje, sprowadzając naszą rozmowę na pogranicze flirtu. Musiałam przyznać, że niezwykle mi to pochlebiało. Był wyjątkowo przystojnym mężczyzną — chyba najprzystojniejszym, jakiego spotkałam w życiu - i to nie tylko ja tak uważałam. Większość ludzi zgodziłaby się ze mną bez wahania. Fakt, że mnie za-

uważał i wyróżnił, sam w sobie był niezwykle i dawał ogromną satysfakcję.

Staralam się na bieżąco zdobywać wszelkie informacje na temat kampanii w Dardanelach. Ogromnie przeżywałam wieści o jakichkolwiek niepowodzeniach.

W tej wojnie nic się nie wiodło. Wiadomości napływające zza kanału były niezmiennie złe. Wydawało się, że ta wojna w ogóle nie ma końca.

Staralam się przejąć trochę entuzjazmu od mojej matki, zająć się sprawami szpitala i oderwać myśli od Marcusa.

Pewnej nocy podczas pełni obudziłam się nagle. Może to blask księżyca świecącego prosto na mnie wyrwał mnie ze snu, nie wiem. Coś mnie obudziło, ale do końca nie byłam pewna, czy to jawa, czy sen.

Na dworze panowała niezwykle cisza. Odkąd zauważono pierwszego zeppelin nad kanałem La Manche w grudniu ubiegłego roku, ludzie z niepokojem patrzyli w niebo podczas pełni. Romantyczna noc, tak przyjemna w czasie pokoju, mogła być bardzo niebezpieczna podczas wojny. Kiedy wróg nadlatywał w swoich statkach powietrznych, czynił to zawsze podczas pełni. Starał się niszczyć nasze domy, tak jak zniszczył dom Jacquesa i Marguerite.

Nagle oprzytomniałam całkowicie. Zaczęłam nasłuchiwać. Dobiegł mnie odgłos lekkich kroków, a potem skrzypnięcie podłogi. Ktoś chodził po domu.

Spojrzałam na zegar przy łóżku. Dochodziła druga. Wstałam, wsunęłam stopy w pantofle, wzięłam szlafrok i otworzyłam drzwi.

Wyjrzałam na korytarz, ale nie było tam nikogo. Potem znowu coś usłyszałam. Ktoś był na schodach.

Ruszyłam w stronę podestu. Kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam jakąś postać poruszającą się ostrożnie.

Ku memu zdumieniu była to Andree.

- Andree - wyszeptalam. - Co się stało? Odwróciła się i przez ułamek sekundy w jej oczach zamigotał strach. Po chwili powiedziała:

- Ach... to ty. Przez chwilę myślałam... Pewnie obudziłam cię. Przepraszam, Lucindo.

- Czy coś się stało?

- Nie. Nic takiego. Trochę martwię się Edwardem...

- Co z nim?

- Nic poważnego - weszła na górę i podeszła bliżej.
- To co tu robiłaś? - spytałam.
- Szłam do kuchni po miód.
- O tej porze? Dochodzi druga.
- Widzisz, Edward zaczął pokasływać. Nie mogł przez to zasnąć. Teraz śpi, więc pomyślałam, że wymknę się na dół i przyniosę trochę miodu. Świetnie robi na podrażnione gardło. Nie przejmuj się. Musiał troszeczkę zmarznąć. Nie czuł się wczoraj najlepiej. A kaszel nie dawał mu spać.

- Wezwiemy rano doktora.
- Nie trzeba. To tylko lekki kaszel. Kiedy wreszcie zasnął.... wymknęłam się po miód.

- Dobry pomysł z tym miodem. Pójdę z tobą.
- Czy wiesz, gdzie w kuchni jest miód?

- Nie, ale na pewno znajdziemy. Musi gdzieś być. Przypuszczalnie na półce z dżemami i konfiturami. Ale to nie jest nic poważnego?

- Mon Dieu, skąd. Pewnie trochę przesadziłam. Chyba mnie rozumiesz. Rozpieszczasz go przecież tak samo jak ja. Dzieci często miewają lekkie przeziębienia, które bardzo szybko przechodzą. Rano wszystko będzie w porządku.

Zeszliśmy do kuchni i po paru minutach poszukiwań znalazłyśmy miód.

- Jesteś kochana, że się tak o niego troszczysz -powiedziałam.
- On jest słodki.
- Ja też tak uważam. Naprawdę, jesteś świetną opiekunką.
- Bardzo odpowiada mi to zajęcie, więc nie ma w tym nic niezwykłego. Ogromną przyjemność sprawia mi zajmowanie się Edwardem. Nie miałam gdzie się podziąć. Tobie i twojej rodzinie zawdzięczam wszystko. Jeżeli mogę choć trochę się odwdziaczyć, to robię to z największą radością. Ale to i tak nic w porównaniu z tym, co wy zrobiliście dla mnie. Że tu jestem... że uciekłam...

Ścisnęłam jej rękę wymownie.

- Dziwne, że zło może obracać się w dobro... -szepnęłam.
- I odwrotnie też.
- Słucham? - Nie bardzo zrozumiałam, co miała na myśli.

- Och, nic. Chyba muszę wracać. Jeszcze jego lor-dowska mość się obudzi. Wystraszy się, kiedy zobaczy, że jest sam.

- Mam nadzieję, że kaszel się nie nasili. Obserwuj go uważnie, Andree.

- Możesz na mnie polegać. Razem poszliśmy na górę.

- Zjrę do niego - zaproponowałam.

- Wiesz, lepiej nie - odparła. - Jeżeli się obudzi, zaczniesz się niepokoić, co się stało, rozbudzi się całkiem i potem nie zaśnie. Mam nadzieję, że śpi. Jeżeli tak, to w porządku. Jest pod ręką miód na wypadek, gdyby znów zaczął pokasływać. Jeżeli mu się pogorszy, zawołam cię.

- Może masz rację.

Zatrzymałyśmy się przed drzwiami do mego pokoju.

- Przepraszam, że cię obudziłam - powiedziała. - Staralam się zachowywać jak najciszej.

- Miałaś przerażoną minę, kiedy cię zobaczyłam. Czy to ja cię tak wystraszyłam?

Zaśmiała się:

- Myślałam przez chwilę, że widzę ducha. Masz taki lekki sen? Szłam na palcach.

- Obudziłam się przypadkiem. Chyba przez ten księżyc. Świecił prosto na mnie. Och, jak bym chciała, żeby ta okropna wojna już się skończyła. To dlatego wszyscy mamy rozstrojone nerwy.

- Będzie mniej czasu na ponure myśli, kiedy zaczniesz się praca w szpitalu.

- Może dobrze nam to zrobi...

- Na pewno - pocieszyła mnie Andree. - Dobranoc, Lucindo. I jeszcze raz przepraszam.

Wróciłam do łóżka. Wzruszyła mnie troska Andree o Edwarda. Liczyłam w duchu na to, że do rana wszystko będzie w porządku. Andree okazała się doskonałą opiekunką. Przypomniało mi się nasze spotkanie w gospodzie, a potem wspólna podróż przez Francję. Przed oczyma przesuwały mi się różne obrazy. Widziałam uchodźców opuszczających w pośpiechu swoje domy, ich przerażone twarze - starej kobiety pchającej dziecinny wózek, w którym znajdował się cały jej dobytek, ludzi jadących na załadowanym rzeczami wozie, małych dzieci czepiających się spódnic matek.

Obrazy takie zapadały głęboko w pamięć, odbijały się trwale jak pieczęcie i pozostawiały ślad na zawsze.

W końcu znużona zasnęłam.

Rano Edward czuł się całkiem dobrze. Uspokojona wróciłam do codziennych zajęć. W jakiś tydzień później szpital gotów był na przyjęcie pierwszych pacjentów. Matkę ogarnęła euforia, nic dziwnego, bo było to rzeczywiście wielkie osiągnięcie. Z kilku pokoi utworzono oddział szpitalny. W jego skład wchodziła sala operacyjna, magazyn leków i środków opatrunkowych, ambulatorium z apteką, słowem wszystko, co powinno znajdować się w szpitalu.

Zatrudnionych zostało dwóch lekarzy: doktor Egerton, mężczyzna około czterdziestoletni, i nieco starszy od niego doktor May. Na czele zespołu pielęgniarek -> w większości młodych, przybyłych do nas prosto po kursie - stanęła surowa siostra Gamage, siejąca postrach wśród podwładnych i komenderująca nami wszystkimi. Oprócz tego cała służba, pracująca w Marchlands od niepamiętnych czasów, zgłosiła chęć pomocy w szpitalu i czuła się dumna, że może w ten sposób zrobić coś dla kraju.

Tak jak przewidywałam, panna Carruthers okazała się wprost nieoceniona. Autorytet, jakim się cieszyła, ugruntował jej pozycję. Obie z siostrą Gamage od razu przypadły sobie do serca. Matka stwierdziła, że pomoc panny Carruthers bardzo wiele znaczy dla szpitala.

Podczas następnych tygodni byliśmy ogromnie zajęci. Matka w pełni zdawała sobie sprawę z tego, jak wielki ciężar wzięła na swoje barki, toteż wdzięczna była za każdą, najdrobniejszą nawet pomoc. Wszyscy zaangażowaliśmy się w tę działalność, co było o tyle dobre, że pozwalało zapomnieć o toczących się na kontynencie działaniach wojennych.

A tam klęska goniła klęskę. „Łuskania”, płynąca z Nowego Jorku do Liverpoolu, została w maju zatopiona przez niemiecką łódź podwodną. Katastrofa kosztowała życie tysiąca dwustu osób. Był to straszny cios dla całego narodu. Zaczęły się spekulacje, czy w tej sytuacji Stany Zjednoczone przystąpią do wojny.

Nie stanął na wysokości zadania rząd koalicyjny utworzony przez Asquitha, który wprowadził liderów konserwatywnych, takich jak Bonar Law i Austen Chamberlain. Faktem też było, że operacja w rejonie Dardaneli zakończyła się klęską. Ganiono Winstona Churchilla za jego

poparcie dla całej tej sprawy. Premiera krytykowano za nieudolność, szeptano, że nie jest w stanie poprowadzić narodu do zwycięstwa.

W Marchlands szybko przywykliśmy do nowego życia. Każdego ranka zasiadałyśmy z panną Carruthers do nauki, a po południu miałyśmy dwie godziny zajęć, podczas których najczęściej wybierałyśmy się na przejażdżkę konną. Panna Carruthers jeździła w młodości, ale od kilku lat nie siedziała w siodle. Na szczęście szybko przypomniała sobie nabyte wcześniej umiejętności i okazała się zupełnie niezłą amazonką. Również Andree zaczęła się uczyć konnej jazdy i od czasu do czasu towarzyszyła nam w naszych wyprawach.

Andree umiała cieszyć się życiem i umiała okazać wdzięczność za ocalenie przed losem, który budził w niej taką niechęć. Panna Carruthers odczuwała podobnie, ale nie do tego stopnia. W każdym razie nie ujawniała swoich uczuć tak otwarcie, jak czyniła to Andree.

- Uwielbiam stare domy - wyznała raz Andree -zwłaszcza takie, z którymi wiążą się ciekawe historie.

Bardzo interesowało ją Marchlands, z zaciekawieniem oglądała portrety Greenhamów i zadawała na ich temat mnóstwo pytań. Ale ja niewiele o nich wiedziałam.

- Będziesz musiała spytać ojca - powiedziałam jej.

- Za bardzo jest zajęty tym, co się dzieje na świecie, żeby jeszcze zwracać sobie głowę mną i zaspokajać moją ciekawość - odparła Andree. - A tak przy okazji, co to za dom... Milton Priory, o ile się nie mylę? Słyszałam, jak służba o nim mówiła. Bardzo chciałabym go obejrzeć.

- Stoi jakieś dwie mile stąd - wyjaśniłam. - Możemy się tam przejechać i rzucić okiem. Od lat stoi pusty. To jeden z tych domów, o których mówi się, że są nawiedzane przez duchy.

- Tak mówili służący.

- Dziwne odgłosy, tak? Jęki, krzyki i tajemnicze światła pojawiające się w oknach?

- Właśnie, coś takiego.

- Tak naprawdę to zwykła ruina. Nie wiem nawet, do kogo należy. Właściwie nie ma tam nic ciekawego.

- Mimo wszystko chcę zobaczyć to miejsce.

- W takim razie jedźmy tam jutro. Nie sądzę, by panna Carruthers miała coś przeciwko temu.

Następnego dnia, kiedy poszliśmy do stajni, Andree przypomniała mi o obiecanej wyprawie do Milton Priory.

- Dobrze — odparłam. — Ale przygotuj się na to, że możesz się rozczarować.

- Czy to ten stary dom zarośnięty chaszczami? - spytała panna Carruthers.

- Bardzo trafnie go pani określiła — odparłam.

Nie byłam tam od dwóch lat. Od razu zauważyłam, że coś się zmieniło. Krzaki rosły dziko jak dawniej, ale sam dom nie sprawiał wrażenia nie zamieszkanego. Czyżby okna zostały umyte?

- Niesamowity - westchnęła Andree. — Tak, rzeczywiście wygląda na dom, w którym straszy. Czy znasz jego historię?

- Nie, nic nie słyszałam na jego temat. Od dłuższego czasu stoi pusty i najwyraźniej nikt nie kwapi się z kupnem. Nie wiem nawet, czy jest wystawiony na sprzedaż, czy nie.

- Czy możemy podjechać bliżej? - spytała Andree.

- Wątpię, by ktoś miał coś przeciwko temu — odparłam. Skierowałyśmy konie w stronę zarośli. Nagle wybiegł

z nich duży owczarek alzacki. Wyglądał bardzo groźnie.

— Angus! — rozległ się głos. — Coś tam wyniuchał?

Tuż za psem podążał mężczyzna. Jego workowate tweedowe ubranie i niechlujny wygląd pasowały do otoczenia. Był w średnim wieku, miał rudą brodę i niósł w ręku strzelbę.

- Siad, Angus - rzucił.

Angus usiadł, ale cały czas przyglądał się nam groźnie spode łba.

- Co tu robicie? - spytał mężczyzna. - To teren prywatny.

- Przepraszam - powiedziałam. — Nie wiedziałyśmy o tym. Myślałam, że dom jest pusty. Chciałyśmy go obejrzeć.

- Ani kroku dalej, dopóki nie powiecie, coście za jedno. Ta kwestia wprawia mnie w niepomierne zdumienie.

- Jesteśmy z Marchlands.

- Ach tak - rzucił obojętnie.

- Chciałyśmy tylko zobaczyć dom. Już kiedyś tu byłam. A kim wy jesteście?

- Stróżem.

- Stróż w Milton Priory?!

- Zgadza się.

- Czy dom jest wystawiony na sprzedaż?
- Może.
- Nic o tym nie słyszałam. Wzruszył ramionami.
- Ktoś pewnie go kupił. — Wyraziłam głośno przypuszczenie.
- Może.
- Rozumiem. Przepraszam. Tak długo stał pusty i nikt się o niego nie troszczył. Myślałyśmy, że rozejrzemy się tu trochę.
- Nie radziłbym. Angus nie lubi takiego rozglądania się, a potrafi być ostry, daję słowo.
- Dobrze, skoro tak - westchnęłam. - Przykro mi, Andree. To wszystko, co mogłaś zobaczyć w Milton Priory.
- Szkoda - powiedziała. — Bardzo chciałabym poznać historię tego miejsca. Ciekawe, kto się tu wprowadzi.
- Na pewno wkrótce się dowiemy. Będą to przecież potencjalni wyborcy ojca, więc pewnie ich odwiedzi, żeby pozyskać ich głosy.
- Panna Carruthers stwierdziła, że to rzeczywiście interesujące miejsce. Dom powstał na pewno wcześniej niż w czasach panowania Wilhelma i Mary... zastanawiała się na głos. Są pewne akcenty stuartowskie... a nawet wczesno-stuartowskie.
- Widzę, że konieczny będzie gruntowny remont. Jak długo stał pusty, Lucindo?
- Nie jestem pewna, ale od dość dawna. Wróciłyśmy więc do Marchlands i udałyśmy się do szpitala, by sprawdzić, czy nie będziemy potrzebne. Tak się skończyła nasza wycieczka do Milton Priory.
- Na weekend przyjechał z Londynu ojciec. Matka z zapałem relacjonowała postępy prac.
- Ojciec przy kolacji powiedział nam, że premier Asquith coraz bardziej traci na popularności.
- Wojna trwa nadal, więc szukają kozła ofiarnego. Biedny Asquith! Doskonale nadaje się do tej roli. Zwłaszcza że Lloyd George chce zająć jego miejsce. Margot Asquith jest wściekła. Jeżeli ktoś potrafi skłonić premiera do działania, to tylko jego żona, istna megiera.
- Tego wieczoru jadł z nami kolację doktor Egerton. Siedział obok panny Carruthers.
- Uważam, że Lloyd George to bardzo zdolny człowiek - powiedział doktor.

- Może ten dziki Walińczyk wykaże się energią, jakiej brak Asquithowi - wtrąciła panna Carruthers.

- Och, nie byłbym tego taki pewien - odparł doktor, po czym wraz z panną Carruthers wdali się w dyskusję na temat zalet panów Lloyda George'a i Asquitha.

Tymczasem ojciec kontynuował:

- Żal mi go, ale panuje powszechna opinia, że byłoby lepiej, gdyby sam zrezygnował na korzyść George'a.

- A co z Churchillem? ~ spytała moja matka.

- Jest w niełasce za Dardanele. Głosił wszem i wobec, że to jedyna słuszna decyzja. Teraz zapewne zmienił zdanie.

- Czy jest bardzo ile? - spytałam.

- Nie aż tak, jak pisze o tym prasa. Złe wieści zawsze stanowią sensację. A jeżeli kogoś można obarczyć winą, to należy zrobić to natychmiast. Ludzie zawsze są bardziej zainteresowani niepomyślnymi wiadomościami niż dobrymi. Powiedzmy jednak, że mogłoby być lepiej.

Matka zmieniła temat:

- Ostatnio dużo mówi się o Milton Priory. Lucinda twierdzi, że domu pilnuje stróż i bardzo groźny pies.

Zdziwił mnie wyraz czujności, jaki nagle pojawił się na twarzy ojca.

- Milton Priory? — spytał. — Jak to?

- Zdaje się, że dom zostanie sprzedany. Lucinda pojechała tam, żeby zobaczyć... a właściwie pokazać go Andree.

- Byłam razem z nimi - wtrąciła panna Carruthers. - Stróż potraktował nas mało uprzejmie. Kazał nam po prostu trzymać się z daleka.

Opowiedziałam ojcu o całym zajściu.

- Pies wyglądał naprawdę groźnie. Patrzył tak, jakby tylko czekał na rozkaz swego pana, żeby się na nas rzucić.

- Mam nadzieję, że ten człowiek potrafi panować nad swoim psem. Czy odniosłaś wrażenie, że dom jest przygotowywany do wystawienia na sprzedaż?

- To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

- Niebawem się dowiemy - zawyrokowała matka. - Ciekawe, kto się tam wprowadzi.

- Mam nadzieję, że liberałowie - powiedziałam. - Inaczej trzeba ich będzie nawracać.

Ojciec uśmiechnął się do mnie.

- Czy coś się tam zmieniło? - spytał.

- Chyba okna zostały umyte... no i oczywiście ten stróż... Muszą doprowadzić dom do lepszego stanu, jeżeli chcą dostać przyzwoitą cenę.

- Zaczekamy i zobaczymy, co z tego wyniknie -stwierdziła matka.

— A na razie trzymaj się z dala od tego domu -doradził ojciec. - Nie podoba mi się ten pies.

— Na pewno się dowiemy, czy dom został sprzedany — dodała matka. — Takich rzeczy nie da się długo utrzymać w sekrecie.

Potem rozmowa zesłała znów na sprawy związane z koalicją i możliwością ustąpienia Asquitha z urzędu premiera na rzecz Lloyda George'a.

Wkrótce po tych wydarzeniach przyjechał do nas Robert Denver. Wyglądał wyjątkowo dobrze w mundurze oficera. Nadal był zbyt szczupły i wydawał się jeszcze wyższy niż zwykle, ale był mniej „nieforemny”, jak Annabelinda określiła budowę brata.

Jego widok sprawił mi ogromną radość. Wpatrywałam się w niego z podziwem.

— Robercie! — zawołałam. — Widzę, że kłamka zapadła. Czy wyjeżdżasz na front i masz już przydział?

— Tak i bardzo się z tego cieszę - przyznał. - Nareszcie czuję się jak mężczyzna.

— Uwolniłeś się wreszcie od tego okropnego sierżanta. Biedaku! Mogę sobie wyobrazić, co przeszedłeś.

— To, niestety, konieczne. Ale czasami bywa rzeczywiście trudne do zniesienia.

— A więc, żegnaj, Równino Salisbury... — Nagle posmutniałam. — Teraz zacznie się walka.

— Pewnie wyjazd na front opóźni się o miesiąc lub więcej. Wysyłają mnie na kurs.

— Jaki kurs? Myślałam, że skończyłeś szkolenie.

— Tak. Ale to inny kurs. Czy wiesz, Lucindo, że wcale nie byłem wzorowym żołnierzem? Miałem po prostu odrobinę szczęścia. Przypadkiem odkryłem metodę zapamiętywania alfabetu Morse'a. Inni nie mogli zrozumieć, jak tego dokonałem. Prawdę mówiąc, sam nie do końca to rozumiem. No i ponieważ radziłem sobie z Morse'em

znacznie lepiej niż inni, zostałem skierowany na specjalne przeszkolenie.

- To znaczy, że będziesz wysyłał meldunki... z pola bitwy?

- Coś takiego. Będę miał ze sobą technika. On zajmie się telefonami... i w ogóle całym sprzętem. Ja tylko będę przyjmował i wysyłał meldunki.

- Och, Robercie! Jestem naprawdę z ciebie dumna.

- Niczego wielkiego jeszcze nie działałem.

- Owszem, a dokonasz jeszcze więcej.

- Nie nadaję się na bohatera. To dobre dla takich ludzi jak major Merrivale. A przy okazji, widziałaś się z nim ostatnio?

- Nie. Jest na półwyspie Gallipoli. Robert zasepił się.

- Podobnie jak stryj Gerald - dorzuciłam. - Bardzo się niepokoimy. Robert skinął głową ze zrozumieniem.

Matka powitała go serdecznie. Podobnie ciocia Celeste, która często przyjeżdżała do Marchlands, by pomagać w szpitalu. Do rozmowy przyłączyły się wkrótce panna Carruthers i Andree. Potem z matką i Andree zabrałyśmy Roberta, żeby zobaczył Edwarda.

- Szybko rośnie — zauważył Robert.

Andree spoglądała na Edwarda z nie ukrywaną dumą.

- Będiesz dużym chłopcem, prawda, Edwardzie? Malec zaszczębiotał coś i uśmiechnął się rozkosznie. Po lunchu matka zaproponowała:

- A może pojedziecie z Robertem na przejażdżkę, Lucindo? Lubiliście kiedyś jeździć sobie konno po okolicy.

- Świetny pomysł - ucieszył się Robert. - Co ty na to, Lucindo?

- Jedźmy - zgodziłam się.

Jechaliśmy znajomymi ścieżkami, jak niegdyś, zanim wyjechałam do szkoły i nim zaczęła się wojna. Wspominaliśmy wydarzenia z przeszłości.

- Czy pamiętasz, jak znaleźliśmy pisklę kosa leżące na drodze?

- Wypadło z gniazda. A ty wspiąłeś się na drzewo, bo domyśliliśmy się, że gniazdo musi być gdzieś tam... Włożyliśmy pisklę z powrotem. Następnego dnia przyjechaliśmy zobaczyć, jak się miewa.

- A czy pamiętasz, jak twój koń potknął się o leżący pień i wylądował w stercie liści?

Śmieliśmy się jak szaleni wspominając to zdarzenie. Mieliśmy tyle wspólnych przeżyć.

- Wydaje się to tak odległe - westchnęłam. - Wszystko się zmieniło.

— Wkrótce wróci do normy.

— Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście. Po wojnie zajmę się majątkiem i za jakiś czas będzie tak, jakby w ogóle nic się nie działo.

— Myślę, że trudne doświadczenia zmieniają ludzi nieodwracalnie. Nigdy już nie są tacy jak kiedyś.

— Ty się chyba nie zmieniasz, Lucindo.

— Czuję się inaczej. Uświadamiam to sobie teraz jadąc z tobą i rozmawiając o tym, co zdarzyło się kiedyś, w dawnych dobrych czasach. Takie różne drobnostki, jak piskłę kosa i upadek z konia w lesie... Wspomnienia przenoszą mnie w przeszłość i przez chwilę jestem taka jak wtedy. Wówczas dostrzegam tę ogromną różnicę między tamtą Lucindą a obecną.

- Wszyscy zmieniamy się pod wpływem przeżyć. Ale mam na myśli co innego. Czy jesteś tą samą Lucindą, moją najserdeczniejszą przyjaciółką?

— Mam nadzieję, że zawsze nią będę, Robercie.

- Musisz być, niezależnie od tego, co się stanie.

— Cieszę się, że usłyszałam to od ciebie. Wiesz, zawsze czułam, że na tobie mogę polegać.

— Taki nieskomplikowany pocziwiec, jak nazywa mnie własna siostra.

- O mnie mówi to samo i dodaje, że dlatego jestem taka nudna. Z góry wie, jak postąpię.

- Annabelinda zawsze jest święcie przekonana o własnej racji. Ona sama nie jest skomplikowana pod tym względem.

- To prawda, że na ogół bywam nieskomplikowany i przypuszczam, że dlatego można mnie określić jako mało atrakcyjnego.

- Ja byłam zachwycona, kiedy zobaczyłam cię dziś rano w mundurze oficera.

- Tobie pierwszej chciałem pokazać się w mundurze.

- Czy jedziesz do rodziców?

- Tak, dziś wieczorem.

- Czy zobaczymy się, zanim wyjedziesz na kurs?

- Mam zamiar zostać w domu przez dwa dni. Potem chętnie przyjadę na jeden dzień do Marchlands, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Czy musisz wracać do domu?

- Tak. Ojciec chce ze mną porozmawiać na temat majątku.

- Kochasz tę ziemię, Robercie, prawda?

- Od najmłodszych lat wpajano mi przekonanie, że będzie należała do mnie w przyszłości... oby jak najdalej. Mam do niej taki sam sentyment jak ojciec. A wiesz, że zawsze doskonale rozumieliśmy się z ojcem.

- Mama mówi, że jesteś taki jak on.

- To powszechnie panująca opinia. Moja matka i siostra są zupełnie inne.

- Dziwne są takie różnice w rodzinie. Ludzie mówią, że jestem podobna do matki, a matka twierdzi, że mam w sobie wiele z ojca. Nie wiem, do kogo Charles jest podobny. Wydaje mi się, że zostanie politykiem. W tej chwili jest jedyną znaną mi osobą, która modli się o to, żeby wojna trwała długo, a on zdążył dorosnąć i wstąpić do wojska.

- Dobra, patriotyczna postawa!

- Myślę, że znacznie bardziej pociąga go własna, Charlesa Greenhama, chwała niż umiłowanie rodzinnego kraju! Wyobraża sobie, że gdy ruszy do walki, to wygra wojnę w ciągu tygodnia.

- Wyrośnie z tego.

- Cieszę się, że jedziesz na ten kurs, Robercie... ponieważ to opóźni twój wyjazd... tam.

- Nic mi się nie stanie, Lucindo. Jestem przecież nieskomplikowanym pocziwcem. Zobaczysz, będę grzecznie wypełniał rozkazy przełożonych. Należę do tych, którzy szczęśliwie wybrną z każdej sytuacji.

- I nie zmieniaj się, dobrze?

- Nie mógłbym tego zrobić, nawet gdybym chciał. Czy mogę mieć tę samą prośbę do ciebie?

- O, spójrz! - zawołałam. - Dojechaliśmy do Milton Priory. - Ojej! Co tu się dzieje?

- Zjawili się jacyś nowi ludzie.

— Czy kupili dom?

- Chyba tak. Dawni właściciele w ogóle o niego nie dbali. Teraz jest tu stróż z bardzo groźnym psem i nikogo nie wpuszcza. Pamiętasz, jak

kiedyś ludzie kręcili się tu zupełnie bez ograniczeń? Okna były wybite i kto chciał, mógł wejść do środka. Słusznie postąpili, że zatrudnili stróża.

— Trochę tu teraz porządniej.

— Tak. Pewnie ci nowi lokatorzy niedługo się wprowadzą.

- Miejmy nadzieję, że okażą się sympatyczni i wezmą czynny udział w życiu towarzyskim Marchlands.

— Rodzice liczą na to, że okażą się liberałami.

- Cóż, skończył się monopol liberałów w rządzie. Przy tej koalicji również konserwatyści mają szansę dostać się do gabinetu.

- Kiedy ojciec przyjedzie, dowiemy się, co się dzieje. Ciągłe gnębą biednego Asquitha.

— On nie utrzyma się długo.

- Czy jego odejście to dobre posunięcie?

— Jedynym dobrym posunięciem byłoby zakończenie wojny i przywrócenie pokoju.

Tego wieczoru Robert opuścił nas i wrócił do rodziny.

— Do zobaczenia za dwa dni — powiedział. — Postaraj się mieć wtedy wolną chwilę.

- Poproszę pannę Carruthers, żeby zwolniła mnie z lekcji.

- Ciągłe zapominam, że jeszcze się uczysz, Lucindo. Ale to już niedługo, prawda?

Kiedy odjechał, pomyślałam o Marcusie Merrivale'u. On też, podobnie jak Robert, czekał, aż dorosnę.

Czułam się ważna, a jednocześnie sytuacja ta wprawiała mnie w załopotanie. Kiedy byłam z Robertem, wiedziałam dokładnie, że tego właśnie pragnę. Ale potem miłe towarzystwo Marcusa Merrivale'a powodowało kompletny zamęt w moich uczuciach.

Nadeszło Boże Narodzenie i Nowy Rok 1916. Nadal nic się nie wiodło. Wiadomo już było, że plan zajęcia Dardaneli zakończył się klęską.

Niektórzy zgadzali się z Churchillem, że sam pomysł był słuszny, ale operacja została źle przeprowadzona.

Sekretarz Ministerstwa Wojny, lord Kitchener, udał się z misją zakończenia operacji w Dardanelach. Stracono już nadzieję na zwycięstwo. Chciano uniknąć dalszych ofiar w ludziach i zaoszczędzić amunicji. W styczniu nowego roku zaczęli wracać żołnierze z Gallipoli.

Pod koniec miesiąca przyjechał stryj Gerald. Postarzał się, odkąd go widzieliśmy ostatni raz. Oznajmił nam, że tej kampanii w ogóle nie powinno się było rozpoczynać.

Przedstawił to obrazowo na stole podczas lunchu.

- Przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie od samego początku - zaczął. - Po pierwsze zabrakło elementu zaskoczenia. Poza tym przysła-
li nam rezerwistów. Brakowało doświadczonych żołnierzy, a wiercie
mi, przy takiej operacji dobry żołnierz jest na wagę złota. Były proble-
my z dostawami. Brakowało amunicji. Asquith musi odejść!

- Churchill już odszedł - zauważył mój ojciec.

- Idee Churchilla były słuszne. Operacja miała szansę powodzenia.
Zgubił nas sposób jej przeprowadzenia. Widzicie, my jesteśmy
tu... — Matka spojrzała uważnie na kieliszek stryja. — A tu - przedstawił
karafkę z octem - stoją Turcy...

Przez kilka chwil przyglądaliśmy się w milczeniu, jak stryj przesuwają
po całym stole talerze i półmiski. Mnie w najmniejszym stopniu nie
kojarzyło się to z polem bitwy. Cały czas miałam natomiast ogromną
ochotę zapytać o Marcusa Merrivale'a.

- Nie przyniosła nam ta operacja chwały. To początek końca kariery
Asquitha. Weź tylko pod uwagę nasze straty, Joel... blisko ćwierć mi-
lionu ludzi, w tym wielu żołnierzy z innych krajów imperium. To klę-
ska, Joel. Klęska! Pewnie nasłuchałeś się tego wszystkiego w Izbie.

- Od podjęcia decyzji przez Kitchenera o niczym innym się nie
mówi.

- Polecą głowy, Joel. Zobaczysz.

- Ja natomiast cieszę się, że wróciłeś, Geraldzie - wtrąciła matka. - A
co z majorem Merrivale'em? Czy przyjechał z tobą?

- Wszyscy wracają. Merrivale został ranny.

- Ranny! - wykrzyknęła matka. - Czy poważnie?

- Hm. Jest w szpitalu.

- Dlaczego nie przyjechał tutaj? — spytała matka.

- Moja droga Lucie, on był naprawdę ciężko ranny. Matka nastros-
zyła się, a stryj Gerald zreflektował się nieco.

- W takich przypadkach - złagodził poprzednią wypowiedź - ranni
przewożeni są do szpitali londyńskich.

- Jak poważny jest jego stan? — spytałam.

- Wyzdrowieje, możesz być spokojna. Ale to bardziej skomplikowana sprawa niż zwykła rana postrzałowa.

- W którym szpitalu leży? - spytała matka.

- Prawdę mówiąc, nie wiem.

- Co się właściwie stało?

- Nie znam szczegółów... tyle że znieśli go na noszach. Czulałam, że robi mi się słabo. Wyobraziłam sobie Marcusa na noszach... Co się z nim teraz dzieje? Nagle zapragnęłam go zobaczyć.

Matka powiedziała:

- Wiesz, Geraldzie, że stan jego zdrowia żywo nas obchodzi. Przecież to on przywiózł Lucinę, Edwarda i innych z Belgii.

- Tak, wiem. I zapewniam cię, że do śmierci mu daleko. Ale trochę trzeba go podreperować.

- Musisz dowiedzieć się, gdzie leży, i dać nam znać. Jeżeli jest w Londynie, to ja i Lucinda chcielibyśmy go odwiedzić. Nie zapominaj, co dla niej zrobił. Bóg jeden wie, co mogłoby się stać, gdyby nie on. Zawsze będziemy ci wdzięczni, Geraldzie, że to właśnie jego wysłałeś po dziewczęta.

- Tak, to był słuszny wybór. Prawda, że taki Merrivale jest tylko jeden?

- Zawiadom nas, Geraldzie, w którym jest szpitalu. Chętnie go odwiedzimy, prawda, Lucindo?

- Tak - odparłam. - Oczywiście.

Słowny jak zwykle wuj Gerald po paru dniach przesłał nam potrzebne informacje.

Matka stwierdziła, że niełatwo jej przychodzi opuszczenie szpitala, ale w tych okolicznościach uważa to za konieczne.

Andree wyraziła chęć pojechania z nami. Nie po to, by też pójść do szpitala - zbyt wiele gości zebraloby się naraz — ale po to, by z domu w Londynie zabrać kilka rzeczy dla Edwarda.

- Czy pamięta pani tę pozytywkę z „Kołysanką” Brahmsa? Coś mi się zdaje, że mu jej brakuje. Wczoraj otworzył zwykłe pudełko i nasłuchiwał. Był bardzo rozczarowany, że nie usłyszał melodyjki.

- Zabawne, że tak ją zapamiętał — uśmiechnęła się matka. - Choć z drugiej strony jest to tak łatwo wpadająca w ucho melodia, że musi się dziecku podobać.

- Jest też kilka innych rzeczy, które chciałabym zabrać - powiedziała Andree.

- W takim razie jedź z nami — odparła matka. Tak więc we trzy wybrałyśmy się do Londynu.

Marcus był w jednej sali z kilkoma innymi oficerami. Leżał nieruchomo na plecach. Był słaby i wycieńczony, ale uśmiechnął się na nasz widok.

- Cudownie! — wykrzyknął. - Jak to miło, że przy-szłyście panie odwiedzić starego kalekę.

- Nie jest to chyba właściwe określenie — roześmiała się matka. — Gerald mówi, że z każdym dniem czuje się pan coraz lepiej.

- Na pewno mój stan zdecydowanie się poprawi po tak miłej wizycie. Może zechcą panie usiąść.

- Proszę się nie ruszać — ostrzegła matka.

- Obawiam się, że byłoby to i tak niemożliwe. Jestem przywiązany.

- Jak się pan czuje?

- Cudownie... jakżebym mógł czuć się inaczej, skoro pani i Lucinda przyszłyście mnie odwiedzić...

Matka roześmiała się.

- Pytam poważnie, majorze Merrivale.

- A ja poważnie odpowiadam. I proszę darować sobie tego majora.

- A więc, Marcus - powiedziała matka — bardzo cieszymy się z pańskiego powrotu.

- Czy to dotyczy również panny Lucindy?

- Oczywiście — odparłam. — Martwiliśmy się o ciebie przez całą kampanię.

- Niezgorza jatka - skrzywił się lekko. - Jednak dzięki niej wróciłem do domu.

- Pewnie pan tu jakiś czas zostanie - zauważyła matka.

- Całkiem możliwe.

- Szkoda, że nie przywieziono cię do naszego szpitala — powiedzia-łam.

- Ach, co by to była za frajda... warta tego, by oberwać w bi-
twie.

- Niech pan tak nie mówi! - wykrzyknęła matka. -Jednak polecam Marchlands na okres rekonwalescencji. To doskonałe miejsce, dookoła są lasy. Może za jakiś czas...

- Czy to znaczy, że mógłbym przyjechać do Marchlands? Nic skuteczniej nie przyspieszyłoby mego powrotu do zdrowia.

- W takim razie postaramy się załatwić przeniesienie. Porozmawiam z Geraldem. On dużo może.

- A ja postaram się uprzykrzyć im tu trochę życie. Chętniej się mnie wtedy pozbęda.

Oczywiste było, że żartuje. Niezwykły urok Marcusa robił swoje i tu. Pielęgniarki były wręcz zachwycone, że mogą się nim zajmować i robiły to na wyścigi.

W trakcie naszej rozmowy do sali weszła siostra przełożona. Była to surowa kobieta w średnim wieku, sprawiająca wrażenie osoby, która bez trudu potrafiłaby utrzymać w ryzach cały pułk. Ale nawet ona dziwnie łagodniała i tylko delikatnie strofowała Marcusa, że za bardzo się forsuje.

Nasza wizyta nie trwała długo, byliśmy tyle, na ile nam pozwolono.

Czułam się niezręcznie, ponieważ byłam pewna, że Marcus udaje, iż jest z nim lepiej, niż było w istocie.

Zanim wyszliśmy ze szpitala, matka odbyła rozmowę z lekarzem prowadzącym. Ponieważ Marchlands znane było w świecie medycznym jako jedna z wiejskich rezydencji udostępnionych rannym, do matki odnoszono się z dużym szacunkiem. Zostałyśmy zaproszone do niewielkiego pokoju, gdzie urzędował doktor Glenning. Usiadłyśmy i matka zaczęła bez większych wstępów:

- Major Merrivale jest naszym bliskim przyjacielem. Chciałabym się dowiedzieć, jak przedstawia się stan jego zdrowia.

- No cóż, bywa gorzej.

- Lepiej też - stwierdziła matka. Doktor pokiwał głową.

- Ma uszkodzone niektóre narządy wewnętrzne. Na szczęście kula ominęła płuca. Została wprowadzie wyjęta, ale poważnie uszkodziła tkankę. Wskazana jest na razie duża ostrożność. Major został też ranny w nogę. Jednak to drobiazg w porównaniu z obrażeniami wewnętrznymi.

- Rozumiem. Ale jego życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo?

Doktor potrząsnął przecząco głową.

- Szansę na całkowite wyzdrowienie są naprawdę duże. Ma silny organizm... jest w dobrej formie. Ale oczywiście to musi potrwać.

- Chciałyśmy z córką zaproponować Marchlands na okres rekonwalescencji. Czy major mógłby z nami pojechać?

- Na razie nie mogę wyrazić zgody na żadne podróże. Później, jeżeli stan jego zdrowia będzie się nadal polepszał, nie widzę przeszkód. Rekonwalescencja będzie mu potrzebna, a pobyt wśród przyjaciół dobrze mu zrobi. Myślę, że za jakiś czas będzie mógł jechać do Marchlands.

Wtrąciłam nieśmiało:

- Ale na pewno nie jest to nic niebezpiecznego?

- Nie bardziej niż większość takich urazów. Właściwie nigdy nie możemy być pewni, jak będzie przebiegać proces powrotu do zdrowia. Sama pani pewnie wie najlepiej, pani Greenham... Moim zdaniem szansę na wyzdrowienie są naprawdę duże.

- To dobra wiadomość - powiedziała matka. - Czy może pan w przybliżeniu określić, ile czasu major Merrivale będzie tu musiał jeszcze spędzić?

Doktor przygryzł wargi i zamyślił się głęboko.

- No cóż, zaryzykowałbym stwierdzenie, że co najmniej kilka miesięcy.

- Aż tak długo?

- Odniosł naprawdę poważne obrażenia, pani Greenham.

- Cóż, w takim razie będziemy z niecierpliwością oczekiwać go w Marchlands. Czy da nam pan znać, kiedy go będzie można bezpiecznie przewieźć?

- Oczywiście, z całą pewnością.

- Tymczasem będziemy go odwiedzać. Dziś przyjechałyśmy też tylko w tym celu.

- Słyszałem, że w Marchlands jest mnóstwo pracy.

— Tak, i to cały czas.

— Przybywa coraz więcej ofiar walk w Dardanelach. A do tego jeszcze ranni z Francji.

- Oby się to jak najszybciej skończyło.

- Z całego serca zgadzam się z panią, pani Greenham. Podał nam rękę i zapewnił, że oczywiście powiadomi

nas, kiedy Marcus będzie zdolny do drogi. Wyszliśmy ze szpitala w dużo lepszych nastrojach.

Widzieliśmy go. Był chory, ale miał wyzdrowieć -a wtedy przyjeżdżie do Marchlands.

Po powrocie byłam ogromnie podekscytowana. Tak dobrze i lekko na duszy nie było mi ani razu, odkąd zaczęła się ta nieszczęsna operacja w Dardanelach. Ilekroć była mowa o kampanii, myślałam o Marcusie i paraliżował mnie strach o niego. Teraz to się wreszcie skończyło. Był ranny, to prawda, ale przeżył, a dzięki swojemu pogodnemu usposobieniu na pewno szybko wróci do zdrowia. A za jakiś czas znajdzie się pod naszą opieką w Marchlands.

Matka wyczuła mój nastrój i powiedziała:

— Cóż to za uroczy człowiek. Nie mogę wprost znieść myśli, że mogłoby mu się coś stać. Na pewno szybko wyzdrowieje. Niejednokrotnie w szpitalu widziałam na własne oczy, że optymizm to najlepsze lekarstwo.

Andree również ciekawa była wiadomości o Marcusie, ale chciała też jak najszybciej wracać do Marchlands i do Edwarda. Nie lubiła zostawiać go nawet na jeden dzień.

Mniej więcej w tydzień po naszym powrocie z Londynu wyrwał mnie w nocy ze snu potężny huk. Przed oczyma natychmiast stanął mi zeppelin, który przyniósł zagładę małemu domkowi w La Pinierze. Spodziewaliśmy się nalotów. Zeppelin, duże maszyny w kształcie ogórka, stanowiły łatwy cel dla obrony przeciwlotniczej, ale jednocześnie niosły wielkie niebezpieczeństwo.

Wyskoczyłam z łóżka, włożyłam szlafrok, wsunęłam stopy w pantofle i wybiegłam z pokoju.

Usłyszałam głos matki:

- Lucindo, czy wszystko w porządku? Charles...? Charles był już na korytarzu. Stało tam również kilkoro służących. Dojrzałam wśród nich pannę Carruthers.

- Na pewno bomba — zawyrokowała. — I to całkiem blisko.

Pojawiła się kucharka, pani Grey.

- Jak pani myśli, pani Grey, co to było? - spytała matka.

- Gruchnęło jak jedna z tych bomb, pani Greenham.

- Tego się właśnie boję. Zastanawiam się... Zebraliśmy się wszyscy w hallu. Dołączyło do nas kilka pielęgniarek.

- Która godzina? - spytała matka.
- Tuż po północy - odpowiedział ktoś.
- Czy myślicie, że to nalot?
- Chyba tak.
- Nic nie słyhać. Czy oni wrócą?
- Możliwe.

Pani Grey stwierdziła, że z pewnością wszystkim dobrze zrobi gorąca herbata i że poda nam ją do salonu. Służba może napić się w kuchni.

Matka uznała to za dobry pomysł. Na razie wszystko ucichło i pewnie rano dowiemy się, co to było.

Panna Carruthers powiedziała:

- Musimy być przygotowani na najgorsze. Miejmy nadzieję, że nie zrzucą bomby na szpital.

- Wszystko może się zdarzyć - odparła matka. - Charles, odejdź od okna. Nigdy nie wiadomo...

Charles odsunął się niechętnie.

- Chciałbym latać - rozmarzył się. - Tam w górze musi być fajnie...

- Ale chyba nie zrzucalbyś bomb na ludzi? - spytałam.

- Och, na pewno nie!

- Na szczęście! - zakpiłam.

- Mam zamiar wstąpić do Królewskich Sił Powietrznych.

Nikt z obecnych nie okazał zdziwienia. Charles co jakiś czas zapalał się do różnych ryzykownych przedsięwzięć.

Tej nocy nic się już więcej nie wydarzyło, natomiast następnego ranka, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, dowiedzieliśmy się, że to nie był ani zeppelin, ani bomba. To, co słyszeliśmy w nocy, to była eksplozja w Milton Priory.

Wiadomość tę przyniósł listonosz wraz z poranną pocztą. Kamerdyner Jenner stwierdziwszy, że opowieść jest interesująca, wprowadził listonosza do jadalni, gdzie siedzieliśmy przy śniadaniu.

- Pomyślałem, że zechce pani posłuchać, co listonosz ma do powiedzenia - zwrócił się do matki. - W sprawie wybuchu dzisiejszej nocy.

- Tak, proszę pani - powiedział listonosz. - W tym starym domu, w Priory... ostatnio coś się działo. Teraz już nie wystawią go na sprzedaż. Został całkiem zniszczony.

- Co było przyczyną wybuchu? - spytała matka.

- Nie wiadomo. Może gaz? Pani wie, że to się zdarza. Cokolwiek to było, już koniec Milton Priory.

- Dziwna sprawa! - zamyśliła się panna Carruthers. - Ciekawa jestem, co się tam stało.

- Na pewno prędzej czy później się dowiemy - zakończyła rozmowę matka.

Po śniadaniu spotkałam Andree.

- Słyszałam w nocy wybuch - powiedziała.

- Szkoda, że nie zeszłaś do nas do salonu - odparłam. - Dopiero po godzinie wróciliśmy do łóżek. Zastanawialiśmy się, co też mogło się stać. Myśleliśmy, że to zeppelin zrzucił bombę.

- I co?

- To nie był zeppelin. W środku coś wybuchło... Mówią, że gaz.

- Straszne! Nie zeszłam na dół, ponieważ bałam się obudzić Edwarda. Był trochę niespokojny. Nie chciałam zostawić go samego.

- Tak myślałam. Czy przestraszył się?

- Troszeczkę. Uspokoiliśmy go i w końcu zasnął.

- Pewnie jeszcze usłyszymy coś o tej eksplozji.

- A może warto zobaczyć, jak to teraz wygląda?

- Dobrze. Kiedy Edward zaśnie po południu, będziemy mogli tam pojechać.

Tak też zrobiliśmy. Na miejscu była policja. Podjechałyśmy najbliżej, jak się dało. Widok był przerażający - połamane belki, zburzone ściany, stosy cegieł tam, gdzie kiedyś stał piękny, stary dom.

- Niewiele zostało - powiedziała Andree i wzdrygnęła się.

- Teraz już go nie sprzedadzą.

- Kompletna ruina - stwierdziła. - Ciekawe, jak to się stało?

- Wkrótce się wyjaśni. Nawet nie wiemy, kto jest właścicielem.

- Czy ktoś w końcu kupił ten dom?

- Nie jestem pewna, czy został sprzedany, czy tylko wystawiony na sprzedaż.

- Tak czy owak, już go nie ma. Wróciliśmy niewiele mądrzejsze.

Potem dowiedziałyśmy się, że wybuch został spowodowany ulatnianiem się gazu.

Tego popołudnia przyjechał ojciec.

Od razu udał się do Milton Priory, gdzie jako członkowi parlamentu pozwolono mu obejrzeć ruiny z bliska. Spotkał tam jakiegoś ważnego urzędnika. Przyszło mi nawet do głowy, że mógł to być pracownik jednego z ministerstw i że mój ojciec - jako że dom znajdował się na terenie jego okręgu - przyjechał specjalnie po to, żeby wyświetlić zagadkę.

Odniosłam wrażenie, że jest zaniepokojony. Dwaj mężczyźni, z którymi udał się do Milton Priory, wrócili z nim na kolację. Przy stole jednak zarówno ojciec, jak i jego goście unikali rozmów o wybuchu.

Tymczasem reszta towarzystwa, czyli moja matka, panna Carruthers, doktor Egerton i ja, nie rezygnowała tak łatwo z tematu, który nieustannie zaprzętał nasze myśli.

- Lucinda od jakiegoś czasu interesowała się zmianami, jakie zaszły w tym domu - powiedziała matka. - Na początku wszyscy myśleliśmy, że to bomba zrzucona przez zeppelin.

- Kto wie? Może rzeczywiście tak było - wyraził przypuszczenie ojciec.

- Och, nie, Joel - zaprotestowała matka. - Przecież to są ogromne maszyny. Musiano by go zauważyć.

- Mógł zrzucić bombę i szybko odlecieć.

- Wybuch był naprawdę potężny - wtrąciłam. - Ludzie mieszkający w pobliżu wybiegli zobaczyć, co się stało. Zauważyliby zeppelin.

- W takim razie nie był to zeppelin.

- Coś mi właśnie przyszło do głowy - zamyśliłam się. - Przecież w Milton Priory nie ma gazu.

- Może ostatnio został doprowadzony - odparł mój ojciec.

- Wiedzielibyśmy o tym. Nie, to nie był gaz. I nie bomba zrzucona z powietrza. W takim razie, co? Niezwykła zagadka! Na pewno prędzej czy później wyjaśni się. Bardzo chciałabym wiedzieć! Nie spoczne, dopóki się nie dowiem.

- W takim razie - zakończył dyskusję mój ojciec - poczekamy i zobaczymy, jak mawia nasz premier.

Następnego dnia, kiedy skończyłam lekcje z panną Carruthers i wyszłam z pokoju, spotkałam na schodach matkę. t Lucindo, chciałabym pomówić z tobą.

- Dobrze.

- Chodź do mego saloniku. Musimy porozmawiać w cztery oczy. Byłam bardzo ciekawa, co też takiego matka chce mi zakomunikować. Kiedy weszłyśmy do jej saloniku, zamknęła drzwi i patrząc na mnie niespokojnie, powiedziała:

- Usiądź.

Posłuchałam i teraz zaintrygowana czekałam.

- Lucindo — zaczęła. — To, o czym chcę ci powiedzieć, jest naprawdę ważne. W dodatku musi pozostać między nami. Oboje z ojcem ufamy, że będziesz dyskretna. A poza tym, nie jesteś już dzieckiem.

Słuchałam z uwagą. Matka zamilkła na chwilę i wpatrzyła się przed siebie, marszcząc brwi.

- Wiem, że jesteś świadoma faktu, iż twój ojciec jest... mhm... czymś więcej niż zwykłym posłem do parlamentu.

- Tak... zdaję sobie z tego sprawę. Często wyjeżdża i wiem, że wtedy się niepokoisz. Oczywiście nie należy zadawać żadnych pytań.

- Wolałabym, żeby nie był zaangażowany w te wszystkie tajne sprawy. Zawsze boję się, że coś mu się stanie. To niemal zrujnowało nasze życie na samym początku, kiedy brał udział w tajnej misji, a ja myślałam, że zginął. Bez sensu wyszłam wtedy za męż... - Potrząsnęła głową. - Gdyby był wówczas przy mnie, wszystko wyglądałoby inaczej.

- Wiem, mamó...

Domyśliłam się, że to tylko wstęp i że matka przygotowuje grunt, by powiedzieć mi coś bardzo ważnego.

- Ojciec wykonuje niezwykle ważną pracę dla kraju -mówiła dalej. - Właśnie dlatego nigdy nie zajmował żadnego stanowiska w rządzie. Minister nie mógłby robić tego, czym on się zajmuje. Więc oficjalnie ojciec tylko zasiada w parlamencie, czyli kontynuuje tradycję Greenhamów. Służy krajowi.

- Tak, wiem.

- Jest pewna sprawa, o której ojciec sam ci powie. Początkowo nie chciał, ale w końcu oboje doszliśmy do wniosku, że tak będzie lepiej. Prosił mnie, żebym cię przygotowała do tej rozmowy. Chce mieć pewność, że słusznie postępuje. Tym bardziej, że wtajemniczenie ciebie może okazać się wręcz konieczne.

- Co to za sekret?

- Sam ci wyjawię. Omówiliśmy wszystko wczoraj wieczorem i doszliśmy do wniosku, że to jedyne wyjście. Z początku ojciec twierdził, że jesteś za młoda. Moim zdaniem wydarzenia ostatnich miesięcy sprawiły, że ogromnie wydorosłaś. Wiem, że zrozumiesz i pomożesz nam.

Przekonałam ojca. Chodźmy do niego.

Ojciec czekał na nas w gabinecie.

- Jesteśmy - powiedziała matka. - Możesz zaufać Lucindzie. Na pewno zrozumie.

- Usiądź, moja droga - zaczął ojciec. - Pewnie wszystko na razie wydaje ci się bardzo tajemnicze.

- Tak — odpowiedziałam szczerze.

- Matka mówiła ci, że jestem zaangażowany w pewną działalność, prawda?

- Tak.

- Chodzi o Milton Priory. Zaskoczył mnie całkowicie.

- Milton Priory?! - wykrzyknęłam.

- Tak, Milton Priory - powtórzył. - Wiesz, że w dzisiejszych czasach pewnych rzeczy nie wolno mówić nikomu?

- Tak.

- Nie chcę, żeby ludzie rozgłaszali tę sprawę... tak jak ty to miałaś zamiar robić. Wolę, żeby wszyscy uwierzyli, iż wybuch spowodowała bomba zrzucona przez zeppelin albo ulatniający się gaz, krótko mówiąc coś, co może się zdarzyć wszędzie i zawsze. Wiem, że szczególnie interesuje cię to miejsce, ale proszę, nie dociekaj pewnych spraw. Rozmawianie o tajemnicy podsyci ludzką ciekawość, więc przestań o tym mówić. A jeżeli ktoś w twojej obecności poruszy ten temat, zrób wszystko, żeby sprowadzić rozmowę na inne tory. Nie chcę, żeby ludzie dopytywali się... weszli...

- Dlaczego?

- Posłuchaj, Lucindo. W Milton Priory mieścił się rządowy ośrodek badawczy. Przeprowadzano tam ważne eksperymenty. Jesteśmy otoczeni szpiegami, tak jak to się dzieje we wszystkich krajach podczas wojny. Nie możemy nikomu ufać. Sprawą największej wagi jest utrzymanie badań w tajemnicy. To ja zaproponowałam Milton Priory. Wydawał się idealnym miejscem. Zrujnowany niemal doszczętnie dom, pusty od wielu lat, do którego nikt nie zagląda. Włożono bardzo dużo

pracy, żeby zatrudnionym tam ludziom zapewnić odpowiednie warunki. Okoliczni mieszkańcy musieli zauważyć, że ktoś tam mieszka. Dla zachowania pozorów prowadzono prace remontowe, niby przed wystawieniem domu na sprzedaż. Tymczasem po cichu cały czas kontynuowano eksperymenty. To właśnie działo się w Priory.

Ojciec zamilkł na chwilę i spojrzał na mnie.

— I myślisz, ojcze, że szpiedzy odkryli to i wysadzili dom w powietrze? - spytałam z niedowierzaniem.

Skinął głową.

— Właśnie tak uważam. Ale kto? Czuję się odpowiedzialny, ponieważ ja podsunąłem pomysł wykorzystania tego miejsca. W Londynie przechowywałem tajne dokumenty dotyczące szczegółów przeprowadzanych prac.

— Co to za prace?

— Zbyt skomplikowane, by je teraz dokładnie wyjaśniać. W każdym razie chodzi o eksperymenty z nowym pojazdem bojowym, który byłby bardzo przydatny podczas bitwy. Teraz jednak większość prac uległa zniszczeniu.

— Czy całkowicie? - spytałam.

— Och, nie. Ale cofnęło to nas o kilka miesięcy. Najbardziej niepokoi mnie fakt, że pewne dokumenty, które są w moim posiadaniu, ktoś musiał zobaczyć i wykorzystać... I oto mamy rezultat. Po pierwsze wróg poznał charakter tych prac, po drugie dowiedział się, gdzie przeprowadzane są eksperymenty, a po trzecie znalazł sposób na wysadzenie domu.

— Czy stróż z psem zatrudniony był przez rząd?

— Tak. A teraz, Lucindo, kolej na jeden z najbardziej niepokojących aspektów tej sprawy. Ktoś dostał się do naszego domu w Londynie i przejrzał tajne dokumenty, które tam przechowuję. Kto to mógł być? Nie było żadnego włamania. Przynajmniej nikt nic nie zauważył.

— Czy twoim zdaniem, ojcze, zrobił to ktoś z domowników?

- Niekoniecznie. To mógł być ktoś z zewnątrz. Może rzemieślnik, który coś naprawiał. Oboje z matką głowiliśmy się nad tym. Ale wróćmy do Milton Priory. Wyjaśniłem ci, dlaczego nie chcę, byś o tym opowiadała. Poza tym jest jeszcze coś. Proszę cię, Lucindo, bądź czujna... Jeżeli zauważysz coś dziwnego... czyjeś podejrzanе zachowanie... natychmiast daj znać mnie albo matce. Nikogo nie możemy

wykluczyć z grona podejrzanych. Sama widzisz, jakie to niebezpieczne. Muszę wiedzieć, kto oglądał tajne papiery w moim pokoju i kto kryje się za zniszczeniem Milton Priory.

- Dobrze - pokiwałam głową. - Sama bym to chciała wiedzieć.

Matka wzięła mnie za rękę.

- Cieszę się, że wiesz o wszystkim, Lucindo - powiedziała.

- Sama myśl, że ktoś dostał się do mego domu i przeglądał poufne dokumenty, jest nie do zniesienia -dodał ojciec. - Dopiero kiedy coś takiego się stanie, zdajemy sobie sprawę, w jak trudnych czasach przyszło nam żyć. A więc, Lucindo, zachowaj milczenie w sprawie Priory. Unikaj poruszania tego tematu... i miej oczy otwarte.

- Dobrze - obiecałam. - Możesz na mnie liczyć, ojciec.

Bohater

Nadeszła wiosna. Sytuacja ogólna niewiele się zmieniła. W sierpniu miały upłynąć dwa lata od wybuchu wojny. Ci, którzy przepowiadali, że potrwa nie dłużej niż pół roku, zamilkli. Nawet najbardziej zagorzali optymiści przestali wierzyć w jej rychły koniec.

W tym czasie dostałam dwa listy od Roberta, oba ocenzurowane. Nie miałam pojęcia, gdzie on jest, poza tym, że „gdzieś we Francji”, jak coraz częściej mówiono o miejscu pobytu walczących mężczyzn. Coraz pojawiał się w moich myślach, podobnie jak Marcus. Bardziej jednak niepokoiłam się o Roberta, bezpośrednio narażonego na niebezpieczeństwo. Marcus przynajmniej bezpiecznie leżał w szpitalnym łóżku, choć rzeczywiście był poważnie ranny, skoro trzymano go tam tak długo.

Z Annabelindą widywałam się nieregularnie. Obie z matką przyjeżdżały do Londynu i zatrzymywały się u nas także pod naszą nieobecność.

Zaczął się maj. Zawsze uważałam, że to piękny miesiąc -prawie lato, choć jeszcze nie tak gorąco. Chodziłam na długie spacerunki do lasu, gdzie panowała niezwykła cisza, przywodząca na myśl odległe czasy, gdy polowali tu Wilhelm Zdobywca czy Henryk VIII.

Myślałam nieustannie o bitwach, w których bierze udział Robert. Oczyma wyobraźni widziałam go w okopach, jak zawsze uśmiechniętego, i myślałam z rozpaczą, że nie przeżyje, jeżeli on nie wróci. Ponad wszystko w świecie pragnęłam usłyszeć wiadomość, że wraca szczęśliwie do domu... niechby nawet lekko ranny... byle tylko był z nami, tak jak Marcus.

Rzadko widywałam stryja Geralda, który przebywał niemal bez przerwy we Francji. Wszyscy byli w ponurych nastrojach. Nikt już nie entuzjazmował się wojną - z wyjątkiem takich osób, jak mój brat Charles, którego dziecinne wyobrażenia dalekie były od rzeczywistości.

Tymczasem do Marchlands przyjechały Annabelindą i jej matka.

Ciocia Belinda była niezwykle wylewna, z entuzjazmem opowiadała o swoim zaangażowaniu w różne akcje charytatywne, ale znając ją dobrze, domyślałam się, że chodzi jej głównie o społeczne uznanie. Inni wykonywali pracę, za którą ona zbierała pochwały i nagrody.

Może byłam niesprawiedliwa w swoich osądach i nieco przesadzałam, ale kiedy widziałam na co dzień, jak ciężko pracuje moja matka, irytowały mnie wszystkie ciocie Belindy i Annabelindy świata.

— Ach, Lucie - wdzięczyła się ciocia Belinda. - Jesteś taka zapracowana, ale bardzo ważną rzecz robisz! Na pewno zostaniesz odznaczona jeszcze przed końcem wojny. W pełni na to zasługujesz, moja droga.

Moja matka odpowiedziała:

— Ja już mam swoją nagrodę. To radość, że ludzie wracają do zdrowia. Dobrze, że mamy tak blisko las. Świeże powietrze czyni cuda.

Pewnego razu wybrałyśmy się z Annabelindą na przejażdżkę. Miała mocno skwaszoną minę.

— Mam dosyć tej wstrętnej wojny — wybuchnęła nagle.

— Nie ty jedna.

— Dlaczego nikt jej nie zakończy? Czy zdajesz sobie sprawę, że mam prawie dziewiętnaście lat?

— Nic w tym dziwnego. Ja skończę siedemnaście we wrześniu.

- Starzejemy się. Pomyśl tylko! Jeżeli ta nieszczęsna wojna potrwa następne dwa lata, co się z nami stanie?

Roześmiałam się.

- Co w tym takiego śmiesznego? — zapytała.

- Myślę o mężczyznach walczących na froncie. Na przykład o twoim bracie. A ty się martwisz, że się starzejemy!

- Och, Robert sobie poradzi. Zawsze tak było.

- To jest wojna!

- Owszem, ale ja już dawno powinnam wejść w wielki świat.

- To naprawdę oburzające.

- Nie ironizuj! Nikt mnie nie rozumie. Życie na wsi jest okropnie nudne. Sama niejednokrotnie musiałaś się o tym przekonać. Co ty właściwie robisz przez cały dzień? Ta twoja Carruthers musi być straszną piłą.

- Lubię pannę Carruthers i nasze lekcje.

- Oczywiście. Zawsze byłaś kujonem.

- Ciebie natomiast nigdy nie interesowało nic poza własną osobą.

Czy wiesz, ile radości daje Edward? Mogłabyś chociaż spróbować się o tym przekonać.

Zaczerwieniła się, nieco speszona.

- To nieładnie z twojej strony, Lucindo.

- Jesteś zupełnie pozbawiona uczuć.

- Wcale nie chcę taka być, ale co mam robić?

- Jedyne, co robisz, to zajmujesz się sobą. Trudno, twoja sprawa.

Edward jest naprawdę słodki. Obie z Andree spędzamy z nim mnóstwo czasu, więc sama widzisz, że nie mamy kiedy się nudzić. Poza tym pomagam w szpitalu.

- Co tam robisz?

- Chodzę i rozmawiam z chorymi... z tymi, którzy są w stanie rozmawiać. Na szczęście nie ma tu poważniejszych przypadków, większość to rekonwalescenci.

- Hmm, to ciekawe. Właściwie o tym chciałam z tobą pomówić.

Może mogłabym przyjechać i pomóc wam trochę.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo widzę, jak...

- Potrafię być wesoła i zabawna. Pomagałabym przy pacjentach. Ja też chciałabym mieć swój wkład. Mama mówi, że powinnam się czymś zająć. Dużo jej pomagam w akcjach dobroczynnych i w ogóle. Ma porozmawiać z twoją matką o moim ewentualnym przyjeździe.

- No to zapisz się najpierw na kurs pielęgniarski. Spojrzała na mnie z przerażeniem w oczach.

- To trwa wieki.

- Są kursy przyśpieszone.

- O, nie - potrząsnęła głową. - Wojna się skończy, zanim zdążę się na coś przydać. Chcę przyjechać i pomóc teraz. A ty? Przecież też nie jesteś wykwalifikowaną pielęgniarką.

- Nie, ale tu mieszkam i w każdej chwili jestem pod ręką.

- W pewnym sensie to również mój dom. Jesteśmy jak rodzina. Twoja matka i moja matka... wychowywały się razem i przyjaźnią się. Od dzieciństwa.

- Sama mówiłaś, że wieś cię nudzi.

- Starasz się mnie zniechęcić. Dobrze wiem, dlaczego.

- Niby dlaczego?

- Zawsze byłaś zazdrosna o mnie... i o Marcusa.

- Zazdrosna o ciebie? Skąd ci to przyszło do głowy!

- Ponieważ wolał mnie, a nie ciebie. Wiem, że kiedyś łudziłaś się, że on cię lubi. On zachowuje się w ten sposób w stosunku do każdej dziewczyny. Taki już ma charakter. Ale to nic nie znaczy.

- A co to ma wspólnego z twoim przyjazdem? Uśmiechnęła się przebiegle.

- Marcus ucieszy się, kiedy mnie tu zastanie. Nic na to nie odrzekłam.

- Odwiedziłam go w szpitalu - ciągnęła. - Poszłyśmy tam z mamą. Biedny Marcus! Odnosił poważne rany. Nieźle oberwali w tych Dardanach. Popełnili błąd. Nie powinni byli się tam pchać. No, ale przynajmniej Marcus jest już w Anglii. Przypuszcza, że nie wypiszą go ze szpitala jeszcze co najmniej przez miesiąc. Mówi, że nie może się doczekać rekonwalescencji... w Marchlands.

— A więc to jest prawdziwy powód twojej chęci służenia krajowi. Chcesz załatwić własne sprawy.

- Nie bądź złośliwa! Oczywiście, miło będzie zająć się Marcusem, ale już od dawna myślałam, że powinnam tu przyjechać. Pomogę podtrzymywać na duchu tych biednych żołnierzy. Biedacy, tyle wycierpie-li! Przysłużę się dobrej sprawie. Tylko najpierw pojadę do Londynu zrobić kilka zakupów oraz poczynić niezbędne przygotowania. I zaraz wrócę.

Milczałam. Oczywiście wyobraźni widziałam ją wśród mężczyzn leżących w naszym szpitalu. Wracali do zdrowia i tęsknili do odrobiny rozrywki, a tej - w postaci flirtu - Annabelinda gotowa była im dostarczyć.

Bez wątplenia będą zachwyceni jej towarzystwem.

Dwa tygodnie później zjechała na stale. Muszę przyznać, że natychmiast podbiła serca wszystkich pacjentów. Gorzej było z personelem medycznym.

Pewnego razu, gdy byłam z matką sama, zaczęła rozmowę na jej temat.

- Bardzo przypomina mi swoją matkę. Czasami wyobrażam sobie, że znów mam osiemnaście lat, a ona jest Belindą. Obie są tak pełne życia... temperamentu... To ich wielka zaleta, bo urodę mają, powiedziała bym, nietypową. To pewnie ta francuska krew. Mają w sobie wiele z Jeana Pascala Bourdona. Ciekawe, swoją drogą, jak on się miewa. Pewnie nie mógł wyjechać. Ale to typowy francuski arystokrata, więc i tak za nic nie opuściłby kraju. A poza tym podejrzewam, że kto jak kto, ale on sobie jakoś poradzi. A co do Annabelindy, to uważam, że jest cennym nabytkiem dla szpitala. Widziałam, jak wiozła na wózku kapitana Gregory'ego. Przed jej przyjazdem był bardzo przygnębiony z powodu swego kalectwa. Teraz, gdy ona szczebiocze i zabawia go tym swoim niewinnym flirtem, po raz pierwszy zobaczyłam uśmiech na jego twarzy.

- Jest z pewnością doskonała pod tym względem - zgodziłam się.

- Nie można jej nie lubić. To samo było z jej matką. Są samolubne, to prawda, ale jednocześnie urocze.

Nadal nie było wiadomo, kiedy wypiszą Marcusa. Już od czterech miesięcy przebywał w szpitalu. Z frontu w dalszym ciągu napływały niepomyślne wieści. Piątego czerwca lord Kitchener udał się na spotkanie z Rosjanami. Statek „Hampshire”, którym płynął, natrafił na niemiecką minę i zatonął.

Anglia pogrążyła się w żałobie. A wojna toczyła się dalej.

Wreszcie nadeszła wiadomość, że Marcus otrzymał pozwolenie lekarzy na wyjazd do Marchlands. Przywieziono go wojskowym samochodem. Chodził z trudem, podpierając się laską.

Wszyscy wyszliśmy przed dom na jego spotkanie.

Wyszczupłał i miał bledszą cerę, ale jak zawsze pełen był energii i optymizmu.

Ujął mnie za rękę i spojrzał na mnie z niekłamana radością. Od razu poprawił mi się humor.

Wtedy zauważył Annabelindę.

- Och, panna Annabelinda też tu jest! - wykrzyknął. - Podwójna radość! Ależ mam szczęście! Dzień dobry, pani Greenham... panno Caruthers! O, i nieoceniona mademoiselle Latour! A gdzie jest panicz Edward?

- Śpi w tej chwili - powiedziała Andree.

- Poszukiwacze przygód w komplecie! Pani Greenham, nie wiem, jak pani dziękować za wyrażenie zgody na moje przybycie do Marchlands.

- Nie mogliśmy się pana doczekać. Martwiliśmy się, że pański przyjazd tak się odwleka.

A więc był tu, w Marchlands. Natychmiast stary dom wydał się całkiem inny i to nie ja jedna odczułam tę różnicę.

Umieszczono go w niewielkim pokoju razem z trzema innymi oficerami. Jedną z zalet Marchlands były nieduże, przytulne pokoje - przerebione z dawnych przestronnych co najmniej przez miesiąc. Mówi, że nie może się doczekać rekonwalescencji... w Marchlands.

- A więc to jest prawdziwy powód twojej chęci służenia krajowi. Chcesz załatwić własne sprawy.

- Nie bądź złośliwa! Oczywiście, miło będzie zająć się Marcusem, ale już od dawna myślałam, że powinnam tu przyjechać. Pomogę podtrzymywać na duchu tych biednych żołnierzy. Biedacy, tyle wycierpie-li! Przysłużę się dobrej sprawie. Tylko najpierw pojadę do Londynu zrobić kilka zakupów oraz poczynić niezbędne przygotowania. I zaraz wrócę.

Milczałam. Oczywiście wyobraźni widziałam ją wśród mężczyzn leżących w naszym szpitalu. Wracali do zdrowia i tęsknili do odrobiny rozrywki, a tej - w postaci flirtu - Annabelinda gotowa była im dostarczyć.

Bez wątpienia będą zachwyceni jej towarzystwem.

Dwa tygodnie później zjechała na stałe. Muszę przyznać, że natychmiast podbiła serca wszystkich pacjentów. Gorzej było z personelem medycznym.

Pewnego razu, gdy byłam z matką sama, zaczęła rozmowę na jej temat.

- Bardzo przypomina mi swoją matkę. Czasami wyobrażam sobie, że znów mam osiemnaście lat, a ona jest Belindą. Obie są tak pełne życia... temperamentu... To ich wielka zaleta, bo urodę mają, powiedziałałabym, nietypową. To pewnie ta francuska krew. Mają w sobie wiele z Jeana Pascala Bourdona. Ciekawe, swoją drogą, jak on się mie-wa. Pewnie nie mógł wyjechać. Ale to typowy francuski arystokrata, więc i tak za nic nie opuściłby kraju. A poza tym podejrzewam, że kto

jak kto, ale on sobie jakoś poradzi. A co do Annabelindy, to uważam, że jest cennym nabytkiem dla szpitala. Widziałam, jak wiozła na wózku kapitana Gregory'ego. Przed jej przyjazdem był bardzo przygnębiony z powodu swego kalectwa. Teraz, gdy ona szczebiocze i zabawia go tym swoim niewinnym flirtem, po raz pierwszy zobaczyłam uśmiech na jego twarzy.

- Jest z pewnością doskonała pod tym względem - zgodziłam się.

- Nie można jej nie lubić. To samo było z jej matką. Są samolubne, to prawda, ale jednocześnie urocze.

Nadal nie było wiadomo, kiedy wypiszą Marcusa. Już od czterech miesięcy przebywał w szpitalu. Z frontu w dalszym ciągu napływały niepomyślne wieści. Piątego czerwca lord Kitchener udał się na spotkanie z Rosjanami. Statek „Hampshire”, którym płynął, natrafił na niemiecką minę i zatonął.

Anglia pograżyła się w żalobie. A wojna toczyła się dalej.

Wreszcie nadeszła wiadomość, że Marcus otrzymał pozwolenie lekarzy na wyjazd do Marchlands. Przywieziono go wojskowym samochodem. Chodził z trudem, podpierając się laską.

Wszyscy wyszliśmy przed dom na jego spotkanie.

Wyszczupłał i miał bledszą cerę, ale jak zawsze pełen był energii i optymizmu.

Ujął mnie za rękę i spojrzał na mnie z niekłamaną radością. Od razu poprawił mi się humor.

Wtedy zauważył Annabelinę.

- Och, panna Annabelinda też tu jest! - wykrzyknął. - Podwójna radość! Ależ mam szczęście! Dzień dobry, pani Greenham... panno Caruthers! O, i nieoceniona mademoiselle Latour! A gdzie jest panicz Edward?

- Śpi w tej chwili - powiedziała Andree.

- Poszukiwacze przygód w komplecie! Pani Greenham, nie wiem, jak pani dziękować za wyrażenie zgody na moje przybycie do Marchlands.

- Nie mogliśmy się pana doczekać. Martwiliśmy się, że pański przyjazd tak się odwleka.

A więc był tu, w Marchlands. Natychmiast stary dom wydał się całkiem inny i to nie ja jedna odczułam tę różnicę.

Umieszczono go w niewielkim pokoju razem z trzema innymi oficerami. Jedną z zalet Marchlands były nieduże, przytulne pokoje - przerebione z dawnych przestronnych sypialni - zamiast długich sal z rzędami łóżek, jakie spotyka się w większości szpitali. Trzema współtowarzyszami Marcusa byli: major w średnim wieku, kapitan około trzydziestki i młody porucznik. Matka przepowiadała, że na pewno się ze sobą zaprzyjaźnią.

Wkrótce stało się oczywiste, że Marcus jest wszędzie mile widziany. Często słyszeliśmy śmiech dochodzący z jego sali, a pielęgniarki rywalizowały między sobą o opiekę nad tą częścią szpitala.

Annabelinda z zapałem zajęła się salą majora. Nazywała ją „swoim oddziałem” i nieustannie się tam kręciła. Oczywiście była ulubienicą wszystkich czterech pacjentów.

Nie mogłam nic na to poradzić, ale byłam na nią trochę zła. Długo czekałam na przyjazd Marcusa, a teraz nawet nie miałam okazji z nim porozmawiać.

Marcus w czasie spacerów po ogrodzie siadywał zazwyczaj na ławce pod klonami. Rzadko udawało się nam spędzić tam kilka chwil sam na sam. Ilekroć go spotykałam, zaraz zjawiała się Annabelinda.

Nie byłam pewna, jak on odnosi się do tych jej nagłych pojawień. Nie dał tego nigdy po sobie poznać - ale taką już miał naturę, że wszystko skrywał pod maską uprzejmości.

Annabelinda szczebiotała, zadawała pytania o walki w Dardanelach i w ogóle nie słuchała odpowiedzi. Powtarzała tylko, że to niezwykle, iż tyle robi się, by odnieść zwycięstwo, i że ona bardzo podziwia dzielnych żołnierzy walczących za sprawę. Potem rozmowa schodziła na naszą wspólną podróż. Wspominaliśmy różne drobne wydarzenia, które wtedy wcale nas nie bawiły, a teraz wywoływały miłe wzruszenie.

Marcus często powtarzał, że bardzo cieszy się z przyjazdu do Marchlands.

— Leżałem na swoim wąskim szpitalnym łóżku i zastanawiałem się w nieskończoność, czy kiedykolwiek się tu znajdę - zwierzył się kiedyś. - Mijały tygodnie, a lekarze wciąż mnie nie puszczali.

— Byłeś naprawdę chory.

— Och, bez przesady. To raczej doktor się uparł. Im bardziej chciałem wyjść, tym bardziej przedłużał mój pobyt.

— Jesteś wyjątkowo dzielny - powiedziała Annabelinda. - I tak lekko mówisz o swoich ranach. A jeśli ty rad jesteś, że tu przyjechałeś, to my jesteśmy podwójnie zadowolone, że mamy cię pod swoimi skrzydłami.

— Nigdzie indziej na świecie nie byłoby mi lepiej.

— To wielkie szczęście — Annabelinda spojrzała na niego poważnie - że cię nam nie zabiorą... przynajmniej nie tak prędko. Postaramy się za wszelką cenę zatrzymać cię tutaj, dopóki nie skończy się ta głupia wojna.

— Jesteście bardzo dobre dla mnie — uśmiechnął się do niej.

— Przekonasz się jeszcze, jaka potrafię być dobra -odparła, a jej oczy pełne były obietnic.

Któregoś dnia zastałam go samego pod klonem.

— Cudownie! — wykrzyknął na mój widok. - Prawie nigdy nie widzę cię samej.

— Ale mimo to wydajesz się całkiem szczęśliwy.

— Teraz jestem znacznie szczęśliwszy.

— Zauważyłam, że mówisz to, co ludzie chcą usłyszeć. Czy to ma być komplement, czy naprawdę cieszysz się, że przyszedłam?

Nakrył moją dłoń swoją.

— W tym momencie mówię szczerze. Roześmiałam się.

— Pochlebstwa przychodzą ci równie łatwo jak oddychanie.

— Ludzie je lubią... Więc cóż w tym złego?

— Ale jeśli nie myśli się tak naprawdę...

— Wtedy też ma to pewien sens. I jak powiedziałem, sprawia ludziom przyjemność. Chyba nie chciałabyś, żebym robił wszystkim dookoła przykrości, prawda?

— Chwali ci się, że troszczysz się o innych, ale po pewnym czasie ludzie zorientują się, że nie myślisz tak naprawdę.

- Tylko mądrzy... tacy jak ty. Większość przełknie wszystko. Skoro chcą coś usłyszeć, to dlaczego im tego nie powiedzieć? Ale daję słowo, że z tobą będę absolutnie szczerzy. Zresztą przy twojej bystrości i inteligencji inne postępowanie nie miałyby sensu. Naprawdę jestem szczęśliwy, że w tym momencie mam cię tylko dla siebie. Tym bardziej, gdy widzę, jak wyrastasz na uroczą kobietę. Byłaś taka młodziutka, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy.

- Jestem już o dwa lata starsza.

- Osiągasz magiczny wiek. Ale nie dorastaj za szybko, dobrze?
- Zdaje się, że kiedyś zachęcałeś mnie do dorastania.
- Pragnę jedynie, byś zawsze zachowała świeżość i niewinność. Słodka szesnastolatka, mówią. Ileż w tym racji! Nie ucz się za szybko nieprawości tego świata, proszę cię!
- Niestety, napatrzyłam się na nie przez ostatnie dwa lata.
- Ale na szczęście nie zepsuły cię. Zachowałeś urok niewinności. Wkrótce skończysz siedemnaście lat. Kiedy masz urodziny?
- We wrześniu. Pierwszego.
- Za trzy miesiące...
- Ciekawe, czy jeszcze tu będziesz.
- Mam szczerzy zamiar zostać do twoich urodzin. Jeżeli będzie trzeba, zacznę symulować. Tak zamydłę oczy doktorowi Egertonowi, że siłą mnie zatrzyma.
- Ale wyzdrowiejesz do tego czasu? Wzruszył ramionami i dotknął klatki piersiowej.
- Kula narobiła trochę szkody. Z nogą jest raczej w porządku. Nie sądzę, aby lekarze zbyt się nią przejmowali. Pewnie nie będę się kwalifikował do dalszego pobytu w Marchlands. Ale trzeba będzie uważać na siebie.
- Właściwie to cieszę się, że nie wrócisz na front.
- Czy rzeczywiście zależy ci, żebym nie jechał?
- Oczywiście. Dużo myślałam o tobie, kiedy byłeś na półwyspie Gallipoli.
- Szkoda, że nie wiedziałem o tym.
- To chyba oczywiste. Wszyscy myśleliśmy o tobie... i stryju Geraldzie.
- Twoje myśli są dla mnie najcenniejsze.
- Przez chwilę oboje milczeliśmy. Pierwsza przerwałam ciszę:
- Znasz dobrze mnie i moją rodzinę. Ja wiem bardzo mało o tobie i o twojej rodzinie.
- Nie ma wiele do opowiadania. Jestem w wojsku, odkąd skończyłem osiemnaście lat. Przeznaczony do służby wojskowej zgodnie z tradycją.
- Stryj Gerald mówił, że pochodzisz z bardzo starej rodziny.

- Wszyscy pochodzimy ze starych rodzin. Bóg raczy wiedzieć, jak daleko sięgają nasze korzenie... Kiedyś cała ludzkość mieszkała na drzewach albo w jaskiniach.

- Ale twoja rodzina znana jest od kilku stuleci. To jeden z rodów, które...

- Przybyły z Wilhelmem Zdobywcą? To chciałaś powiedzieć? Cóż, zawsze byliśmy bardzo dumni... z takich tam różnych historii.

- Tradycji - podsunęłam.

- O właśnie. Od wieków robiliśmy te same rzeczy. Drugi syn zawsze wstępował do wojska. Pierwszy, rzecz jasna, zarządzał majątkiem. Trzeci zostawał politykiem, a jeśli trafił się czwarty, to biedak szedł na duchownego. W ten sposób mieliśmy zapewnione wpływy we wszystkich dziedzinach życia. Dlatego też odgrywaliśmy jakąś tam rolę w rządzeniu krajem. A to, co się robiło w szesnastym wieku, musi być kontynuowane w dwudziestym.

- I wszyscy podporządkowujecie się bez szemrania?

- Zdarzali się buntownicy. W ubiegłym stuleciu, ku ogólnemu zgorszeniu, jeden z Merrivale'ów zajął się interesami. Zbił majątek, odrestaurował chylący się ku upadkowi dom i postawił rodzinę na nogi. Ale i tak wszyscy uważali, że w jego życiu jest coś, czego należy się wstydić.

- Ty wypełniłeś swój obowiązek. Nie jesteś czarną owcą.

- Nie jestem też białą.

- Jak to! Przecież rodzina musi być z ciebie bardzo dumna!

- Niekoniecznie. Gdybym dosłużył się stopnia marszałka lub choćby pułkownika, to co innego. AJe teraz trudno na to Jiczyć. Wojna sprzyja awansom w wojsku, tymczasem ja zostałem z niej wyeliminowany.

- Czy nie doceniają twego męstwa?

- Owszem, ale tak naprawdę to się nie liczy. Powiniennem zdobyć jakiś medal, najlepiej Krzyż Wiktorii.

- Biedny Marcus! Może jednak lepiej jest urodzić się w zwyczajnej rodzinie, takiej jak moja.

- Twojej rodzinie daleko do zwyczajności. Spójrz tylko na swoją matkę! Urządziła we własnym domu szpital!

- Czy czujesz się pokrzywdzony w życiu przez to, że musisz sprostać tak wysokim wymaganiom?

- Nie. Ponieważ nie zawsze to robię. Człowiek przyzwyczaja się do kompromisów. To nasze ciche motto. Dopóki wszystko dobrze wygląda z zewnątrz, tylko to się liczy.

- Ale wstąpiłeś do wojska?

- To mi nawet odpowiadało. Byłem zbyt lekkomyślny w wieku lat osiemnastu, żeby mieć własne ambicje.

- A teraz?

- Będę dobrym Merrivale'em do końca moich dni. Zostanę w wojsku aż do emerytury, a potem prawdopodobnie osiadę na terenie majątku. Jest tam stary, piękny dom, choć może nie tak imponujący jak rodzinna rezydencja... Korzystają z niego młodszy synowie rodu. Stryj, który tam mieszkał, niedawno zmarł. Obecnie dom zajmuje jego syn, ale zamierza przenieść się do jednej z mniejszych rodzinnych posiadłości na północy. Wtedy dom byłby mój... kiedy odejdę z wojska. Przenieść się tam na stałe i pomogę bratu zarządzać majątkiem. Takie życie nawet mi odpowiada.

- I wypełnisz swój obowiązek wobec rodziny.

- Tak. Ożenię się i ustatkuję. Koniecznie przed trzydziestką.

- Czy tak też stanowi rodzinne prawo?

- Tego się od nas oczekuje. Synowie rodu, zanim ukończą trzydzieści lat, powinni osiaść na swoim i zacząć zapełniać ziemię... czy też raczej rodzinną posiadłość. Mój czas się zbliża. Czy wiesz, że mam dwadzieścia osiem lat?

- Naprawdę?

- Jestem stary w porównaniu z tobą.

- Ty nigdy nie będziesz stary.

- Aha, i kto jest teraz pochlebcą!

- Skoro to prawda, trudno nazwać to pochlebstwem.

- Ale powiedziałas tak, by mi sprawić przyjemność.

- Mówiłam to, co myślę.

- O... dzień dobry... tu jesteście - podeszła do nas Annabelinda. - Marcus, od dawna tu siedzisz? Chyba nie powinienes być na dworze. Dzisiaj jest dość chłodno.

- Aha — wykrzyknął Marcus — piękna Annabelinda! Czy przyszłaś dotrzymać nam towarzystwa?

- Przyniosłam ci kurtkę. - Zarzuciła mu kurtkę od munduru na ramię. - Zobaczyłam cię przez okno. Boję się, żebyś nie zmarł.

- Lubię, jak ktoś się o mnie troszczy!
- Właściwie szukałam Lucindy - wyjaśniła Annabelinda. - Twoja matka pytała o ciebie jakiś czas temu. Pomyślałam, że może jesteś w ogrodzie.
- Pójdę i zobaczę, o co chodzi - powiedziałam. Marcus uniósł brwi na znak rezygnacji.
- W takim razie do zobaczenia — dodałam. Dochodząc do domu, obejrzałam się. Annabelinda siedziała na ławce i oboje z Marcusem zaśmiewali się z czegoś. Odnalazłam matkę i spytałam:
 - Szukałaś mnie, mamo?
 - W zasadzie nie, ale skoro już tu jesteś, to może zanieśiesz te ręczniki siostrze Burroughs.

- Ty wypełniłeś swój obowiązek. Nie jesteś czarną owcą.
- Nie jestem też białą.
- Jak to! Przecież rodzina musi być z ciebie bardzo dumna!
- Niekoniecznie. Gdybym dosłużył się stopnia marszałka lub choćby pułkownika, to co innego. Ale teraz trudno na to liczyć. Wojna sprzyja awansom w wojsku, tymczasem ja zostałem z niej wyeliminowany.
- Czy nie doceniają twego męstwa?
- Owszem, ale tak naprawdę to się nie liczy. Powiniennem zdobyć jakiś medal, najlepiej Krzyż Wiktorii.
- Biedny Marcus! Może jednak lepiej jest urodzić się w zwyczajnej rodzinie, takiej jak moja.
- Twojej rodzinie daleko do zwyczajności. Spójrz tylko na swoją matkę! Urządziła we własnym domu szpital!
- Czy czujesz się pokrzywdzony w życiu przez to, że musisz sprostać tak wysokim wymaganiom?
- Nie. Ponieważ nie zawsze to robię. Człowiek przyzwyczajają się do kompromisów. To nasze ciche motto. Dopóki wszystko dobrze wygląda z zewnątrz, tylko to się liczy.
- Ale wstąpiłeś do wojska?
- To mi nawet odpowiadało. Byłem zbyt lekkomyślny w wieku lat osiemnastu, żeby mieć własne ambicje.
- A teraz?

- Będę dobrym Merrivale'em do końca moich dni. Zostanę w wojsku aż do emerytury, a potem prawdopodobnie osiadę na terenie majątku. Jest tam stary, piękny dom, choć może nie tak imponujący jak rodzinna rezydencja... Korzystają z niego młodsi synowie rodu. Stryj, który tam mieszkał, niedawno zmarł. Obecnie dom zajmuje jego syn, ale zamierza przenieść się do jednej z mniejszych rodzinnych posiadłości na północy. Wtedy dom byłby mój... kiedy odejdę z wojska. Przenieść się tam na stałe i pomogę bratu zarządzać majątkiem. Takie życie nawet mi odpowiada.

Parę dni później, kiedy skończyłyśmy poranną lekcję, panna Carruthers powiedziała:

- Lucindo, muszę ci coś wyznać. Ty pierwsza się o tym dowiesz. Urwała, a ja spokojnie czekałam na ciąg dalszy.
- Na pewno pamiętasz o tym, że zbliżają się twoje urodziny.
- Owszem. Pierwszego września.
- Otóż to. Nie będziesz zatem więcej potrzebować guwernantki.
- Czy to mama tak zdecydowała?
- Nie. Ale taka jest naturalna kolej rzeczy.
- To prawda. Miałam jednak nadzieję, że pani zostanie... Mama zawsze mówiła, że pani wyjątkowo wiele robi dla szpitala. Twierdzi, że nie wie, jak by sobie poradziła bez pani pomocy.
- Widzisz, chodzi o to, że mam zamiar wyjść za mąż.
- Panno Carruthers!

Spuściła wzrok uśmiechając się. Trudno było wyobrazić sobie pannę Carruthers onieśmiałoną, ale taki właśnie widok miałam w tym momencie przed oczami.

- Doktor Egerton poprosił mnie o rękę.
- Gratuluję i życzę dużo szczęścia! Bardzo się cieszę. To miły i dobry człowiek.
- Ja też tak uważam — odparła panna Carruthers. — Od samego początku zgadzaliśmy się ze sobą w wielu sprawach, a teraz... oświadczył mi się.

Przypomniałam sobie, co mówiono o doktorze Egertonie. Jego żona zmarła sześć lat temu. Doktor musiał mieć teraz około czterdziestki. Miał żonatego syna i zamężną córkę. Oboje od dawna mieszkali od-

dzielnie. Pomyślałam, że to idealne rozwiązanie. Panna Carruthers nie będzie musiała wracać do tej okropnej kuzynki. Jak to dobrze!

Ona najwyraźniej była tego samego zdania.

- Powiedziałam Davidowi... doktorowi Egertonowi... że nie opuszczę cię, dopóki nie ukończysz siedemnastu lat.

- Proszę się mną nie przejmować. Już prawie mam te siedemnaście lat. A i tak niedługo zaczną się wakacje.

- Doktor Egerton zgodził się ze mną. Postanowiliśmy ogłosić oficjalnie nasze zaręczyny w dniu twoich urodzin. Ślub weźmiemy w październiku. Jeżeli twoja matka pozwoli mi zostać tu do tego czasu...

- Ależ oczywiście! To cudowna niespodzianka. Naprawdę, bardzo się cieszę.

Zarzuciłam jej ręce na szyję i przytuliłam ją serdecznie.

- Ach, Lucindo — uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Jesteś taka kochana. Sporo przeżyliśmy razem i chciałam, żebyś pierwsza się dowiedziała. Teraz powiadomię twoją matkę.

- Na pewno bardzo się ucieszy. A pani będzie mogła dalej pracować w szpitalu. Czyż to nie wspaniałe?... Pani Egerton! - dodałam wolno, rozkoszując się brzmieniem tych słów.

- Głupstwa opowiadasz - roześmiała się uszczęśliwiona panna Carruthers.

Wyglądała teraz zupełnie inaczej, tak promiennie. Czy dlatego, że była zakochana, czy też dzięki temu, że była spokojna o swoją przyszłość? Życie guwernantki jest niepewne i nie daje poczucia bezpieczeństwa.

Usiadłyśmy na chwilę i opowiedziała mi, jak zaprzyjaźnili się z doktorem Egertonem.

- Spotykaliśmy się w szpitalu i często spacerowaliśmy w ogrodzie. Od tego wszystko się zaczęło.

- Myślę, że to wzruszająca historia - westchnęłam.

- I pomyśleć, że gdyby nie ta straszna wojna... gdybyśmy nie opuszczały szkoły w takim pośpiechu... gdybym wyjechała z innymi nauczycielkami...

- Ale tak się nie stało. Pamiętam pani słowa, że nie wyjedzie pani, dopóki zostanie choć jedna uczennica z Anglii.

- Twoja matka okazała mi wiele serca. To był cały łańcuch zdarzeń, w którym ogromną rolę odegrał przypadek.

- Czyż to nie dowodzi, że świat wcale nie jest taki straszny? Największe zło może obrócić się w dobro. Powinniśmy o tym stale pamiętać.

- Myślę, że będę o tym pamiętać przez całe życie - pokiwała głową panna Carruthers.

Matka była zachwycona usłyszawszy tę wiadomość.

- Dużo ostatnio myślałam o panie Carruthers - wyznała. - Wiedziałam, że przyjdzie czas, kiedy zaczniesz się zastanawiać, jak długo jeszcze będziesz jej potrzebować. Miałam zamiar poprosić ją, by została z nami i dalej pomagała w szpitalu. Teraz tak właśnie się stanie, skoro doktor Egerton jest poważnie zaangażowany w swoją pracę. Jest to najlepsze, co mogło spotkać tych dwoje. Moim zdaniem doktor należy do mężczyzn, którzy nie mogą żyć bez żony. Był załamany po śmierci Mary. Naprawdę się cieszę. Panna Carruthers jest jak nowo narodzona. Zawsze martwiła się o swoją przyszłość. To ciągle problem guwernantek. A o ciebie też już nie musimy się kłopotać, skoro masz prawie siedemnaście lat. I Charles chodzi codziennie na plebanię na lekcje... Oczywiście trzeba będzie pomyśleć o szkole dla niego, ale na razie wolałabym to odłożyć. Dopóki trwa wojna, nie chcę, żeby opuszczał dom. Wolę mieć was wszystkich blisko. Tak nie lubię wyjazdów ojca do Londynu, ale on przynajmniej wraca na weekend.

Mniej więcej w tym czasie w zachowaniu Marcusa wobec mnie nastąpiła subtelna zmiana. Początkowo myślałam, że ponosi mnie wyobraźnia, ale z czasem stawało się to coraz bardziej widoczne.

Annabelinda towarzyszyła mu nieustannie i rzadko kiedy miałam okazję spotkać go samego. Nie winiałam jej za to, choć z pewnością usilnie się starała, by być jak najbliżej niego.

Kiedy siadywał pod klonem, Annabelinda natychmiast znajdowała się obok. Z początku podchodziłam do nich, ale potem zaczęłam odnosić wrażenie, że im przeszkadzam. Muszę przyznać, że działo się tak za sprawą Annabelindy, nigdy Marcusa. On był zawsze grzeczny i uprzejmy, z tym że teraz zaczęłam wyczuwać coś nienaturalnego w jego sposobie bycia. W sierpniu matka powiedziała:

— Wkrótce będą twoje urodziny. Nie mogę uwierzyć, że minęło siedemnaście lat, odkąd przyszedł na świat. Cóż to był za radosny dzień! Musimy naprawdę hucznie uczcić twoje święto. Urządzimy

przyjęcie. Pomoże nam to oderwać się choć na chwilę od smutnych myśli. Trzeba jakoś umilać sobie życie w tych ciężkich czasach. Wiadomości z frontu są wciąż niepomysłne.

Miała jak zwykle rację. Wszyscy domownicy zaczęli żyć tym przyjęciem. Początkowo zamierzaliśmy urządzić je na trawniku, gdyby pogoda dopisała. Miał być bufet dla tych wszystkich, którzy są w stanie poruszać się o własnych siłach, natomiast chorym przykutym do łóżek zaniesiono by smakołyki do sali.

Pomysł ten jednak upadł, ponieważ zbyt wielu pacjentów nie mogło opuścić oddziału, a nie chcieliśmy podkreślać ich ułomności przez urządzanie osobnych bankietów. Ostatecznie postanowiliśmy, że goście zgromadzą się w wielkim hallu, gdzie odbędzie się koncert, na którym wystąpią wszyscy, którzy będą mogli popisać się jakimiś umiejętnościami. Podest posłuży jako scena.

- Zadajesz sobie wiele trudu, mamó - powiedziałam.

- Moja kochana Lucindo, są twoje urodziny. Siedemnaście lat to przełomowy moment w życiu. Należy odpowiednio go uczcić. Ojciec też musi koniecznie przyjechać. To naprawdę doniosła dla nas chwila.

Wszyscy rozmawiali o urodzinach i najważniejszym punkcie przyjęcia, czyli o koncercie.

— Można by pomyśleć, że to Drury Lane — stwierdziła pani Grey, która - byłam o tym święcie przekonana - nie miała pojęcia, jak wygląda Drury Lane. Ale rozumieliśmy, co miała na myśli.

Nadszedł wreszcie ten wielki dzień. Wszyscy złożyli mi życzenia, dostałam mnóstwo prezentów. W ogóle zachowywano się tak, jakbym dokonała niebywale mądrego wyczynu żyjąc siedemnaście lat.

Koncert miał się zacząć o drugiej trzydzieści.

Po śniadaniu uciekłam do ogrodu. Myślałam o rozmowie z Marcusem i o tym, jak ciągle napomynał o moich siedemnastych urodzinach. Naprawdę uwierzyłam, że jest we mnie zakochany, i niezwykle mnie to ekscytowało. Ledwo miałam odwagę przyznać się przed samą sobą, ale uporczywie nawiedzała mnie myśl, iż moje siedemnaste urodziny będą przełomowym momentem w naszych wzajemnych stosunkach — w końcu przecież sam często robił do tego aluzje.

Potem opadły mnie wątpliwości, ale mimo to nadal w głębi duszy żywiłam nadzieję, że coś się wreszcie wyjaśni.

Za lekki chłód, z jakim Marcus ostatnio odnosił się do mnie, winałam Annabelinę. Robiła wszystko, żeby stale być z nim, a mnie wykluczyć z ich grona. Wmawiałam sobie, że postępuje tak wbrew pragnieniom Marcusa, który jest zbyt uprzejmy i za dobrze wychowany, by otwarcie protestować. Trzymałam się kurczowo tej wersji i starałam się zduśić trapiące mnie wątpliwości.

W dniu urodzin spotkałam Marcusa w ogrodzie. Zrobiło mi się ciepło na sercu, gdyż odniosłam wrażenie, że mnie szuka.

Chodził już dużo lepiej. Poprzedniego dnia dowiedziałam się od matki, że zdaniem doktora Egertona może wyjść ze szpitala mniej więcej za tydzień. Podpierał się wprawdzie łaską, ale poruszał się bez większych trudności.

— Dzień dobry, Marcus! - zawołałam. Przystanął i powiedział wesoło:

— Lucinda! Droga solenizantka! Moje najlepsze życzenia! A więc w końcu nadszedł ten wielki dzień.

— Był nie do uniknięcia.

— Jeden jedyny raz w życiu zdarza się taka-uroczystość! Pewnie jesteś szalenie dumna.

— Przyjęcie to zasługa mamy. Uznała, że koniecznie muszę uświadomić sobie, w jak poważny wiek wkraczam.

— Bardzo słusznie.

— Mama powiedziała, że niedugo zostaniesz wypisany ze szpitala.

— Nie mogę już dłużej symulować.

— Och, nie mów tak. Przecież wcale nie symulowałeś.

— Może nie. Ale i tak jestem już niedołągą.

— Nie wyślą cię...

— Na front? Na razie nie. Prawdę mówiąc, na jakiś czas idę do Ministerstwa Wojny. Średnio się z tego cieszę...

— To może być ciekawa praca.

Skrzywił się nieznacznie. Przechodziliśmy akurat obok ławki.

— Może wolisz usiąść? - zaproponowałam.

— Lekarze zalecają mi dużo ruchu. A poza tym powinienem być na próbie.

— Czy bierzesz udział w koncercie?

— Tak. Zostałem zwerbowany.

— I z czym wystąpisz?

— Zaśpiewam „Drogę do Mandalay”.

— Czyżby do twoich rozlicznych zalet należał też piękny głos?

— Nie byłbym taki pewien, co do tych zalet. Myślę, że niektórzy wątpią, iż posiadam jakiegokolwiek. Głos natomiast... jak głos. Po prostu wydają z siebie dźwięki. To wszystko.

— Jak zawsze skromny!

— Wcale nie. Nie powinienem był dać się namówić. A z pochwałami zaczekaj, aż usłyszysz mój występ. Na szczęście to popularna piosenka, więc może publiczność okaże się łaskawa.

Pewna byłam, że Annabelinda zaraz wytropi nas w ogrodzie, i nie omyliłam się.

Szybkim krokiem zbliżała się ku nam.

- Ach, tu jesteś, Marcus. Doktor Egerton powiedział, że nie wolno ci się forsować.

- Wręcz przeciwnie, kazał mi ćwiczyć.

- Ale umiarkowanie.

- Jestem bardzo umiarkowany.

- Świetny pomysł z tym koncertem. Nie mogę wprost doczekać się „Mandalay” w twoim wykonaniu - zmieniła temat Annabelinda.

- Nie wiem, czy uda mi się opanować tremę.

- Aha, akurat — powiedziałam. — Na pewno odniesiesz oszałamiający sukces. Przecież i tak nikt nie spodziewa się usłyszeć Carusa.

- Nie przejmuj się - dodała Annabelinda. - Reszta występów to amatorszczyzna. Będziesz gwiazdą.

- Wiem, że trudno cię przekonać, Annabelindo, ale proszę, nie spodziewaj się zbyt wiele.

- Naprawdę nie mogę doczekać się twojego występu - westchnęła.

- Chyba wrócę do domu - powiedziałam. - Jest jeszcze tyle do zrobienia.

- No to do zobaczenia później - rzuciła Annabelinda wesoło.

Wracalam do domu z uczuciem, że uchodzi ze mnie całe powietrze. Marcus wcale nie zamierzał powiedzieć mi nic nadzwyczajnego. Tak poważnie mówił kiedyś o moich urodzinach, dając do zrozumienia, że czeka na nie, a kiedy nadeszły, interesowała go jedynie „Droga do Mandalay”.

Koncert niezmiernie się wszystkim podobał, zapewne bardziej ze względu na to, że ludzie spragnieni byli takich rozrywek, niż na poziom

wykonania. Występy były udane, a im więcej zdarzało się potknięć, tym życzliwsza była reakcja widzów.

„Droga do Mandalay” w wykonaniu Marcusa spotkała się z dużym aplauzem. Marcus śpiewał pewnie, ale nie wysilając się zbyt. Miał przyjemny, silny głos, tak że docierał on do najdalszych zakątków hali. Szczerze rozbawił publiczność odgrywając pełną temperamentu gwiazdę opery. Stanowiło to główną atrakcję wieczoru.

Inni też śpiewali pieśni. Kilka z nich pochodziło z początku wieku. Bardzo dobrze zostali przyjęci „Żołnierze królowej”, choć słowa nie bardzo pasowały do aktualnej sytuacji. Potem wykonano inny ulubiony utwór „Żegnaj, Dolly Gray”. Ktoś wyrecytował „Gunga Din”. Wszystkie występy nagradzano głośnymi oklaskami, a publiczność zgodnym chórem orzekła, że był to niezapomniany dzień.

Mnie również wrył się on w pamięć. Kiedy później wspominałam ów wieczór, myślałam przede wszystkim o spotkaniu z Marcusem w ogrodzie, gdy odrzucił moje nie wypowiedziane na głos zaproszenie do poważniejszej rozmowy. Nie mogłam nic na to poradzić, że odczuwałam z tego powodu coś w rodzaju upokorzenia.

Jakże byłam niemądra wyobrażając sobie coś, co w ogóle nie istniało!

Trzy tygodnie później Marcus opuścił nas. Ojciec spędził w Marchlands weekend przed jego wyjazdem. Wieczorem wszyscy wspólnie zasiedliśmy do kolacji.

Marcus serdecznie podziękował za gościnę. Stwierdził, że matka powinna dostać medal za swoją działalność.

Przy stole panowała miła atmosfera. Annabelinda wyglądała wyjątkowo pięknie. Siedziała obok Marcusa, a ja wyczułam natychmiast, że zawiązało się między nimi jakieś sekretne porozumienie.

Jakże mogłam być aż tak próżna i choć przez chwilę przypuszczając, że się we mnie zakochał! To był dojrzały mężczyzna, a ja go po prostu bawiłam, ponieważ byłam młoda i dziecinna. Czyż nie podkreślał zawsze mojej niewinności? Twierdził, że chce, bym zachowała ją, gdy dorosnę. Dlaczego? Jakie to miało dla niego znaczenie? Była to tylko nic nie znacząca rozmowa, a ja w swojej naiwności potraktowałam ją serio.

Podczas kolacji Marcus wyjaśnił ojcu, że będzie pracować w Ministerstwie Wojny.

- Będzie pan musiał stale przebywać w Londynie - powiedział ojciec. - Gdzie ma pan zamiar zamieszkać?

- Postaram się znaleźć nieduże mieszkanie... takie pied-a-terre. Będę jeździć do rodziny na weekendy. Jeżeli otrzymam zaproszenie, chętnie przyjadę do Marchlands, żeby przekonać się, jak też sobie państwo radzicie beze mnie.

- Będzie pan zawsze mile widziany - zapewniła matka. — Ale muszę pana ostrzec. Goście często są tu wykorzystywani do pomocy.

- Nie mam nic przeciwko temu. Ale ja też muszę panią ostrzec. Potrafię być strasznym niezdara.

- Przeszkolimy pana — odparła matka śmiejąc się.

- W takim razie istnieje szansa, że nie narobię poważniejszych szkód.

- Cieszę się, że pan wyzdrowiał.

- Tak... ale niestety nie na tyle, by znów walczyć.

- Nie mogę powiedzieć, aby mnie to martwiło,

- Praca w Ministerstwie Wojny może okazać się całkiem interesująca - pocieszył go ojciec.

- Ach, biurokracja...

- Takie doświadczenie też się przydaje.

- A co słyhać w Izbie?

- Coś musi się stać. Trzeba szybko wygrać tę wojnę. Za długo to wszystko trwa.

- Czyli Asquith odejdzie...

- Lloyd George tylko na to czeka. Wkrótce nastąpią zmiany. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem Lloyd George złoży wizytę w pałacu.

- Aż tak szybko! Biedny Asquith!

- Znów nadchodzą święta - westchnęła matka. - A my ciągle mamy wojnę.

- Musi się szybko skończyć - stwierdził stanowczo ojciec. ~ jeżeli Amerykanie się włączą, to koniec naprawdę będzie bliski.

- A zrobią to?

- Bardzo możliwe.

- Pragnę, by już było po w zamyśleniu matka.

- Będzie... kiedy przyjdzie czas.

wszystkim - szepnęła

W tydzień po wyjeździe Marcusa Annabelinda oznajmiła, że jest potrzebna matce w domu i że musi wracać.

- Doskonale poradzisz sobie beze mnie - dodała. Nie mogłam powstrzymać się, żeby nie stwierdzić

z przekąsem:

- Ponieważ zajmowałaś się głównie majorem Merriva-le'em, a on wyjechał, rzeczywiście poradzimy sobie bez ciebie.

Uśmiechnęła się trochę sztucznie.

- Biedna Lucinda - westchnęła.

Byłam zadowolona z jej wyjazdu. Swoją obecnością stale wywoływała gorzkie wspomnienie upokorzenia, jakiego doznałam w związku z osobą Marcusa.

Pod koniec października panna Carruthers poślubiła doktora Egertona. Ślub był skromny, potem w Marchlands odbyło się nieduże przyjęcie.

Z prawdziwą przyjemnością patrzyłam na pannę Carruthers. Promieniała wprost szczęściem. Jej kuzynka przyjechała na ślub i od razu zrozumiałam, dlaczego panna Carruthers nie śpieszyła się do zamieszkania z nią pod jednym dachem. Była to surowa dama, ale na szczęście uprzejma; wydawała się wyraźnie zadowolona z zawartego związku. Tak więc wszyscy czuli się usatysfakcjonowani.

Nowa pani Egerton codziennie po południu ciężko pracowała w szpitalu, jak wtedy, kiedy jeszcze zajmowała się moją edukacją.

- Dobrze, że wszystko się tak pomyślnie ułożyło — powiedziała moja matka. - Ciekawa jestem, jak potoczą się losy Andree.

- Na pewno szkoda by było, żeby od nas odeszła -odparłam. — Doskonale opiekuje się Edwardem. Czy myślałaś już, mamó, o kandydacie na męża dla niej?

— Często zastanawiam się nad życiem ludzi, którzy pracują ciężko tak jak ona lub panna Carruthers. Pomyśl tylko, jaką troską Andree otacza Edwarda... Większość piastunek tak postępuje, a potem muszą pogodzić się z faktem, że dzieci nie należą do nich. Zastanawiam się, co Andree zechce zrobić, kiedy skończy się wojna. Może wróci do Belgii?

— Chciała wyjechać stamtąd na stałe — przypomniałam.

— Ma brata. Nie otrzymuje od niego żadnych wiadomości. Musi być jej bardzo ciężko.

— Wie, że on służy we francuskiej armii.

— Mogło się wiele zdarzyć. Andree to dziwna dziewczyna.

— Dlaczego tak uważasz, mamó?

— Jest zawsze... zadowolona ze wszystkiego.

— Czy dlatego ma być dziwna? Cieszyła się, że ucieknie przed Niemcami. Nie chciała jechać do ciotki. Pokochała Edwarda... nasze słodkie maleństwo. Nic dziwnego, że jest zadowolona.

— Ale w ogóle nie okazuje niepokoju o brata.

— Zdaje się, że nie była specjalnie związana ze swoją rodziną.

— Ciekawe, co się z nią stanie.

— A co się stanie z nami wszystkimi? - westchnęłam. Matka spojrziała na mnie dziwnie. Myślę, że odgadła,

co czułam do Marcusa. Zdałam sobie sprawę, że byłam naiwna sądząc, iż nic po mnie nie widać. Najprawdopodobniej sama się zdradziłam.

Dni mijały - jeden podobny do drugiego. Teraz, kiedy skończyły się lekcje z panną Carruthers, więcej czasu spędzałam w szpitalu i dużo spacerowałam po lesie. Byłam w fatalnym nastroju.

Tymczasem nadszedł grudzień. Jak przewidywał ojciec, Lloyd George stanął na czele rządu. Marcus, mimo obietnic, nie przyjechał do Marchlands.

Tłumaczyłam sobie, że powinnam była się zorientować, iż wcale poważnie nie traktował swoich słów. Czyż sam nie

przyznał się do tego przy jakiejś okazji? Powiedział, że mówi pewne rzeczy, ponieważ ludzie chcą je słyszeć.

Świętowaliśmy Boże Narodzenie, a potem Nowy Rok w szpitalu. Nadszedł rok 1917, a wojna wciąż trwała i nie zanosiło się na jej koniec, podobnie jak dwa lata temu.

Dni wolno mijały. Jakże tęskniłam za Marcusem! Myślę, że nie tylko ja. Wprowadzał swoją osobą tyle radości. Miał sporo racji mówiąc ludziom to, co chcieli usłyszeć. Sprawiał, że śmieli się i byli szczęśliwi - póki mu wierzyli. Z większości spraw żartował, co dawało chwile odprężenia od koszmaru wojny.

Myślałam o nim nieustannie podczas długich i nużących zimowych dni.

Docierały do nas coraz to nowe wiadomości - na ogół ponure i nie napawające wiarą w zwycięstwo. Ciężka nadziei pojawił się w kwietniu, gdy Ameryka wypowiedziała wojnę Niemcom. Wkrótce Amerykanie mieli przybyć do Europy i walczyć u naszego boku.

Wszędzie można było usłyszeć głosy: „To musi być początek końca”.

Pod koniec kwietnia nadeszła wiadomość, która naprawdę mnie ucieszyła. Matka przyszła do mnie niezwykle poruszona.

- Wiesz, dostałam list od Geralda. Robert przyjeżdża! Moją pierwszą myślą było: „Na pewno jest ranny!”

- Czy jest ranny? - spytałam.

- Tak, w nogę. Gerald pisze, że Robert był w szpitalu w Londynie przez prawie dwa tygodnie. Jego stan na tyle się poprawił, że może przyjechać na rekonwalescencję. Gerald uważa, że dobrze zrobi mu krótki odpoczynek u nas.

- Ach... Cudownie! Matka uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że się ucieszysz. To twój wielki przyjaciel. Podobno nie może się doczekać przyjazdu tutaj. Będzie jutro.

• Spojrzała na mnie z pełnym wyrozumiałości uśmiechem, który tak dobrze znałam. Oczywiście domyślała się moich uczuć do Marcusa, sama zresztą nie potrafiłam ich ukryć i na pewno się zdradziłam. Byłam zbyt otwarta i szczerą, by udawać. Cieszyła się, że mój dobry przyjaciel Robert przyjedzie i trochę mnie rozweseli.

Następnego ranka wstałam wcześniej. Poprzedniego dnia zastanawialiśmy się, gdzie położymy Roberta.

- W czteroosobowej sali — zdecydowała matka. — Kochany Robert! Musimy zapewnić mu jak najlepsze warunki.

- Tak jakbyśmy nie robili tego dla każdego!

- Robert to ktoś wyjątkowy.

Przybył wczesnym popołudniem. Kiedy zobaczyłam go poruszającego się o kulach, poczułam, jak ogarnia mnie niezmierna tkliwość. Uśmiechał się tak samo jak zawsze, ale był szczuplejszy, co jeszcze bardziej podkreślało jego - jak mówiła Annabelinda - „nieforemność”. Był blady, wymi-zerowany i wydawał się bezbronny.

Podbiegłam do niego i rzuciłam mu się na szyję.

- Jak dobrze cię widzieć, Robercie - powitałam go serdecznie.

- A jak ja się cieszę, że widzę ciebie.

- Wszyscy radzi jesteśmy, że przyjechałeś.
 - Twój stryj powiedział, że czekacie na mnie z otwartymi ramionami.
 - Święta prawda.
- Z domu wyszła matka. Podeszła do Roberta i ucałowała
- Wielką radość sprawiłeś nam swoim przyjazdem, Robercie.
 - Dla mnie to też niezwykle dzień. Obie panie wyglądacie cudownie.
 - To dlatego, że mamy cię wśród nas. Przejdziesz specjalną kurację, prawda, Lucindo?
 - Ależ oczywiście — roześmiałam się.
- W jednej chwili cała moja melancholia zniknęła gdzieś bez śladu.

Na szczęście rana Roberta nie była zbyt poważna. Mógł wychodzić do ogrodu i nie był zależny od pielęgniarce. Przekonaliśmy się wielokrotnie, że pacjenci, którzy sami mogą się sobą zajmować, znacznie szybciej wracają do zdrowia.

Robert czuł się związany z Marchlands, więc był to dla niego — jak sam określił — powrót do domu.

Byłam dużo szczęśliwsza dzięki jego obecności. Czarne myśli ulotniły się. Towarzystwo kogoś tak prostolinijnego jak on - człowieka, którego mogłam zrozumieć i co do którego mogłam mieć pewność, że rzeczywiście myśli to, co mówi — odprężyło i dawało poczucie bezpieczeństwa.

Widziałam, że matka też się cieszy. Nie umiała ukryć przede mną swoich uczuć, podobnie jak ja nie mogłam ukryć moich przed nią. Przyjazd Roberta odmienił nas obie.

Po południu Robert często siadał na ławce w ogrodzie. Dni były cudowne - długie i ciepłe. Rzadko zdarzały się chłodniejsze podmuchy wiatru przypominające, że wiosna jeszcze na dobre się nie zaczęła.

Pewnego dnia usiedliśmy na ławce razem, ale nie pod klonem. Nie chciałam być tam z Robertem, ponieważ nadal pamiętałam - aż nazbyt dobrze - rozmowy z Marcusem. Powiedziałam więc, że wolę usiąść pod dębem po drugiej stronie trawnika. To Robertowi wystarczyło. Odtąd zawsze kierował się w stronę dębu.

Dużo rozmawialiśmy, wspominając dawne czasy i wydarzenia z pozoru zapomniane. Śmieliśmy się, szczęśliwi, że Robert jest w domu i że możemy być razem tak jak kiedyś.

Niecierpliwie oczekiwałam każdego dnia. Okazało się, że przestałam myśleć bez przerwy o Marcusie. Tylko chwilami wracały wspomnienia, a wraz z nimi lekkie ukłucia rozczarowania, upokorzenia i... tęsknoty.

Martwiłam się na zapas, że Robert - po powrocie do zdrowia — znów zostanie wysłany na front. Z drugiej strony nauczyłam się cieszyć każdym dniem, jaki był nam dany - co było mądre, ale niełatwe. Myślenie o przyszłości w sytuacji, kiedy nie wiedzieliśmy, co stanie się za chwilę, nie miało sensu. Podczas wojny ludzie ulegają fatalizmowi. Z zachowania Roberta odgadłam, że przyswoił sobie umiejętność życia dniem dzisiejszym. Rozmawiając z nim

o żołnierskim życiu na polach bitewnych Francji i Belgii, sama przejęłam od niego tę postawę.

I tak... byłam szczęśliwa, póki Robert był z nami.

Ostatnio zmienił się trochę. Trudne doświadczenia zmieniają ludzi. Spoważniał, ale jednocześnie uderzała w nim pewna beztroska — dziwne słowo w odniesieniu do Roberta. Ale chcę przez to powiedzieć, że wyczuwałam w nim determinację, by smakować każdą chwilę.

O swoich przeżyciach opowiadał niezwykle obrazowo. Niemal słyszałam karabin maszynowy, widziałam rozrywające się dookoła pociski, czułam duszną, przyprawiającą o klau-strofobię atmosferę okopu, strach przed ruszeniem do ataku, niechęć do monotonnego jedzenia z puszek.

— Miałem w sumie szczęście — powiedział Robert. — Większość zadań wykonywałem w warunkach polowych. Chodziło o nadawanie Morse'em. Sam nie bardzo to rozumiem, ale jakimś cudem umiałem odbierać i nadawać meldunki znacznie szybciej niż inni. Tkwiał w tym pewien sekret... mój własny system łączenia kropek

I kresek... Nie będę ci tego teraz tłumaczył, bo to doprawdy zagmatwane. Ale uznano mnie za geniusza alfabetu Morse'a. Więc wyruszaliśmy razem z technikiem instalującym telefony. Przez lornetkę przyglądałem się uważnie okolicy, sprawdzałem, gdzie grupuje się nieprzyjaciel albo gdzie są stanowiska ich broni, i wysyła-

łem meldunek do naszych. To było całkiem proste i łatwe. Właściwie to na Jima, naszego technika, spadała cała czarna robota.

- Zawsze pomniejszasz swoje zasługi, Robercie. Pod tym względem jesteś zupełnie niepodobny do większości ludzi.

- To naprawdę nie było nic takiego, Lucindo. Całkiem łatwe. Miałem szczęście, ponieważ dzięki przypadkowi wymyśliłem ten system.

- Jesteś naprawdę zdolny, podziwiam cię.

- To nie moja zasługa. Samo mi to przyszło. No i właśnie, kiedy nadawałem, trafili mnie.

- Szczęście, że tam nie zostałeś... na zawsze.

- Nie byłoby aż tak źle. Zaczekałem na naszych. Zanieśli mnie do bazy, a potem odesłali do domu. Twój stryj Gerald przyszedł do mnie do szpitala. Powiedział: „A może pojechałbyś do Marchlands?”. Wiesz, Lucindo, w moich uszach zabrzmiało to tak, jakbym miał pójść do raju.

- Nie mów tak!

- Do raju na ziemi - poprawił się.

- Robercie, w jakim stanie jest teraz twoja noga?

- Coraz lepszym. Choć nie mogę jeszcze dobrze chodzić.

- W takim razie... nie wrócisz tam.

- Na pewno nie tak prędko.

- Nie pojedziesz więcej na front - oświadczyłam z mocą. - Zbyt wiele opowiedziałeś mi o wojnie, abym mogła to znieść. Twoje słowa sprawiły, że ujrzałam ją w prawdziwym świetle. Będę modlić się, żebyś wyzdrowiał... ale nieprędko i nie wcześniej, niż skończy się ta okropna wojna.

- Kochana Lucindo - powiedział serdecznie. - To takie miłe, co mówisz.

W całym szpitalu nastąpiło wielkie poruszenie, kiedy pewnego dnia nadeszła wiadomość, że Robert został odznaczony Krzyżem Wojskowym. Najbardziej zdumiony był sam Robert. Pokazał list mojej matce, a ona natychmiast wezwała mnie.

- Posłuchaj tylko - zawołała. - Robert jest bohaterem. Dostał Krzyż Wojskowy.

- Naprawdę?!

— Był na tak zwanej ziemi niczyjej i wysyłał meldunki o pozycjach wroga. Został ranny i w związku z tym miał pełne prawo wrócić do bazy, ale nie zrobił tego. Wytrwał na posterunku i dalej wysyłał meldunki. Dzięki niemu ocalały działa, które w przeciwnym razie zostałyby zniszczone przez wroga. To tyle w skrócie. Robert zostanie odznaczony za odwagę.

Objęłam go, ucałowałam i rozplakałam się.

— Nic innego nie mogłem zrobić - tłumaczył się Robert. - Wykonywałem swoje zadanie... to wszystko.

— Przestań, Robercie — przerwałam mu. — Byłeś dzielny

I już. Jesteś bohaterem. Pojedziesz do pałacu Buckingham i król udekoruje cię medalem.

W całym szpitalu świętowano tę nowinę, co bardzo żenowało Roberta.

— Tyle zamieszania - mruczał. - To może być pomyłka. Przecież ja tylko wysyłałem meldunki...

— I ocaliłeś działa! — wykrzyknęłam. — Och, bądźże cicho, Robercie. Jesteś bohaterem. Już my zadbamy o to, żeby wszyscy się dowiedzieli.

Myślę, że większą przyjemność sprawiła mu nasza radość niż samo odznaczenie.

Do Marchlands przyjechała ciocia Belinda z Annabelin-dą. Obie były niezwykle poruszone.

— Ależ to cudowne! Wyobrażasz sobie, Robert... — zawołała Annabelinda.

Ciocia Belinda powiedziała:

— Pojedziemy do pałacu Buckingham. Nawet mój Robert ruszy się z tej okazji. Jesteśmy tacy dumni.

— Ja też się cieszę - uśmiechnęłam się.

— Dobrze wyglądasz, Lucindo — zauważyła Annabelinda.

— Dziękuję.

— Mam ci dużo do powiedzenia.

— Co robiłaś przez ten cały czas?

— Opowiem ci później... na osobności.

Ciocia Belinda nadal rozplywała się w zachwytach nad Robertem. Wypytywała go, jak się czuje. Powtarzała, że bardzo ucieszyła ją wiadomość o przyjeździe Roberta do Marchlands.

- Powiedziałam memu Robertowi: „Kochana Lucie zapewni mu najlepszą opiekę. I Lucinda tam będzie”. Zawsze przyjaźniliście się ze sobą. A teraz wszyscy pojedziemy do pałacu!

- Nie będzie to żadna specjalna atrakcja - mruknął Robert.

- Nie ma co udawać, że to nic takiego, Robbie, kochanie. Och, jestem z ciebie taka dumna. Mój mały Robbie... bohater!

- Mamo, proszę cię...

- Jest taki sam jak jego ojciec - poskarżyła się ciocia Belinda. — Obaj nie umieją brać z życia tego, co najlepsze. Jesteś bohaterem, kochanie. Uratowałeś دنیا. Nie zapominaj o tym. Wszyscy muszą się dowiedzieć.

Robert sprawiał wrażenie zrezygnowanego. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia.

Bardzo chciałam pójść z nim do pałacu Buckingham, ale oczywiście zbyt wiele osób nie mogło mu towarzyszyć, a wuj Robert, ciocia Belinda i Annabelinda byli jego najbliższą rodziną.

Odbyłam rozmowę z Annabelindą pierwszego dnia po jej przyjeździe. Był wieczór. Annabelinda zawsze lubiła wieczorne rozmowy.

Przyszła do mego pokoju i usiadła na łóżku.

- Mam dla ciebie nowinę - zaczęła - która jeszcze nie została ogłoszona. Oficjalne zawiadomienie ukaże się w przyszłym tygodniu. Chciałam, żebyś dowiedziała się pierwsza.

- O czym?

- Wychodzę za mąż. Jestem zaręczona... na razie nieoficjalnie.

- Zaręczona? — spytałam.

Spuściła wzrok, jakby obawiała się spojrzeć na mnie.

— Z Marcusem.

— Och... Moje gratulacje.

— Dziękuję. Na razie jeszcze nikt nie wie, ale przed tobą nie chciałam tego ukrywać. Poza tym wolałam sama ci powiedzieć. Jego krewni... nie masz pojęcia, jacy oni są okropni. Ich dom to prawdziwy zamek. To znaczy główna rezydencja, w której mieszkają rodzice. Kiedy

się pobierzemy, zamieszkamy w domu na terenie posiadłości. Jest całkiem ładny... ale musisz koniecznie zobaczyć rezydencję rodzinną.

— Jesteś zadowolona? Skrzywiła się.

— Rodzina jest nieco pompatyczna. Pojechałam tam z rodzicami. Przyglądano mi się bacznie. To jak podróż w czasie w przeszłość. Rygorystycznie przestrzega się tam etykiety. Nie wyobrażam sobie, jak będę w tym wszystkim żyć.

— Tak, raczej trudno to sobie wyobrazić.

— Za to Marcus jest cudowny. Wiedziałam to od samego początku. - Spojrzała na mnie niepewnie. - Będziemy zapraszać mnóstwo gości. Namówię go, żeby kupił dom w Londynie. Jeżeli zostanie w Ministerstwie Wojny, i tak będzie musiał to zrobić. Z powodu odniesionej rany nie jest zdolny do służby wojskowej. Pomału sprawy się ułożą. Tylko ta jego rodzina mnie przeraża. Wszystko musi być tak, jak przed wiekami... strasznie oficjalnie. Nawet sobie tego nie wyobrażasz. Ale Marcus jest zupełnie inny. Nigdy byś się nie domyśliła, w jakim rygorze był wychowywany.

— Kiedy zamierzacie się pobrać?

— Najpierw trzeba ogłosić zaręczyny. Przeszłam dopiero pierwszą próbę. Pewnie będą dalsze. Jego rodzice chcieli wiedzieć wszystko o mojej rodzinie. Marcus twierdzi, że na pewno podbiłam serce jego ojca, a ten już sobie poradzi z matką. Na szczęście mój ojciec wywiera na ludziach bardzo dobre wrażenie. W rodzinie Marcusa zyskał pełną aprobatę... zarówno pod względem pochodzenia, jak i finansów.

- A twoja matka?

- O, sama wiesz, jaka potrafi być czarująca.

- A ty?

Była wyraźnie z siebie zadowolona. Dodałam więc:

- Czy powiedziałaś Marcusowi?

- O czym?

- O przeszłości.

- Co masz na myśli? — spytała ostro.

- Doskonale wiesz, Annabelindo. Mam na myśli Edwarda.

Zrobiła się purpurowa.

- Jak możesz być niemiła, kiedy jestem taka szczęśliwa?

- Więc nie powiedziałaś?

- Nie mogłabym mu czegoś takiego powiedzieć!

- Nie sądzisz, że powinien wiedzieć?
- Było, minęło. Zwykle potknięcie.
- Jest Edward.
- To tylko mały chłopiec przywieziony z Belgii. Takie rzeczy zdarzają się podczas wojny. Jego rodzice nie żyją, a ty go wzięłaś na wychowanie. Twoja rodzina adoptowała go, ponieważ obiecałaś jego umierającej matce, że się nim zaopiekujesz. Koniec kropka.

- Myślałam, że może uznasz za słuszne powiadomić o tym twego przyszłego męża.

- Jak mogłabym to zrobić? Lucindo, nigdy więcej nie poruszaj tego tematu. Dla mnie to zbyt bolesne. Pewnie jesteś zazdrosna.

- Wcale nie jestem zazdrosna. Po prostu ja nie chciałabym mieć takiego sekretu na sumieniu. Natomiast ty nie masz go na sumieniu z bardzo prostej przyczyny. Ponieważ w ogóle nie masz sumienia.

Mówiłam to wszystko gniewnie. Nie byłam pewna, czy jestem na nią zła dlatego, że wychodzi za męża za Marcusa, czy dlatego, że mówi o Edwardzie tak, jakby w ogóle się nie liczył.

Wstała i ruszyła w stronę drzwi.

- Nie będę z tobą więcej rozmawiać. Pomyślałam, że zrobię ci przyjemność tym, że się pierwsza dowiesz. -Odwróciła się, spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała błagalnym tonem: — Lucindo, nie powiesz nikomu, prawda...?

- Oczywiście, że nie. Czy kiedykolwiek pisałam choć słówko? A przecież wiem od dawna.

- To zrujnowałyby mi życie.

- Jestem pewna, że Marcus by zrozumiał.

- Chodzi o jego rodzinę. Sama byłam zaskoczona. Nie myślałam nigdy, że będzie się bał czegokolwiek, a tymczasem on żyje w strachu przed własnymi rodzicami. Oni by mu tego nigdy nie wybaczyli, Lucindo. Przypuszczam, że wydziedziczyliby go, ot tak - strzeliła palcami. - Nawet na pewno, gdyby tylko zrobił coś wbrew rodzinnym tradycjom.

- Na przykład ożenił się z dziewczyną, która miała nieślubne dziecko?

- Nie mów tak, to brzmi okropnie!

- A biedny mały Edward?

- Dziadzio Bourdon nie widzi w tym nic aż tak niezwykłego. Mówił, że to się zdarza w wielu rodzinach i trzeba jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie. Im mniej zamieszania, tym lepiej. Lucindo, obiecaj mi, że nigdy więcej o tym nie wspomnisz... nikomu.

- Obiecuję. Milczałam do tej pory i chyba wyszło to wszystkim na dobre. Edward jest szczęśliwy. Znalazł dom. Będzie mu dobrze.

- W takim razie wszystko skończyło się pomyślnie, prawda? Jest mu dobrze. To się liczy.

- Tak - powiedziałam. - Chyba tak.

Znów wyglądała na szczęśliwą, a mnie zrobiło się przykro z powodu moich słów. Tak to zawsze miały się rzeczy z Annabelindą. W jednej chwili zarzucałam jej różne przewinienia, a już w następnej starałam się ją udobruchać.

Podeszła do mnie i pocałowała mnie.

- Wiem, że zawsze mogę na tobie polegać, Lucindo.

- Chyba możesz — westchnęłam.

Kiedy wyszła, nie mogłam przestać myśleć o Marcusie. Wcale nie byłam zaskoczona takim obrotem spraw.

Zastanawiałam się, czy on w ogóle, choć przez moment, myślał o mnie poważnie. Z Marcusem nigdy nic nie było wiadomo na pewno. A jeżeli chodzi o Annabelinę, to zawsze szła przez życie, niczym się nie przejmując. Nie miała żadnego poczucia winy w związku ze swoją tajemnicą, ponieważ posiadała wyjątkową umiejętność odgradzania się od wszystkiego, co było dla niej niewygodne. Umiała przekonać samą siebie, że niemiłe rzeczy nigdy się nie wydarzyły, i wierzyła w to święcie, dopóki ktoś — tak jak ja - nie postawił sprawy w taki sposób, iż nie mogła zaprzeczyć jej istnieniu.

Dwa tygodnie później w gazetach ukazało się oficjalne zawiadomienie o zaręczynach majora Merrivale'a z Annabelindą Denver.

W wyznaczonym terminie Robert udał się do pałacu Buckingham, gdzie otrzymał medal. Towarzyszyli mu ciocia Belinda, wuj Robert i Annabelindą.

Po tej uroczystości Robert wrócił do Marchlands. W ślad za nim zjawił się przedstawiciel prasy i niedługo ukazała się notatka o męstwie Roberta, opatrzona jego zdjęciem.

Uważałam, że Robert doskonale wygląda w mundurze ze srebrno-liliową wstążką, przypiętą do kurtki. Nie ulegało wątpliwości, że rodzina jest z niego bardzo dumna. W oczach wuja Roberta pojawiły się nawet łzy, a ciocia Belinda promieniała szczęściem.

Życie dawało jej powody do zadowolenia. Syn został odznaczony za męstwo, a córka — mimo że nie została jeszcze, ze względu na wojnę, wprowadzona w wielki świat — zaręczyła się z bardzo odpowiednim młodym człowiekiem.

Wojna nie była taka zła dla cioci Belindy i jej rodziny.

Odkrycie

Pojechałam na kilka dni do Londynu. Od czasu do czasu konieczne były takie wyjazdy w sprawach związanych z naszymi rekonwalescentami. Odkąd panna Carruthers wyszła za mąż, znacznie więcej pracy spadło na mnie. Tym razem trzeba było zająć się sprawami pacjentów, którzy niebawem mieli przybyć do Marchlands z jednego z dużych szpitali. Poza tym zaplanowałam sobie też kilka sprawunków.

Przyjemnie było znowu być z ojcem. Zamierzał wrócić ze mną do Marchlands na weekend. Był teraz bardzo zapracowany, wiedziałam, że ma mnóstwo spraw na głowie, i pomyślałam, że z pewnością będzie wołał zjeść kolację tylko w moim towarzystwie. Przy okazji przekonałam się, że dużo optymistyczniej zapatruje się na wiele kwestii. Dowiedziałam się także, że pierwszy transport żołnierzy amerykańskich spodziewany jest w czerwcu.

- Powinno to demobilizująco podziałać na wroga -dodał. - Z pomocą Amerykanów poradzimy sobie z Niemcami.

- Czy uważasz, ojcze, że to koniec wojny?

- No, nie tak od razu. Ale istnieje szansa, że niedługo coś się wyjaśni. Niepokoi mnie natomiast jedna rzecz...

Przez chwilę siedział w milczeniu, przygryzając wargi. Potem spojrział na mnie uważnie i powiedział:

- Coś jest nie tak. Tajemnice, i to najbardziej poufne, przedostają się na zewnątrz.

- W jaki sposób?

Wzruszył ramionami.

- Szpiedzy są wszędzie. Nawet w czasach pokoju. Podczas wojny ich działalność, choć znacznie utrudniona, jeszcze bardziej się nasila. A ostatnio... Pamiętasz sprawę Milton Priory?

- Czy dowiedziałeś się, ojczu, jak to się stało? Potrząsnął przecząco głową.

- Niestety, nie. W dodatku byłem poważnie zaangażowany w całe to przedsięwzięcie i nadal czuję się odpowiedzialny. Ktoś szperał w moich papierach, to nie ulega kwestii. Przykra sprawa. Cóż, pozostaje nam zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Niektórzy z tych ludzi są diabelnie przebiegli.

- Może wkrótce będzie po wszystkim. Tak byłoby najlepiej.

Ojciec przytaknął w zamyśleniu.

Następnego dnia zdziwiłam się niezmiernie, kiedy w drzwiach salonu ujrzałam nagle Toma Greena, stajennego z Marchlands. Przez chwilę pomyślałam, że musiało stać się coś niedobrego.

Zapewne wyczytał w mojej twarzy lęk, bo spieszenie wyjaśnił:

- W Marchlands wszystko dobrze, panno Lucindo. Natomiast przyszła jakaś kobieta, była bardzo zdenerwowana... Chciała oddać panience list do rąk własnych. A ponieważ miałem i tak jechać do Londynu, bo pani Greenham kazała mi załatwić coś w szpitalu, pomyślałem, że upieczę się dwie pieczenie przy jednym ogniu, jak to mówią.

- Co to za kobieta?

- Strasznie zdenerwowana... roztrzęsiona po prostu. Pytała o panienkę. Nie chciała rozmawiać z nikim innym. Była zrozpaczona, kiedy powiedziałem, że panienka wyjechała.

- Czy podała nazwisko?

- Nie, panienko. Mówiła tylko, że musi widzieć się z panną Lucindą Greenham. Jak wyjaśniłem, że nie wiem, kiedy panienka wróci, powiedziała, że napisze list do panienki. Dałem jej papier i pióro. Wręczyła mi też inny list, który przyniosła ze sobą. Poprosiła, żebym oddał go panience, jak tylko panienka wróci. Obiecałem, że to zrobię. Naprawdę, przykro było na nią patrzeć. Więc skorzystałem z okazji i...

- Daj mi te listy.

Pomacał kieszenie i po chwili wyjął dwie koperty. Na jednej napisane było moje nazwisko, a pod spodem: DO RĄK WŁASNYCH. PILNE.

Nie chciałam otwierać listu przy Tomie, więc powiedziałam:

- Dziękuję. Zobaczę, o co chodzi.

Poszłam do swojego pokoju.

Druga koperta, dosyć gruba, zaadresowana była do majora Merrivale'a. Rozciąłam kopertę z listem do mnie. Na górze znajdował się adres nadawcy: 23 Adelaide Villas, Maida Vale, Londyn.

Szanowna Panno Greenham!

Nie wiem, czy słusznie postępuję, ale w tej sytuacji naprawdę nie mam innego wyjścia.

Czy byłaby Pani tak uprzejma i zechciała oddać ten list majorowi Merrivale'owi? Nie jestem pewna, czy dobrze robię pisząc do niego, ale ponieważ przebywa u Pani w szpitalu i ponieważ powinien wiedzieć, co się stało, postanowiłam prosić Panią o pomoc. Wygląda Pani na miłą, młodą damę i mam przeczucie, że mogę Pani powierzyć ten list. Tymczasem dowiedziałam się, że wyjechała Pani, a ja boję się zaufać komu innemu.

Widziałam w gazecie Pani zdjęcie z młodym dżentelmenem, który dostał medal. Była tam też wzmianka o szpitalu. Pomyślałam sobie, że Pani na pewno zrozumie i pomoże mi.

Czy zechce Pani oddać ten list majorowi Merrivale'owi jak najszybciej? Mam nadzieję, że nie będzie za późno? Jest to bardzo ważne dla pewnej osoby.

*Szczerze oddana
Emma Johns*

Przez chwilę siedziałam nieruchomo. Przeczytałam list kilkakrotnie, zastanawiając się, co też się za tym kryje. Czy stajenny nie powiedział jej, że majora Merrivale'a nie ma już w szpitalu? Oczywiście, że nie. Przecież ona nie wymieniła jego nazwiska. Pytała o mnie. Nie chciała, by ktoś inny przekazał mu wiadomość. To musiało być coś bardzo ważnego, skoro zdecydowała się zaufać mnie... ponieważ mam miłą twarz!

Wszystko wyglądało niezwykle tajemniczo.

Oczywiście powinnam niezwłocznie dostarczyć ten list Marcusowi. Nie miałam jednak pojęcia, jak go znaleźć. Słyszałam, że ma niewielkie pied-a-terre w Londynie, ale nie wiedziałam, gdzie. Nie znałam też jego adresu na wsi.

Właściwie mogła mi pomóc Annabelinda. Ale czy rozsądne byłoby powierzanie jej tego listu? Czułam, że pannie Johns zależy na tym, bym osobiście dostarczyła go majorowi.

Nie byłam pewna, co mam robić w tej sytuacji.

Przeczytałam ponownie adres nadawcy: 23 Adelaide Villas, Maida Vale. Skoro byłam w Londynie, mogłam pójść tam i wyjaśnić pannie Emmie Johns, że majora nie ma już w szpitalu i że nie wiem, jak się z nim skontaktować, chyba że pozwoli mi przekazać ten list jego narzeczonej.

Im dłużej nad tym myślałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że pomysł jest dobry, a poza tym sama byłam ciekawa, o co w tym wszystkim chodzi.

Jeszcze tego samego ranka pojechałam dorożką do Maida Vale.

Adelaide Villas było przyjemnym osiedlem niedużych, podobnych do siebie domków. Zapukałam do drzwi pod numerem 23. Otworzyła mi kobieta około trzydziestki. Od razu domyśliłam się, że to Emma Johns.

- Czy mam przyjemność z panną Emmą Johns? - spytałam.

Skinęła głową patrząc na mnie uważnie. Dostrzegłam w jej oczach błysk świadczący o tym, że mnie poznała.

Zdjęcie moje i Roberta, zrobione dla prasy, musiało jej w tym pomóc.

— Jestem Lucinda Greenham — przedstawiłam się.

— Tak, oczywiście... proszę wejść.

Weszłam do niewielkiego hallu. Kobieta otworzyła kolejne drzwi i znalazłam się w saloniku — schludnym i wyraźnie zadbanym.

Poprosiła mnie, bym usiadła. Bez dalszych wstępów przystąpiłam do sprawy:

- Przyszłam do pani, ponieważ nie byłam pewna, co mam robić. Otóż majora Merrivale'a nie ma już w szpitalu w Marchlands.

- Ach! — wykrzyknęła, wyraźnie zawiedziona.

— Doszłam więc do wniosku, że najlepiej zrobię, jeśli przyjdę i zobaczę się z panią. Akurat jestem w Londynie. Nie bardzo wiem, jak mam dalej postąpić. Zdaje się, że to poufna sprawa.

Kobieta nerwowo splatała i rozplatała palce.

— Jestem w dość niezręcznej sytuacji — wyznała w końcu. - Nie ośmieliłabym się pisać do majora, gdyby nie to, że Janet jest poważnie chora. Widzi pani, to już nie potrwa długo.

- Janet?

— Moja siostra. Opiekuję się nią i jej dziećmi.

— I chciała pani... Zmarszczyła brwi.

- Dobrze, że pani przyszła. To bardzo uprzejmie z pani strony. Czulałam, że mogę pani zaufać. Pomyślałam, że gdybym zobaczyła się z panią i porozmawiała, pomogłoby mi to we właściwy sposób załatwić tę trudną sprawę. Pani mogłaby oddać mu ten list. Nikt więcej by się nie dowiedział... rozumie pani, co mam na myśli?

- Do pewnego stopnia - odparłam. - Ale sądzę, że gdybym wiedziała coś więcej, mogłabym bardziej pani pomóc.

- Widzi pani, od dawna mieszkam z nimi. Janet... moja siostra... jest młodsza ode mnie o osiem lat. Zawsze była bardzo ładna. Opiekowałam się nią od śmierci matki, która umarła wkrótce po urodzeniu Janet. Traktowałam ją trochę jak moje własne dziecko. Właściwie nie wiem...

— Czy jest coś, o czym wołałaby pani nie mówić?

- Nie jestem pewna. Przede wszystkim chciałabym bardzo, żeby zobaczyła go, zanim odejdzie.

- Odejdzie?

— Nie zostało jej już zbyt wiele czasu. Jest chora na płuca. Wiedziałam, że to nastąpi. Od paru lat bardzo cierpi. A są jeszcze maleństwa. Och, wiem, że im niczego nie zabraknie. Ale ona tak bardzo pragnie się z nim pożegnać.

- Zobaczę, co się da zrobić. Nie wiem, gdzie major mieszka, ale spróbuję się dowiedzieć. Sprawa ta wyglądała naprawdę bardzo tajemniczo, pomyślałam więc sobie, że najlepiej będzie zobaczyć się najpierw z panią.

- Sama nie wiem, czy dobrze postępuję. Panna, z którą on ma się ożenić... Miałam wątpliwości, czy słusznie robię. Nie chcę przysporzyć kłopotów majorowi. Gdyby Janet się dowiedziała, że stała się przyczyną jego kłopotów... tylko przyspieszyłoby to jej odejście... Widzi pani, ona go kocha. A on był naprawdę dla nas dobry.

— Zastanawiam się, w jaki sposób najlepiej mogłabym pomóc. Gdyby mi pani powiedziała...

Zawahała się, a potem nagle podjęła decyzję.

— Dobrze. Tu nie było żadnego uwodzenia ani nic z tych rzeczy. Janet pracowała jako pokojówka w wielko-pańskiej rezydencji. On był tam gościem. Zobaczył ją i tak się zaczęło. Od razu na początku postawił sprawę jasno, a Janet, która doskonale orientowała się, jak takie sprawy wyglądają, zgodziła się. To była jej własna decyzja i nigdy jej nie żałowała. Kupił dla niej to mieszkanie, a kiedy Martin przyszedł na świat, sprowadził ją do niej. To odpowiadało nam wszystkim. A potem urodziła się Eva. Była to naprawdę kochająca się rodzina.. Szczyśliwe to były czasy. Żadnych kłopotów. Pieniądze przychodziły regularnie. Och, jaki on był dla nas dobry! Przynosił prezenty, dbał o dzieci. Janet była naprawdę szczęśliwą kobietą. Wiedziała, że nie może być mowy o małżeństwie, i całkowicie się z tym pogodziła.

- Rozumiem.

- Ostatnią rzeczą, jakiej Janet by chciała, to przysporzenie kłopotów majorowi, który tyle jej dał. Ale widzi pani, nie zostało jej wiele czasu. Gdyby on o tym wiedział, zapewne chciałby ją zobaczyć, tak samo jak ona pragnie widzieć jego. Janet wie, że dzieciom niczego nie zabraknie... ale chce się upewnić.

- Oczywiście.

- Ale jeżeli ktokolwiek się dowie... gdyby to się wydało... ona nigdy by mi nie wybaczyła, że zdradziłam ich sekret. W gazecie napisali o jego zaręczynach... więc pomyślałam... że muszę coś zrobić.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł - powiedziałam. — Sama nie wiem, dlaczego nie wpadłam na to wcześniej. Mój stryj służy w tym samym pułku. Prawdopodobnie zna adres majora. Akurat teraz jest w Londynie... na krótko wprawdzie, ale jest. Mogłabym porozumieć się z nim. Jeżeli pani nadal chce, bym doręczyła ten list majorowi, chętnie to zrobię.

- Och tak... proszę! Ufam pani.

- Wobec tego niech tak będzie.

- Dziękuję bardzo. Biedna Janet. Nie skarży się, ale niczego tak bardzo nie pragnie, jak ujrzeć go jeszcze raz. Chce mu podziękować za szczęście, jakie jej dał, i powiedzieć, że niczego nie żałuje. Chce się też upewnić co do przyszłości dzieci. Teraz, kiedy major ma się wkrótce ożenić, on też wolałby rozliczyć się z przeszłością, podobnie jak Janet...

Drzwi do saloniku uchyliły się i do środka zajrzał chłopiec. Miał jakieś osiem lub dziewięć lat.

- Wszystko w porządku, Martin — powiedziała panna Johns. — Gdzie jest Eva?

Teraz w drzwiach pokazała się śliczna dziewczynka.

- Dobrze, idźcie się bawić. Dobre dzieci. Zaraz do was przyjdę.

Oboje spojrzeli na mnie z wyraźnym zaciekawieniem, podobnie jak ja na nich. Szukałam w ich twarzyczkach podobieństwa do Marcusa.

Drzwi zamknęły się za dziećmi, a ja podniosłam się z miejsca.

— Jeżeli uda mi się zdobyć adres przez mego stryja, doręcę ten list i dam pani znać. Myślę, że wtedy major zjawi się tutaj.

— Już bardzo dawno go nie widzieliśmy. Kiedy zaczęła się wojna, wyjechał na front, a potem był w szpitalu. Pieniądze przychodziły regularnie. Jakiś prawnik się tym zajmuje. Nigdy nie widziałam żadnych listów od majora. Tak było ustalone. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Pani nam naprawdę szalenie pomogła, panno Greenham.

— No cóż, jeżeli nie uda mi się porozumieć ze stryjem, mogłabym poprosić... narzeczoną. Ale chyba wolałaby pani tego uniknąć.

— Oczywiście, panno Greenham. Lepiej, żeby to nie dotarło do niej. Nigdy nie wiadomo... Sama pani rozumie.

Rozumiałam to doskonale.

— W każdym razie zawiadomię panią, jak się sprawy mają. A jeżeli zdobędę adres, osobiście doręcę list majorowi Merrivale'owi.

Wysłałam stamtąd i pomyślałam, że dziwnym zrządzeniem losu oboje przyszli państwo młodzi mają dzieci, których istnienie muszą wzajemnie przed sobą ukrywać.

Prosto od panny Johns udałam się do londyńskiego mieszkania stryja Geralda. Tak jak przypuszczałam, nie zastałam go w domu, ale ciocia Hester okazała się bardzo pomocna.

— Oczywiście, zaraz dam ci adres Marcusa. Powinien być teraz w Londynie. Wynajął dom, ale wyjeżdża do rodziny na weekendy, kiedy tylko czas mu na to pozwala. Albo do Denverów. Te przygotowania do ślubu... Myślę, że wszyscy są z tego bardzo zadowoleni. Dobrze, że Annabelinda wreszcie się ustatkuje. Już daję ci ten adres.

Ciocia Hester była kobietą praktyczną, a przy tym pozbawioną wyobraźni - tacy ludzie potrafią być czasami bardzo użyteczni. Nie zadawała zbędnych pytań, jak zrobiłoby to wiele osób na jej miejscu, i wkrótce jechałam pod wskazany adres do mieszkania Marcusa.

Nie liczyłam za bardzo na to, że go tam zastanę, i moje przewidywania sprawdziły się. Zostawiłam więc wiadomość, żeby porozumiał się ze mną jak najszybciej, informując jednocześnie, o jakich porach może mnie zastać. Dodałam, że mam do niego pewną bardzo pilną sprawę.

Zjawił się u nas tego samego popołudnia około piątej. Ojca nie było w domu, więc mogliśmy spokojnie porozmawiać, nie narażając się na kłopotliwe pytania.

Przyjęłam go w salonie. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, kiedy wszedł do pokoju. Wydawał mi się jeszcze bardziej przystojny niż poprzednio, a fakt, że lekko utykał, nie przeszkadzał wcale, wręcz przeciwnie, dodawał mu uroku. Spojrzał na mnie tak, jakbym była jedyną osobą na świecie, którą naprawdę pragnął zobaczyć.

- Lucindo! - wykrzyknął. - Jakże miło widzieć cię znowu! Trudno wprost wyrazić, jaką radość sprawiłaś mi swoim liścikiem.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Niepokoiłam się o ciebie. Spojrzał na mnie poważnie, a ja od razu opowiedziałam

mu, co się wydarzyło. Byłam zdumiona tym, jak spokojnie przyjął moją relację.

- Oto list, który miałam ci oddać.

Wziął go, spojrzał na kopertę i wsunął do kieszeni.

— Wydaje mi się, że jest pilny — dodałam. — Panna Emma Johns była poważnie zmartwiona.

— Rozumiem - odparł. — Natychmiast się tym zajmę.

— W takim razie nie będę cię zatrzymywać. Wyraźnie zbiło go to z tropu, a ja natychmiast przypomniałam sobie, że jemu przecież wcale na mnie nie zależało. To była tylko gra z jego strony. Nigdy więcej nie powinnam dać się tak zwieść.

- A jak t y się miewasz, Lucindo? — spytał.

- Dobrze, dziękuję. Widzę, że już całkiem wyzdrowiałeś.

- Tak, ale nie wysłał mnie na front. Muszę tkwić w Londynie.

- Niektórzy pewnie się z tego cieszą.

- Czy ty też do nich należysz, Lucindo?

- Naturalnie. Miło pomyśleć, że przyjaciele są względnie bezpieczni.

- Słyszałem, że Robert Denver jest u was.

- Tak. Był ranny w nogę.

- Dzięki czemu masz nadzieję, że będzie względnie bezpieczny?

- Oczywiście.

- To bohater, prawda?

- Jest bardzo dzielny i cieszę się, że jego odwaga została doceniona.

- Dobrze się dzieje, kiedy ludzie dostają to, na co zasłużyli — uśmiechnął się, krzywiąc się przy tym lekko, a ja znów nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Wydaje mi się, że powinieneś jak najszybciej zająć się listem — przypomniałam mu.

- Czy wybaczysz mi, jeśli przeczytam go od razu?

- Uważam, że nawet powinieneś.

Usiadł i rozciął kopertę. Obserwowałam go, kiedy czytał. Cały czas zachowywał obojętny wyraz twarzy. Nie można było domyślić się, co czuje. Był znakomitym aktorem.

- Jeżeli musisz iść...

- Jesteś nadzwyczaj wyrozumiała! Tak, chyba muszę iść. Szkoda, że nasze spotkanie trwało tak krótko. — Ujął moje ręce i spojrzał na mnie uważnie. - Ale będziemy widywać się znowu... często. Tyle dni upłynęło...

- Pewnie będziesz bardzo zajęty — stwierdziłam spokojnie. - Przygotowania do ślubu pochłaniają mnóstwo czasu.

- Dużo myślę o tobie, Lucindo.

- Naprawdę? Cóż, życzę ci szczęścia i mam nadzieję, że wszystko ułoży się po twojej myśli.

Wychodził niechętnie, wyraźnie się ociągając. Zastanawiałam się, na ile jest to szczerze.

Byłam naprawdę poruszona tą wizytą. Przez cały dzień nie mogłam przestać myśleć o nim i o jego sprawach.

Następnego ranka udałam się do Maida Vale. Drzwi otworzyła mi panna Emma Johns. Od razu zostałam zaproszona do środka.

- To naprawdę szlachetnie z pani strony - powiedziała. - Wiedziałam, że mogę pani zaufać.

- Na pewno major wkrótce przyjdzie.
- Już był. Wczoraj wieczorem.
- W takim razie zrobił to zaraz po otrzymaniu listu. Jego adres podała mi moja ciotka. Od razu do niego poszłam.

- Dziękuję pani. Serdecznie dziękuję. Nawet pani nie wie, jaką radość sprawiła jego wizyta biednej Janet. Umrze teraz spokojnie. Dzieci też zobaczył. Zapewnił ją, że wszystko będzie w porządku. Mogą nie martwić się o swoją przyszłość. To taki dobry... kochany człowiek. Sama nie wiem, jak mam pani dziękować, panno Greenham. Wiedziałam, że pani nam pomoże. Ufałam, że nie będę żałować, jeżeli spotkam się z panią i wszystko wyjaśnię.

- Cieszę się, że mogłam się na coś przydać.

- Janet właśnie zasnęła. Dała mu swoje błogosławieństwo i wyraziła nadzieję, że będzie szczęśliwy w małżeństwie. Powiedziała, że panna młoda jest najszczęśliwszą kobietą na świecie. Biedna Janet, tak bardzo go kochała. Był dla niej cudowny. Wczoraj słyszałam jej śmiech. Teraz umrze szczęśliwa, bo wie, że wciąż jest dla niego ważna, a zawsze rozumiała doskonale, że ich związek nie może wyglądać inaczej. Dziękuję jeszcze raz, panno Greenham, za wszystko, co pani dla nas zrobiła.

- To doprawdy niewiele.

- Nawet pani nie wie, jak dużo.

Wróciłam z Maida Vale z uczuciem, że oto dowiedziałam się czegoś bardzo ważnego o naturze ludzkiej.

Zastanawiałam się, co by mówiono o Marcusie, gdyby rozeszła się wieść o jego, trzymanej w tajemnicy, rodzinie z Maida Vale. A jednak dał szczęście Janet i dzieciom. Wyraźnie zobaczyłam, na czym polega bezinteresowność prawdziwej miłości. Janet Johns, gotowa na zawsze zostać kochanką żyjącą gdzieś na uboczu jego życia, była szczęśliwa biorąc tyle, ile mógł jej dać, i zadowolona z tego, co ma. Musiała go naprawdę kochać.

O nim też się czegoś dowiedziałam. Był powierzchowny, ale z pewnością umiał wyzwalać miłość i oddanie. Przyszło mi na myśl, że wszyscy jesteśmy skomplikowanymi istotami i że nikt nie powinien pochopnie osądzać drugiego człowieka.

Parę dni później otrzymałam list od Marcusa.

Droga Lucindo!

Bardzo uprzejmie z Twojej strony, że podjęłaś się roli pośrednika w wiadomej sprawie. Właśnie Ty powinnaś wiele zrozumieć. Dziękuję Ci za cały trud, jaki poniosłaś. Wszystkie zainteresowane osoby są Ci bardzo wdzięczne. Postąpiłaś tak, jak mogłem tego po Tobie oczekiwać... z największą uprzejmością i taktem.

Mam nadzieję, że Twoje sprawy układają się pomyślnie. Annabelinda mówiła mi, jaką radość sprawia Ci towarzystwo jej brata. Wyjaśniła, że jesteście prawdziwymi przyjaciółmi.

Mam nadzieję zobaczyć Cię wkrótce.

*Jak zawsze z podziwem
Marcus*

Jakże typowy dla niego był ten list! Marcus traktował swój sekret tak, jakby nie było w nim nic niezwykłego, a fakt, że ja zostałam we wszystko wtajemniczona, nie peszył go w najmniejszym stopniu. Któż inny potraktowałby całą sprawę równie lekko i z podobnym opanowaniem?

A mimo wszystko nadal myślałam o nim ciepło.

Człowiek w lesie

W lipcu 1917 roku Annabelinda i Marcus wzięli ślub.

Razem z rodzicami, ciocią Celeste i Robertem pojechałam do domu Denverów. Ciocia Belinda powitała nas z nie ukrywaną dumą. Nie ulegało wątpliwości, że małżeństwo córki stanowi jej osobistą satysfakcję.

— Rodzice Marcusa przyjadą w przeddzień uroczystości - oznajmiła zaraz na wstępie. — Wyjadą zapewne następnego dnia. - Skrzywiła się nieznacznie. - Oczywiście są bardzo oficjalni, w przeciwieństwie do Marcusa, który jest po prostu kochany. Sprawia czasem wrażenie, że się ich troszeczkę boi. Annabelinda mówi, że czuje się tak, jakby cały czas była przez nich oceniana. Jednak po ślubie nie będą mieli już nic do powiedzenia, prawda? Oczywiście przesadzam. Jestem pewna, że będą mili. Bardzo polubili dużego Roberta... i małego też. Na szczęście moi obaj panowie łatwo nawiązują kontakty z ludźmi. W każdym razie rodzina Denverów jest równie stara, z tradycjami, jak rodzina Merrivale'ów. Przez przypadek nie zdobyli tytułu książęcego, ale są baronetami.

— Nie przejmowałabym się takimi drobiazgami na twoim miejscu - powiedziała moja matka.

— A kto mówi, Lucie, że ja się przejmuję? Zapewniam cię, że wcale o to nie dbam. Wszystko będzie dobrze. Kiedy już obrączka znajdzie się na palcu mojej córki, przysięga zostanie złożona, akt ślubu podpisany, to klamka zapadnie.

A Marcus jest naprawdę kochany. Wszyscy go uwielbiamy. Zaraz po weselu młodzi wyruszą w podróż poślubną. Szkoda, że nie mogą pojechać w jakieś naprawdę romantyczne miejsce... do Wenecji czy Florencji... tylko do Torquay. Potem Marcus wraca do pracy. Wojny to prawdziwe utrapienie. Wszystko staje wtedy pod znakiem zapytania.

- Tak - odparła moja matka. - Nie tylko życie ludzkie, ale i podróże poślubne.

- Zawsze ta sama Lucie! Ale, moi drodzy, jesteśmy tu po to, by się dobrze bawić. Zaczekaj, Lucie, aż zobaczysz Annabelindę w ślubnej sukni.

- Na pewno olśni wszystkich - odparła matka. Tymczasem przybyli rodzice Marcusa. Jego ojciec był

niezwykle uprzejmy i wyraźnie zdawał się być pod wrażeniem ciotki Belindy, która robiła wszystko, żeby go oczarować. Matka Marcusa samym swoim wyglądem budziła respekt otoczenia, a okazywana przez nią sympatia przypominała raczej łaskawość. Domyśliłam się od razu, że to przede wszystkim ona przywiązywała taką wagę do rodzinnych tradycji.

Przez moment zastanawiałam się, jak zareagowałyby na wiadomość o niefortunnym potknięciu się Annabelindy na drodze cnoty. Doszłam do wniosku, że zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, by zapobiec małżeństwu syna - a jej moc naprawdę się w tej rodzinie liczyła.

W kościele siedziałam obok Roberta. Patrzyłam, jak Annabelinda idzie wzdłuż nawy wsparta na ramieniu swego ojca. Wyglądali wspólnie. Sir Robert był wysoki, przystojny, a na jego twarzy malował się wyraz życzliwości dla całego świata, która to życzliwość tak wzruszała mnie u jego syna. Annabelinda była olśniewająco piękna w sukni z białego jedwabiu i koronek. Na głowie miała wianek z kwiatów pomarańczowych.

Rozpoczęła się ceremonia zaślubin. Widziałam, jak Marcus wkłada na palec Annabelindy obrączkę. Słuchałam słów przysięgi, którą sobie

wzajemnie składali, i mimo woli wyobraziłam sobie, że stoję na jej miejscu. W moich marzeniach już przedtem pojawiał się taki obraz. Teraz uświadomiłam sobie w pełni, jak bardzo był niedorzeczny.

- W życiu niezwykle ważne jest doświadczenie — powiedziałyby w tym momencie moja matka. - Zawsze można się czegoś nauczyć, jeżeli umie się wyciągać właściwe wnioski.

Nauczyłam się, że nie wolno mi więcej okłamywać samej siebie.

Popłynęły dźwięki marsza weselnego. Oto szli państwo młodzi - z pewnością jedna z najpiękniejszych par, jakie zostały sobie zaślubione w tym kościele — i wyglądali na bezgranicznie szczęśliwych.

Potem wróciliśmy na przyjęcie weselne do domu Denverów.

Ciocia Belinda witała przybywających gości, powtarzając bez przerwy, jak wzruszająca była ceremonia, jaki przystojny pan młody, jaka piękna panna młoda. Państwo młodzi pokroili tort... Annabelinda trzymała nóż, Marcus jej pomagał. Piliśmy szampana z piwnic Denverów. Nastąpiły toasty i przemówienia.

Ciocia Celeste stała obok mnie.

- Ależ są urodziwi! - powiedziała z podziwem. - Właśnie tak powinna wyglądać młoda para. Szkoda, że nie ma tu mego brata.

— Ciekawa jestem, co robi teraz monsieur Jean Pascal. Pokręciła głową na znak, że nic nie wie.

— Czy nic ciocia o nim nie słyszała? Znow potrzęsnęła głową.

- Wiadomości z trudem docierają. Nie wiem nawet, czy jego posiadłość nie została zajęta przez Niemców. Nic nie wiem.

— Nie pojechali chyba do Valenciennes? To zbyt blisko frontu.

- Mój brat prawie nigdy tam nie bywał. Księżniczka jeździła od czasu do czasu. Przypuszczam, że są w chateau. Ogromnie martwię się brakiem wieści o nich.

- Już prawie trzy lata minęły, odkąd się wszystko zaczęło. Nie mogę wprost w to uwierzyć.

Ciocia Celeste pokiwała głową.

- Odetchnęłam z ulgą, kiedy obie z Annabelinda wróciłyście do domu.

- Tak, dzięki Marcusowi.

- I oto jak romantycznie się to zakończyło! Cały czas myślę o moim bracie. Dużo bym dała, żeby mógł być dzisiaj z nami.

W pewnej chwili podszedł do mnie Robert.

- Masz smutną minę — zauważył. — Dlaczego w ślubach zawsze jest coś smutnego?

- Przypominają o zbyt wielu rzeczach - odparłam.

- Chyba masz rację. Czy mogę napelnić paniom kieliszki? Skinął na lokaja, a ciocia Celeste, zapatrzona przed siebie, rozmyślała o bracie gdzieś w dalekiej Francji.

Przyjęcie weselne zbliżało się do końca — państwo młodzi już je opuścili i wyjechali do Torquay. Robert powiedział do mnie:

- Strasznie tu gorąco. Za dużo ludzi. Chodź, wymkniemy się na dwór.

Z przyjemnością wyszłam z nim do ogrodu.

- Jak tu pięknie — westchnęłam.

- Podoba ci się, prawda?

- Tak, polubiłam to miejsce. Uwielbiałam tu przyjeżdżać jako dziecko. Zawsze zachowywałeś się wobec mnie miło, Robercie. Choć byłam dużo młodsza, nigdy mi tego nie wypominałeś, w przeciwieństwie do Annabelindy. Ona bez przerwy to robiła.

- Och, nie należy przejmować się tym, co mówi Annabelinda.

- Ja się przejmowałam. Nigdy nie pozwalała zapomnieć o tym, że jest o dwa lata starsza.

mi

- Jesteś już na tyle dorosła, że ta różnica wieku naprawdę nie ma żadnego znaczenia. - Mówiąc to rozglądał się dookoła. - W każdym rodzinnym domu jest coś niezwykłego. Zupełnie jakby stanowił jeden organizm ze swymi mieszkańcami.

- To prawda...

- Tam był padok. Jeździłem po nim w kółko na moim kucyku. Udawałem, że przeżywam niezwykle przygody. Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy po raz pierwszy pozwolono mi jechać bez lonży. Wiesz ten stary dąb? Wdrapałem się kiedyś na niego. Nie wolno mi było tego robić, więc pomyślałem, że schowam się wśród gałęzi, żeby mnie nie znaleźli.

- Aż trudno mi wyobrazić sobie, że mogłeś być kiedyś niegrzeczny.

- Och, proszę cię - powiedział. - Nie idealizuj mnie. Teraz mogę ci się przyznać, że zawsze miałem zatargi z nianią AJdridge.

- Jestem pewna, że z powodu nader błahych przewinień - uśmiechałam się.

- Śmiejesz się ze mnie.

- Nie, ty po prostu zawsze byłeś i jesteś dobry. Na tobie można polegać. Na Annabelindzie nie.

- Czy to znaczy, że jestem nudny?

- Dlaczego dobroć ma oznaczać nudę?

- Mówiąc o kimś, że jest dobry, ludzie często chcą powiedzieć, że jest pozbawiony wyobraźni.

- A skąd się bierze zdobywanie medali na polu bitwy? Czy z braku wyobraźni?

- To był przypadek. Wielu ludzi zasługuje na odznaczenia, tylko nie zawsze się ich zauważa.

- Nie mów tak, proszę. Nigdy nie byłeś nudny. Zawsze z niecierpliwością wyczekiwałam twoich wizyt.

- Czy wyjdiesz za mnie, Lucindo? Milczałam, a on mówił dalej:

- Zawsze tego pragnęłam i wiem, że nasze rodziny byłyby zadowolone.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie mogłam tłumaczyć się zaskoczeniem, gdyż zawsze między nami istniała głębsza więź, ale dzień ślubu Annabelindy — kiedy sama przed sobą przyznałam, że czuję sentyment do pana młodego — nie był odpowiednią porą.

W moich uczuciach panował zbyt duży zamęt.

Usłyszałam swój własny głos:

- Robercie... jeszcze za wcześnie. Nie myślałam...

- Rozumiem. Chcesz najpierw wszystko przemyśleć. Małżeństwo to poważna sprawa.

Znów zamilkłam. Poślubić Roberta! Żyć przyjemnie i wygodnie. Zamieszkać tu, w tym pięknym domu. Moja matka byłaby zachwycona. Uwielbiała Roberta, podobnie jak Jubilo go wiele innych osób. Annabelinda zostałaby moją szwagierką. Dziwne, ale to była jedna z pierwszych myśli, jakie przyszły mi do głowy w związku z możliwością poślubienia Roberta.

- Wiem, że mnie lubisz, Lucindo - odezwał się znów Robert. - I nie uważasz wcale, że jestem nudny.

— Wybij sobie te głupie pomysły z głowy. Nie jesteś nudny. I naprawdę bardzo, bardzo cię lubię.

— Ale... — zaczął smutno.

- Jest za wcześnie.

Cień uśmiechu przemknął po jego twarzy.

— Nie zamierzałem doprowadzić do tej rozmowy. Tak mi się jakoś wyrwało. Uwierz mi.

- Robercie, nie o to chodzi. Ja po prostu jeszcze nie jestem gotowa.

— Zostawmy to na razie. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem. Porozmawiamy innym razem.

— Tak, niech będzie jak mówisz. Wiesz, jak bardzo jest mi dobrze, kiedy jesteś blisko. Byłam taka szczęśliwa, gdy przyjechałeś do Marchlands. Ale teraz...

— Nie musisz nic tłumaczyć. Za jakiś czas spytam cię znowu.

Podeszłam do niego i objęłam go serdecznie.

— Tak, Robercie — szepnęłam. - Daj mi trochę czasu.

— W porządku. Jest jedna sprawa, o której nie wspomniałem.

— Co takiego?

— Mam stanąć przed komisją lekarską... za trzy tygodnie.

— Co to znaczy? - spytałam, mocno zaniepokojona.

— Sprawdzą mój stan zdrowia.

— I wys!Ją cię na front!

— Zobaczymy. Niewykluczone.

Do ogrodu zaczęli wychodzić inni goście i wkrótce dołączyła do nas ciocia Celeste.

Byłam smutna i niespokojna. Nie mogłam znieść myśli o wyjeździe Roberta z Anglii.

Doznałam wielkiej ulgi, kiedy okazało się, że stawienie się na komisji lekarskiej trzeba odłożyć. Wywiązały się jakieś drobne komplikacje i Robert potrzebował jeszcze odpoczynku. Tak zdecydował doktor Eger-ton.

Edward miał już cztery lata. Nie znałam dokładnej daty jego urodzin, więc matka zaproponowała, żeby obchodzić je czwartego sierpnia. Tego właśnie dnia Wielka Brytania ogłosiła przystąpienie do wojny z Niemcami.

— Niech ten dzień upamiętni się też czymś miłym, a nie tylko okropnościami wojny - zdecydowała.

Edward rósł szybko. Był jak żywe srebro - pełen energii, ciekaw wszystkiego, rozgadany i bardzo zabawny. Wszyscy uważaliśmy go za wyjątkowo zdolne dziecko

Imyśle, że było to w pełni uzasadnione.

Bardzo cieszył się ze swoich urodzin, ponieważ oznaczały przyjęcie. Bywał już na przyjęciach urodzinowych w sąsiedztwie i teraz przyszła kolej na jego uroczystość.

Zaprosiliśmy około dziesięciorga dzieci z okolicy. Przygotowany został tort z czterema świeczkami, a ja i Andree - z pomocą mojej matki, kiedy mogła poświęcić nam nieco czasu - przygotowałyśmy kilka zabaw i gier dla małych gości.

Edward był bardzo przywiązany do Andree, lecz szczególnym uczuciem darzył mnie. Staralam się jak najwięcej z nim przebywać. Sama jako dziecko miałam cudowną nianię, ale najbliższą mi osobą była mama. Chciałam, żeby Edward czuł to samo w stosunku do mnie. Pragnęłam gorąco wynagrodzić mu brak czułości i porzucenie przez prawdziwą matkę oraz utratę kochającej matki przybranej. Nie darowałabym sobie, gdyby w jego życiu zabrakło czegoś tak istotnego jak miłość.

Co wieczór czytałam mu bajki na dobranoc. Widać było wyraźnie, że bardzo to lubi.

Andree powiedziała kiedyś:

- On kocha mnie jak nianię, ale ciebie jak matkę.

- Biedne dziecko - odpowiedziałam. - Jakie to wszystko smutne.

— O, nie! Mylisz się! — odparła na to Andree. — To jedno z najszczęśliwszych dzieci, z jakimi się zetknęłam. Żyje w dobrobycie... otoczony miłością. Ma twoją matkę, ciebie, mnie... i służbę, która psuje go niemilosiernie, jak tylko na moment spuszcze go z oka.

— Jest taki kochany, że trudno się im dziwić.

Domyśliłam się, że w tym momencie Andree przypomniała sobie własne dzieciństwo, które było tak bardzo inne. Biedna Andree! Cieszyłam się, że jest jej u nas dobrze.

Na szczęście pokój dziecinny był spory i dziesięcioro dzieci zmieściło się w nim bez trudu. Był to kiedyś mój pokój, w którym uczyłam się z panną Carruthers. Na razie książki uprzątnięto do szafy, a na dużym, poplamionym atramentem stole, przykrytym teraz białym obrusem,

ustawiono galaretki, ciastka i słodkie bułeczki. Na centralnym miejscu stał urodzinowy tort.

Bawiliśmy się świetnie, kiedy Edward próbował zdmuchnąć na raz wszystkie świece. Następnie mali goście zasiedli do stołu i przystąpili do zajadania smakołyków. Wreszcie jedzenie zostało sprzątnięte i rozpoczęły się gry.

Było wiele śmiechu i krzyku. Zwłaszcza przy „podaj paczkę”. Dzieciaki aż piszczały z radości, kiedy muzyka przestawała grać. To dziecko, które właśnie trzymało paczkę, zdejmowało wierzchnią warstwę papieru, a potem następowały kolejne okrzyki, gdy muzyka znów zaczynała grać i paczka ruszała dalej, by wreszcie wpaść jako nagroda w małe, zachłanne łapki szczęśliwego zwycięzcy. Muzyka ostatecznie umilkła i wtedy spod ostatniej warstwy papieru wyłoniło się pudełko z farbami.

Była też zabawa w komórki do wynajęcia i ciuciubabkę. Andree doskonale panowała nad rozbrykaną dzieciarnią, okazując jej wiele ciepła i życzliwości.

Ponieważ dzień był pogodny, wyszliśmy do ogrodu, aby dzieci mogły swobodnie pobiegać i poszaleć. Kiedy przyjęcie się skończyło, Edward, stojąc obok mnie, z godnością przyjmował podziękowania wychodzących gości. Andree w tym czasie wróciła do pokoju dziecięcego, tak więc zostałam z nim sama.

Uśmiechnęłam się do niego serdecznie.

- Udana przyjęcie, prawda?

- Udana przyjęcie. - Miał zwyczaj powtarzania słów, z którymi się zgadzał.

— A więc teraz — ciągnęłam — masz naprawdę cztery lata.

— Następnym razem będę miał pięć.

— Tak, skończysz pięć lat.

— Potem sześć, siedem i osiem.

— Tylko nie za szybko, bo się zestarzejesz.

— Kiedy będę miał dziesięć lat, będę jeździł bez Jamesa. " Zgoda.

Dokąd najbardziej lubisz jeździć?

-- Do lasu.

— Jeździsz tam z Andree? Skinął głową.

— Iz Jamesem. Czasami tylko z Andree.

— Podoba ci się w lesie? Znowu przytaknął.

- Lubię las.
 - Dlaczego?
 - Drzewa. I ludzie.
 - Ludzie?
 - Mężczyzna.
 - Jaki mężczyzna?
 - Mężczyzna Andree.
 - Andree się z kimś spotyka? Kiwnął potakująco głową.
 - Za każdym razem?
 - Często. Rozmawiają. Idą i prowadzą konie. Andree ciągle patrzy na mnie. Mówi: „Zostań tu, Edwardzie”.
 - I zostajesz? Skinął głową.
 - Czy znasz tego mężczyznę? Czy to ktoś ze szpitala? Energicznie potrząsnął głową.
 - A więc to ktoś nieznajomy?
 - To nieznajomy - powtórzył bardzo dokładnie, jak zawsze, kiedy po raz pierwszy usłyszał jakieś słowo. — Las jest ładny. Kiedy skończę pięć lat, będę jeździć bez lonży. Szybko. Galopem.
 - Oczywiście.
- Myślałam o Andree i o tym, że spotyka się z kimś obcym. Z mężczyzną. No cóż, była młoda i całkiem ładna. Nie przyszło mi nigdy przedtem do głowy, że może mieć wielbiciela.

Była już połowa września, a Robert ciągle jeszcze przebywał z nami. Doktor Egerton nadal nie bardzo był zadowolony ze stanu jego zdrowia i uważał, że potrzebny jest mu dalszy odpoczynek. Twierdził, że jeszcze przez jakiś czas chce mieć swego pacjenta na oku.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Często czułam na sobie rozmarzony wzrok Roberta i koniecznie chciałam wtedy zrobić coś, co by go pocieszyło. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że będę bardzo nieszczęśliwa, kiedy on wyjedzie. Przeczuwałam, że będę się o niego bardzo martwić. Zaczęła się trzecia bitwa pod Ypres i w tym czasie toczyły się szczególnie zacięte walki. Było mnóstwo rannych. Drżałam zawsze, kiedy przywożono nam ciężkie przypadki, i myślałam sobie wtedy: „Przecież to mógł być Robert”.

Sybil Egerton postanowiła poważnie ze mną porozmawiać. Zwracaliśmy się teraz do niej po imieniu, gdyż „pani Egerton” brzmiało zbyt oficjalnie, a nie była już przecież panną Carruthers. Codziennie zjawiała się w szpitalu razem z mężem i zostawała do późnego popołudnia. Była zręczna, obdarzona zmysłem praktyczności, nieco szorstka i surowa. Takie podejście dobrze wpływało na ciężiej rannych pacjentów, gdyż nabierali przekonania, że ich obrażenia nie są aż tak groźne, skoro nikt się nad nimi nie rozczula. Sybil czytała na głos tym, którzy w wyniku odniesionych ran mieli problemy ze wzrokiem. Obie z matką uśmiechałyśmy się do siebie, kiedy słyszałyśmy, jak w jednym z małych pokoi czyta zgromadzonym żołnierzom Dickensa. Przypominało to lekcję w szkole, gdyż w Sybil nadal wiele było z nauczycielki. Okazało się, że tego właśnie było trzeba naszym pacjentom. Poza tym małżeństwo z doktorem znacznie podniosło jej autorytet i wszyscy się z nią liczyli.

Zacząła rozmowę ze mną w charakterystyczny dla niej, bezpośredni sposób:

- Robert Denver jest w tobie zakochany. Nie odpowiedziałam nic, a ona ciągnęła dalej:

- To dobry chłopak. Nie znajdziesz lepszego. Doskonale pasujecie do siebie.

- Znam go całe życie — powiedziałam.

- Tym lepiej. Jest przeciwieństwem swojej siostry.

- Wiem.

Jestem pewna, że będziesz z nim szczęśliwa. Małżeństwo to wspała instytucja... pod warunkiem, że jest dobrane.

Ponieważ sama znalazła szczęście w związku małżeńskim, czuła się niejako upoważniona do namawiania innych, by w ów związek wstępowali.

Uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo, dając mi do zrozumienia, że jeżeli będę potrzebować rady w tej kwestii, powinnam zgłosić się do niej.

Matka także poruszyła ze mną sprawę Roberta.

- Może zabrzmi to dziwnie, zupełnie jakby mi zależało na opóźnieniu czyjś powrotu do zdrowia, ale mam cichą nadzieję, że Robert jeszcze z nami jakiś czas zostanie. Ta nieszczęsna wojna musi się wkrótce skończyć. Wiesz, że on poważnie myśli o tobie.

- Sybil już rozmawiała ze mną na ten temat.

- Tak, wspominała mi. Życzy ci jak najlepiej i chce, żeby twoje życie dobrze się ułożyło. Chyba Robert jest ci bliski?

- On... oświadczył mi się.

- Chyba nie odmówiłaś?

- Nie jestem jeszcze zdecydowana.

- Rozumiem. To dobry człowiek, Lucindo. Jeden z najlepszych, jakich znam. Podobny do swego ojca. Kto oprócz sir Roberta wytrzymałby z Belindą tyle lat?

- Nie mogę po prostu podejmować tak ważnej decyzji.

- Już chyba przestałaś myśleć o...

Zawsze tak było między nami. Dokładnie znałyśmy nasze myśli. Nawet nie musiałyśmy wyrażać ich słowami.

- Najdroższa moja Lucindo — powiedziała matka. — Całe szczęście, że ta historia tak się skończyła. Nie sądzę, byś była z nim szczęśliwa. On jest naprawdę atrakcyjny, uroczy pod względem towarzyskim, ale jest w nim coś płytkiego... coś zbyt światowego. Ten związek przyniósłby ci rozczarowanie. Ty nie jesteś taka. Jesteś szczerą i prostolinijną. On został wychowany w zupełnie innej atmosferze. Z czasem mogłoby dojść między wami do nieporozumień.

- Tak... Roberta znam całe życie.

- Więc wiesz, czego się spodziewać.

- Tak, tu nie będzie niespodzianek - odparłam. -Wszystko można z góry przewidzieć.

- Marcus pojawił się w twoim życiu w dramatycznych okolicznościach. Bardzo romantycznych, nie przeczę... ale to teraz się tak wydaje, kiedy spoglądasz wstecz. Często tak się dzieje w życiu. Wydarzenia, których oczekujemy z niecierpliwością, lub te, do których powracamy we wspomnieniach, często nie są wcale takie przyjemne, kiedy się w nich bezpośrednio uczestniczy. Tak jak mówię, Marcus pojawił się nagle, zajął się wszystkim, uratował cię przed niebezpieczeństwem... Słowem rycerz na białym koniu. W pewnej chwili nawet myślałam, że ty i on... Starłam się przekonać samą siebie, że ten związek byłby dla ciebie dobry, ale w głębi duszy czułam, że nie miałby szans powodzenia. Marcus jest uroczy i układny. Ludzie go lubią. Robi wszystko, żeby zadowolić innych, ale wydaje mi się, że jego uczucia nie są zbyt głębokie... chyba mnie rozumiesz? Wydawał się bardzo zainteresowany tobą... dopóki na scenę nie wkroczyła Annabe-

linda. Wiem, że zagięła na niego parol, ale nie mogłaby zmusić go do oświadczeń, prawda? A więc sam tego pragnął... i dość szybko poprosił ją o rękę. Czasami, najdroższa Lucindo, w życiu dzieje się coś, co bardzo boli, ale kiedy oglądasz się za siebie, widzisz, że to ci tylko wyszło na dobre.

Skinęłam poważnie głową, a matka podeszła do mnie i pocałowała mnie.

- Wojna musi się wkrótce skończyć ~ powiedziała. - Wtedy wszystko będzie dobrze. Wierzmi. Inaczej będziemy patrzeć na życie... normalnie i naturalnie.

Mogłam tylko żywić nadzieję, że ma rację.

Dużo myślałam potem o tej rozmowie. Robert miał wkrótce wyjechać. Nie wiadomo było, czy go jeszcze zobaczę. Może matka i Sybil miały rację? Może powinnam wyjść za niego? On naprawdę tego pragnął. Czasami zdawało mi się, że i ja też tego chcę.

Dlaczego się wahałam? Ponieważ nie miałam natury Marcusa i nie potrafiłam zmieniać się z dnia na dzień. On

był zupełnie inny niż Robert - „s'wiatowy człowiek”, jak zwykle się określać jemu podobnych. Utrzymywał w tajemnicy fakt, że ma rodzinę, i traktował to ze sporą dozą nonszalancji, jakby to było zupełnie naturalne w przypadku człowieka o jego pozycji. Może i było.

Nadal, gdy o nim myślałam, czułam ukłucia tęsknoty i często się zastanawiałam, jak układa się między nim a Annabelinda.

W tamtym okresie przekonałam się, że lubię w samotności rozmyślać nad tym, co się dzieje. Może w czasie wojny, kiedy nieustannie grozi śmierć i rozstanie, widzi się wszystko nie tak jasno, jak w czasach pokoju, gdy życie toczy się w sposób do pewnego stopnia przewidywalny. Podczas wojny człowiek nigdy nie wie, kiedy usłyszy złe wieści; wiadomo tylko, że w każdej chwili można spodziewać się najgorszego.

Lubiłam siadywać w lesie na przewróconym pniu drzewa, który leżał tu, odkąd sięgam pamięcią. Dookoła było cicho i spokojnie; gęsto rosnące drzewa odgradzały to miejsce od reszty świata.

Nieustannie pytałam siebie, dlaczego waham się z przyjęciem oświadczeń Roberta.

Przyjmij go, podpowiadał rozsądek. Powinnaś wyjść za męż. Chcesz mieć dzieci. Spójrz sama, ile znaczy dla ciebie Edward. Jak słusznie

powiedziała matka, widziałam Marcusa w nierealnym świetle... uciekałam przed niebezpieczeństwem pod jego opiekę, więc stał się rycerzem z bajki. Ale ostatecznie okazało się, że jest kimś zupełnie innym. Sprawili, że zaczęłam myśleć o nim, a potem nagle odwrócił się ode mnie i zainteresował się Annabelinda. Później przypadkiem odkryłam jego tajemnicę. Ciekawe, ile jeszcze sekretów kryje jego życie? Z Robertem przynajmniej sprawa jest jasna. Wszystko, co robi, jest szczere i uczciwe.

Kiedy tak siedziałam dumając, do mych uszu dobiegł nagle odgłos końskich kopyt. Ktoś jechał konno. Usłyszałam głosy Andree i Edwarda. Postanowiłam zaskoczyć ich.

Przedarłam się przez krzaki i dotarłam do niewielkiej polany, z której dochodziły głosy.

Zobaczyłam niewielką grupkę — Edward siedział na swoim kucyku, Andree trzymała drugi koniec lonży, a obok stał jakiś człowiek. Natychmiast przypomniałam sobie rozmowę z Edwardem, kiedy powiedział mi o mężczyźnie, którego spotykali w lesie.

- Halo! - zawołałam.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Edward:

- O, Lucinda!

Postąpiłam parę kroków naprzód. Wtedy wyraźnie zobaczyłam twarz człowieka, z którym rozmawiała Andree. Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie.

Andree na mój widok zawołała:

- O, dzień dobry!

Mężczyzna uchylił kapelusza i uklonił się.

- Do widzenia — powiedział, po czym zwrócił się do Andree: -
Dziękuję.

W chwilę później zniknął wśród drzew.

Miałam wrażenie, że śnię. Kiedy zdjął kapelusz, od razu poznałam gęste, żółtawe włosy. To był Carl Zimmerman.

Byłam zaskoczona. Zaczęłam zastanawiać się, czy przypadkiem się nie pomyliłam. Prawda, widziałam go przedtem zaledwie dwa razy w życiu i zawsze w dziwnych okolicznościach. Dawno temu w schowanku, potem w ogrodach La Piniere, a wreszcie tu, w lesie, rozmawiającego z Andree. Co to miało znaczyć?

- Kto to był? - spytałam zaintrygowana.

- Nie wiem. Pytał o drogę - odparła.
- Wydawało mi się... że go znam.
- Naprawdę?
- Znalazłaś nas, Lucindo - odezwał się Edward.
- Tak, znalazłam.
- Jak w zabawie w chowanego. Czy możemy się jeszcze pobawić po powrocie do domu?

- Dobrze - obiecała Andree.

Miałam wielką ochotę spytać ją o mężczyznę, którym był moim zdaniem Carl Zimmerman, ale nie chciałam tego robić w obecności Edwarda. Nigdy nie wiadomo, ile dzieci rozumieją. Często wydaje się, że w ogóle nie słuchają, a one tymczasem doskonale wszystko słyszą. Pomyślałam też, że jeżeli był to Carl Zimmerman, to po raz pierwszy widział swego syna, oczywiście nie zdając sobie sprawy z tego, kim jest dla niego to dziecko. Niewinne spotkanie w lesie mogło przybrać całkiem niespodziewany obrót.

Sekrety, pomyślałam. Wszędzie sekrety.

Przy pierwszej sposobności zagadnęłam Andree.

- Ten człowiek, który był z tobą...

Uniosła brwi i spojrzała na mnie, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi.

- Człowiek, z którym rozmawiałaś w lesie.

- Och, masz na myśli tego, który pytał o drogę?

- Tak. Ciekawa jestem, czy już go kiedyś widziałaś.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Edward opowiadał, że spotykasz się z kimś w lesie.

- Edward?

- Tak, mówił, że widział jakiegoś mężczyznę. Zarumieniła się lekko.

- Ach, pewnie miał na myśli Toma Gilroya.

- Czy to jeden z pielęgniarzy?

- Tak. Ten wysoki i silny.

- Aha, już wiem.

- Zaprzyjaźniliśmy się. Spotkaliśmy się kilkakrotnie.

- Rozumiem - uśmiechnęłam się. To naturalne, że taka dziewczyna jak Andree ma wielbiciela. Ale wciąż byłam zaszokowana spotkaniem z Carlem Zimmermanem. Potem znów doszłam do wniosku, że coś mi się przywidziało.

Nieznajomy, który pytał Andree o drogę, pewnie był do niego po prostu podobny. W końcu nasze spotkanie trwało zaledwie kilka sekund. Musiałam się pomylić.

Miałam wielką ochotę spytać ją o mężczyznę, którym był moim zdaniem Carl Zimmerman, ale nie chciałam tego robić w obecności Edwarda. Nigdy nie wiadomo, ile dzieci rozumieją. Często wydaje się, że w ogóle nie słuchają, a one tymczasem doskonale wszystko słyszą. Pomyślałam też, że jeżeli był to Carl Zimmerman, to po raz pierwszy widział swego syna, oczywiście nie zdając sobie sprawy z tego, kim jest dla niego to dziecko. Niewinne spotkanie w lesie mogło przybrać całkiem niespodziewany obrót.

Sekrety, pomyślałam. Wszędzie sekrety.

Przy pierwszej sposobności zagadnęłam Andree.

- Ten człowiek, który był z tobą...

Uniosła brwi i spojrzała na mnie, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi.

- Człowiek, z którym rozmawiałaś w lesie.

- Och, masz na myśli tego, który pytał o drogę?

- Tak. Ciekawa jestem, czy już go kiedyś widziałaś.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Edward opowiadał, że spotykasz się z kimś w lesie.

- Edward?

- Tak, mówił, że widział jakiegoś mężczyznę. Zarumieniła się lekko.

- Ach, pewnie miał na myśli Toma Gilroya.

- Czy to jeden z pielęgniarzy?

- Tak. Ten wysoki i silny.

- Aha, już wiem.

- Zaprzyjaźniliśmy się. Spotkaliśmy się kilkakrotnie.

- Rozumiem - uśmiechnęłam się. To naturalne, że taka dziewczyna jak Andree ma wielbiciela. Ale wciąż byłam zaszokowana spotkaniem z Carlem Zimmermanem. Potem znów doszłam do wniosku, że coś mi się przywidziało.

Nieznajomy, który pytał Andree o drogę, pewnie był do niego po prostu podobny. W końcu nasze spotkanie trwało zaledwie kilka sekund. Musiałam się pomylić.

Rok 1917 miał się już ku końcowi. Był to ważny rok. W Rosji wybuchła rewolucja, a pokój zawarty między nią a Niemcami umożliwił Niemcom wysłanie większej liczby żołnierzy na front zachodni.

Tuż przed Bożym Narodzeniem Robert został wezwany przez komisję lekarską do Londynu. Uznano go za zdolnego do służby wojskowej. Nie muszę dodawać, że orzeczenie komisji bardzo nas przygnębiło. Robert podszedł do całej sprawy z filozoficznym spokojem.

— Nie wypadło dłużej się dekować — stwierdził krzywiąc się lekko.

— Och, Robercie! — wykrzyknęłam i przytuliłam się do niego.

Niewiele brakowało, bym powiedziała, że powinnis'my się zaręczyć. Gdyby zechciał, zgodziłabym się wyjść za niego od razu. Powtarzałam sobie, że go kocham. Jednak Robert rozumiał znacznie więcej, niż mi się wydawało. Jestem przekonana, że nie chciał zmuszać mnie do żadnej decyzji, dopóki nie będę absolutnie pewna.

Zaraz po Bożym Narodzeniu przyjechał do Marchlands i oznajmił nam, że jedzie na sześciotygodniowy kurs na Równinę Salisbury.

Bardzo ucieszyła nas ta wiadomość.

— Sześć tygodni! — wykrzyknęła matka. — A kurs zaczyna się dopiero w połowie stycznia. To jak odroczenie.

— Lubisz Roberta, prawda, mamó? - spytałam.

— Moja kochana Lucindo, któż by nie lubił Roberta. Przecież to jeden z najmiłszych ludzi pod słońcem.

Czułam się tak, jakby mnie delikatnie popychano do tego związku, co natychmiast wywoływało mój opór. W małżeństwie z Robertem przyszłość nie kryłaby żadnych tajemnic. Majątek Denverów stałby się moim domem. Ciocia Belinda byłaby moją teściową, a Annabelinda szwagierką.

Oczywiście nadal byłabym blisko związana z moją własną rodziną. Często widywałabym Marcusa. A może wyjedzie z Annabelinda za granicę - do Bombaju, Madrasu czy Colombo? Moje nowe życie niewiele by się różniło od dotychczasowego.

Ojciec często przyjeżdżał do Marchlands na weekendy.

- Żyje w dużym napięciu - martwiła się matka. - Tak bardzo nie lubię, kiedy jest sam przez cały tydzień.

Teraz oboje chodzili na spacer do lasu. Myślę, że niewiele miał przed nią sekretów, i wyczuwałam, że obojgu im nie jest łatwo.

Był styczeń. Roberta nie było już w Marchlands, gdyż wyjechał na kurs.

Pewnego razu matka powiedziała:

- Zrobiło się pusto bez niego. Zawsze jest taki pogodny i wyrozumiały. Pewnie tęsknisz za nim, Lucindo.

- Tak, to prawda.

- Mam pomysł. A może wyjechałabyś z Marchlands na trochę? Jedź do Londynu i pobądź jakiś czas z ojcem. Martwię się o niego, kiedy jest sam. A tak będzie miał towarzystwo.

Spodobał mi się ten pomysł, gdyż rzeczywiście w Marchlands pusto się zrobiło bez Roberta. Cały czas się denerwowałam — nie zanosilo się na koniec wojny, a kiedy kurs się skończy, Robert znów znajdzie się w niebezpieczeństwie. Londyńskie otoczenie mniej mi będzie o nim przypominać. Poza tym zobaczę go po zakończeniu kursu. Trochę jednak się wahałam.

- Tęskniłabym za Edwardem, a on za mną. Jest tak do mnie przywiązany.

- No to niech jedzie z tobą i z Andree. Będiesz miała przynajmniej zajęcie.

- A może Andree nie zechce?

- Zawsze chętnie jeździ do Londynu.

- Tak, ale teraz zaprzyjaźniła się z Tomem Gilroyem.

- Naprawdę? To miły człowiek, ten Tom.

- Ja też tak uważam. Ona najwyraźniej również.

— Skąd wiesz?

— Edward wygadał się niechcący.

— Edward?

— Powiedział mi, że Andree spotyka się w Jesie z jakimś mężczyzną. A Andree przyznała się, że to Tom Gilroy.

— Och, bardzo się z tego cieszę.

— Dlaczego ludzie, którzy są szczęśliwi w małżeństwie, chcą zenić wszystkich dookoła?

— Ponieważ pragną, aby inni też zaznali tej radości. Roześmiałyśmy się.

— Wybadaj Andree - doradziła matka. - Zobacz, co powie. Nie musi być stale w Londynie, jeżeli chce spędzić jakiś czas z Tomem.

Spytałam Andree i muszę przyznać, że zdziwiła mnie jej reakcja.

— O, tak, chętnie pojedę na trochę do Londynu! -zawołała, a oczy jej rozbłysły.

— Myślałam, że nie na rękę byłoby ci... teraz.

— Ależ z największą przyjemnością.

— Czy myślisz, że Edward chętnie pojedzie?

— Na pewno, jeżeli będziemy z nim razem, choć może trochę żałować rozstania z nowym kucykiem.

— Będziemy wracać tu na weekendy.

— W takim razie będą okazje do czułych powitań z kucykiem. Na pewno mu się to spodoba.

Wieczorem przy kolacji matka powiedziała o naszych planach ojcu:

— Lucinda pojedzie na jakiś czas do Londynu i zaopiekuje się tobą. Uważa, że schudłeś.

Uśmiechnął się do mnie.

— Dziękuję, Lucindo. Jutro rano pójdziemy na długi spacer i porozmawiamy sobie.

Wyczułam, że w tych słowach kryje się coś więcej i że jest jakiś specjalny powód, dla którego rodzice chcą, bym pojechała do Londynu. Oprócz tego, oczywiście, że ich zdaniem dzięki zmianie miejsca oderwę się od przykrych myśli związanych z wyjazdem Roberta na front.

Miałam rację, jak się o tym przekonałam następnego ranka.

Był to idealny dzień na spacer. Na dworze panował rześki chłód, ale między chmurami przebłyskiwało zimowe słońce, a wiatr nie dawał się we znaki, gdyż osłaniały nas drzewa.

Las zawsze - dla wszystkich - był ulubionym miejscem spacerów. Dawał poczucie bezpieczeństwa. Można było spokojnie porozmawiać i mieć pewność, że nikt nie będzie podsłuchiwał.

Ojciec ujął mnie pod ramię i powiedział:

- Lucindo, chciałem z tobą bardzo poważnie porozmawiać. Przedyskutowałem to najpierw z matką i oboje uznaliśmy, że mogłabyś mi pomóc.

- Ja?

- Tak. Posłuchaj. Znaleźliśmy się w przykrym położeniu.

- Kto taki?

- Ja i... moi przyjaciele. Wiesz przecież, że biorę udział w pewnej działalności.

- Wiem, że zawsze była z tym związana jakaś tajemnica... i że to nie dotyczy parlamentu.

Skinął poważnie głową.

- Nie muszę ci chyba przypominać, że rozmawiam z tobą poufnie.

- Oczywiście.

- Stawką jest życie. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Jedno nieostrożne słowo i... wiesz jak to jest. Pamiętasz, co stało się w Milton Priory?

Skinęłam głową.

- To był sabotaż. Wskutek przecieku informacji będących w moim posiadaniu.

- Wiedziałam, że jest w tym coś tajemniczego i że bardzo się martwisz, ojcze.

- To nie jest jedyny taki przypadek. W domu w Londynie przechowuję pewne dokumenty. Otóż mój udział jest... jak by tu powiedzieć... nieoficjalny.

- Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy mama opowiedziała mi, jak to było, gdy byłeś w Afryce i przyszła wiadomość, że zginąłeś...

- Widzisz, nawet ona nie zna wszystkich szczegółów. Chcę, żebyś pojechała ze mną do Londynu, ponieważ sądzę, że mogłabyś mi pomóc.

- W jaki sposób?

- Wystarczy, że będziesz uważnie wszystko obserwować.

- Jak to? W domu? Kiwnął potakująco głową.

- Pewne papiery zostały znalezione, skopiowane i przekazane naszym wrogom.

- Czy to znaczy, że do domu zakradł się szpieg?

- W zasadzie nie było włamania... Jednak wydaje mi się, że to ktoś w domu...

- Ktoś ze służby?

- Może. Albo ktoś ze znajomych. Przyjaciel... gość... rzemieślnik.

- Przeglądał tajne papiery i przekazywał je wrogom? Nie mogę w to uwierzyć.

- W ciągu dnia nie ma mnie w domu. Niewykluczone, że ktoś mógł się dostać do mojego gabinetu.

- Ależ to straszne! Zdrajca... w naszym domu! A może to ktoś, kto sprząta ten pokój?

- Zapowiedziałem pani Cherry, że nie życzę sobie, aby cokolwiek ruszano, i poprosiłem, żeby sama tam sprzątała, w wyznaczonym dniu. Przez kilka ostatnich tygodni pilnowałem, żeby tego dnia nie było w pokoju nic ważnego.

- Rozumiem. Więc ważne papiery są po prostu zamknięte w biurku?

- Zawsze bardzo tego przestrzegam.

- Tylko ty, ojczy, masz klucz do biurka?

- Nigdy się z nim nie rozstaję. Ale tak jest dopiero od kilku miesięcy. Przedtem miałem zapasowy klucz w szufladzie. Teraz cały czas noszę przy sobie oba klucze. Proszę cię o to, żebyś była bardzo uważna. Mój gabinet będzie stale zamknięty. Tylko ja i pani Cherry mamy klucze. Pod moją nieobecność przez cały czas będziesz w domu. Uważaj i informuj mnie o wszystkim, co ci się wyda podejrzanym.

- To, co mówisz, ojczy, brzmi bardzo dramatycznie.

- Żyjemy w dramatycznych czasach.

- Mam nadzieję, że przydam się na coś.

- Matka bardzo wierzy w ciebie. Jeszcze porozmawiamy... na miejscu.

Przygotowując się do wyjazdu odczuwałam silny niepokój.

Dom przy placu

Wyjechałam z Marchlands w towarzystwie ojca. Andree i Edward mieli przyjechać następnego dnia. Kiedy znalazłam się w domu, tak dobrze znanym mi i kochanym, po raz pierwszy w życiu miałam wrażenie, że kryje się w nim coś złowieszczonego. Gdzieś tu grasował szpieg!

Matka miała rację co do mego wyjazdu do Londynu. Byłam tak zaabsorbowana podróżą, że od kilku godzin ani razu nie pomyślałam o Robercie i jego wyjeździe na front.

Poszłam prosto do swojego dawnego pokoju. Niby wszystko było tak samo, a jednak... Na pozór nic się w domu nie zmieniło. Była i balustrada, zza której podglądałam gości przybywających na przyjęcia do rodziców, i schody, na których szczerze rodzice witali nowo przybyłych; było też nasze ukochane schowanko, gdzie z Annabelindą zwierzałyśmy się ze swoich sekretów, a Charles próbował podsłuchiwać.

Tym razem te wszystkie bliskie sercu miejsca wydawały się inne, obce. W domu czaił się szpieg.

I to niemiecki szpieg! Ciekawa byłam, jak też może taki szpieg wyglądać.

Ojciec nie podejrzewał nikogo z domowników. Zresztą służby było ostatnio znacznie mniej. Tylko tyle, żeby „wszystko szło”, jak mawiała matka. Niektórzy pojechali do Marchlands, inni zostali powołani do wojska, jeszcze inni pracowali w fabrykach wojskowych.

- Podczas wojny jest inaczej - twierdziła matka. - Odtąd będziemy zatrudniać jedynie najniezbędniejszy personel.

I dlatego w domu w Londynie zrobiło się dość pusto.

Po kolei zastanowiłam się nad wszystkimi domownikami. Zaczęłam od państwa Cherry — kamerdynera i gospodyni - którzy sprawowali pieczę nad całym domem i mieli zapewnić ojcu wszelkie wygody. Od lat pracowali u nas. Nie mogłam sobie ich wyobrazić jako szpiegów. Pani Cherry była gorącą patriotką, gotową rzucić się do oczu każdemu, kto powiedziałby choć jedno złe słowo

O kraju. Pan Cherry był zagorzałym zwolennikiem Lloyda George'a i ze swadą rozprawiał o polityce. Pani Cherry w pełni zgadzała się z poglądami męża. Była lojalną, oddaną żoną, akceptującą wyższość małżonka we wszystkich sprawach dotyczących wojny, podczas gdy sama niepodzielnie rządziła w domu.

Były jeszcze dwie pokojówki, Alice i Meg, i dziewczyna do pomocy, Carrie. Alice była kobietą około czterdziestoletnią i pracowała u nas od dwudziestu lat. Meg miała mniej więcej lat osiemnaście i kochała się w młodym człowieku, który walczył gdzieś we Francji. Najmłodsza, Carrie, liczyła sobie lat piętnaście i była prostą dziewczyną z ludu.

— Podczas wojny nie ma co grymasić — mówiła o niej matka z westchnieniem.

Nie mogłam wyobrazić sobie żadnej z nich kopiującej dokumenty i przekazującej je wrogom. Byłam pewna, że Carrie w ogóle nie umie pisać. Z kolei korespondencja Alice z siostrą w Devon też przemawiała za niewinnością pokojówki - Alice siadała wówczas przy stole, trzymając pióro jak jakieś wielce niebezpieczne narzędzie, i w chwilach największego skupienia wysuwała koniuszek języka. Może Meg bardziej nadawałaby się do tego zadania, ale ją głównie pochłaniało zastanawianie się, kiedy jej Jim wróci do domu

I kiedy się zaręczą.

W grę wchodzili też ludzie zatrudnieni w zabudowaniach gospodarczych. Państwo Menton pracowali tam od lat. Młody Eddie - nie pamiętam, bym kiedykolwiek słyszała jego nazwisko - nastał, gdy James Mansell został powołany do wojska.

Ku wielkiej ucieście pani Cherry i reszty żeńskiej służby następnego dnia przybyła Andree z Edwardem.

Na widok chłopca rozległy się westchnienia pełne zachwytu.

- Wielkie nieba, ależ on urósł! - wykrzyknęła pani Cherry.

- Ile masz lat, kochanie? - spytała AJice.

- Mam cztery lata - odparł poważnie Edward. - W przyszłym roku będę miał pięć.

- Nie do wiary! - zawołała pani Cherry. - AJe mądrała! Pięć i już.

- Wcale nie mądrała - powiedział Edward z lekką pogardą. - Każdy po czterech latach ma pięć.

- Słowo daję, a to mądrała!

Edward starał się zachowywać z godnością. Widziałam wyraźnie, że za wszelką cenę chce wszystkich przekonać, iż nie jest już dzieckiem i nie wolno go tak traktować. Pani Cherry popełniła ten błąd, że zaczęła nazywać go Edziuikiem, co wywołało ogromne oburzenie malca.

- Mam na imię Edward — oznajmił jej. — Nie Edziuiek. To wywołało kolejną salwę śmiechu.

- A to ci galant — powiedziała Meg.

- Jego obecność w domu sprawiła wszystkim wielką radość, tak jak to przewidywałam.

Kolację zjadłam z ojcem. Wyznałam mu, że odkąd znalazłam się w domu, zagadka stała się dla mnie jeszcze bardziej zagmatwana, gdyż byłam pewna, że nikt z tych ludzi nie miał nic wspólnego ze szpiegostwem.

- Coraz bardziej skłaniam się ku przekonaniu, że zrobił to jakiś robotnik lub rzemieślnik. Rzecz się wydarzyła już kilkakrotnie. Naprawdę, musisz bardzo uważać.

Zapewniłam go, że może na mnie liczyć.

Trzy dni po moim przyjeździe przyszła z wizytą Annabelinda. Była ożywiona i sprawiała wrażenie naprawdę szczęśliwej.

- Ach, Lucindo! — zawołała. — Jak cudownie widzieć cię znowu. Cieszę się, że pobędziesz jakiś czas w Londynie. Będziemy częściej się widywać. Jakże się miewasz?

- Doskonale. Widzę, że nie muszę nawet pytać, jak ty się miewasz.

- Wszystko układa się idealnie. Jestem bardzo szczęśliwa, Lucindo. Marcus jest po prostu cudowny. Spotykam mnóstwo ludzi... ciekawych ludzi. Wojskowych i urzędników z różnych ministerstw. Szkoda tylko, że nie możemy przyjmować tylu gości, ilu byśmy chcieli. Nasze mieszkanie jest zbyt małe. Póki Marcus był sam, wystarczało w zupełności. Ale teraz wiele rzeczy się zmieniło.

- Musi zaprezentować znajomym olśniewającą żonę. Uśmiechnęła się.

- Namówiłam go na kupno domu.

- Jak to? Teraz? Kiedy czasy są takie niepewne?

- Musimy mieć dom w Londynie.

- A co z rodzinną rezydencją, o której tyle słyszeliśmy?

- Wspaniała... o tak, imponująca, naprawdę. Ale szczerze mówiąc, jak na mój gust jest zbyt blisko...

- Zbyt blisko czego?

- Moich feudalnych teściów.

- Są aż tak trudni?

- Bardzo - skrzywiła się. - Sztynni i oficjalni. Teściowa chce ze mnie zrobić wzorową panią Merrivale... Niewykonalne zadanie, niestety. Nie zniosłabym takiego życia.

- A więc chcesz mieszkać na stałe w Londynie?

- Tak. I dopilnuję, by wizyty w domu rodzicielskim były jak najrzadsze.

- Podstawa szczęśliwego małżeństwa.

- Dlaczego zawsze musisz ze mną wojować, Lucindo?

- Jakoś tak samo wychodzi.

— Czy nie jesteś odrobinę zazdrosna?

— Ani trochę.

— Wydaje mi się, że jednak jesteś. Pewnie wyjdiesz za mąż za Roberta.

— Nic nie zostało jeszcze postanowione.

— No to będzie. Nie są zachwyceni... to znaczy rodzice... tym, że Robert znowu wyjeżdża. Na szczęście dostał się na ten kurs. Może się

przeciagnie o tydzień lub dwa. A jeśli nie, to i tak będzie lepiej przygotowany do wyjazdu i do swoich zadań.

— Bardzo chciałabym, żeby przestali wreszcie walczyć.

— Wszyscy tego chcemy. Ja mam szczęście, że Marcus pracuje w Ministerstwie Wojny.

— Jak mu się powodzi?

— Wiesz, że on wszędzie dobrze się czuje. Trochę się wyśmiewa ze swojej pracy. Twierdzi, że to żadne życie dla żołnierza, ale myślę sobie, że ma dosyć wojny po Dardanelach.

— Na pewno cieszysz się, że jest tu, na miejscu...

— Ależ oczywiście. Zamierzam wydawać mnóstwo przyjęć, kiedy już będziemy mieli własny dom. Cały czas szukam czegoś odpowiedniego. Chcę mieć podobny do waszego. Świetna jest ta klatka schodowa. Wyobraź sobie tylko mnie i Marcusa witających na górze gości.

— Wyobrażam sobie.

— Och, tak, okropna jest ta wojna. Chyba nie potrwa już długo?

Wyobraź sobie tylko, co to będzie, jak się skończy.

— Będzie cudownie — powiedziała myśląc o powrocie Roberta. - Andree jest tutaj... z Edwardem - dodałam.

— Och, doprawdy? — sprawiała wrażenie lekko urażonej i rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie, jak zawsze, kiedy wspominałam o Edwardzie.

— Dlaczego ich przywiozłaś? - spytała. Odparłam dość ostro:

— Zdziwisz się, ale ja bardzo nie lubię rozstawać się z Edwardem. Czy wiesz, że on też za mną tęskni, kiedy wyjeżdżam? Ponieważ pozostanę tu przez jakiś czas... choć będziemy jeździć do Marchlands na weekendy... pomyślałam, że mógłby przyjechać ze mną. A może chcesz go zobaczyć?

Zawahała się, a ja dodałam podstępnie:

— Andree zachwyca się tobą. Uważa, że jesteś bardzo elegancka i naprawdę cię podziwia.

Rozchmurzyła się i łaskawie pozwoliła zaprowadzić się do dziecięcego pokoju. Andree siedziała przy biurku, a Edward na podłodze bawił się układanką.

— Przyszła pani Merrivale - zaanonsowałam. Andree zerwała się z miejsca.

— Miło, że zechciała nas pani odwiedzić, pani Merrivale.

— Przypominają się stare, dobre czasy — powiedziała łaskawie Annabelinda. - Niezapomniana podróż przez Francję.

— To prawda — odparła Andree przyglądając się Annabelindzie uważnie i z wyraźnym podziwem.

— Wydaje się, że wieki minęły.

— Owszem - zgodziła się Andree. - Tyle wydarzyło się od tamtej pory... Pani poślubiła majora.

— O tak! Moje życie ułożyło się pomyślnie.

— Ja też miałam dużo szczęścia — zauważyła Andree.

— Edward chce się z tobą przywitać - zwróciłam się do Annabelindy.

— Dzień dobry, Edwardzie - powiedziała. Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

— Dzień dobry. Dlaczego masz taki śmieszny kapelusz?

— Edward jeszcze nie jest w stanie docenić haute couture — uśmiechnęłam się.

— To nie jest śmieszny kapelusz — zwróciła mu uwagę Andree. - Ten kapelusz jest piękny.

— Dziękuję — zwróciła się do niej Annabelinda, a do Edwarda powiedziała: - Przykro mi, że nie podoba ci się mój kapelusz.

— Podoba mi się - stwierdził. - Bo jest śmieszny.

— Co układasz, Edwardzie? - zapytałam.

- Kota. Tu są wąsy... a tu koniec ogona. - Odwrócił się w stronę Annabelindy. - A na dole - mówił dalej - jest napis KOT.

- Jakiś ty mądry - mruknęła z przekąsem. Edward spojrział na mnie.

- Czy mam ułożyć słonia? — spytał.

- To, zdaje się, twój ulubiony obrazek.

Zupełnie nie był zainteresowany Annabelindą, tylko jej kapeluszem. Moim zdaniem dziwne było to, iż nie wyczuwał, że to ona jest jego matką. Kiedyś myślałam, że jakaś więź między nimi da o sobie w końcu znać, ale nic takiego nie nastąpiło.

Usiadłam na podłodze, dokończyliśmy kota i zaczęliśmy układać słonia. Annabelindą gawędziła z Andree.

Mówiła głównie o sobie, a Andree słuchała z nie ukrywanym zainteresowaniem. Annabelindą wyjaśniła, że szuka domu. „To zawsze jakaś

rozrywka". Major daje jej wolną rękę, byleby to było coś odpowiedniego. Polega całkiem na jej guście, a ona dokładnie wie, czego on chce.

Temat domów pochłonął je całkowicie, a tymczasem my z Edwardem skończyliśmy słonia i zaczęliśmy układać żyrafę.

Pierwszy tydzień w domu minął bardzo szybko, choć bezowocnie, jeśli chodzi o jakiegokolwiek odkrycia. Zaczęłam dochodzić do przekonania, że szpieg musiał przyjść z zewnątrz. Na przykład, że był nim jakiś gość.

Pani Cherry przyjaźniła się z gospodynią jednego z przyjaciół ojca i obie spotykały się czasem na herbacie. Nie byłam jednak w stanie uwierzyć, by pani Jordan - tęga, uskarżająca się wiecznie na reumatyzm starsza kobieta — bez wiedzy pani Cherry myszkowała po domu w poszukiwaniu tajnych dokumentów.

Sprawa stawała się coraz bardziej tajemnicza. W grę mógł wchodzić jedynie przypadkowy robotnik, wzywany od czasu do czasu w celu dokonania jakichś napraw, co zdarzyło się ostatnio kilka razy. Szkoda, że ojciec nie mógł dokładnie wypytać pani Cherry, ale za wszelką cenę chciał uniknąć zwracania uwagi na swoje podejrzenia.

Starłam się cały czas zachowywać czujność. Czasami budziłam się w nocy i siadałam nasłuchując. Drzwi były zawsze zamknięte, a pokój tonął w ciemnościach.

Pojechaliśmy do Marchlands w piątek po południu. Edward z radością przywitał się ze swoim kucykiem, Billym. Cieszył się nim jeszcze bardziej po tym krótkim rozstaniu. W poniedziałek znów wyruszyliśmy do Londynu.

Po dwóch tygodniach przyszedł z wizytą Robert.

Byłam bardzo szczęśliwa, że go widzę, lecz jednocześnie w sercu czułam lęk, gdyż dobrze wiedziałam, co to oznacza. Był już po przeszkoleniu i niedługo wyjedzie.

Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Urlop Roberta kończył się za parę dni.

- Och, Robercie! - wykrzyknęłam. - Jakże pragnę... Ucisnął moją rękę.

- Wkrótce wrócę, zobaczysz. Czy wiesz, co chciałbym teraz zrobić? Pójść na spacer do parku... tak jak kiedyś. Odwiedzić stare kąty, żebym miał co wspominać, gdy wyjadę.

- A więc chodźmy.

Spacerowaliśmy wśród drzew, a potem usiedliśmy na ławce i długo patrzyliśmy na kaczki, które kiedyś — całe wieki temu — razem karmi-
liśmy.

- Wszystko wygląda tak samo jak zawsze — stwierdził Robert. —
Mamy dużo szczęścia, że nie napadnięto na nasz kraj.

- Och, z całego serca chciałabym, aby było już po wszystkim... i że-
byś nie musiał wyjeżdżać.

- To już nie potrwa długo. Sytuacja na froncie rozwija się pomyśl-
nie. Jeszcze troszeczkę.

- W sierpniu miną cztery lata - przypomniałam. - Od początku lu-
dzie mówili, że to się wkrótce skończy, a wojna trwa.

Położył rękę na mojej dłoni.

- Zbliża się koniec, jestem tego pewien.

- A ty znów musisz jechać. Jesteś taki spokojny... zupełnie jakbyś
się nie przejmował.

Przez chwilę milczał, a potem powiedział:

- Chyba należę do tych ludzi, którzy nie zawsze okazują uczu-
cia. W tym momencie niczego bardziej nie pragnę, jak tylko zostać na
tej ławce... z tobą.

- Kocham cię, Robercie.

- Wiem. Czy „jak brata”? Czy tak mnie kochasz?

- Nie, inaczej. To prawda, że zawsze myślałam o tobie jak o kimś
z rodziny, ponieważ twoja matka i moja wychowywały się razem.
Wierz mi, to naprawdę coś więcej. Nie mogę wprost znieść myśli, że
mógłbyś nie wrócić.

- Wrócę - zapewnił cichym głosem. - Wrócę do ciebie.

- Prosiłeś mnie, żebym za ciebie wyszła. Czy twoja propozycja jest
wciąż aktualna?

- Będzie aktualna... dopóki jej nie przyjmiesz... lub nie wyjdiesz za
kogoś innego.

- Chyba nadszedł czas, by pomyśleć o przyszłości.

- Czy to znaczy...?

- To znaczy, że dorosnę i staję się mądrzejsza. Zaczynam
rozumieć samą siebie. Myśl o tym, że masz wyjechać, sprawia mi ból.
Zrozumiałam, jak wiele dla mnie znaczysz. Robercie, ty musisz do
mnie wrócić.

- Teraz mam do kogo wracać.

- Powinnaś była powiedzieć ci wcześniej...

- I wzięlibyśmy pośpieszny ślub przed moim wyjazdem? Nie, tak jest lepiej. Nigdy nie chciałem cię przynaglać. Rozumiałem, co czułaś. Znasz mnie całe życie. Nie było nagłego objawienia. Miłość nie została zaszczerpiona strzałą Amora w jednej sekundzie. We mnie istniała zawsze. Zaczęła się, kiedy zobaczyłem, jak ssiesz róg kocyka leżąc w wózku w tym właśnie parku. Prawidła romansu nie sprawdziły się. Pominęliśmy wstępną fazę. Dlatego trudno było sobie pewne rzeczy uświadomić.

- Czy tobie również, Robercie?

- Och, nie... nie. Ja od razu zrozumiałem. Kiedy miałaś siedem lat, doszedłem do wniosku, że chcę się z tobą ożenić. Trochę peszyła mnie różnica wieku, ale dzięki Bogu w miarę upływu lat przestaje to mieć znaczenie.

- Kochany, mądry Robercie!

- Niezbyt bystry w wielu sprawach, niestety. Ale tu dokładnie wiedziałem, czego chcę i co jest dla mnie dobre. Mam nadzieję, że dla ciebie będzie równie dobre.

- Na pewno.

- Czy w takim razie jesteśmy zaręczeni?

- Tak.

- Jak to cudownie móc tu być z tobą! Spójrz na tego chłopca karmiącego kaczki. Widzisz tę łakomą... o, doskonale, została odepchnięta... a malutka złapała kawałek ciasta czy czegoś tam. Och, jak bosko jest siedzieć na ławce i być zaręczonym!

Wsunęłam mu rękę pod ramię. Widziałam jego radość i cieszyła mnie bardzo, dopóki nie powróciła do mej świadomości straszliwa prawda, że już za kilka dni Robert znajdzie się w obliczu niebezpieczeństwa.

- Żałuję, że nie jesteśmy w Marchlands - powiedziałam. - Wolalbym, żeby stan twojego zdrowia nie pozwalał ci na wyjazd. Pragnę, aby coś cię zatrzymało.

- To najszczęśliwsza chwila mojego życia. Chciałbym po prostu się nią cieszyć.

- Nie mogę się cieszyć, skoro odjeżdżasz i nie wiem, kiedy cię znów zobaczę.

- Wróćę.
- Starasz się mnie podtrzymać na duchu. Jak można być czegokolwiek pewnym w tym przerażającym świecie?

- Wróćę. Usiądziemy na tej ławce i nie będzie czego się bać.

- Gdybym umiała być równie pewna! Przykro mi, że jestem taka nieufna, Robercie. Straciliśmy wiele czasu przez moją głupotę. Ale w końcu zobaczyłam rzeczy takimi, jakimi są naprawdę. Jedyne, czego teraz pragnę, to to, żebyś szczęśliwie i zdrowo do mnie wrócił.

- Wróćę. Obiecuję ci, najdroższa Lucindo, że wróćę. Musiałam uwierzyć, gdyż już nie wyobrażałam sobie przyszłości bez niego.

Następny dzień również spędziłam z Robertem. Udzielił mi się jego optymistyczny nastrój. Snuliśmy plany na przyszłość, tak jakbyśmy mieli pewność, że ją przed sobą mamy.

Potem nadeszła chwila pożegnania i Robert wyjechał. Wiedziałam, że od razu znajdzie się na polu walki. Starłam się nie myśleć o tym. Zmuszałam się do planowania przyszłości, do wiary w nią, tak jak on wierzył.

Przy kolacji powiedziałam ojcu o zaręczynach. Był bardzo zadowolony.

- Nie mogłaś nam sprawić większej radości... mnie i matce - wyznał,

- Zawsze po cichu żywiliśmy nadzieję, że dojdzie do tego związku. Robert to wspaniały młody człowiek. Zdecydowanie nie doceniany przez otoczenie z powodu swojej niezwyklej skromności. Tacy ludzie często osądzani są według tego, jak sami siebie przedstawiają. Denverowie też będą zadowoleni. Wprawdzie Belinda wolałaby księżniczkę na synową, ale przynajmniej ma rekompensatę w postaci awansu córki do kręgów arystokratycznych. Kiedyś z matką myśleliśmy, że może ty i Marcus...

- Ach, nie. To Annabelinda była mu przeznaczona.

- Naprawdę się cieszę. Moim zdaniem nie znajdziesz lepszego męża niż Robert Denver.

- Wiem... i bardzo się boję, ponieważ on jest tam... w samym oku cyklonu.

Ojciec pokiwał poważnie głową.

- Robert zawsze sprawiał wrażenie, że należy do tych, którzy wychodzą cało z opresji. Jest taki spokojny i opanowany.

Myśl, że Robert może być w niebezpieczeństwie, sprawiała mi niemal fizyczny ból. Ojciec szybko zmienił temat.

— Aha, a czy coś zauważyłaś?

Wiedząc doskonale, co miał na myśli, odparłam:

- Nie. I nadal nie mam pojęcia, kto mógł się tam dostać.

— Z całą pewnością ktoś znowu był.

- Kiedy?

— W ciągu ostatnich kilku dni.

- Ja naprawdę uważałam...

— Nie możesz być wszędzie jednocześnie. Najważniejszą sprawą jest dyskrecja. Nie wolno dopuścić do tego, by ktokolwiek domyślił się, że masz jakieś podejrzenia. Nie podoba mi się to, że pani Cherry ma drugi klucz. Nie dlatego, żebym ją posądzał... Ale oczywiście ona nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia tego klucza, a ja nie mogę jej wtajemniczyć. Szkoda, że pokój musi być sprzątny.

— Zastanawiam się, czy nie wziąć od niej tego klucza.

- Jak?

- Poproszę panią Cherry, żeby mi go dała. Na przykład zaproponuję jej, że sama posprzątam pokój.

— Czy nie dopatry się w tym czegoś niezwykłego?

— Ojciec, teraz wszystko jest niezwykłe. Gabinet musi być zamknięty. Na razie nikt oprócz pani Cherry nie ma klucza. Nie rozumiem, czemu nie mogłabym sama sprzątać w tym pokoju. Gdyby klucz był u mnie, przynajmniej mielibyśmy pewność, że nikt niepowołany tam nie wejdzie.

- Obawiam się, że to wzbudzi podejrzenia, jeżeli poprosisz panią Cherry o klucz.

— Coś wymyślę.

- Lucindo, bądź ostrożna. Zdajesz sobie chyba sprawę, jakie to ważne. Jeśli w domu znajduje się ktoś, kto pracuje dla naszych wrogów, to... Ci ludzie potrafią być bardzo niebezpieczni.

- Wiem, ale jestem pewna, że uda mi się załatwić całą sprawę w sposób naturalny, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

- Nie podoba mi się to, że istnieje klucz, który nie jest w moim posiadaniu. Nie podoba mi się to, że pani Cherry tam wchodzi. Kiedy

sprząta, drzwi są otwarte. Ktoś może ją odwołać na chwilę. Jestem pewien, że ktoś był w pokoju.

- Dobrze. Dowiem się, kto to był. Pierwszy krok to zdobycie klucza, bez którego nikt nie może tam wejść, chyba że przez okno, ale ono jest przecież zawsze zamknięte. Pokój jest na drugim piętrze, więc intruz musiałby wykazać się kocią zręcznością, żeby się tam dostać. Mam tu dużo mniej zajęć niż w Marchlands. Spacerować po parku... zabawa z Edwardem, to wszystko. Naprawdę mogłabym sprzątać gabinet. W końcu nie mamy teraz zbyt wiele służby, i to będzie dobry pretekst. Zostaw to mnie, ojczu. Zdobędę ten klucz, a wtedy będziemy mogli spać spokojnie.

Nie było to wcale takie trudne. Zawsze miałam dobre układy z panią Cherry, a Edward przyczynił się do zacieśnienia tej więzi. Uważała, że historia przywiezienia go przeze mnie z Francji jest „piękna”, jak to określiła.

- Takie to wzruszające, zupełnie jak w powieści. Kto inny by go zostawił. To znaczy, młoda panna nie przywozłaby dziecka do domu, ot tak. Oczywiście można to było zrobić tylko dzięki temu, że nasza pani jest, jaka jest. Ona nigdy nikomu nie odmówiłaby schronienia, zwłaszcza małemu dzieciątku. Uważam, że to piękna historia. Nasz kochany aniołeczek... a jaki czupurny! Co by się z biedactwem stało, gdyby go zostawiono na pastwę tych okropnych Niemców?

Zawsze bardzo szanowała matkę, a teraz ja w jej oczach stałam się bohaterką wojenną, więc darzyła mnie szczególnymi względami.

Zacęłam od tego, że poprosiłam ją o klucz do gabinetu pod pretekstem zabrania stamtąd potrzebnych ojcu dokumentów.

- Aha, chodzi o ten klucz... - zawahała się. - Prawdę mówiąc, trochę mnie on niepokoi. Ojciec panienki powiedział, że bym go nigdy nie spuszczała z oka.

- Pilnuje go pani dobrze, prawda? Ojciec bardzo nie lubi, jak się rusza jego papiery.

- Nigdy nie dotykam papierów. Poza tym myślałam, że wszystkie są schowane.

- Oczywiście. Czy mogę dostać ten klucz?

- Przyniosę go pani.

- Gdzie go pani trzyma?

- W szufladzie komody, z tyłu za ubraniami. Jest dobrze ukryty.

Po chwili wróciła z kluczem.

- Pani Cherry, zatrzymam ten klucz, dobrze?
- Ale ja tam czasami muszę posprzątać.
- Wtedy zwróci się pani do mnie, a ja przyjdę i pomogę pani sprzątać.

- Panienska, panno Lucindo!

- Robiłam to już w Marchlands. W szpitalu, wie pani. Tu nie mam zbyt wiele pracy. Chętnie się tym zajmę. Będziemy miały okazję pogawędzić trochę.

- Sama nie wiem, co powiedzieć, panienska. Ojciec panienski...

- Wyjaśnię mu wszystko. Zatrzymam klucz, a jeśli będzie potrzebny, proszę mi powiedzieć.

- No dobrze, skoro panienska sobie życzy...

- Tak. Zróbmy tak, dobrze? Źle się czuję, jak nie mam żadnych obowiązków.

Włożyłam klucz do kieszeni. Postanowiłam, że zawsze będę go mieć przy sobie. Poszłam do swego pokoju dumna, że całkiem zgrabnie udało mi się załatwić tę sprawę.

Kiedy zostałam sama, wyjęłam klucz i obejrzałam go. Pomyślałam, że rzeczy łatwo wypadają z kieszeni. Znalazłam więc gruby złoty łańcuszek i zawiesiłam klucz na szyi. Wsunęłam go pod suknię. Tam był bezpieczny.

Potem zawiadomiłam ojca o rezultatach mojej misji. Był bardzo zadowolony.

- To dla mnie wielka ulga - powiedział. - Ale jeśli znów coś się wydarzy, będziemy musieli się zastanowić, kto jeszcze ma klucz oprócz nas.

- Jak ten ktoś mógł go zdobyć?

- Mógł ukraść klucz pani Cherry i dorobić drugi.

- Ale przecież musiałyby zatrzymać klucz na jakiś czas.

- Pewnie zrobił szybko duplikat.

- Nawet wtedy zauważyłaby, że klucza nie ma. Wiesz, ojcze, pani Cherry niepokoiła się i była wyraźnie zadowolona, że może mi go oddać. Dopilnuję teraz, żeby nikt nie wszedł do tego pokoju bez mojej wiedzy.

- Jesteś nieoceniona, Lucindo.

Stałam się bardzo wyczulona na wszystkie domowe odgłosy. Sen miałam lekki. Często budziła mnie skrzypiąca podłoga. Wyobrażałam sobie, że ktoś skrada się po schodach, że słyszę szcęk klucza w zamku. Potem sprawdzałam, czy klucz - który zawsze nosiłam na szyi, nawet leżąc w łóżku - jest na swoim miejscu. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że jestem przewrażliwiona. Przyszła jednak taka noc, kiedy wydawało mi się, że słyszę jakieś szmery. Nałożyłam szlafrok i zesłam na dół do gabinetu. Nacisnęłam klamkę. Drzwi były zamknięte. Stałam chwilę nasłuchując.

Nagle ktoś zawołał:

- Och!... To ty, Lucindo?

Spojrzałam w kierunku, skąd dobiegał głos. Oparta o poręcz schodów stała Andree.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak. Wydawało mi się, że słyszę coś dziwnego.

- Mam nadzieję, że to był fałszywy alarm? — upewniła się Andree.

- Przepraszam, że cię obudziłam.

- Mam bardzo lekki sen, zwłaszcza odkąd opiekuję się Edwardem.

Najcichszy szelest mnie budzi.

- Widocznie ze mną jest tak samo. Ależ tu zimno. Żebyśmy się tylko nie przeziębily. Dobranoc.

Wróciłam do swego pokoju i zamknęłam drzwi. Chyba naprawdę przesadzałam! Jednak... z drugiej strony, gdyby ktoś tam był, przyłapałabym go... lub ją. Należało wzmocnić czujność.

Wkrótce nadeszła wiosna, a wraz z nią pojawiła się nadzieja. Zmuszaliśmy wroga do cofania się. Zaczęła się bitwa nad Sommą — toczyły się tam zażarte walki. Robert nieustannie obecny był w moich myślach, a rozważania, co się z nim dzieje, były prawdziwą torturą. Nie mieliśmy zbyt wielu nowych wiadomości, ale wiedzieliśmy przynajmniej to, że zwycięskie na początku wojska niemieckie teraz zostały zatrzymane. Mówiło się, że wygrywamy wojnę z U-Bootami i że niebawem zaczniemy też odnosić sukcesy na lądzie.

W tym czasie widywałam się z Annabelindą. Pewnego razu poszłam z nią obejrzeć dwa domy. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego chce znać moją opinię, skoro nigdy nie brała jej pod uwagę. Odparła gniewnie, że owszem, chce znać, ale i tak dokładnie wie, czego szuka. Domu więk-

szego i bardziej reprezentacyjnego niż inne. Stwierdziłam, że nigdy nie znajdzie idealnego, ale ona zapewniła mnie, że jej się to uda. Przekonałam się przy tym, że szukanie domu jest samo w sobie fascynującym zajęciem. Lubiłam chodzić po pustych pokojach i wyobrażać sobie ludzi, którzy w nich kiedyś mieszkali, podczas gdy ona zastanawiała się, czy wnętrza prezentują się dostatecznie okazale.

Pewnego dnia na początku kwietnia przyszła do nas i od razu spostrzegłam, że nie jest w tak dobrym humorze jak zwykle.

Kiedy znalazłyśmy się same w moim pokoju, wybuchnęła:

- Lucindo, boję się.
- Od razu pomyślałam, że coś jest nie w porządku.
- Czy to aż tak widać?
- Ja zauważyłam. Ale tylko dlatego, że znam cię aż nazbyt dobrze.
- Dostałam list - wyznała.
- List? Od kogo?
- Od Carla.
- Masz na myśli Carla... Carla Zimmermana?

Skinęła potakująco głową.

- I to cię zdenerwowało?
- Chce się ze mną zobaczyć.
- Chyba nie spotkasz się z nim?
- Obawiam się, że będę musiała.
- Dlaczego? Co on w ogóle robi w Anglii?
- Kiedyś pracował w ambasadzie szwajcarskiej.
- Myslałam, że wyjechał. Przecież był ogrodnikiem w La Piniere.
- Tak czy owak, jest w Anglii.
- Jak się tu dostał?
- Chyba znów pracuje w ambasadzie.
- A czego chce?
- Zobaczyć się ze mną.
- Czy wie... o Edwardzie?
- Skądże!
- Jest jego ojcem. Może to w sprawie Edwarda chce się z tobą zobaczyć.

Nagle poczułam gwałtowny niepokój. A co będzie, jeśli zechce zabrać Edwarda?

- Chce zobaczyć mnie- podkreśliła. - Nie mam pojęcia, co robić....

- Powiedz o tym Marcusowi.
- Marcusowi?!
- Powiedz mu wszystko.
- Nie mogę tego zrobić.
- Tak będzie najprościej.
- Śmieszna jesteś! To absolutnie niemożliwe.
- W takim razie, co masz zamiar zrobić?
- Nie chcę widzieć Carla. Nigdy w życiu.
- No to nie odpowiadaj na Jist.
- Zna mój adres. Choć nie mam pojęcia, jak go zdobył. Napisze znowu.
- Odpisz, że nie możesz się z nim spotkać.
- No...
- No co?
- Ten list..., Car! chyba nie ustąpi tak łatwo.
- Przecież nie wie, że to jego syn.
- Ty ciągle mys'lisz o jednym.
- To bardzo ważne. Jeżeli nie wie o Edwardzie, wystarczy mu powiedzieć: Nie chcę się z tobą więcej spotykać. Jestem szczęśliwą mężatką, a nie romantyczną pensjonarką. Do widzenia.
- W twoich ustach to brzmi prosto.
- Problemy innych Judzi zawsze wydają się prostsze niż nasze własne. A ten jest oczywisty. Musisz mu tylko powiedzieć, że nie chcesz go więcej widzieć.
- Chodzi o ton, w jakim do mnie napisał. Ten list to niemal groźba. Muszę się z nim spotkać. Myślę, że on nadal mnie kocha.
- A jeśli chodzi o szantaż?
- Co masz na myśli?
- Może być zdecydowany na wszystko. Pamiętasz, jak pracował jako ogrodnik, żeby wygrać zakład? Doprawdy, Annabelindo, najJepiej będzie, jak powiesz Marcusowi. Wtedy niczego nie będziesz musiała się obawiać.
- Nie mogę mu powiedzieć!
- Jestem pewna, że zrozumie. — Pomyślałam o Emmie Johns i o Janet. Przecież nie mógłby surowo osądzać Annabelindy za to, że miała kochanka przed ślubem. W końcu sam uchodził - jak to się zwykle mówić - za „człowieka światowego”. Domyślałam się też, że nie był

zbyt głęboko zaangażowany uczuciowo w związek z Janet.
Więc... z pewnością zrozumie.

- Czy pomyślałaś - mówiła dalej Annabelinda - co będzie, kiedy wyda się sprawa Edwarda? Czy to nie okropny pech? Teraz, kiedy jestem taka szczęśliwa, ta nieszczęsna historia ma wyjść na jaw?

- Wszystko, co robimy w życiu, pociąga za sobą konsekwencje. Trudno, żeby pojawiały się tylko w sprzyjających momentach.

- Przestań moralizować! Co mam robić?

- Jeżeli pytasz mnie o radę, to już ci mówiłam. Odpisz Carlowi, że nie chcesz go widzieć. Jeżeli nadal będzie się narzucał, nie ma rady, musisz powiedzieć Marcusowi.

- Nie chodzi tylko o Marcusa... ale też o jego rodzinę. Przypuśćmy, że Carl zwróci się do nich.

— A skąd by o nich wiedział?

- A skąd znał mój adres? Och, tak było cudownie... a teraz to...

- Wy tłumacz mu, Annabelindo, że jesteś szczęśliwa w małżeństwie. Carl na pewno nic nie wie o dziecku.

— Ty nigdy mnie nie zdradziłaś, prawda, Lucindo?

— Oczywiście, że nie.

- A przecież mogłaś to zrobić... - Spojrzała na mnie smutno i rzuciła mi się na szyję. - Jesteś moją prawdziwą przyjaciółką, a ja nie zawsze byłam dobra dla ciebie. Jak to się dzieje, że ze mną wytrzymujesz?

Usłyszałam swój własny śmiech.

— Sama nie wiem, Annabelindo, moja przyjaciółko i dręczycielko z czasów dzieciństwa. Zawsze robiłam wszystko, żeby ci pomóc.

- Nie zasługuję na to. Naprawdę nie zasługuję.

To wyznanie szczerze mnie zaniepokoiło. Biedna Annabelinda! Rzadko widziałam ją tak przestraszoną. Ostatni raz wtedy, gdy wygadałam się, że wiem o jej lekkomyślności i o narodzinach Edwarda.

Gożąco pragnęłam jej pomóc, a mogłam jedynie służyć radą. Czy moja rada mogła się jej przydać?

— Spotkaj się z Carlem Zimmermanem — powiedziałam. - Wyjaśnij mu swoją sytuację. Powiedz, że między wami wszystko skończone, i pożegnaj się. Jeżeli jest przyzwoity i uczciwy, to zniknie i nie będzie cię więcej niepokoił.

— Dobrze, Lucindo. Zrobię, jak radzisz.

Przez kilka dni nie miałam żadnej wiadomości od Annabelindy i już zaczynałam się niepokoić.

Któregoś dnia wybrałam się do niej w odwiedziny.

Pokojówka poinformowała mnie, że pani Merrivale odpoczywa, i spytała, czy ma zawiadomić ją, że przyszedłam.

Byłam zdumiona, kiedy wróciła po chwili i oznajmiła, że pani Merrivale ma migrenę i bardzo przeprasza, ale nie może mnie przyjąć. Na pewno następnego dnia poczuje się lepiej. Odezwie się do mnie.

Domyśliłam się, że stało się coś bardzo złego. Tak niepodobne do Annabelindy było unikanie rozmowy o jej kłopotach, że musiało być z nią naprawdę kiepsko.

Wróciłam do domu. Andree siedziała w ogrodzie z Edwardem. Nasz londyński ogród położony był na tyłach domu. Rosło tu kilka ozdobnych krzewów, na których właśnie pojawiły się pierwsze wiosenne kwiaty.

Edward czytał na głos, zacinając się co chwila.

- Dzień dobry - przywitała mnie Andree. - Jak się miewa pani Merrivale?

- Skąd wiesz, że u niej byłam?

— Mówiłaś przedtem, że wychodzisz.

— Naprawdę? Nie widziałam jej. Nie czuje się dobrze. Andree uśmiechnęła się.

- A może ona...? - skinęła głową w stronę Edwarda. Jest w ciąży? Owszem, to wydawało się możliwe, ale ja złe samopoczucie Annabelindy skłonna byłam raczej wiązać z Carlem Zimmermanem.

Wzruszyłam ramionami.

- Trudno powiedzieć. Ma silną migrenę.

— Prowadzi intensywny tryb życia. Dużo bywa i sama wydaje wiele przyjęć.

— Może to dlatego...

Usiadłam, a Edward czytał dalej. Myślałam o Anna-belindzie i Carlu Zimmermanie, który odegrał tak wielką rolę w naszym życiu, choć pojawiał się w nim rzadko.

Przypomniało mi się pierwsze spotkanie z nim, w naszym schowanku, kiedy zabłądził. A potem zabawne spotkanie w ogrodach La Piniere. No i wreszcie w Epping Forest z Andree.

Pod wpływem nagłego impulsu powiedziałam:

- Andree, czy pamiętasz tego mężczyznę w Epping Forest... Tego z jasnymi włosami, który pytał o drogę?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Byłaś z Edwardem, a ja natknęłam się na was przypadkiem.

- Kilkakrotnie pytano mnie o drogę, kiedy tam jeździliśmy.

Nie bardzo wiem, o kogo ci chodzi.

- To było nie tak dawno temu.

- Chyba coś sobie przypominam. Czemu pytasz? Dlaczego akurat o niego?

- Ciekawi mnie, co ci powiedział. Czy tylko spytał o drogę, czy też zadawał jakieś pytania na temat... nas... lub pani Merrivale? W tym czasie major Merrivale przebywał jeszcze w szpitalu... choć nie jestem pewna.

Andree zastanawiała się przez chwilę.

- Nie... — odparła po namyśle. — Nie pamiętam, żeby ktoś pytał o takie sprawy. Czemu to takie ważne?

Pomyślałam w duchu: „Ale jestem niemądra!” Głośno zaś rzuciłam:

- Nie, nie. To nic takiego... naprawdę nieistotne.

Annabelinda przyszła do mnie następnego dnia. Zauważyłam od razu, że jest nad wyraz podekscytowana. Pomyślałam wtedy: „Andree ma rację. Ona rzeczywiście jest w ciąży”.

Siedziałam właśnie w ogrodzie z Andree i Edwardem. Bawiliśmy się w ulubioną zgadywanek Edwarda: „Widzę rzecz, która zaczyna się na literę...”, i tu padała pierwsza litera tego słowa. Ponieważ Edward nie znał jeszcze alfabetu, używaliśmy też często głosek, na przykład „cz” lub „sz”.

Właśnie przyszła kolej na Edwarda:

- Widzę rzecz, która zaczyna się na literę „d”.

Udawaliśmy, że długo się zastanawiamy, zanim jedna z nas zaproponowała „drzewo”. W tym momencie zjawiła się Annabelinda.

— Witaj, Lucindo - powiedziała zbyt serdecznie jak na nią. - Przepraszam cię za wczorajszy dzień. Miałam okropny ból głowy.

— Nic się nie stało. Rozumiem cię doskonale.

— Naprawdę nie mogłam cię przyjąć.

— Nie szkodzi. Mam nadzieję, że dziś czujesz się lepiej.

— Tak, dziękuję.

Edward wtrącił z wyrzutem:

— Bawimy się w „Widzę rzecz”.

— To świetnie — stwierdziła Annabelinda z roztargnieniem.

— Widzę coś na literę „k” - ciągnął nie zrażony brakiem zainteresowania Edward.

Spojrzałam na Andree i uśmiechnęłam się. Zawsze kiedy przychodziła Annabelinda, trzeba było wszystko rzucić i zajmować się tylko nią. Zakończyłyśmy więc zabawę, odgadując, że to na pewno kwiat.

— Tak! — wykrzyknął zachwycony Edward.

— Pobawimy się później — obiecałam, -t Siadaj, proszę — zwróciłam się do Annabelindy i wskazałam jej wiklinowy fotel.

— Znalazłam przepiękny dom - zaczęła Annabelinda. -Koniecznie musisz obejrzeć go ze mną.

— W którym miejscu?

— Przy Beconsdale Square.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko stąd. Mam ze sobą ogłoszenie. Posłuchaj tylko: „Wiejska rezydencja w centrum Londynu”. Brzmi niezłe.

— Jakoś nie mogę sobie wyobrazić wiejskiej rezydencji tutaj.

— Dlatego, że za mało korzystasz z wyobraźni.

- „Beconsdale Square, Westminster — czytała dalej Annabelinda. - Duży rodzinny dom, stojący przy cichym placu, wybudowany około 1830 roku. Podjazd, ogród o powierzchni pół akra. Wielki salon, osiem sypialni, cztery duże pokoje na dole, obszerne kwatery dla służby...” I tak dalej. Podoba mi się słowo „podjazd”. Brzmi tak elegancko. Mam przecucie, że to jest dom, jakiego szukam. Zaraz jadę do pośrednika umówić się na spotkanie. Obiecuj mi, Lucindo, że pojedziesz ze mną.

- Oczywiście, bardzo chętnie.

- Dam ci znać, kiedy.

Nagle zamilkła. Siedziała nieruchomo i od razu wyczułam, że jest bardzo spięta.

- Czy dobrze się czujesz, Annabelindo? — spytałam.

- Ja... chyba niezbyt. Czy mogłabym... położyć się na chwilę?

- Oczywiście. Chodź ze mną. Ruszyłyśmy w stronę domu.

- Odpocznij w pokoju, w którym zawsze nocujesz — zaproponowałam.

- Dziękuję ci, Lucindo.

Kiedy weszliśmy do pokoju, zdjęła płaszcz, buty i wyciągnęła się na łóżku.

- Annabelindo - zaczęłam. - Coś jest nie tak, prawda? Potrząsnęła głową.

- Po prostu... niezbyt dobrze się czuję.

- Czy chodzi o... Carla?

- Ach, nie. Tamta sprawa jest już zakończona.

- Widziałas go zatem? Powiedziałas mu, że nie możesz się z nim więcej spotykać?

- Tak. Owszem. Widziałam go. Ja...

- Czy jest ci niedobrze? Skinęła głową.

- Jesteś w ciąży?

- To... możliwe.

- Dobrze, w takim razie odpocznij chwilę. Wkrótce ci przejdzie. Zostanę z tobą.

- Nie... nie, Lucindo. Wracaj do ogrodu. Zaraz będzie mi lepiej. Po prostu chcę być chwilę sama... poleżeć spokojnie. To minie, na pewno.

- Dobrze. Jeżeli coś będzie nie tak, zadzwoń. Meg zaraz przyjdzie.

- Dziękuję ci, Lucindo. Proszę cię, nie przejmuj się mną, wracaj do ogrodu. Nie chcę robić zamieszania wokół swojej osoby. Zaraz mi będzie lepiej. To na szczęście szybko przechodzi.

- Już miałas przedtem mdłości?

- Tak, kilkakrotnie. Mam nadzieję, że nie będą się ciągle powtarzać.

- Słyszałam, że tak się dzieje tylko podczas pierwszych tygodni.

- Dziękuję ci za troskę, Lucindo.

Wróciłam do ogrodu. Pół godziny później Annabelinda dołączyła do nas. Wyglądała dużo lepiej i była odprężona.

- Jak się czujesz? - spytałam.

- Już wszystko w porządku.

- Zaczerwieniłaś się.

- Naprawdę?

- Najważniejsze, że czujesz się lepiej.

- Dużo lepiej. Przepraszam za kłopot.

- Nic się nie stało. Opowiedz nam teraz o domu.

- Wiesz, jestem przekonana, że właśnie takiego szukam.
- Annabelindo! Przecież nie widziałaś tego domu, czytałaś tylko ogłoszenie!
- Mam przeczucie.
- Co major na to?
- Jeszcze nie wie. Chcę najpierw sama go obejrzeć. Potem dopiero pójdę tam z Marcusem. Ten dom naprawdę wydaje się idealny. Położony z dala od ulicy. Niełatwo jest znaleźć taki dom w Londynie. Świetne miejsce na przyjęcia. Wojna musi się przecież wreszcie skończyć. Nie będzie trwała wiecznie. Wtedy dom będzie jak znalazł.

292

Zaproponowałam, że ją odprowadzę.

- Na wszelki wypadek, gdybyś poczuła się gorzej po drodze...
- Lucindo, naprawdę jesteś kochana, że się tak o mnie troszczysz.
- Zawsze to robiłam. Uważasz się za sprytną i mądrą życiowo, a tak naprawdę to znacznie częściej ja opiekowałam się tobą niż ty mną. Jednak zawsze traktowałaś mnie tak, jakbym była głuptasem.
- Wybacz mi, Lucindo. Żałuję, że nie byłam dla ciebie lepsza.
- Nie wierzę własnym uszom, Annabelindo... Myślę, że chyba pierwszy raz w życiu... dostrzegam w tobie ludzkie uczucia.

Roześmiała się, a kiedy doszliśmy na miejsce, zaprosiła mnie do środka:

- Wejdz na chwilę.
- Dziękuję. Niestety nie mogę. Powinam wracać.
- Szkoda. To ja dziękuję ci za to, że... jesteś taką dobrą przyjaciółką.

Nie do wiary, jaka zaszła w niej zmiana, myślałam wracając do domu.

Może dlatego, że była szczęśliwa w małżeństwie i że będzie mieć dziecko. Macierzyństwo zmienia, sprawia, że kobiety łagodnieją, a ta ciąża, w przeciwieństwie do pierwszej, zostanie przyjęta z radością.

Powinna być wdzięczna losowi za to, że tak pomyślnie ułożyło się jej życie.

W gazetach ukazała się wzmianka o pewnej opuszczonej farmie, położonej na wybrzeżu w odległości trzech mil od Folkestone, w której doszło do wybuchu. Nie podano szczegółów, co mogło być przyczyną eksplozji.

Relacje naocznych świadków brzmiały zgodnie: „U-słyszałem hałas, ogłuszający huk, a potem w górę strzeliły płomienie. Dom spłonął jak stóg siana”.

Oficjalny komunikat brzmiał: Nieumyślne podpalenie. Ofiar w ludziach nie było.

Ojciec poprosił mnie, żebym przysłała do jego gabinetu. Kiedy weszłam, zamknął starannie drzwi i powiedział:

- Musimy poważnie porozmawiać, Lucindo. Czy jesteś absolutnie pewna, że nikogo tu nie było? Czy cały czas miałaś klucz przy sobie?

- Ależ na pewno. - Wyciągnęłam łańcuszek i pokazałam mu klucz. — Noszę go na szyi dzień i noc.

- Czy w ostatnim tygodniu kręcili się po domu jacyś obcy ludzie?

- Z całą pewnością nie.

- Zaraz ci wyjaśnię, o co chodzi. Widzisz, niespodziewanie wydarzenia nabrały tempa. Niemcy stają się coraz bardziej zdesperowani. Na początku byli pewni, że szybko skończą wojnę. Tymczasem walki nad Sommą okazały się wyjątkowo zażarte. Jak wiesz, nasze fabryki pracują pełną parą. Broni mamy teraz pod dostatkiem i jedyną trudność stanowi transport. Wrogowie za wszelką cenę usiłują utrudniać nam dostarczanie jej na front. Jest to dla nich sprawa największej wagi. Broń i amunicja przed wysyłką na kontynent przechowywane są w specjalnych magazynach. Lokalizacja takich składów znana jest niewielu osobom. Jak wiesz, pewne informacje dostały się w niepowołane ręce i to niestety te informacje, które były w moim posiadaniu. Zastawiłem więc pułapkę.

Nagle olśniło mnie:

- Ten dom w Folkestone...? - spytałam domyślnie.

- Tak. Nic tam nie było. Wśród papierów znajdujących się w biurku podłożyłem wykaz broni rzekomo przechowywanej na farmie. Farma znajdowała się blisko wybrzeża, a więc w dogodnym miejscu, by przemieścić stamtąd broń na statek, zatem informacja wyglądała wiarygodnie. Lucindo, był tylko jeden powód, żeby wysadzić tę farmę. Taki mianowicie, iż ktoś uwierzył, że jest tam skład amunicji. A ten ktoś uwierzył, ponieważ w m o i m biurku znalazł ów dokument.

- A więc... ktoś w domu! — Wykrzyknęłam. — Nie do wiary! Co teraz zrobimy?

- Będziemy zachowywać się tak jak do tej pory, z tym że stale trzeba mieć się na baczności. Jeżeli zauważysz coś niezwykłego, nawet na pozór błahego, musisz mi powiedzieć.

- Tak, ojcze. Rozumiem - odparłam spokojnie.

W środku jednak odczuwałam ogromny niepokój. To niesamowite uczucie wiedzieć, że ktoś z najbliższego otoczenia pracuje dla wrogów. Niestety, teraz zostało to dowiedzione.

Chciałam być sama, żeby spokojnie wszystko przemyśleć i poukładać sobie w głowie. Naprawdę nie mogłam uwierzyć, żeby państwo Cherry byli w to zamieszani. Wprawdzie pani Cherry miała przedtem u siebie klucz, ale gdy ktokolwiek obcy przychodził do domu - na przykład coś naprawić - ona się nim zajmowała. Alice, Meg, Carrie — niemożliwe! Mentonowie? Eddie? Eddie wydawał się najbardziej podejrzany. Pracował od niedawna. Był młody, ktoś mógł go namówić. Ludzie, którym potrzebne były takie informacje, na pewno byli gotowi słono za nie zapłacić.

Poszłam się przejść. Przez jakiś czas błąkałam się bez celu po ulicach, kiedy nagle mój wzrok padł na tabliczkę z napisem „Beconsdale Road”. Nazwa ta wydała mi się znajoma. Ależ tak! Przy Beconsdale Square znajdował się dom, który Annabelinda chciała obejrzeć.

„To musi być gdzieś w pobliżu” - pomyślałam. I rzeczywiście, bardzo szybko odnalazłam plac.

Stały tu majestatyczne i reprezentacyjne domy. Każdy był inny, co przydawało zabudowie placu wiele uroku. Większość z nich położona była nieco w głębi, w pewnej odległości od chodnika, i miała podjazdy od frontu.

Od razu widać było, że wszystkie są zamieszkałe przez bogatych ludzi, tak jak się tego spodziewałam. Zastanawiałam się, który z nich jest na sprzedaż. Obeszłam plac dookoła.

Na środku znajdował się starannie utrzymany przeznaczony zapewne do użytku mieszkańców.

Wreszcie znalazłam pusty dom. Był rzeczywiście imponujący. Nabrałam pewności, że tym razem Annabelinda będzie zadowolona.

Nie oparłam się pokusie, otworzyłam żelazną bramę i rozejrzałam się po podjeździe. Trawa na trawniku wymagała skoszenia, krzewy otaczające dom również bardzo wyrosły. Bujna roślinność przydawała

temu miejscu tajemniczości. Wszystko z pewnością znacznie wyglądać inaczej, gdy Annabełinda rozpocznie tu swoje rządy. Chyba rzeczywiście był to dom, jakiego szukała.

Podeszłam bliżej. Nie będąc pewna, czy kogoś nie spotkam, miałam przygotowane wytłumaczenie, że znajoma interesuje się posesją i że wkrótce przyjdę z nią obejrzeć dom. Na drzwiach wisiała duża kołatka z brązu. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zapukać. W otaczającej mnie ciszy rozległ się potężny huk.

Teren posesji oddzielony był od reszty otoczenia dawno nie strzyżonym żywopłotem. Domyśliłam się, że dom od jakiegoś czasu stoi pusty.

Zgodnie z moimi przewidywaniami nikt nie odpowiedział na pukanie. Obeszłam budynek dookoła i zajrzałam przez okno. Zobaczyłam hali i szerokie schody. Z pewnością wystarczająco reprezentacyjne nawet dla Annabelindy.

A jednak nie mogłam pozbyć się uczucia niepokoju, które budziło we mnie to miejsce. Pocieszałam się, że puste domy zawsze są trochę niesamowite — zwłaszcza takie jak ten, usytuowany przy londyńskim placu, a mimo to stojący na uboczu.

Upłynęły dwa dni i znów zjawiała się Annabełinda. Nadal widać było po niej duże napięcie. Zastanawiałam się, co się tym razem stało, gdyż byłam pewna, że coś musiało się wydarzyć.

Koniecznie chciała porozmawiać ze mną w cztery oczy. Kiedy znalazłyśmy się same, wyrzuciła z siebie jednym tchem:

— Postanowiłam, że powiem Marcusowi.

— Naprawdę?!

— Tak. Mam zamiar opowiedzieć mu wszystko.

— Wszystko?

— No... jeszcze zobaczę. Opowiem mu o Carlu. Nie mam wyjścia, Lucindo. Nie mogę tak dalej żyć. Teraz rozumiem, że muszę to zrobić.

— Czy znów widziałas się z Carlem? Przytaknęła bez słowa.

— Czy robi trudności? Znów pokiwała głową.

— Nie mogę tego dalej ciągnąć, Lucindo. Po prostu nie i już.

— No, no. Uspokój się. Myślę, że postępujesz słusznie. Jestem pewna, że Marcus zrozumie. W końcu to światowy człowiek.

— Według powszechnie panującej opinii kobiety nie powinny mieć kochanków.

— Życie nie zawsze toczy się zgodnie z powszechnie panującymi opiniami.

— Wydaje ci się, że to takie proste?

— Nic mi się nie wydaje. Ale jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze. Dopóki nie wyznasz prawdy Marcusowi, zawsze będziesz obawiała się Carla. Gdy powiesz mu, przekonasz się, że to nie jest wcale takie straszne. Przynajmniej zmierzysz się z problemem.

— Muszę wybrać odpowiedni moment.

— Zaczynasz mówić rozsądnie.

— O niczym innym teraz nie myślę. Powiem Carlowi, że nie mam zamiaru robić tego, co on chce.

— A czego on chce?

— On... nadal mnie kocha. Nie wyrzeknie się mnie tak łatwo i... może narobić kłopotu, Lucindo.

— Jestem absolutnie pewna, że powinnaś powiedzieć Marcusowi. Przynajmniej pozbędziesz się Carla na dobre. Niech wie, że nie boisz się szantażu, bo przecież o to chodzi, prawda? Już Marcus nauczył Carla rozumu.

- To niełatwe, ale nie mam wyjścia. Kto by pomyślał, że takie rzeczy wynikną z... tamtej historii!

- Żal mi ciebie, Annabelindo! Ale w końcu postępujesz słusznie. Marcus zrozumie.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście - potwierdziłam stanowczo. - A teraz chodź do Edwarda.

- Nie bardzo mam ochotę.

- Dobrze ci to zrobi. A poza tym Andree się ucieszy. Ona uważa, że jesteś bardzo piękna i że masz takie ciekawe życie.

- No to w takim razie, może...

- No chodźże.

Poszliśmy razem do pokoju dziecinnego. Edward siedział na podłodze i kolorował obrazki. Andree szła. Edward podniósł głowę i powiedział grzecznie:

- Dzień dobry. Andree odłożyła robótkę.

- Dzień dobry, pani Merrivale.

- Dzień dobry - odpowiedziała Annabelinda i usiadła.

- Czuje się pani dziś lepiej? - spytała Andree.

- Tak. Dziękuję. Dużo lepiej.
- To dobrze.
- Nie masz śmiesznego kapelusza - stwierdził Edward nie odrywając oczu od swego obrazka.
- A ten ci nie konwenuje? - spytała Annabelinda. Widziałam, że Edward powtarza sobie cichutko nowe dla niego słowo „konwenuje”. Pewnie zaraz będzie go używał. Jeżeli mu się spodoba, lada dzień pojawi się w jego słownictwie.
- Na stole leżała gazeta. Annabelinda rzuciła na nią okiem.
- Ciągłe piszą o tym wybuchu — powiedziała.
- Co za szczęście, że nikogo tam nie było - stwierdziła Andree.
- Ciekawe, kto to zrobił - zaczęłam się zastanawiać. -Przecież to bez sensu. Podobnie jak... Pamiętacie Milton Priory?
- Tam chyba wybuchł gaz - zauważyła Andree.
- Tak mówili.
- Może tym razem było to samo? - zasugerowała.
- Cieszę się, że nikt nie został ranny — stwierdziła Annabelinda. - Bardzo się cieszę.
- Pomyślałam, że się naprawdę zmieniła. Jej słowa zabrzmiały tak, jakby rzeczywiście przejęła się wybuchem. Jeszcze jakiś czas temu w ogóle by się nad czymś takim nie zastanawiała.
- A propos - zaczęła Andree. - Czy widziała już pani ten dom, który panią interesował?
- Ach, byłabym zapomniała. Przecież dlatego przyszedłam.
- Ten przy Beconsdale Square? — spytałam.
- Tak, tak, oczywiście.
- Zapomniałam ci powiedzieć, że obejrzałam sobie ten dom.
- Naprawdę?
- Ale tylko z zewnątrz. Tak mi się wydaje, że to był ten. Jedyne, który wydawał się nie zamieszkały.
- Poszłaś tam?
- Przypadkiem przechodziłam Beconsdale Road i pomyślałam, że plac musi być gdzieś w pobliżu. Znalazłam dom. Wszłam za bramę i zajrzałam przez okna. Jeżeli to ten, który oglądałam, na pewno będzie ci odpowiadać.
- Doskonale. Zatem spotkajmy się jutro. Bardzo bym chciała, żebyś poszła ze mną, Lucindo.

- Ja też chętnie zobaczę, jak jest wewnątrz.
- Znasz adres. Bądź tam o drugiej trzydzieści. Umówiłam się z pośrednikiem. Ma wpuścić nas do środka.
- Dobrze - zgodziłam się. - Muszę przyznać, że ten dom mnie zaciekał.

Następnego dnia wyruszyłam na Beconsdale Square. Była druga piętnaście, więc miałam wystarczająco dużo czasu, żeby dojść na miejsce przed wpół do trzeciej.

Domyślałam się, że Annabelinda będzie punktualnie, choć normalnie miała zwyczaj się spóźniać. Do sprawy domu podchodziła z ogromnym entuzjazmem, mimo zmartwień z powodu Carla Zimmermana.

Przybyłam na miejsce minutę przed wpół do trzeciej. Nie było jeszcze pośrednika, który miał się z nami spotkać.

Podeszłam do domu i stanęłam przy drzwiach. Dookoła panowała cisza. Byłam zdumiona, że Annabelinda jeszcze nie dotarła. Spacerkiem ruszyłam w stronę bramy i wtedy zobaczyłam jakiegoś mężczyznę. Ubrany był w spodnie w paski i czarny płaszcz, a w ręku niósł teczkę. Domyśliłam się, że to pośrednik.

- Dzień dobry - powiedział na powitanie. - Troszeczkę się spóźniłem. Ulice są zatłoczone o tej porze. Czy wejdziemy od razu, pani Merrivale?

- Pani Merrivale jeszcze nie przyszła - odparłam. - Jestem jej przyjaciółką. Chciała, żebyśmy obejrzała z nią dom.

— Oczywiście. Mam zatem przyjemność z...?

— Lucinda Greenham — przedstawiłam się, podając mu rękę.

- Nazywam się Partington. John Partington z Partington & Pike. Ach, jak to dobrze, że pani Merrivale się spóźnia. Bardzo nie lubię kazać damom na siebie czekać.

- Jestem zdziwiona, że jej nie ma. Bardzo chciała zobaczyć ten dom. Wspomniał pan o tłoku na ulicach, może to przez to.

— Jestem pewien, że dom się jej spodoba — powiedział pan Partington. - Jest naprawdę oryginalny.

- Tak, wygląda interesująco. I ma całkiem spory ogród jak na londyńskie warunki.

— Tak jak napisaliśmy w ogłoszeniu, jest to wiejska rezydencja w mieście.

— Bardzo jestem ciekawa, jak wygląda w środku.

Spojrzał niecierpliwie w stronę podjazdu. Nie było śladu Annabelindy.

- Pewnie zaraz nadejdzie - powiedziałam.

- Och, na pewno.

Minęło jeszcze kilka minut, a Annabelinda wciąż się nie zjawiała. Pośrednik zaczął wykazywać oznaki zniecierpliwienia, a ja poczułam się niezręcznie. Była za dwadzieścia trzecia.

- Może wejdziemy do środka? — zaproponowałam. Przez chwilę zastanawiał się, a potem podjął decyzję.

- Właściwie, dlaczego nie? Jeżeli coś przeszkodziło pani Merrivale i nie mogła przyjść, przynajmniej pozna opinię pani o tym domu. Ale na pewno pani przyjaciółka zaraz się zjawi.

Jeszcze raz zerknął w stronę bramy, po czym otworzył drzwi i przepuścił mnie przodem.

Weszłam do hallu. Był ogromny. Na górę prowadziły szerokie schody, które zapewne w pełni usatysfakcjonowałyby Annabelindę.

Przeszłam przez hali. Moje kroki na drewnianej podłodze rozlegały się echem w pustym wnętrzu.

- Jest piękny! - powiedziałam.

- To bardzo atrakcyjna oferta.

- Dokąd prowadzą te drzwi?

- Jedne do kuchni, drugie do pokoi.

Otworzyłam te pierwsze. Zupełnie nie byłam przygotowana na to, co zobaczyłam. Na podłodze leżała Annabelinda. Widok ten napełnił mnie potwornym przerażeniem.

Stałam przez kilka sekund jak skamieniała i patrzyłam na nią. Usłyszałam swój własny zduszony szept:

- Panie Partington...

— Tak, panno Greenham?

Podszedł i stanął przy mnie.

— Wielki Boże! — wykrzyknął.

Uklękłam obok niej.

- Annabelindo!

Raz po raz powtarzałam jej imię. Nieruchome ciało leżało w nienaturalnej pozie. Na białej, pozbawionej życia twarzy malował się wyraz zaskoczenia i przerażenia.

- Annabelindo - łkałam. - Co się stało? Usłyszałam słowa pana Par-
tingtona:

— Musimy wezwać pomoc...

Nie byłam w stanie się podnieść. Klęczałam i patrzyłam na nią
oniemiała.

Wyjaśnienia

To, co działo się później, było jak koszmarny sen. Ludzie... lekarz...
policja... obce twarze.

Wszyscy chcieli wiedzieć, co się stało i skąd się tam wzięliśmy.

- Miałam się z nią spotkać - wyjaśniłam. - Było w pół do trzeciej.
Sądziłam, że po prostu się spóźnia. Weszliśmy do środka. Myśleliśmy,
że zaraz przyjedzie...

Ktoś zabrał mnie do domu. Niebawem zjawił się ojciec. Posłano po
niego.

Leżałam w łóżku, a ojciec siedział przy mnie. Lekarz dał mi środek
uspokajający i orzekł, że potrzebuję snu.

Spowiły mnie mgliste myśli. O Annabelindzie... martwej w pustym
domu.

Potem zaczęły się pytania, mnóstwo pytań. Jacyś dwaj ludzie przy-
szli porozmawiać ze mną. Ojciec wyjaśnił mi:

— Panowie są z policji. Widzisz, to ty ją znalazłaś. Ty i pośrednik
nieruchomości. Na razie panuje przekonanie, że zrobił to jakiś szale-
niec. Ktoś, kto ukrył się w domu, kto może nie chciał, by mu przeska-
dzano.

- Ale inni ludzie też musieli przychodzić i oglądać dom. A poza
tym, jak by się tam dostał? Przecież klucz miał pośrednik.

— Tego jeszcze nie wiemy — powiedział ojciec. — Niestety,
kochanie, będziesz musiała odpowiedzieć na pytania panów. Prosiłem,
żeby nie męczyli cię zbyt długo.

- Przykro nam, że zakłócamy pani spójność, panno Greenham - zaczął
jeden z policjantów. - Zadamy tylko kilka pytań. Pani Merrivale była
pani przyjaciółką, prawda?

- Tak. Nasze rodziny przyjaźniły się ze sobą od dawna.

- I miała pani obejrzeć ten dom razem z nią?

- Tak.

- Pani Merrivale nie przyszła o umówionej porze, czyli o drugiej trzydziści, czy tak?

- Właśnie. Nie rozumiem, jak dostała się do środka. To przecież pośrednik miał nas wpuścić.

- Czy to on panią wprowadził?

- Tak. Doszliśmy do wniosku, że wejdziemy, nie czekając na nią. Na wypadek, gdyby nadeszła, zostawiliśmy drzwi otwarte, żeby domyśliła się, że jesteśmy wewnątrz.

- Czy znany jest pani jakikolwiek powód, dla którego pani Merrivale mogła przybyć -wcześniej?

- Nie. I nadal nie pojmuję, jak weszła do domu.

- Ktoś ją wpuścił. Prawdopodobnie morderca.

- Myśli pan... że morderca był w domu?

- To mogła być pułapka. Znaleźliśmy wybitą szybę, która przedtem podobno była cała. Przypuszczalnie ktoś był w domu i czekał na panią Merrivale. Wpuścił ją udając pośrednika. Czy pani przyjaciółka wspominała coś o przełożeniu spotkania na wcześniejszą godzinę?

- Nie. Gdyby tak było, ja sama przyszłabym tam wcześniej.

- Naturalnie. Cóż, to by było na razie wszystko, panno Greenham.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy wreszcie sobie poszli. Po paru minutach do mego pokoju wszedł ojciec. Był bardzo zaniepokojony.

- Sprawa się coraz bardziej komplikuje - powiedział. -Biedna dziewczyna! Cóż za okropny koniec... Taka młoda...

- Wiesz, ojczy... mówiła, że spodziewa się dziecka.

- Potworna tragedia!

- A jak Marcus to zniósł?

- Przechodzi bardzo trudne chwile. W dodatku jest przesłuchiwany na policji. Bóg raczy wiedzieć, jak to wpłynie na jego karierę.

- Czy to znaczy, że go podejrzewają?

- W tego typu sprawach mąż jest zawsze pierwszym podejrzanym.

- Przecież oni byli szczęśliwym małżeństwem.

- To nie zwalnia od podejrzeń. Och, Lucindo, jakże mi przykro, że zostałeś w to wmieszana!

Czułam się rozbita i oszołomiona.

Ojciec powiedział, że zdaniem doktora doznałam silnego szoku i powinnam przez jakiś czas odpoczywać.

Jak miałam odpoczywać? Cały czas myślałam o Anna-belindzie wchodzącej do domu... do obcego, niesamowitego, pustego domu, jakim uczyniła go moja wyobraźnia... i spotykającej tam mordercę.

Setki razy wyrzucałam sobie, że nie poszłam razem z nią. Skąd miałam wiedzieć, że zjawi się tam przede mną? Dlaczego to zrobiła? Dlaczego wyznaczyła mi spotkanie na drugą trzydziści, a sama poszła wcześniej? Musiała dostać jakąś wiadomość. Ale dlaczego? Czy dlatego, że ktoś zaczął się... żeby ją zabić?

Odpowiedź na te pytania nadeszła wkrótce. Pani Kelloway, gospodyni Annabelindy, dostarczyła informacji, które rzuciły nowe światło na całą sprawę.

Otóż owego fatalnego dnia do drzwi zadzwonił jakiś mężczyzna. Sprawiał wrażenie, że bardzo mu się śpieszy. Powiedział, że przychodzi od panów Partington & Pike w sprawie domu przy Beconsdale Square. Nie chciał wejść do środka i czekał w progu. Prosił tylko, żeby pani Kelloway przekazała wiadomość pani Merrivale.

- Przepraszam - powiedział uprzejmie. - Ale bardzo mi się śpieszy.

Pani Kelloway zeznała, że mówił z dziwnym akcentem.

- Mógł pochodzić z innej części kraju. Uparł się, że zaczeka przy drzwiach, dopóki nie spytam pani Merrivale, czy może być na Beconsdale Square pół godziny wcześniej, o drugiej. Miał w planie jeszcze jedną krótką wizytę, a potem chciał od razu pójść na spotkanie z panią Merrivale. Tłumaczył się, że ma wielu klientów i że nie będzie mógł poświęcić pani Merrivale tyle czasu, ile trzeba, jeżeli nie zobaczą się wcześniej. Chciał, żeby od razu potwierdziła, czy będzie mogła zmienić umówioną godzinę. Pani Merrivale stała na schodach, kiedy przekazałam jej tę wiadomość. "Zgodziła się przyjść wcześniej. On podziękował i szybko odszedł, zanim pani Merrivale zdążyła zejść ze schodów. Pani stwierdziła, że nie ma już czasu zawiadamić panny Greenham, ale że to nie szkodzi. I tak będzie na miejscu, kiedy panna Greenham przyjdzie.

Zeznania pani Kelloway okazały się niezwykle ważne, a ona sama stała się dla policji cennym świadkiem. Była jedyną osobą, która widziała przypuszczalnego mordercę Annabelindy.

Pośrednik potwierdził, że to pan Partington zajmował się domem przy Beconsdale Square, i że umówił się z panią Merrivale na spotkanie o drugiej trzydziści.

Pani Kelloway, zapytana o rysopis mężczyzny, znów okazała się nieoceniona. Nie potrafiła wprawdzie powiedzieć, w jakim był wieku, ale opisała go dość dokładnie. Wyglądał, jej zdaniem, dość młodo, ale zakrywająca pół twarzy broda znacznie go postarzała. Gospodyni zapamiętała natomiast jeden ważny szczegół. Podczas rozmowy trzymał w ręku papiery i w pewnym momencie upuścił je. Pochyliła się, żeby pomóc mu je pozbiierać i wtedy zobaczyła wyraźnie jego dłoni. Było coś dziwnego w jego palcach... Jeden z nich wyglądał - jak to określiła - „trochę śmiesznie”. Był jakby trochę krótszy.

Jakże wdzięczni byli wszyscy pani Kelloway za jej zeznania! W ciągu jednego wieczoru stała się bardzo ważną osobą.

Wkrótce rzucili się na nią dziennikarze. W prasie pojawiły się nagłówki: „Kim jest tajemniczy mężczyzna zamieszany w morderstwo w pustym domu?” i „Policja szuka człowieka z okaleczoną ręką”.

- Jeżeli pani Kelloway nie myli się co do zdeformowanej dłoni, to poszukiwania mordercy będą znacznie ułatwione - powiedział ojciec. - Ale dlaczego? Dlaczego zwabił ją tam... i zamordował? Z jakiego powodu? Czy coś przychodzi ci do głowy, Lucindo? Ty ją dobrze znałeś.

Wahałam się. Coś powstrzymywało mnie przed zdradzeniem tajemnicy Annabelindy. Niemal fizycznie czułam jej obecność i błaganie, bym tego nie robiła.

Przypuśćmy, że historia jej „potknięcia” wyjdzie na jaw. Czy to coś zmieni? Biedny Marcus i jego dumna rodzina! I tak sporo wycierpieli.

Co dałoby wyjawienie tego wszystkiego?

Nastały dziwne dni. Czuliśmy się, jakby zawisł nad nami całun. Do Londynu przyjechali ciocia Belinda i wuj Robert. Byli bardzo przygnębieni. Nigdy dotąd nie widziałam cioci Belindy w takim stanie. Wuj Robert był zrozpaczony. Bardzo kochał swoje dzieci. Może łatwiej by to zniósł, gdyby Robert mógł wrócić do domu.

Sir Robert postarzał się w ciągu tych kilku tygodni, ale smutek cioci Belindy poruszył mnie bardziej. Moja matka okazywała jej wiele serdeczności i razem spędzały sporo czasu.

Annabelinda była stale obecna w moich myślach. Wiodła ryzykowne życie, to prawda, ale żyliśmy w niebezpiecznych czasach. Kto jednak mógł zwabić ją do pustego domu i zamordować?

Miałam poważny dylemat. Nie mogłam zapomnieć tego, że przed śmiercią Annabelinda bardzo się czegoś bała. Nigdy przedtem jej takiej

nie widziałam. Oczywiście na pewno była przerażona tym, że Carl nagle na spotkanie i że prawdopodobnie będzie się starał zniszczyć jej małżeństwo, ale to przecież nie był powód, żeby zabijać.

Wahałam się, czy mam o tym powiedzieć ojcu lub matce i poprosić ich o radę. Obiecałam Annabelindzie, że nikomu nie powiem. Jak mogłam teraz złamać dane słowo?

Podczas bezsennych nocy nieustannie nad tym rozmyślałam.

Właściwie matka powinna wiedzieć, kim byli rodzice Edwarda. W końcu to ona była jego prawną opiekunką. Staralam się przekonać samą siebie, że związek Annabelindy z Carlem nie miał nic wspólnego z jej śmiercią. Ale dlaczego ktoś ją zamordował?

Dni mijały. Słyszeliśmy, że policja dalej prowadzi śledztwo. Pani Kelloway została jeszcze raz przesłuchana. Tym razem nie wniosło to nic nowego do sprawy. A tajemniczy mężczyzna z brodą i okaleczoną dłonią rozpląnął się jak we mgłę.

Myślę, że policja zaczęła się zastanawiać, czy on w ogóle istniał, czy był wytworem wyobraźni pani Kelloway. Nie było wątpliwości, że nagle zainteresowanie jej osobą sprawiało gospodyni dużą przyjemność.

Pewnego razu rozmawiałam w cztery oczy z Marcusem. Przyszedł do mego ojca, ale nie zastał go w domu.

Oboje czuliśmy się skrępowani.

— Och, Marcus — powiedziałam. — Tak mi przykro. To wszystko jest potworne.

Skinął głową. Bardzo się zmienił. Musiał ją szczerze kochać, pomyślałam. Dla niego była to znacznie większa tragedia niż dla nas. A jeśli ona naprawdę spodziewała się dziecka... stracił dwie najbliższe istoty...

— Jak to się mogło stać, Lucindo? — zapytał. - Ciebie darzyła największym zaufaniem. Może coś wiesz?

Potrząsnęłam głową.

— Policja już mnie o to pytała.

— Właściwie, po co? To i tak jej nie wróci życia. -Spojrzał na mnie ze smutkiem. — Wiesz, że podejrzewali mnie.

— Ale teraz już nie... tylko na początku.

- Tego dnia byłem cały czas wśród ludzi, więc musieli mnie wyeliminować. Zrobili to zresztą dość niechętnie.

- To musiało być straszne dla ciebie.

- Tak. To było straszne.

Pomyślałam o jego rodzinie. Jaki to był dla nich cios! Nigdy nie mogą się dowiedzieć, że Edward jest dzieckiem Annabelindy. Marcus też nie. Sam prowadził podwójne życie, ale załatwił to w końcu w sposób satysfakcjonujący wszystkie zainteresowane strony.

- Lucindo — powiedział. - Spotkajmy się kiedyś. Ta sprawa w końcu się wyjaśni.

- Może — odparłam.

Z ulgą powitałam nadejście ojca.

Życie toczyło się dalej, a zagadka śmierci Annabelindy nadal była niepojęta.

Czasami szłam wzdłuż Beconsdale Road aż do placu, mijałam bramę, przy której tamtego dnia stałam z panem Partingtonem czekając na Annabelindę, i zatrzymywałam się przed domem.

Wyglądał niesamowicie. Krzaki zarastały teren wokół domu jeszcze bardziej niż poprzednio. Miejsce wydawało się całkiem opuszczone - dom, w którym miała miejsce zbrodnia. Brutalne, nie wyjaśnione morderstwo pięknej młodej kobiety, dokonane przez mężczyznę o okaleczonej dłoni.

Pewnego dnia zjawił się u nas nieoczekiwany gość.

Nie mogłam wprost uwierzyć własnym oczom, kiedy weszłam do salonu i ujrzałam go siedzącego na sofie. Nie widziałam go ani razu, odkąd zaczęła się wojna.

Jean Pascal Bourdon wstał, podszedł do mnie i ujął moje ręce.

- Lucinda! Ależ wyrosłaś... na młodą damę... i to piękną! — Przyciągnął mnie do siebie i pocałował w oba policzki.

- Często niepokoiłam się o pana - wykrztusiłam wreszcie. - Jak... pan tu dotarł?

- Nie bez pewnych trudności... jak to podczas wojny bywa. Ale jestem i cieszę się, że cię widzę. Ciężkie czasy nastały.

Skinęłam głową na znak, że się z nim w pełni zgadzam.

- Straszne nieszczęście. Mam na myśli moją wnuczkę. Piękna, pełna życia dziewczyna...

Przypomniałam sobie natychmiast o tym, jak zręcznie wyciągnął kiedyś Annabelindę z kłopotliwej sytuacji.

- Czy księżniczka przyjechała z panem? — spytałam.

- Och, nie. Nielatwo się tu dostać. Przyjechałem sam.

- Czy ona miewa się dobrze?

- Jeśli w ogóle można dobrze się mieć w tych okolicznościach. Nie są najprzyjemniejsze... mamy wroga na naszej ziemi.

- Ale ostatnio chyba sytuacja uległa pewnej poprawie?

- Na pewno. Nie spoczniemy jednak, dopóki nie wypędzimy tej zgrai z naszej ojczyzny.

- Czy przyjechał pan w związku z Annabelindą?

- Tak. To jeden z powodów mej podróży. Chciałem zobaczyć się z twoim ojcem. To, co mam mu do powiedzenia, może okazać się ważne.

- Ojciec wkrótce tu będzie.

- Wtedy wszystko wyjaśnię.

- Co się stało z madame Rochere?

- Dzielna kobieta. Została na miejscu tak długo, jak tylko się dało. Doprawdy, to najroztropniejsza ze znanych mi dam. Nadszedł jednak moment, kiedy dalsze ociąganie się byłoby zwykłym szaleństwem.

Wtedy wyjechała. Jest z nami pod Bordeaux.

- Co tam się dzieje?

Wzruszył ramionami i podniósł obie ręce w wymownym geście.

- Nie jest dobrze. Ale nasz dzień jeszcze nadejdzie.

- A szkoła?

- Stacjonują w niej wojska niemieckie.

- Czy kiedyś jeszcze będzie to szkoła?

- Na pewno tak. Ale ty nie będziesz do niej chodzić, chérie. Do tego czasu dawno ukończysz wszelkie nauki.

Ojciec szczerze się ucieszył na widok Jeana Pascala.

- Słyszałem, że ma pan przyjechać.

- Aha. Wieści szybko się rozchodzą.

- Nic mi nie mówiłeś, ojcze - stwierdziłam z wyrzutem. — Taka miła wiadomość.

- Dziękuję ci, moja droga — odparł Jean Pascal z lekkim ukłonem, a ja pomyślałam, że wcale się nie zmienił.

- Najpierw zje pan z nami kolację - zdecydował ojciec. - Chyba że woli pan przedtem porozmawiać.

- Przyjemnie będzie najpierw zasiąść do stołu, jak na cywilizowanych ludzi przystało. Tak długo mamy już wrogów u siebie, że aż trudno mi się oprzeć błogiemu spokojowi tego domostwa.

Zjedzmy i porozmawiajmy o szczęśliwszych czasach niż te, w których ostatnio przyszło nam żyć.

Zjedliśmy kolację we troje. Jean Pascal opowiadał o życiu we Francji, o niebezpieczeństwie, o niepewnościach codziennego życia, o trudnościach z dotarciem do Anglii. To wszystko było pasjonujące, ale cały czas odnosiłam wrażenie, że obaj z ojcem czekają tylko na właściwy moment, aby przystąpić do omawiania naprawdę ważnych spraw, które były przyczyną tej wizyty.

Kiedy skończyliśmy jeść, ojciec zaproponował:

- W takim razie przejdźmy teraz do mego gabinetu. Jean Pascal skinął głową, a ojciec spojrzał najpierw na mnie, a potem pytająco na gościa.

- Myślę, że mademoiselle Lucinda powinna wziąć udział w naszej rozmowie — powiedział Francuz. — Zapewne wie więcej, niż pan się spodziewa.

Ojciec spojrzał na mnie z niedowierzaniem, a mnie nagle ogarnęło gorączkowe pragnienie, by jak najszybciej poznać powód wizyty Jeana Pascala.

Przeszliśmy więc do gabinetu. Ojciec starannie zamknął drzwi na klucz.

- Tak, słusznie - odezwał się Jean Pascal. - To jest naprawdę poufne.

- Domyślam się - zaczął ojciec - że jest pan poważnie zaangażowany w niektóre sprawy...

— Ach, mon cber, wiele się dzieje. Proszę nie myśleć, że spokojnie godzimy się na obecność wroga na naszej ziemi. Cały czas utrudniamy Niemcom życie. I to dość skutecznie, muszę przyznać. Właśnie z powodu pewnych naszych odkryć znalazłem się w Anglii. Są tu ludzie, którym bardzo chętnie dalibyśmy to, na co zasługują.

Wyjął z kieszeni dużą kopertę, a z niej fotografię, i położył ją na stole.

— Czy znacie państwo tego człowieka? Oniemiałam, gdyż oto leżało przede mną zdjęcie Carla Zimmermana.

Głośno wymieniłam to nazwisko.

- Mylisz się - sprostował Jean Pascal. - To Heinrich von Diirrenstein. Jeden z najlepszych i najbardziej doświadczonych szpiegów działających na rzecz Niemiec.

— Carl Zimmerman! — wykrzyknął ojciec. — Przed wybuchem wojny pracował w ambasadzie szwajcarskiej.

- Owszem, był w ambasadzie szwajcarskiej. Zrobił dobrą robotę. Oczywiście nie dla aliantów. Znasz go zatem, Lucindo?

— Tak. Po raz pierwszy widziałam go u nas w domu. Twierdził, że zabłądził.

Opowiedziałam o spotkaniu przy drzwiach schowanka.

— Pamiętam — przypomniał sobie ojciec. — Myśleliśmy wtedy, że miało miejsce włamanie. Ktoś szperał w dokumentach. Zdarzyło się to, zanim jeszcze nabrałem jakichkolwiek podejrzeń. Zorganizował to tak, że wyglądało na włamanie na tle rabunkowym. Biżuteria, która wówczas zginęła, znalazła się później. Teraz sobie przypominam.

Jean Pascal wolno pokiwał głową. Zwrócił się teraz do mnie:

- Następnie widziałeś go...

- W ogrodach La Piniere.

- Tam też wykonał ważne zadanie. Przeprowadził rozpoznanie, znalazł wszystkie słabe punkty i w ten sposób przygotował kwatery dla niemieckiego wojska. -Spojrzał na mnie. - Myślę, Lucindo, że twój ojciec powinien dowiedzieć się o czymś, co da mu lepszy obraz całości. Zbyt ważna to sprawa, by cokolwiek ukrywać.

Spojrzał na ojca i wyjaśnił:

- Przy okazji, pracując tak gorliwie dla swego kraju, uwiódł moją wnuczkę.

Ojciec oniemiał słysząc te rewelacje.

- Urodziło się dziecko - kontynuował Jean Pascal spokojnie. — Zrobiłem wszystko, żeby zachować wokół tej sprawy jak największą dyskrecję, a dziecku zapewnić opiekę. Jego przybrani rodzice zginęli jednak podczas bombardowania Mons. Wtedy do akcji wkroczyła Lucinda. Ocaliła dziecko i przywiozła je tu.

- Edward! — wykrzyknął ojciec. — Lucindo...?

- Lucinda była wspaniała. Niezwykle dzielna — powiedział Jean Pascal. - Uratowała mego prawnuka. Widzi pan, ona wiedziała, czyje to dziecko. Zaufałem jej. Musiałem zaufać, gdyż tak się sprawy potoczyły. Z pomocą Marcusa Merrivale'a wywiozła dziecko z Francji.

- To wprost nie do wiary — pokręcił głową ojciec. -Nie mogę w to uwierzyć.

- Dziwne rzeczy się dzieją, zwłaszcza podczas wojny. A te, o których tu mówimy, prowadzą nas prosto do dnia dzisiejszego. Teraz, Lucindo, chcę, żebyś opowiedziała mi dokładnie, co stało się podczas waszej podróży przez Francję. Znalazłaś opiekunkę do dziecka, prawda?

Opowiedziałam mu, jak poznaliśmy Andree i jej brata, oraz o tym, jak Andree pojechała z nami do Anglii i została piastunką Edwarda.

Wysłuchał mojej relacji kiwając głową. Potem wyjął z koperty pozostałe zdjęcia. Jedno z nich nam pokazał. Była na nim Andree.

Spojrzałam zdumiona. Jean Pascal uśmiechnął się:

- Elsa Heine. Przynajmniej pod tym nazwiskiem jest najbardziej znana. Blisko współpracuje z von Diirrensteinem.

- Ależ to... Andree!

- To świetnie przeszkoleni agenci. Doskonale się przystosowują. Sumiennie wypełniają swoje obowiązki. Mogą być pielęgniarkami lub ogrodnikami w zależności od sytuacji.

- Edward ją uwielbia!

- Oczywiście. Jest doskonałą opiekunką, a przy tym bardzo sprytną kobietą. Zastanów się tylko. Często bywała w tym domu od waszego przyjazdu z Francji. Miała niezwykle szczęście, że ją tu przywiozłyście! Oczywiście wszystko zostało ukartowane.

- Jej brat...

- O nim porozmawiamy później. Najpierw załatwmy do końca sprawę Andree.

- Wiedziałem, że ktoś wchodzi do mego pokoju - powiedział ojciec.

- Nie mogliśmy pojąć, jak to możliwe. Tylko pani Cherry miała klucz. Potem wzięła go od niej Lucinda.

- Dla tych ludzi problem klucza to banalna sprawa. Sprytna Andree bardzo szybko dorobiła drugi. Na pewno udało się jej wykraść go na tak długo, ile potrzeba, by zrobić duplikat. To tłumaczy, w jaki sposób informacje wydostawały się na zewnątrz. Systematycznie przekazywała wszystko, co znalazła w tym domu.

- Jak mogliśmy być tacy naiwni! — wykrzyknął ojciec. — To przecież oczywiste!

- Wszystko wydaje się oczywiste, kiedy zna się fakty - stwierdził Jean Pascal. - Tak więc mamy wyjaśnioną sprawę szpiega w domu. Akcja została przeprowadzona przez bardzo sprytną grupę. Jej człon-

kowie doskonale ze sobą współpracowali. Śmierć mojej wnuczki też się wiąże z tą sprawą, jestem tego pewien. Lucindo, kochanie, znałaś Annabelinę lepiej niż inni. Czy ona ci ufała? - Tak, do pewnego stopnia.

— W takim razie może zechcesz pomóc nam w wyjaśnieniu niektórych faktów. Chodzi o mężczyznę, który pod nazwiskiem Carla Zimmermana wrócił do Londynu. Czy wiadomo ci, że próbował się z nią spotkać?

— Wiem, że się spotkali. Potem znowu chciał się z nią zobaczyć. Twierdziła, że jej groził, iż powie wszystkowi mężowi, jeżeli ona z nim zerwie.

— Uparty kochanek! Trudno uwierzyć, żeby von Diirrenstein był kimś takim. Jedyna rzecz, na której mu zależy, to jego praca. Nigdy nie pozwoliliby sobie na inne zainteresowania. W ten sposób należy na to patrzeć. Dlaczego znów pojawił się w życiu Annabelindy? Był w niej śmiertelnie zakochany? Dowiedział się o dziecku i chciał je zobaczyć? Nie, to śmieszne. Przyjechał w innym celu. Annabelinda mogła być użyteczna. Mąż pracujący w Ministerstwie Wojny. Bliska przyjaźń z tym domem. Zainstalowali tu wprawdzie Andree, ale przydałby się im jeszcze ktoś, kto by dla nich pracował. Domyślam się, że von Diirrenstein szantażował Annabelinę, groząc jej, że jeżeli nie pomoże mu w jego działalności... do czego się znakomicie nadawała dzięki swoim stosunkom... to powie o wszystkim mężowi. Ale teraz twoja kolej, Lucindo.

Opowiedziałam im o tym, jaka była ostatnio zdenerwowana i rozdrażniona.

— Wyjątkowo rozkojarzona. Nigdy przedtem nie widziałam jej takiej... z wyjątkiem jednego razu. Pamiętam, siedziałyśmy w ogrodzie, a ona nagle źle się poczuła. Musiała wejść do domu i się położyć. Powiedziałam, że zostanę z nią, ale nie chciała. Nalegała, żeby ją zostawić samą.

— Jak długo była sama w domu? - spytał Jean Pascal.

— Jakieś trzy kwadranse.

— Wystarczy, żeby pójść do gabinetu i wyjąć papiery z biurka.

- To ona mogła wziąć te informacje o Folkestone -pokiwał głową ojciec.

- Von Diirrenstein dał jej klucz, a niańka pilnowała, żeby nikt nie przeszkodził.

- Ale dlaczego właśnie jej kazali zdobyć te dokumenty, skoro Andree mogła to zrobić bez trudu? — spytałam.

- Pewnie po to, żeby ją wypróbować. Dali jej łatwe zadanie, a kiedy je wypełniła, nie było już odwrotu.

- Pewnie wtedy właśnie postanowiła się wycofać. Zdała sobie sprawę z potworności tego, co zrobiła. Była bardzo przygnębiona z powodu wybuchu w Folkestone. Zaklinała się, że wszystko wyzna Marcowski.

- Czy twoim zdaniem mogła uprzedzić von Diirrensteina, że ma zamiar to zrobić?

- Tak. Zbierała się na odwagę. Powiedziała, że czeka na odpowiedni moment.

- Jeżeli uprzedziła von Diirrensteina, to tym samym podpisała na siebie wyrok śmierci.

- I z tego powodu została zabita przez tych ludzi?

- Najprawdopodobniej. Miała zamiar wyznać „w odpowiednim momencie”. Powiedziałyby mężowi o wykradzionych dokumentach, które przekazała von Diirrensteinowi. Cała siatka szpiegowska mogła wpaść. Nasze służby zostałyby zaalarmowane. Od dłuższego czasu starano się rozpracować von Diirrensteina i jego ludzi. — Jean Pascal zamyślił się na chwilę. Potem mówił dalej: — Te wszystkie szczegóły ustaliliśmy, kiedy znalazłem się w Anglii. Gdy dowiedziałem się, że moja wnuczka została zamordowana, zacząłem zastanawiać się, dlaczego. Musiałem przyjechać i na miejscu zbadać sprawę. Wiedziałem, że w grę wchodzi ten niefortunny romans z von Diirrensteinem.

- Czy myśli pan, że to jego ludzie zwabili Annabelinę w pułapkę?

- Uważam to za wielce prawdopodobne. Falszywa bona wiedziała o spotkaniu z pośrednikiem. Nasuwa się pytanie, dlaczego zadali sobie tyle trudu. Przecież ktoś mógł zakraść się do jej sypialni w nocy i uduśić ją. Po co robić sobie kłopot z włamywaniem się do pustego domu? Stawka była wysoka. Zamordowanie biednej, nieszczęśliwej dziewczyny to dla nich pestka. Annabelinda stanęła im na drodze, mogła okazać się niebezpieczna. Bali się ryzyka. Pozbyli się jej w sposób najmniej zagrażający organizacji. Bona wiedziała o wszystkich zamierzeniach.

Pusty dom wydał się idealnym miejscem. Mordercą mógł być włóczęga... złodziej... ktokolwiek... ponadto łatwo było uciec z miejsca zbrodni. Tak przynajmniej ja to wszystko widzę. Von Diirrenstein nie miał zamiaru pokazywać się w pobliżu domu, ponieważ już przedtem kontaktował się z ofiarą. Choć spotkania były utrzymywane w tajemnicy, ktoś mógł ich widzieć razem. Nigdy nie wiadomo, co wypłynie podczas śledztwa. Uznał zapewne, że bezpieczniej dla niego będzie trzymać się jak najdalej. Oczywiście przeczytałem wszystko o tej sprawie. Wiem, że fałszywy pośrednik handlu nieruchomościami, który przyszedł do domu Annabelindy i którego widziała gospodyni... pani Kelloway, o ile się nie mylę...

- Tak, zgadza się.

Jean Pascal ponownie sięgnął do koperty i wyjął z niej zdjęcie. W twarzy, na którą patrzyłam, było coś dziwnie znajomego.

- ...to Hans Reichter. Jeden z najzdolniejszych agentów. Bardzo ważna figura w siatce.

- Jestem pewna, że go już gdzieś widziałam... -zawahałam się.

- Ależ tak! Widziałaś. Kiedy podróżowaliście przez Francję. Wtedy poznałaś też Elbę, która występowała jako jego siostra.

- Nie do wiary! Ale nas podeszli! Samochód się zepsuł... On go reperował... i wtedy Andree pojechała z nami, a on rzekomo ruszył do Paryża!

- Dokładnie tak było. Wszystko zostało starannie zaplanowane. Elsa chciała dostać się do Anglii. To wcale nie byłoby dla niej takie łatwe. Ale zjawiliście się wy w towarzystwie wysokiego rangą oficera armii brytyjskiej. Doskonale wiedzieli, kim jesteście — Jean Pascal zwrócił się do ojca. — Pańska działalność, przyjacielu, nie pozostała nie zauważona. To był pomysł Elsy, żeby znaleźć się w pańskim domu. I jak sprytnie udało się jej dopiąć celu.

- Przy naszej wydatnej pomocy!

- To nie wasza wina! Skąd mieliście wiedzieć? Nie mogliście postąpić inaczej. Teraz pomogliście mi państwo wyjaśniając kilka szczegółów w tej sprawie i, jak sądzę, dowiedzieliście się wiele ode mnie. Powinniśmy połączyć nasze wysiłki, żeby złapać tych ludzi i umieścić ich tam, gdzie dawno powinni być się znaleźć.

Popatrzyłam na zdjęcie. Przed oczami stanął mi młodzieniec, który tamtego dnia przysiadł się do naszego stolika razem ze swoją „siostrą”. Wszystko kłamstwa! Jak mogliśmy tak łatwo dać się zwieść!

- Pani Kelloway zeznała, że mężczyzna miał brodę -przypomniałam.
- Nie jest trudno zapuścić brodę - powiedział Jean Pascal.

Przypomniałam sobie scenę w jadalni i dłoń mężczyzny. Było w niej coś dziwnego. Jeden z palców był nieco krótszy. W uszach zadźwięczały mi słowa: „Bawiłem się fajerwerkami”.

Wszystko zaczynało do siebie pasować. Jean Pascal być może nie odkrył jeszcze całej prawdy, ale był tego bliski.

- Ten człowiek w „Le Cerf” — powiedziałam — też miał okaleczoną dłoń.

- Charakterystyczny znak szczególny, który bardzo nam pomógł.
- Dobrze, że pani Kelloway to spostrzegła - zauważył ojciec. - To była bardzo ważna wskazówka... i wiele dała.
- Dziwne, jak jedna, drobna nieostrożność może zniweczyć starannie obmyślony plan.

— To prawda - zgodził się ojciec. - Falszywy pośrednik upuścił broszurę agencji nieruchomości, którą zdobył zapewne w tym celu, żeby wzbudzić wiarygodność. Podnosząc ją odsłonił rękę, gospodyni zauważyła okaleczenie. I został rozpoznany.

— Czy myśli pan, że to morderca? - spytałam.

— Nie ma co do tego wątpliwości. Zbił szybę, dostał się do środka i czekał na przyjście mojej biednej Annabelindy. Wpuścił ją i najpierw pewnie opowiadał coś o domu. Widziała go wprawdzie przedtem podczas podróży przez Francję, ale broda wystarczyła jako kamuflaż na tak krótki czas.

— Kiedy myślę o tym, jak ona wchodzi do tego domu... — szepnęłam i głos mi się załamał.

— Była taka młodziutka! Właściwie jeszcze dziecko. Nie spoczne, dopóki nie zostanie pomszczona. A teraz, drodzy państwo, nie możemy zdradzić się, o czym była tu mowa. Ta kobieta, Andree, będzie śledzona przez cały czas i w końcu doprowadzi nas do innych. Ona sama jest mało znaczącą płotką. Zależy nam głównie na von Diirrensteinie. Jesteśmy już na jego tropie. Będziemy waszej niani pilnować dzień i noc. Wkrótce powinny być jakieś rezultaty. Najważniejsze jest teraz to, żeby

oni niczego się nie domyślili. Nie wolno ci zdradzić ani spojrzeniem, ani tonem głosu, Lucindo, że coś się zmieniło.

— Skóra mi cierpnie na myśl, że ona zajmuje się Edwardem - wzdrygnęłam się.

— Nie masz się czego obawiać. Dobrze się nim opiekuje. Niczego nie osiągnie robiąc inaczej. Prawdopodobnie szczerze go lubi.

— On za nią przepada.

— No właśnie. Opiekowanie się dzieckiem wchodzi w zakres jej zadań. Nie wiemy, na ile jest zaangażowana uczuciowo, ale chłopiec nie stanowi zagrożenia dla jej prawdziwej działalności, więc wywiąże się ze swoich obowiązków. Przez cały czas każdy jej ruch będzie śledzony. Nie ulega wątpliwości, że wkrótce cała grupa znajdzie się tam, gdzie powinna być od dawna.

— Policja chętnie aresztuje człowieka, który zabił Annabelinę.

— Możliwe, że jest już poszukiwany za inne przestępstwa. Zobaczmy. W każdym razie bądź spokojna. Ci ludzie zapłacą za swoje zbrodnie.

Rozmawialiśmy bardzo długo, wielokrotnie roztrząsając te same kwestie. Było późno, kiedy poszliśmy spać. Nie mogłam zasnąć. Bez końca i z pewnym niedowierzaniem przeżywałam w myślach to, co zostało powiedziane tego wieczoru. Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiałam, tym bardziej dochodziłam do wniosku, że w tych przypuszczeniach kryje się sporo prawdy.

Nadeszły dni pełne napięcia. Nie widziałam w tym czasie monsieur Bourdona. Pewnie uznał, iż rozsądniej będzie trzymać się z dala. Starałam się usilnie, by moje stosunki z Andree nie uległy zmianie. Jean Pascal zaklinał mnie, żebym nie dała nic po sobie poznać. Nie było to łatwe. Andree w moich oczach stała się całkiem inną osobą. Nie mogłam się nadziwić, że Edward tak bardzo ją kocha, ale w końcu znał ją niemal przez całe swoje życie. Mnie trudno było pogodzić się z faktem, że pośrednio mogła wziąć udział w zabójstwie jego matki.

W taką oto sieć intryg zostaliśmy wplątani, głównie za sprawą lekomyślności Annabelindy i jej romansu z człowiekiem, który okazał się szpiegiem.

Wiedziałam, że nie możemy długo żyć jakby nigdy nic. Coś musiało się wkrótce wydarzyć. Tak też się stało. Pewnego dnia Andree wyszła z domu i nie wróciła.

Wywołało to spore zamieszanie. Na początku pani Cherry była oburzona. Bona nie ma prawa wychodzić na tak długo, i tak ma za wiele wolnego czasu. Już ona się dowie, czy Andree przypadkiem nie znalazła sobie posady gdzie indziej. Ale kiedy nadszedł wieczór, a Andree nie wracała, pani Cherry zmieniła zdanie. Zaczęła się niepokoić, czy Andree nie została zamordowana. Po morderstwie Annabelindy wszystko wydawało się prawdopodobne.

- Żyjemy w przerażających czasach, panno Lucindo. Dokąd ona mogła pójść?

Postanowiłam porozmawiać z ojcem.

- Musimy coś postanowić w sprawie Andree. Zaraz zaczną się plotki, które błyskawicznie rozejdą się po mieście. Trzeba coś wymyślić.

Ojciec podzielał moje zdanie.

- Przy okazji poruszę tę sprawę - powiedział. - Aha, wiesz, mamy ich wszystkich. Von Dirrensteina również. To nasz największy sukces od dłuższego czasu. Zostali nakryci w domu w Battersea, podczas narady. To Andree zaprowadziła nas prosto do nich.

- A więc stało się.

- Widziałem się z Bourdonem. To jego wielki tryumf. Wiesz, on działa w ruchu oporu od początku wojny.

- Co czeka Andree?

- Obawiam się, że podzieli los wszystkich schwytanych szpiegów. Reichter prawdopodobnie zostanie oskarżony o morderstwo. Działali razem... wszyscy są winni. Sprawa rozstrzygnie się w sądzie. Wątpię, czy proces zostanie podany do publicznej wiadomości. Zapewne odbędzie się przy drzwiach zamkniętych. I tak zabójstwo Annabelindy zaliczy się do nie wyjaśnionych spraw.

- A ludzie zaczną się bać pustych domów...

- Zapewne.

- Co powiemy służbie o Andree?

- Skonsultuję się w tej sprawie ze zwierzchnikami. Zgadzam się, że powinniśmy zapobiec plotkom. W końcu trudno, żeby Judzie wychodzili z domu i ślad po nich ginął.

Bardzo szybko znalazło się wytłumaczenie. Andree dostała wezwanie do ambasady francuskiej. Jej brat był umierający i załatwiono jej natychmiastowy wyjazd do Francji. Mego ojca zawiadomiono o tym z pewnym opóźnieniem. Andree pojechała do brata. Nie wiadomo, kiedy wróci.

Nie brzmiało to zbyt przekonująco, ale po jakimś czasie przyjęto wyjaśnienie do wiadomości. W końcu była wojna, czasy nastały takie, że najbardziej niezwykle rzeczy mogły się wydarzyć w każdej chwili. Mniej więcej po tygodniu zniknięcie Andree przestało być głównym tematem rozmów i spekulacji.

Zupełnie inaczej wyglądała sprawa w przypadku Edwarda.

- Gdzie jest Andree? - pytał stałe. Wytłumaczyłam mu, że pojechała do domu, do swego brata.

- To jest jej dom — upierał się.
- Nie. Ona ma swój dom tam, skąd przyjechała.
- Pojedziemy tam?
- Nie. Zostaniemy tutaj.
- Kiedy wróci?

Uciekłam się do wymijającej odpowiedzi, która stała się przysłowiowa od czasu słynnego wystąpienia premiera Asquitha:

- Poczekamy, zobaczymy.

Ale Edward nadal dopytywał się o ukochaną opiekunkę. Nawet trochę popłakiwał, kiedy go kładłam spać.

- Chcę Andree - kaprysił.

Całowałam go wtedy, tuliłam i opowiadałam mu bajki, dopóki nie zasnął. Zdumiewające było dla mnie to, że kobieta, która była zamieszana w morderstwo jego matki, mogła być jednocześnie tak mu bliska. Widział Annabelinę zaledwie kilka razy i nie wywarła na nim większego wrażenia. Znacznie więcej uwagi poświęcił jej kapeluszu. A utratę Andree szczerze opłakiwał.

Powtarzałam mu przy każdej okazji:

- Nie smuć się. Masz mnie... i wszystkich w Marchlands. Masz kucyka Billy'ego i panią Cherry. Kochamy cię.
- Wiem - odpowiadał smutno. - Ale chcę Andree. Mimo że starałam się spędzać z nim jak najwięcej czasu, ciągle pytał o nią.

Zwycięstwo

Mijały kolejne miesiące, losy wojny zaczęły się odmieniać.

Nadszedł wrzesień i rozpoczął się zmasowany atak aliantów. Zapanaowała atmosfera odprężenia. Teraz każdy dzień przynosił coraz pomyślniejsze wieści.

Wiedzieliśmy, że wkrótce nastąpi to, do czego tęskniliśmy przez cztery długie lata.

Wreszcie przyszedł listopad. Dni były ciemne i mgliste, a jednak ileż jaśniejsze niż w poprzednich latach. Wiadomości z pola walki napępniały wszystkie serca nadzieją i otuchą.

Ach, gdyby tylko Robert wrócił do domu! Jakaż byłabym szczęśliwa! Lęk o niego nie opuszczał mnie. Z całego serca pragnęłam go zobaczyć i powiedzieć mu, jak bardzo niemądra byłam wahając się, choć powinnam była wiedzieć od samego początku, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Jak mogłam kiedykolwiek w to wątpić? Dręczył mnie straszliwy niepokój, że on może więcej nie wrócić. Na kontynencie nadal toczyły się walki. Kiedyż wreszcie ustaną! Przecież to już prawie koniec! Jakie to byłoby okrutne, gdyby coś złego przytrafiło mu się właśnie teraz!

Modliłam się za niego. Chciałam mu powiedzieć, jak bardzo go kocham. Lata wojny uświadomiły mi moje własne uczucia.

Ojciec wrócił do domu niezwykle poruszony. W Niemczech wrzało. Poddali się. Kajzer uciekł do Holandii.

Pokój został podpisany jedenastego listopada o godzinie jedenastej. „Jedenasty dzień jedenastego miesiąca” - powtarzali wszyscy. Dzień, który miał pozostać w naszej pamięci do końca życia.

Wojna skończyła się.

Na ulicach miast zapanaowała wielka radość. W oknach wywieszano flagi, nad ulicami powiewały transparenty. Ludzie gromadzili się na dworze. Zewsząd dobiegały dźwięki muzyki. Orkiestry podwórkowe grały patriotyczne marsze. Gdziekolwiek słychać było rzewne dźwięki katarynek.

Wszystkich ogarnęła niezwykła euforia, z wyjątkiem może tych, którzy zwycięstwo przypłacili życiem najbliższych.

Pani Cherry pozwoliła wyjść służbie i wziąć udział w zabawie, co i ja zaaprobowałam. Zarówno ona, jak i pan Cherry również mieli ogromną ochotę przyłączyć się do świętującego tłumu. W takim momencie nie sposób było stać z boku i biernie się przyglądać.

Przyszedł do nas Marcus. Cały promieniał radością.

- To wielki dzień! - wykrzyknął. - Wypada uczcić zwycięstwo.

Ojciec przystał na to z chęcią. Zaproponował, żebyśmy wybrali się do Ritza lub Savoyu na dobrą kolację.

Wcześniej weszliśmy jeszcze na chwilę do salonu i wywiązała się rozmowa o zakończeniu działań wojennych. Zastanawialiśmy się, kiedy żołnierze zaczną wracać do domów.

- A więc zaprzestano ognia dziś rano o jedenastej - powiedział ojciec. — Wreszcie położono kres tej bezsensownej rzezi.

Zaproponował, abyśmy wzniesli toast za zwycięstwo. W tym momencie zjawił się posłaniec. Okazało się, że ojciec jest pilnie wzywany.

W naszym domu panowała od dawna zasada, że w takim przypadku nie zadaje się żadnych pytań.

— W takim razie ja dotrzymam towarzystwa Lucindzie. Mam nadzieję, że dołączy pan do nas później.

Ojciec odparł, że może to potrwać, więc wołi nie umawiać się z nami na spotkanie.

To nie ma sensu - powiedział. - Możemy się zgubić w tłumie. Restauracje będą dziś przepełnione. Pewnie cały Londyn wybierze się, aby świętować.

— Czy w takim razie powierzy pan swoją córkę mojej opiece?

— Z największą przyjemnością - odparł ojciec. Jakiś czas później siedziałam naprzeciwko Marcusa

w eleganckiej restauracji nad rzeką.

Lokal pełen był ludzi, którzy przyszli cieszyć się zwycięstwem.

Wszędzie rozbrzmiewał śmiech i wesołe rozmowy, goście pokrzykiwali do siebie wzajemnie, orkiestra grała patriotyczne melodie.

Kiedy weszliśmy, na nasze spotkanie wybiegł kelner i uścisnął Marcusowi rękę. Jednocześnie kilka osób wyraziło aplauz oklaskami. Goście w mundurach witani byli owacyjnie. Marcus wyróżniał się spośród obecnych na sali wojskowych nie tylko wysoką rangą, lecz również urodą. Zauważyłam zawistne spojrzenia kobiet kierowane w moją stro-

nę. Marcus z wdziękiem i typową dla siebie swobodą podniósł rękę odpowiadając na powitania.

Kiedy zamówiliśmy potrawy, uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- To wspaniała okazja. Dzięki Bogu, że wojna się skończyła. Chyba wieki upłynęły, odkąd przyjechałem do La Piniere. Pamiętasz? Wtedy widzieliśmy się po raz pierwszy... W tamtej chwili... kiedy cię ujrzałem... młodziutką, niewinną pensjonarkę... zakochałem się w tobie.

— Cztery lata... A wydaje się, że więcej.

— Tyle rzeczy się wydarzyło. Wiesz, od jakiegoś czasu chciałem z tobą porozmawiać... Wahałem się... Nie byłem pewien, czy jeszcze nie jest za wcześnie... po tragedii, jaka nas dotknęła. Biedna Annabelinda! Co za straszny los, że została wplątana w tę aferę!

To ty wiesz? Powiedzieli ci o tym? - Zawiesiłam głos. Poczulałam się zażenowana i przerażona, że niechcący wymknęło mi się za dużo. Przecież prawdziwą przyczynę śmierci Annabelindy postanowiono zachować w tajemnicy. Czy mąż też miał o niej nie wiedzieć?

— Powiedzieli mi z dwóch powodów - wyjaśnił. — Po pierwsze, byłem zaangażowany w tę sprawę, gdyż razem z twoim ojcem staraliśmy się wykryć sabotażystów. Po drugie, byłem jej mężem.

— W takim razie pewnie wiesz o... wszystkim... Spojrzał na mnie bardzo poważnie i powiedział:

— Tak, Lucindo.

— To musiał być dla ciebie ogromny wstrząs.

— Jak pamiętasz, policja najpierw mnie podejrzewała. Musiałem udowodnić, że w tym czasie nie byłem w pobliżu domu. Jeden szok po drugim. Najpierw jej śmierć i podejrzenia skierowane przeciwko mnie... a potem dowiedziałem się prawdy. Byłem głupcem, Lucindo. Dawno powinienem był się domyślić. Ale wszystko tak zgrabnie pasowało. W końcu to ty nie opuściłaś tego dziecka. Ty najbardziej troszczyłaś się o jego dalsze losy.

Nigdy jeszcze nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy. Patrzył na mnie skruszony i upokorzony. Najbardziej jednak zdumiało mnie to, że sprawiał wrażenie, jakby nie potrafił dobrać słów i wyrazić tego, co go gnębi.

— Byłem wręcz zdruzgotany - mówił dalej. - Nie mogłem wprost w to wszystko uwierzyć. A jednocześnie wydawało się to prawdopodobne.

— Marcus, o czym ty mówisz?

— O dziecku. I o tym, co mi powiedziała Annabelinda. Trzeba przyznać, że kompletnie mnie zaskoczył.

— Nie zdawałaś sobie sprawy, że tylko ty się naprawdę dla mnie liczyłaś. W tobie się zakochałem. Więc kiedy Annabelinda powiedziała mi, nie mogłem uwierzyć... a potem wydało się to oczywiste. Gdyby chodziło tylko o mnie... cóż, byłem wstrząśnięty, to prawda... ale jakoś w końcu bym się z tym pogodził. Kochałem cię. Byłaś inna niż wszystkie dziewczęta, jakie znałem. Stanowilibyśmy idealną parę. Byli jednak jeszcze moi rodzice... gdyby dowiedzieli się, zostałbym wyklęty. Znam ich dobrze. Uznaliby cię za niemoralną kobietę. Nie masz pojęcia, jak bardzo są surowi i rygorystyczni! Wiele lat musiałem się z nimi męczyć. Małżeństwo było moim obowiązkiem głównie po to, żeby spłodzić nowych Merrivale'ów. Wiem, że trudno to zrozumieć, ale sposób myślenia moich rodziców trąci feudalizmem... średniowieczem. Zostałiśmy wychowani w przekonaniu, że na pierwszym miejscu zawsze stoi rodzina.

- Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim?

- Ponieważ chcę wymazać przeszłość. Pragnę z całego serca, byśmy na nowo... już teraz... od pierwszego dnia pokoju... Abyśmy zaczęli budować nasze życie.

- Och nie, Marcus!

- Lucindo, wysłuchaj mnie. Byłem głupcem, przyznaję. Powinienem był wiedzieć. Bałem się skandalu, lękałem się, że wszystko się roznieśie. Że będziemy żyć w strachu. Skandale mają to do siebie, że wybuchają w najmniej stosownym momencie. Nie mogłem sobie na to pozwolić. A tymczasem to było jej dziecko. Biedna Annabelinda! Wiedziała, że jesteś dla mnie naprawdę kimś ważnym... a z kolei ja byłem kimś ważnym dla niej, więc skłamała. Oczerniła swoją najlepszą przyjaciółkę. Ale to już minęło. Musimy zapomnieć. Czas zacząć życie od nowa.

- Ja nadal nie bardzo rozumiem.

- Annabelinda wiedziała, że mam zamiar prosić cię, byś za mnie wyszła. Powiedziała mi, że kiedy byliście w szkole, miałaś romans i że Edward jest jego owocem. Powiedziała też, że oddałaś dziecko na wychowanie, a kiedy jego przybrani rodzice zginęli, ogarnęły cię wy-

rzuty sumienia i zabrałaś je do domu. W ten sposób zatrzymałaś je przy sobie.

- Annabelinda ci to powiedziała?!

- Teraz wiem, że to było jej dziecko. Wszystko wydało się podczas śledztwa. Niemieccy szpiedzy usiłowali szantażem zmusić ją do współpracy. Wszystko jest oczywiste. Musimy wybaczyć biednej Annabelindzie. Jakąż straszliwą cenę zapłaciła! Zaczniemy wszystko na nowo. Minie trochę czasu i...

- Chyba należy ci się pewne wyjaśnienie. Otóż jestem zaręczona z Robertem Denverem.

- Tak, ale postanowiłaś wyjść za niego, ponieważ ja ożeniłem się z Annabelinda. On to zrozumie.

- To ty musisz zrozumieć, Marcus.

- Rozumiem, co czujesz. Przyznaję, źle postąpiłem żeniąc się z Annabelinda. Powinienem być zdawać sobie sprawę...

- Zdawałeś sobie sprawę z tego, że nigdy nie mógłbyś ożenić się z dziewczyną, która się skompromitowała, jakby to zapewne ujęła twoja rodzina. A w dodatku dziewczyna owa popełniła ten błąd, że miała dziecko, co dyskredytowało ją raz na zawsze. Działaleś zgodnie z zasadami. Zrobiłeś jedyną rzecz, jaką mogłeś zrobić. To doprawdy niefortunny zbieg okoliczności, że chcąc uniknąć niezręcznej sytuacji, wpadłeś w pułapkę.

- To rozumiałe, że przemawia przez ciebie gorycz...

- Nie. Wcale tak nie jest. Myślę, że wszystko obróciło się na dobre.

- Kocham cię, Lucindo. Chcę zacząć wszystko od nowa.

- Życie rzadko oferuje taką możliwość. Któż nie chciałby zacząć na nowo, kiedy sprawy układają się źle? Tak naprawdę wcale mnie nie kochałeś. Tym lepiej. Odpowiada ci to, jaki jesteś. Ożenisz się. Rodzina dopilnuje, byś pamiętał o swoich obowiązkach. Znajdziesz uroczą żonę, dokładnie taką, jakiej pragniesz. Będziesz miał dzieci, których domagają się rodzice. Ale miłość? Nigdy naprawdę nie kochałeś i powtarzam, lepiej, że tak się stało. Podobałam ci się. Byłam odpowiednia i oświadczyłyś mi się. Ale na drodze stanęła kompromitacja, w którą uwierzyłeś. Gdybyś naprawdę mnie kochał, nie dopuściłbyś do tego. Podobała ci się Janet, ale małżeństwo z nią nie wchodziło w rachubę.

Może i kochałeś wasze dzieci, ale nigdy byś ich oficjalnie nie uznał. Czy rozumiesz, co mam na myśli? Będziesz w życiu szczęśliwy, tego jestem pewna. Otoczony sympatią i życzliwością. Ludzie cię lubią. Sam widziałeś, jak cię tu dziś witano.

- To sprawił mundur. Dziś w całym Londynie żołnierze są bohaterami. Jutro wszyscy o nich zapomną.

- Wyglądasz na człowieka odważnego. Świadczą o tym słowa obecnych na sali. Zaslugujesz na taką reakcję z ich strony. Walczyłeś za swój kraj. Powiedziałam, że zaslugujesz na ludzką wdzięczność. I na dobry los. Ale nie zaslugujesz na taką miłość, jakiej ja pragnę w życiu... po prostu dlatego, że nie potrafiłbyś jej dać.

- Poddaj mnie próbie, Lucindo.

- Posłuchaj, jestem zaręczona.

- Jeszcze nie jest za późno.

- Nie w tym rzecz. Chodzi o to, co dla mnie jest realne... Tym czymś jest zrozumienie... nieco spóźnione... czego pragnę w życiu i z kim chcę je dzielić.

Widać było, że z trudem przychodzi mu pogodzenie się z tym, co usłyszał. Pewien był, że kiedy wytłumaczy mi, dlaczego nie poprosił mnie o rękę, będę gotowa rzucić wszystko i przyjąć go.

Był naprawdę pewny siebie. Ale miał ku temu powody.

Spojrzałam na niego ciepło i podnosząc kieliszek, powiedziałam:

- Życzę ci dużo szczęścia.

- To niemożliwe bez ciebie.

- Dla mężczyzny takiego jak ty, możliwe. Zmusiałam go, żeby wreszcie pojął, o co mi chodzi.

Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęłam poślubić Roberta. Chciałam, żeby był już bezpieczny ze mną.

Marcus milczał i wpatrywał się w swoje wino. Zobaczyłam, że dotarło do niego wreszcie to, co powiedziałam, choć aż do tej chwili nie mieściło mu się w głowie, że mogłam wybrać Roberta, a nie jego.

Zobaczyłam wyraz rezygnacji na jego twarzy i poczułam ulgę.

Ludzie dookoła nas tańczyli i śpiewali „Drogę do Tipperary” i „Długi szlak nas czeka”.

Było dosyć późno, kiedy wyszliśmy z restauracji i ruszyliśmy w stronę domu zatłoczonymi ulicami, na których bawiono się i świętowano do rana.

Zobaczyłam Marcusa kilka dni później. Zaszedł do nas i pani Cherry zawiadomiła mnie, że czeka w salonie.

Kiedy weszłam do salonu, ruszył mi na spotkanie i ujął moje ręce.

- Mam nowiny dla ciebie - oznajmił. - Pomyślałem, że powinnaś jak najszybciej się o tym dowiedzieć. Kapitan Robert Denver przyjeżdża jutro do Londynu.

Ogarnęła mnie fala radości. Nie byłam w stanie ukryć swoich uczuć. Wszystkie lęki, obawy, straszliwe wizje i wątpliwości zniknęły w jednej chwili. Robert wracał do domu.

Marcus przytulił mnie mocno, a potem odsunął się i ucałował mnie serdecznie w oba policzki.

Z uśmiechem powiedział:

- Pomyślałem sobie, że ta wiadomość sprawi ci radość. Usłyszałam swój własny głos:

- Kapitan Denver... — jakby jego nowy stopień był czymś niezwykle ważnym.

- Cóż, naturalnie awansowany na polu chwały. Spisał się świetnie jako żołnierz.

- Och, Marcus! Kochany jesteś, że przyszedłeś mi o tym powiedzieć.

- Nie jestem pewien, o której godzinie przyjeżdża, ale jak tylko się dowiem, zawiadomię cię osobiście albo przez posłańca.

- Och, dzięki!

- Pozostaje ci teraz żyć długo i szczęśliwie.

- Tobie życzę tego samego - odparłam szczerze.

Posłaniec przybył następnego dnia. Przyniósł kartkę, na której napisane było jedynie: „16.30 Victoria”.

Nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu. Chciałam krzyknąć z radości: „Robert wraca do domu! Nareszcie! Bezpieczny! Tak bardzo się bałam o niego!”.

Dzień ciągnął się bez końca. Postanowiłam, że wyruszę na dworzec zaraz po lunchu.

Późnym rankiem zjawił się Jean Pascal Bourdon.

- Przeszedłem się pożegnać - oznajmił. - Wkrótce wracam do Francji. Jestem w trakcie załatwiania ostatnich spraw.

Powiedziałam mu, że wraca Robert.

- Jak tylko cię zobaczyłem, pomyślałem, że wyglądasz inaczej. Jakby było od ciebie światło. Moja kochana, życzę ci wiele szczęścia. We Francji panuje teraz ogromna radość. Oby ta straszna tragedia, jaką jest wojna, nigdy więcej się nie powtórzyła. Cieszymy się więc życiem. Lucindo, moja droga, ale ty cała promieniejesz!

- Przyjeżdża dziś po południu. O czwartej trzydzieści na Victorię.

- Oczywiście będziesz czekała na niego. Szczęściarz z niego!

- To raczej ja mam szczęście.

- Zatem oboje jesteście szczęśliwi. Jeszcze jedną sprawę chciałbym załatwić przed wyjazdem.

- Tak?

- Zobaczyć mego prawnuka.

- Ależ naturalnie. Ma nową piastunkę. Zaczyna się do niej przyzwyczajać, choć nadal tęskni za Andree. Wciąż nie mogę się nadziwić, że osoba zaangażowana w działalność szpiegowską była jednocześnie oddaną, kochającą nianią.

- Jeszcze jeden przykład złożoności natury ludzkiej. Zdarza się, że bywamy kilkoma osobami naraz. Nie jesteśmy dobrzy albo źli, czarni lub biali. Być może nie ma ludzi całkiem złych. Ta teoria przemawia do mnie szczególnie silnie, kiedy spoglądam wstecz na swoje życie, które w końcu nie było bez grzechu.

— Wiem, że w panu jest wiele dobra.

— Nie jestem tego taki pewien. Ale jakież ziarenko pewnie gdzieś tam tkwi. A więc, czy mogę zobaczyć mego prawnuka?

Zaprowadziłam go do pokoju, gdzie Edward oddawał się swojemu ulubionemu zajęciu. Kolorował obrazki.

— To dinozaur — wyjaśnił Jeanowi Pascalowi, kiedy ten usiadł obok niego.

— Czerwony dinozaur? - zdziwił się Jean Pascal. - Czy dinozaury są czerwone?

— Lubię czerwone dinozaury — odparł Edward tonem rozstrzygającym kwestię.

— Może dorysujemy mu wąsy?

— Dinozaury nie mają wąsów.

— Skoro mogą być czerwone, to dlaczego nie mogą mieć wąsów? Edward rozważał to przez chwilę.

— Chyba mogą - zdecydował.

Patrzyłam na Jeana Pascala. Uważnie obserwował dziecko. W jego oczach pojawiły się ciepłe błyski. Zawsze wykazywał silne poczucie rodzinnej więzi.

Kiedy wstał i zbierał się do wyjścia, zauważyłam, że Edward niechętnie się z nim rozstaje, co Jean Pascal też spostrzegł i co bez wątpienia sprawiło mu przyjemność.

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w salonie, westchnął:

— Przemily chłopczyk!

— Jestem tego samego zdania.

— Nie mogę się nadziwić, że to mój prawnuk.

— Życie bywa niezwykle, prawda?

— Musisz przywieźć go kiedyś do mnie. Na pewno spodobają mu się winnice.

Widziałam po jego oczach, że już snuje jakieś plany. Zastanowiłam się chwilę, po czym powiedziałam:

— Jakie to skomplikowane. Ojciec pańskiego prawnuka jest szpiegiem zamieszonym w zabójstwo matki swego syna. Czy Edward kiedykolwiek dowie się o tym?

Jean Pascal milczał, więc ciągnęłam dalej:

- Czy można pozwolić na to, by poznał prawdę? Czy mamy prawo ją przed nim ukrywać? Czy nie powinien wiedzieć, kim jest?

Jean Pascal odparł powoli:

— Zależy, jak na to wszystko spojrzeć. Czy prawda jest rzeczywiście rzeczą świętą? Ktoś kiedyś powiedział: „Mowa jest srebrem, a milczenie złotem”, a ktoś inny: „Gdzie niewiedza daje pocieszenie, tam wiedza jest głupotą”².

— Zgadzam się z panem. Ale co stanie się, kiedy dorośnie i zechce poznać prawdę? Na pewno kiedyś to

\ nastąpi.

Jean Pascal zamyślił się, a po chwili powiedział:

- Teraz Edward wierzy, że należy do ciebie. Wkrótce zaczniesz zadawać pytania. Co ludzie o nim wiedzą? Że jest to chłopiec, którego rodzice zginęli podczas bombardowania Mons. Ty, młoda angielska pen-

² * Thomas Gray, „Oda na odległy widok Eton College”. Przeł. Mac Słomczyński.

sjonarka, zaprzyjaźniona z jego rodzicami, znalazłaś go w ogrodzie zburzonego domu. Uciekałaś z Francji przed Niemcami i zabrałaś go ze sobą. Niech tak już na zawsze zostanie. Ojciec winien śmierci matki? Matka, która go odrzuciła i oddała obcym na wychowanie? Nie. W żadnym wypadku. Przyjmijmy dotychczasową wersję. Jest czas na mówienie pewnych rzeczy, Lucindo, ale jest też czas na milczenie. Jeśli chodzi o Edwarda, zawsze niech to będzie czas na milczenie.

Uśmiechnęłam się do niego. Ten człowiek, który doświadczył niemal wszystkiego, co życie może zaoferować, znał dobrze świat i ludzi. Uwierzyłam, że ma rację.

Nadszedł czas na milczenie.

Czas przed przyjazdem pociągu dłużył się niemiłosiernie. Peron pełen był ludzi oczekujących na przyjazd frontowych bohaterów.

Kiedy lokomotywa wreszcie wtoczyła się na stację, wszystkich obecnych ogarnął szal radości. Rozległy się wiwaty, tłum zafalował. Mężczyźni, kobiety i dzieci rzucili się do przodu, by szukać tej jednej jedynej osoby, której powrót tak wiele dla nich znaczył. Nadchodził wreszcie upragniony czas, kiedy strach ustępował nadziei na przyszłość pozbawioną koszmarów wojennych przeżyć i bolesnych strat najbliższych.

Nie od razu się odnaleźliśmy.

Zobaczyłam go o ułamek sekundy wcześniej, nim on dostrzegł mnie. Wydawał się starszy i trochę znużony, ale w jego oczach płonęło cudowne, znajome światelko.

Jak wszyscy inni dookoła, my też padliśmy sobie w objęcia nie wstydząc się naszych uczuć.

- Robercie! - zawołałam. Jedyne, co byłam w stanie wypowiedzieć, to jego imię.

- Najmilsza Lucindo - powiedział ciepło. - Wróciłem.